

A N N A E L L O R Y



KRÓLIKI  
Z RAVENSBRÜCK

Prószyński i S-ka

A N N A E L L O R Y



# KRÓLIKI Z RAVENSBRÜCK

Przełożył  
Michał Juszklewicz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
THE RABBIT GIRLS

Copyright © 2019 by Anna Ellory  
All rights reserved.

Projekt okładki  
Wojciech Wawoczny

Zdjęcie na okładce  
© Stefan Witte/[Arcangel Images](#);  
[schankz/Shutterstock.com](#)

Redaktor prowadzący  
Magdalena Gołdanowska

Redakcja  
Joanna Habiera

Korekta  
Małgorzat Denys

ISBN 978-83-8169-221-2

Warszawa 2020

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Kobietom, o których czas zapomniał*

*Kręcąc się, kręcąc w coraz szerszym wirze,  
Sokół nie słyszy już sokolnika;  
Wszystko się rozpada; nie trzyma się środka;  
Czysta anarchia spuszczone na świat,  
Rozlał się krwią barwiony przyływ i wszędzie  
Topi się pradawny obrzęd niewinności;  
Najlepszym brak przekonań, gdy najgorsi  
Są pełni intensywnej pasji.*

W.B. Yeats, *Drugie przyjście*<sup>1</sup>

1 Tłum. Barbara Dzedzic [w:] „Akant”, nr 6, czerwiec 2016. Wszystkie zacytowane w książce fragmenty *Drugiego przyjscia* pochodzą z tego źródła.

## Styczeń 1945

*Czegoś takiego nie da się zrobić szybko.*

*Przycupnęła w nogach pryczy, nie widząc niczego poza rozłożonym na kolanach pasiakiem. Opuchniętymi, zdrętwiałymi palcami rozpruła dwa centymetry szwu. Bardzo ostrożnie wsunęła kartkę do kieszonki.*

*Trzeba ją ułożyć płasko. Tak, żeby całkiem zniknęła w fałdach tkaniny.*

*Drugą kartkę wcisnęła w szew, najdalej, jak tylko się dało, sprawdziła, jak to wygląda z przodu, z tyłu i na zgięciu. W ślad za nią poszła następna i w końcu ta ostatnia.*

*Ta ostatnia.*

*Czas umykał, pędził jak szalony. To już koniec.*

*Palce pospiesznie chwyciły igłę, aby ją nawlec, ale uszko było maleńkie, a nitka cienka. Nawoływania i wrzaski grzmiały coraz bliżej, coraz donośniejsze, coraz bardziej naglące. Jej dłonie drżały i taki sam dygot chwycił podbródek, usta oraz serce.*

*Już, schowane.*

*Bezpieczne, nikt ich nie znajdzie.*

*Zręcznymi ruchami zwinęła koniec nitki i wsunęła ją w szew. Igłę wbiła w brzeg pasiaka, żeby nie wypadła.*

*To było już wszystko, jeszcze tylko...*

# 1

## MIRIAM

Grudzień 1989

Otwarto przejścia w murze i Wschód połączył się z Zachodem. Drzwi oddzielające ją od świata są zamknięte. Zamknięte na klucz i sprawdzone, dwa razy. Palec wsunięty między skrzydło a futrynę odnajduje maleńkie, mięciutkie piórko. Jest tam, gdzie ma być. Dłoń zsuwa się niżej po wysłużonym drewnie, zatrzymuje się na klamce. Sprawdza trzeci raz. Zamknięte.

Podnosi słuchawkę domofonu, przyciska ją do ucha.

Cisza.

Na podłodze w korytarzu leży gruba wykładzina. Dalej jest jego pokój. Nie patrząc na niego, wchodzi i starannie wyrównuje aksamitne zasłony, a potem je rozsuwa. Ukazuje się niebo koloru lawendy. Deszcz oczyścił powietrze, a lekki wiatr jest bardzo przyjemny.

– Piękny dzień – szepcze kobieta, pragnąc, aby okazało się to prawdą. Kamienica naprzeciwko pnie się wysoko w całej swojej klasycystycznej wyniosłości, fasady ma surowe, a okna zamknięte. Szczelinami sączy się światło, stare, powyginane balustrady bronią mu dostępu na drugą stronę ulicy. „Berlin znów jest Berlinem”. A Miriam znów jest w domu.

Brukowce na Klausenerplatz lśnią, mokre po nocnym deszczu. Kiedy rżenie zmiennościowego materaca przeciwoleżynowego jest już tylko szumem w tle, odwraca się w stronę łóżka i mężczyzny, który w nim leży. Wyciągnięty na wznak, otulony białą kołdrą.

Miriam nieruchomieje.

Potem styki zwierają się – co za ulga – a jej ciało samo zaczyna wykonywać dobrze znane czynności.



– Jak ci się spało? – Musi coś mówić, boi się, że jeśli umilknie, myśli eksplodują jej w głowie.

Na stoliku nocnym leży „Berliner Zeitung” z dziesiątego listopada. Od tamtej pory nie kupiła nowego numeru. Bierze gazetę do ręki i otwiera. Zapach słów budzi przejmującą nostalgię.

WSZYSCY DZIĘKUJEMY BOGU, woła nagłówek czarnym tłustym drukiem. Miriam odwraca stronę. Radosne, roześmiane twarze, łzy w oczach, ludzie padają sobie w ramiona, unoszą butelki z piwem, a w tle: mur.

– Jak myślisz, tato? Czy to... – Papier marszczy się w jej dłoniach. – Czy naprawdę Bóg to sprawił? – Uśmiecha się, bo wie, co by odpowiedział. Tak przynajmniej jej się wydaje.

– Na tych, co burzą mur własnoręcznie, młotkiem i dłutem, mówią *Mauerspechte*, „dzięcioły muru”. Zajmie im to pewnie z dziesięć lat, ale spójrz... – Podsuwa ojcu gazetę pod oczy, tak, że gdyby je otworzył, zobaczyłby czarno-białe zdjęcie małego chłopca z jeszcze mniejszym młotkiem. „Dzięcioły” są w różnym wieku, starzy i młodzi. Miriam widzi ich oczami duszy: stuk-stuk, narzędzia w ich rękach wbijają się w beton. – Powinieneś to zobaczyć – dodaje półgłosem.

Nie doczeka się odpowiedzi ani choćby znaku, że jej słowa zostały usłyszane.

Ojciec zawsze był w ruchu; nie potrafił usiedzieć spokojnie. Dopiero teraz to się zmieniło. Umysł miał żywy, ale bez przerwy się o coś potykał, na coś wpadał; ciało zdradzało swój wiek, chociaż siły mentalnej nie ubywało.

Miriam kładzie złożoną gazetę, opowieść zawieszoną w czasie, z powrotem na stoliku. Świat kręci się dalej; docierają do niej wieści tak olbrzymiej wagi, że aż trudno je ogarnąć umysłem. Tyle euforii, tyle radości... Mur berliński runął, ale nie ma to większego znaczenia, nie dla niej są te emocje, bo ona musi sprzątać, pielęgnować i przewijać.

Ten cykl ma swój koniec, który nastąpi już wkrótce.

– Podniosę cię. – Opiera się o łóżko i chwyta ojca pod pachy, omijając wzrokiem jego twarz. Unosi go, napiera ciałem na jego pierś i przesuwając o kilkanaście centymetrów. Przetrzepawszy poduszki, układa go swoimi drobnymi rękami w pozycji półleżącej.

– No i już. – Nalewa do kubeczka wody z plastikowego dzbanka. – Małymi łyżkami – przestrzega, podkładając mu pod brodę czysty ręcznik.

Kubeczek ma skośny kształt i dwa uszka. Słyszała od lekarzy, że to ułatwi mu picie, ale nie, do zamkniętych ust nie wpada ani kropla wody, wszystko spływa po zarośniętej brodzie. Lekarze używają zresztą wielu różnych terminów:

równowaga płynów ustrojowych, nawodnienie, wygodność. Na ich twarzach maluje się znudzenie. Brak zainteresowania. Rutyna. Patrzą, ale nie widzą. Trzeba dbać, żeby było mu wygodnie i żeby się nie odwadniał, a poza tym prowadzić bilans płynów. I tak miał pożyć najwyżej parę dni. Śmierć jest nieunikniona, chociaż mijają kolejne tygodnie, a on wciąż oddycha. Dbanie o „wygodę” w takiej sytuacji wydaje się bezcelowe, równie dobrze można by mu przykleić plaster z opatrunkiem i czekać, aż to go uleczy.

– Napij się. No, jeszcze trochę.

Pielęgniarki w szpitalu radziły, żeby go goliła, ale to była dla niej zbyt intymna czynność, więc zarost rośnie coraz dłuższy, a woda spływa po nim na ręcznik.

Miriam opróżnia worek na mocz do miski w kształcie nerki i idzie do łazienki, pamiętając o tym, że po drodze jest schodek. Płyn przelewa się w misce, wydziela kwaśny zapach, który drażni zarówno nos, jak i żołądek; chwytają ją mdłości, musi nad nimi zapanować. Spuściwszy wodę, chowa miskę i siada na krawędzi wanny, gdzie czeka, aż woda się nagrzeje. Podstawia palce pod strumień, opierając się pokusie umycia rąk.

Napełnia wodą większą miskę i wraca do sypialni, aby rozebrać chorego i zabrać się do mycia. Wszystkie czynności wykonuje w milczeniu.

Bez słowa.

Czystą, umytą skórę wyciera miękkim białym ręcznikiem, a potem smaruje odleżyny specjalnym kremem. Zmienia ojcu górę od piżamy i zauważa, że jego zegarek się zatrzymał. Stukanie w szkiełko nie przynosi efektu, wskazówki nie ruszają z miejsca. To stary zegarek: złote wskazówki i złota tarcza z czarnymi cyferkami zatartymi przez czas, widać tylko cieniutkie kontury.

Miriam obraca rękę ojca dłońią do góry, szukając zapięcia. Na szerokiej złotej bransoletce nie ma niczego, co dałoby się otworzyć. Pochyliwszy się niżej, obmacuje ją palcami.

Tak bardzo jest zaprzątnięta tymi pieśczośliwymi poszukiwaniami po omacku, samymi opuszkami palców, że umyka jej co innego: ojciec oddycha inaczej. Poruszył się. Uniósł drugą rękę.

Lodowato zimne palce niespodziewanie zaciskają się na jej nadgarstku.

Miriam patrzy na niego. Głowa ojca wciąż leży bezwładnie na poduszce, a oczy są zamknięte.

Aż nagle się otwierają.

Uścisk lodowatych palców coraz mocniejszy, przenosi ją w przeszłość, do czasów, gdy była pogodniejsza i młodsza, nie miała wtedy jeszcze dwudziestu lat. Wybrała się do zoo ze znajomymi. Galeria zamazanych twarzy, długa lista

zapomnianych nazwisk. Kolorowa mozaika ułożona z ręcznie barwionych ciuchów, hipisowskich wzorów, cieni do powiek i piór.

Nieduży „pawilon do głaskania zwierzaków” był przedzielony sięgającą kolan drewnianą barierką. W środku panowała duchota, a trociny, którymi wysypano podłogę, wzbijały się w powietrze. Miriam, wypchnięta przed szereg, stanęła oko w oko z olbrzymim drapieżnym ptakiem. Obejrzawszy się na znajomych, którzy w ten sposób wytypowali ją „na ochotnika”, doznała nagłego uczucia klaustrofobii. Dostała ochronne rękawice, ale to było za mało, aby ukryć fakt, że na jej przedramieniu siedzi ciężkie ptaszysko o szorstkich łapach zakończonych ostrymi szponami. Strzelało ślepiami na wszystkie strony. Wszyscy patrzyli na nią. Potem kilka osób przysunęło się bliżej i otoczyło ją. Widziała ich jak w kalejdoskopie. Ptak zaciskał swoje szpony coraz mocniej, aż nagle wszystko utonęło w ciemności.

Miriam sięga wolną ręką, próbując rozewrzeć zimne palce. Potrąca przy tym miskę, która spada na podłogę, mydliny rozlewają się szeroko. Przywykła do oglądania jego powiek, otwarte oczy rażą oślepiającą bielą i przepastną głębią. Chce odwrócić wzrok. Ale nie, jego spojrzenie nie pozwala jej się poruszyć, przeszywa ją na wskroś.

– Co się stało? – pyta łagodnie, chociaż on ściska ją mocno i ciągnie za rękę. Miriam pochyła się, tak jak przedtem, gdy go układała, a on podciąga się na posłaniu. Ich twarze znajdują się teraz na jednej wysokości.

– O co chodzi?

Jego oddech ma zjełczałą, słodką woń gnijących owoców. Owiewa jej twarz, snuje się spiralą po policzku. Tętno w unieruchomionej ręce najpierw przyspiesza, a potem zaczyna mocno dudnić w rytm spowolnionego krążenia. Oczy, których wciąż nie może oderwać od jego oczu, dostrzegają zmianę: wzrok ojca koncentruje się na niej. Jego twarz łagodnieje.

– Już dobrze. Jestem przy tobie. – Słowa, wypchnięte w pośpiechu, łamią głos w ostre drzazgi.

– Frieda. – W jego ustach to imię jest niczym szept opadającego liścia. – Frieda.

Dźwięk tego głosu przypomina jej, kogo ma przed sobą: to on, tata, ten sam, który śpiewał jej kołysanki, czytał bajki i głaskał po głowie. Ten sam tata, z którym przez dziesięć lat nie zamieniła ani słowa.

– Tato, to ja, Miriam – mówi łagodnie, odchrząknąwszy.

Przez ułamek sekundy chyba ją poznawał. Kładzie wolną dłoń na jego palcach, wciąż mocno zaciśniętych. Chwyta go kaszel, w całym pokoju aż huczy.

– Tato?

– Frieda! – Krzyk niesie się jak przeciągłe basowe wycie syreny mgłowej nad głowami tłumu. – Frieda!

Próbuje wstać z łóżka, ale ciało go nie słucha. Zmaga się, mocije, szarpie pościel, nie może się uwolnić. Miriam nie potrafi oderwać wzroku, tyle w tym daremnego wysiłku. Ojciec jeszcze raz wykrzykuje imię „Frieda” i jego ruchy powolnieją. Wiotczeje. Zamyka oczy. Ręce ma złożone razem, palce prawej dłoni trzymają zegarek.

Miriam czeka, aby nabrał powietrza. Nabiera.

Wypuszcza.

Przerwa.

Nabiera powietrza.

Teraz Miriam też może odetchnąć drżącymi ustami. Przez jakiś czas stoi bez ruchu i tylko obserwuje, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada, podając rytm cierpieniu. Ściągnięta twarz ojca łagodnieje, a z kącika ust ścieka strużka śliny. Miriam wyciera ją ściereczką.

# HEINRICH

Tato! – woła ona. Słyszę kobiecy głos, szumiący cicho niczym liście bzu na wietrze.

Ale ja... Zagubiłem się...

Zagubiłem się w przeszłości.

Zagubiłem się... Z Friedą...

Był rok 1942, a ona uczęszczała na moje zajęcia już od blisko sześciu miesięcy. Rzadko się odzywała i nigdy się nie uśmiechała, ale słuchała wszystkiego tak pilnie, że każdy wykładowca byłby wniebowzięty. Gdyby, ma się rozumieć, nie wykładał w nazistowskiej uczelni.

Pilna studentka i jej wnikliwe zainteresowanie przedmiotami, których uczyłem, i tekstami, które studiowaliśmy, budziły we mnie tylko narastający niepokój.

Była atrakcyjna, w identyczny sposób jak reszta klasy. Chłopcy i dziewczęta. Wszyscy piękni i silni. A jednak ona przykuwała moją uwagę, domagała się jej wręcz i oddałbym wiele, aby poznać jej myśli. Co sądziła na temat przerabianych tekstów? Jak dotąd nie usłyszałem z jej ust ani jednego słowa.

Za oknem sypał gęsty śnieg, a grupa nudziła się i była marudna; najchętniej poleciliby na dwór, jak stadko szczeniaków.

Z kredą w dłoni przechadzałem się tam i z powrotem za moim biurkiem. Na tablicy zapisałem jedno słowo: *Schmerz*, czyli ból, a koniuszki palców miałem białe od pyłu. Przedstawiłem studentom teorię na temat śmierci i umierania oraz pojęcie „większego dobra”. Wszystko spotkało się z przychylnym przyjęciem. A potem, przypadkowo rzuciwszy okiem na nią, nagle zdecydowałem się na ogromnie ryzykowny krok.

Zszedłem z właściwej drogi. Dla niej.  
Obserwowałem jej reakcję.

– *À propos* bólu... – starannie dobieierałem słowa, obracając je w ustach. – Współcześni pisarze nie potrafią przedstawić go tak, jak autorzy z poprzednich stuleci.

Uniosła głowę i spojrzała mi prosto w oczy, a ja zamarłem, wrosłem w podłogę tuż przed jej ławką, lecz mimo to mówiłem dalej.

– Ból to zjawisko stare i... No cóż, być może jednak Rosjanie mogą nas czegoś nauczyć.

– Jak zdychać z głodu – zachichotał pod nosem jeden ze studentów. Przyszpiliłem go wzrokiem, a on prawie wsunął się pod ławkę.

– Rosyjscy pisarze naprawdę odczuwają ból. Robią to po to, aby ich czytelnicy cierpieli – powiedziałem.

Po sali przeleciał śmiech, chociaż to raczej nie był dowcip.

– Już niedługo Führer im pokaże, co to znaczy ból – dorzucił inny student.

– Nie. – To ona powiedziała. Wtrąciła się. – Panu profesorowi chodzi zapewne o to, że odczuwamy ból autora tak samo, jak gdyby to nas bolało.

Po raz pierwszy zabrała głos na zajęciach i cała grupa, łącznie ze mną, spojrzała na nią zaintrygowana, nie posiadając się ze zdziwienia, że ta dziewczyna w ogóle umie mówić. Któryś z chłopaków zagwizdał zaczepnie i klasa utonęła w śmiechu i gwarze.

Ale to była prawda: ona się odezwała, odezwała się do mnie, a potem mówiła dalej, konspiracyjnie zniżyła głos. Pochyliłem się.

– Siła literatury tkwi nie w słowach ani w czynach, siła literatury to tworzenie ze wszelkimi niuansami uczuć, których zaznał ktoś inny, zgodzi się pan, profesorze? – zapytała. Po francusku!

– Zgadzam się – przytaknąłem, pieczołowicie dobierając słowa i przez cały czas wietrząc podstęp. Wytworne francuskie zwroty leżały gdzieś na zakurzonej półce z tyłu mojej głowy.

– Patrząc na Rosję, Francję i Irlandię, możemy poznać ból, którego nie potrafimy sobie wyobrazić. – Mówiła dalej po francusku, ale już pełnym głosem, którego chropawe brzmienie przeczyło jej wiekowi. Gdy jej słuchałem, ten obcy język nagle stał się świeży, ekscytujący, wyzwalający. Studenci znów zaczęli się wiercić, obserwując wymianę zdań pomiędzy nami.

Zniżyłem głos.

– Nasza historia także jest przepełniona bólem.

– Owszem – zgodziła się i, przechodząc z francuskiego na angielski, dodała: – Ale nasza historia jest na łasce tego, kto akurat ma władzę; coraz mniej w niej faktów, a coraz więcej fikcji, rządzi nią, wedle własnych kaprysów i widzimisiej, jeden nadęty *Schwachkopf*. – Niemieckie słowo oraz szok na mojej twarzy rozeszły się szerokim echem po sali. Nikt nie zrozumiał, o czym mówiliśmy, ale to wyzwisko – tępak – długo odbijało się rykoszetem od ścian. A ona spojrzała na mnie. W oczach miała wyzwanie.

– Proszę otworzyć książki na stronie siedemdziesiątej szóstej – zwróciłem się do grupy po angielsku, a słysząc jej śmiech, powtórzyłem polecenie po niemiecku, dodając: – Omówcie w parach, za pomocą jakich technik autor opisał ból.

Rozległ się szelest przewracanych kartek i mamrotanie, które po chwili przerodziło się w żywą dyskusję. Podeszedłem do jej ławki i pochyliłem się nisko.

– Co pani wyprawia? – zapytałem.

– Tylko znając język danej kultury, można prawdziwie zanurzyć się w jej zbiorowym bólu i czytać tekst zgodnie z intencją autora. Nie tak jak te zakute pały, ci *connards*. – Przeszła z powrotem na francuski. – Taśmowo produkowane pajace niepotrafiące samodzielnie myśleć: tak, proszę pana, nie, proszę pana – wyskandowała, przedrzeźniając kolegów, a gdy uniosłem głowę, zobaczyłem, że wielu studentów gapi się w okno albo przewraca kartki w swoich książkach.

– To bardzo ryzykowne, *Fräulein* – powiedziałem po angielsku, znów za jej przykładem zmieniając język. Angielskie słowa lepiej leżały mi w ustach, ale wolniej przychodziły do głowy. Cudowna była złożoność tych języków, których od lat nie miałem okazji używać. Takie przeskakiwanie z jednego na drugi było niesłychanie trudne, ale mój umysł zapalił się do wyzwania.

– Ryzykowne? – Uśmiechnęła się, jak gdyby myśl o ryzyku była dla niej zabawna. – Sądziłam, że jako nauczyciel ceni pan prawdziwą rozmowę, taką, powiedzmy... – Przeszła na jeszcze inny język i pogubiłem się; nie rozumiejąc ani słowa, śledziłem tylko ruchy jej warg.

Zaśmiała się.

– No dobrze, więc raczej nie po holendersku... – Sypnęła słowami z taką szybkością, że zabrzmiały jak seria z karabinu.

– Ile języków pani zna? – zainteresowałem się.

– Kilka – odparła tym razem po francusku.

– Proszę lepiej uważać, w obecnych czasach ten, kto mówi językiem wroga... – Zniżyłem głos, wracając do angielskiego.

– A czy to jest nasz wróg? – zapytała, powoli cedząc słowa. – Może to naród, który nas wyzwoli?

Rozejrzałem się, ale studenci gadali w najlepsze, a gdy z powrotem zwróciłem na nią wzrok, siedziała z nosem w książce, jakbyśmy wcześniej nie zamienili ani słowa.

– Dziękuję pani, Fräulein...? – powiedziałem, nie chcąc, aby umilkła.

– Mam na imię Frieda – odparła, nie unosząc głowy.

– Dziękuję, Friedo.



# MIRIAM

Frieda? Jaka Frieda? myśli Miriam.

Jej ojciec wciąż obejmuje dłonią zegarek. Miriam sięga do bransoletki, ale rezygnuje, nie chcąc znów go zdenerwować. Palcami szybkimi niczym rytm jej galopującego serca zapina mu guziki od piżamy.

Jego oczy, obrzmiałe, oklejone cienkimi jak bibułka powiekami, przypominają dwa balony przytwierdzone linami do ziemi. Miriam zmienia pozycję, umykając przed oddechem bijącym z szeroko otwartych ust, ale poczucie winy nie pozwala jej odejść. A w to poczucie winy, które każe jej trwać przy ojcu, wpleciona jest jej matka.

Ona umiałaby się zatroszczyć o niego lepiej od Miriam, wiedziałaby, co zrobić, co powiedzieć. Mamie nie zdarzały się pomyłki ani potknięcia; zawsze robiła dokładnie to, co trzeba, ale kiedy potrzebowała córki, nie miała jej przy sobie.

Miriam nie była przy umierającej matce i nie chce wierzyć, że męczyła się tak samo, jak teraz męczy się ojciec. Woli przywołać z pamięci scenę, w której rozmigotane brokatem kurzu światło wpada przez pojedyncze okno i dotyka wykrochmalonej białej pościeli. Na tym łóżku leży ona. W koszuli nocnej, tej najlepszej, równiutko okryta kocami. Ojciec klęczy, trzymając rękę mamy w obu dłoniach, widać tylko tył jego pochylonej głowy.

Miriam ujmuje takim samym gestem dłoń taty i spogląda na jego zegarek. Wskazówki pokazują dziesięć po czwartej. Są nieruchome, ale zegarek się przesunął. Widnieje nad nim pasek ziemistej skóry. Miriam odwraca jego rękę, czujna, niepewna, jak zareaguje.

I widzi.

Widziała to już wcześniej, w podręcznikach, w telewizji.

A teraz tutaj. Czarne na białym, zasłonięte złotem.

Na ręce jej ojca.

Cyfry.

Szaroczarne cyfry, może centymetrowej wielkości, idealnie kwadratowe, wytatuowane na jego skórze.

On tam był. W tamtym miejscu.

Miriam przesuwając zegarek na miejsce i mocno ściska ojca za rękę, a do oczu napływają jej łzy. Pochyliła się, aby pocałować go w głowę, ale zmieniając zdanie, ściska jego dłoń ostatni raz i odwraca się od łóżka.

Siada w kuchni, odkręca kran. Woda płynie, a ona opiera głowę o chłodny blat szafki. Po plecach, na szczyrzych łapach, przebiega strach. Te cyfry, ten numer. Przypominają jej się filmy i zdjęcia oglądane w dzieciństwie, puste twarze, stosy ciał. Nie potrafi wyobrazić sobie ojca w tym morzu ludzkich istnień.

Myśli biegną do mamy. Jedynej osoby, która w tej chwili umiałaby jej pomóc. Gdybym mogła mieć ją teraz przy sobie, choćby przez chwilę.

Wtedy nie czułabym się tak strasznie samotna.

Miriam widzi ją zamkniętymi oczami. Obraz jest tak wyrazisty i budzi tak głębokie uczucia, że ma moc, aby cofnąć czas. Fartuch okrywający jedną z najpiękniejszych sukienek mamy, żółtą jak płatki słonecznika, stukot wysokich obcasów na kuchennej podłodze, w tym miejscu, gdzie każdy pokarm żywił duszę, jeszcze zanim posmakowały go usta.

Zakręca kran i ociera twarz starą, szorstką ścierką do naczyń, pachnącą tłuczonymi kartoflami. Nie odkłada jej potem, ale przyciska do siebie, bo dobrze coś trzymać w rękach. Jakiś impuls ciągnie ją do pokoju mamy. Wchodzi tam. Zasłonki z cienkiej żółtej bawełny nie tłumią światła z za okna. Kwietne desenie na ścianach i meblach, łóżko posłane i przykryte kocem, szafa pełna.

Pełna mamy.

Szafa jest niemal tak duża jak garderoba, można wejść do środka. Miriam odsuwa na bok pudełka z butami i siada na podłodze. Kurtyna sukienek zamyka się wokół niej tęczą barw i faktur, otacza zapachem kwiatu pomarańczy i słodkiego ciasta. Sukienki wiszą bez ruchu, jakby czekały na powrót właścicielki.

Widzi dłoń mamy trzymającą pomadkę, z najmniejszym palcem wyprostowanym jak przy picciu wykwiśniętej herbaty. Skóra dłoni blada, jak jasna rękawiczka, z wiekiem pojawiają się plamki i znamiona. Obrót przed wysokim lustrem ukrytym w głębi starej garderoby, żeby sprawdzić, czy nowa sukienka dobrze leży. Mama opiera nogę na kolanie, wsuwa stopę do buta, najpierw palce, potem piętę, tak ostrożnie, jakby to był szklany pantofelek.

Obrazy są jak olbrzymie pejzaże, nie sposób ich objąć wzrokiem, każdy jaśnieje zaledwie przez sekundę, niczym blask morskiej latarni, po czym gaśnie, a z mroku wyłania się następny. Co sekundę nowa raca wybucha płomieniem, rzuca jasne, białe światło na to wszystko, co Miriam bezpowrotnie straciła. Wreszcie obraz nieruchomieje niczym zatrzymany kadr z filmu.

Kiedyś to była mama, teraz jej miejsce zajął grobowiec wypełniony pustką.

Serce Miriam, zaciśnięte w pięść, tłucze o klatkę żeber. Miriam nie może uciszyć myśli, więc wyskakuje z garderoby. Zrywa przy tym sukienki z drążka i wykopuje pudełka z butami na środek pokoju.

W łazience, pohamowawszy pośpiech, co wcale nie jest łatwe, odkręca kran z gorącą wodą, unikając spoglądania w duże lustro wiszące nad umywalką. Wsuwa pod strumień dłonie złożone jak do modlitwy, modlitwy na opak. Woda jest zimna. Powoli ścieka po palcach, zbiera się w zagłębieniu dłoni. Gdy pojawia się pierwsze muśnięcie ciepła, Miriam natychmiast odkręca kran do oporu.

Teraz mydło.

Ścisła je w dłoniach, żeby się rozgrzało.

Mydli zawzięcie, aż pojawia się obfita piana. Wtedy odkłada ociekającą bąbelkami kostkę do mydelniczki i zabiera się do mycia. Drapie skórę paznokciami i kostkami palców, szoruje, pucuje, energicznie trze dłonią o dłoń, aż wreszcie mydlana piana traci jedwabistą delikatność i zaczyna szczypać.

Czując, że nadchodzi dobrze znany ból, nie przerywa, pozwala, aby jego głos zagłuszył wszystkie inne. Jest konkretny. Wypełnia ją tam, gdzie próżnia żarzy się niczym zapomniany płomyk, czekając na iskrę, aby rozgorzeć.

Jej małe dłonie w dłoniach mamy. Już nigdy więcej.

Mydło przywiera do jędrnej skóry jak taśma z rzepem, ciągnie mocno, wyrrywając z niej pamięć dotyku, który kiedyś był wszystkim.

Miriam wsuwa dłonie pod wodę i aż syczy, taki ukrop. Znów jest tu i teraz. Nie cofa rąk. Niech piana spłynie dokładnie, do ostatniego bąbelka.

Kiedy na jaskraworóżowej skórze nie pozostanie nawet najmniejsza drobinka mydła, długo patrzy na swoje dłonie. I wyobraża sobie, jak tam w środku wściekle tętni krew. Bierze szczoteczkę i wsuwa ręce pod wodę, po czym mocno szoruje.

Każdy paznokieć po kolei, ze wszystkich stron. Nagle włosie wbija jej się pod skórę na kciuku. Różowawa kropelka krwi spływa do otworu w umywalce.

Płucze szczoteczkę pod buchającym parą strumieniem i wsuwa najpierw jedną, a potem drugą dłoń pod kran. Tam, gdzie spłoną z bólu. Liczy.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

Zakręca kran, mocno, do końca, starając się uspokoić łomoczące serce. Dłonie, które aż błyszczą, wsuwa w fałdy ręcznika, osusza skórę. Każdy palec po kolei. A co z kciukiem? Zobaczmy.

– Będzie dobrze – mówi do siebie. I już jest spokojniejsza, woda i mrowienie w dłoniach przyniosły odprężenie i ukojenie. Dopuszcza myśli do głosu, atak paniki został opanowany.

Na razie.

## 2

# MIRIAM

Siada w starym fotelu. Kiedy ojciec wrócił ze szpitala, przyniosła mebel z jego gabinetu. Zna ten fotel od dziecka, siadywała w nim jako mała dziewczynka, która nie dosięga stopami podłogi. Skubała podprute szwy obicia świeżo malowanymi paznokciami. Wiele razy dawał jej schronienie, mogła się w nim zwinąć w kłębek, z poduszką kurczowo przyciśniętą do piersi.

W okno bębni deszcz. Miriam przekręca gałkę radia, łapie falę, słysząc pikanie sygnału czasu.

– Jest godzina jedenasta, zaczynamy wiadomości. – Prezenter ma tubalny głos, trzeba przyciszyć odbiornik. – Mieszkańcy Berlina Wschodniego, korzystając ze swojej nowej swobody, odbywają masowe wycieczki na Zachód, a na wszystkich głównych przejściach granicznych ustawiają się długie kolejki. Ta swoboda, przysługująca im od niedawna...

Miriam przestaje go słuchać, myśli o swobodzie. Ona też niedawno odzyskała swobodę. W jaki sposób z niej skorzystała?

Przypomina sobie, że naprzeciwno, po drugiej stronie ulicy, jest mała kawiarenka, gdzie dawniej mieli pyszne ciasta i wiele gatunków świetnej kawy. Kiedy to było... Czy wciąż jest tak samo? Czy może tam iść?

Staje przy oknie, wybiega wzrokiem aż na róg ulicy, gdzie aż gęsto od ludzi. Czy naprawdę mogłaby wyjść, kupić coś i wrócić za kilka minut, przecież Hilda mówiła, że ojciec wytrzyma sam nawet parę godzin. Powtarza to często, ale Miriam jeszcze ani razu nie opuściła mieszkania.

Aż do dzisiaj.

– Wychodzę – mówi, zaskoczona tym, jak pewnie brzmi jej głos. – Zaraz wrócę. Zapach świeżej kawy w domu dobrze mu robi, myśli, nakładając buty i sięgając po płaszcz wiszący na wieszaku. Nagle dzwoni telefon. Ostry dźwięk

przeszywa powietrze w mieszkaniu, a Miriam nieruchomieje; czas cofa się o miesiąc, wtedy też stała przy drzwiach i zadzwonił telefon...

To był „tamten” wieczór. Odebrała telefon, w wiadomościach cały czas pokazywali, jak ludzie tańczą na szczycie muru, piją i śpiewają.

Nie chce się wierzyć, że upłynął już miesiąc, a jednak...

Siedzieli na kanapie przed telewizorem i oglądali to non stop. Mieszkali dwie godziny drogi od Berlina; tyle dzieliło Miriam od ojca.

– Frau Voigt? – W słuchawce zabrzmiał kobiecy głos.

– Tak – odpowiedziała szeptem.

– Mam panią w dokumentach jako najbliższą krewną Herr Heinricha Wintera. Bardzo mi przykro, ale pani ojciec jest ciężko chory.

Mówiła dalej, a Miriam przysiadła na schodku. On oglądał telewizję. Nie odwrócił głowy. Utkwiła wzrok w jego karku.

Słuchawka wyrzucała z siebie kolejne poważnie brzmiące słowa. Udar. Nieoperacyjny. Rokowania.

Jego włosy otulone kołnierzykiem koszuli.

Przed sobą miała drzwi. Dokładnie na wprost. Pięć kroków, aby stanąć w progu. Sześć, żeby wyjść.

Pięć kroków. Wyobraziała sobie każdy z nich, towarzyszące im uczucia; czy kroki wiodące na wolność różnią się od innych? W końcu jednak się okazało, że tych pięć kroków to właśnie o pięć za dużo.

W słuchawce brzęczał już tylko sygnał, a ona wciąż mocno przyciskała ją do ucha. Obok drzwi stały jej buty, na wieszaku wisiał jej płaszcz, tuż przy jego butach i jego płaszczu, wszystko podobne, jak od kompletu, obok siebie, ale nigdy tak blisko, żeby się dotknąć. I nagle On stanął przed nią.

Wyjął jej z dłoni słuchawkę i przyłożył do ucha.

– Pomyłka – powiedziała Miriam i wstała ze schodka, nie unosząc wzroku. Wróciła na kanapę. On odłożył słuchawkę na widełki i ruszył za nią, stąpając miękko, cicho. Westchnęła głęboko, gdy chwycił ją za ramię. Jego dłoń pachniała papierem i olejem.

Nikły zapach oleju nie chce się od niej odzepić, pęta ją. Miriam cofa się do drzwi. Sprawdza, czy są zamknięte, i zdejmuje buty.

Potem wraca na fotel. Aby pohamować niespokojne palce i nie drapać się po rękach, przyciska do piersi poduszkę. Dzień mija, rozmywa się w muzyce Bacha i Brahmsa, w różnych symfoniach, których w tym wykonaniu wcześniej nie słyszała, przerywanych radiowym sygnałem czasu i wiadomościami, wciąż tymi samymi.

Gdy rozlegają się hipnotyczne dźwięki smyczkowej aranżacji Schumannowskich *Kinderszenen*, coś chwytają ją za gardło.

– Nie wiedziałam... – mówi. – Nie wiedziałam, że byłeś... tam. Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś, tato?

Wyciąga rękę, aby dotknąć jego dłoni.

– Nie rozumiem. Czemu, jak... A mama? – Potrząsa głową i obraca go na bok, twarzą do fotela.

– Miałeś rację we wszystkim, przepraszam cię. – Budzi się głos, który zamilkł tak dawno temu. – A teraz już za późno. – Poprawia koc i zakłada mu pasemko siwych włosów za ucho.

– To twoja ostatnia droga, tato. Więc proszę, zgódź się, żebym ci pomogła. – Siada i ściska go mocno za rękę. Pod skórą czuć kości.

– Tato, proszę cię, jeśli mnie słyszysz... Kto to jest Frieda?

Cisza. Miriam próbuje jeszcze raz, gdy zauważa, że jego powieki drgnęły.

– Czy to ktoś, kogo znałeś, kiedy byłeś... więźniem? – zadaje to pytanie raz po raz, wciąż innymi słowami.

Nic.

– Gdzie byłeś? W Auschwitz? W Bergen-Belsen? – Obozów było wiele, w całej Europie, ale zapomniała, jak się nazywały. – To było tak dawno – mówi, wyężdżając pamięć, aby cofnąć się do lat szkolnych. Znajduje w niej tylko lekcję o Trzeciej Rzeszy; na tej lekcji cała klasa siedziała cicho, przytłoczona ciężarem świadomości, że ich rodzice i dziadkowie żyli pod faszystowskimi rządami i mogli przecież, bo czemu nie, popierać Hitlera. Nawet jej własny ojciec, który sam był nauczycielem, o wojnie nie wspominał przy niej nigdy, ani słowem.

# HEINRICH

Emilie i ja poczytywaliśmy to sobie za spore szczęście, że wiosną 1942 roku miałem jeszcze pracę. Zwalnianie profesorów zaczęło się niemalże w tym samym czasie, gdy pojawiłem się na uczelni. Jednych zmuszono do odejścia, inni „sami” złożyli wypowiedzenie.

Ja zostałem, siedziałem cicho. Wykładałem to, co pozwalali mi wykładać. „Niemiecki – program zatwierdzony przez Partię”. „Niemiecki” język. „Niemiecka” historia. „Niemiecka” literatura. Pogodziłem się z tym, nie miałem wyjścia. Emilie chciała mieć dziecko, musiałem utrzymać rodzinę. Ale to była gorzka pigułka.

Gdy patrzyłem na moją grupę, jeden student był kopią drugiego.

Stojąc w sali, przed rzędami ławek, widziałem otaczające uczniów propagandowe plakaty. Wszystkie pary oczu patrzyły mi na ręce. Byłem pod nadzorem, długie, ukośne promienie słońca więziły mnie niczym klatka, czułem się jak aktor w bezlitosnym blasku scenicznego reflektora.

Całkiem sam.

Dopóki nie zjawiała się Frieda.

Sekretny szelest jej głosu dzień po dniu pomagał mi dotrzeć do pracy. Zginałem kark przed władzami wydziału, żeby tylko zachować posadę. Wykładałem „literaturę” według zatwierdzonego programu i nie wyklócałem się o szczegóły, kiedy na początku każdego semestru przedłożona przeze mnie lista lektur wracała od mojego zwierzchnika pokreślona i krótsza o połowę. Robiłem to wszystko, aby móc zjawić się w klasie i porozmawiać z nią po angielsku albo francusku. Potrafiłem nie spać do bladego świtu, rozpamiętując jej słowa i układając sobie w głowie, co jej powiem.

Rzuciłem się na książki z dziką zajadłością, której nie umiałem pojąć; pochłonałem wszystko, co miałem po angielsku i francusku; czytałem na głos,



sam sobie, aż nawet Emilie, która przecież kochała mnie za moje dziwactwa, zaczęła uważać, że chyba trochę przesadzam z tą językową obsesją.

Pragnąłem uczyć, być prawdziwym nauczycielem, więc podrzuciłem Friedzie mój egzemplarz *Ulissesa*. Ukryłem go w stosiku prac semestralnych, a ona nie powiedziała ani słowa, jakby ciężar grubego tomu był w ogóle nieodczuwalny.

Potem przez cały tydzień rozmawialiśmy na zajęciach szeptem po angielsku, kiedy reszta grupy pracowała. Wbrew moim nadziejom okazało się, że Frieda nie jest żadną wiedzy uczennicą. Za to, chociaż miała dziesięć lat mniej niż ja, rzucała mi wyzwania i nie przestawała zaskakiwać, zresztą znacznie bardziej niż ludzie równi mi wiekiem i wykształceniem. Często zostawialiśmy długo po zajęciach, nie przerywając rozmowy; nawet nie zauważałem, kiedy wychodziła reszta grupy.

Rozmawialiśmy książkami, słowami, tajemnicami. Żadne z nas nie ważyło się odejść od tekstów, ale omawiając je, poznawaliśmy się nawzajem, dopingowaliśmy do dalszego wysiłku. *Nędznicy*, wydanie francuskie, ale tylko drugi tom; pierwszego nie dało się nigdzie zdobyć. Za Hemingwayem oboje nie przepadaliliśmy. Następnie pojawił się André Gide, w zdewastowanym, nadpalonym, rozpadającym się egzemplarzu; wiedziałem, że za posiadanie tej książki oboje możemy skończyć w więzieniu. Ryzyko rosło z każdym tygodniem, z każdą książką.

Wreszcie, na początku wiosennego semestru, Frieda wręczyła mi *Karola i Annę*. Nigdy nie czytałem Leonharda Franka. Pod jakimś pretekstem wezwałem ją do swojego gabinetu, abyśmy podyskutowali o tej książce.

– To zbyt niebezpieczne – oznajmiłem. – Dość tego. Mogę stracić pracę, a ty wylecisz ze szkoły. – Oddałem jej zbiór nowel Franka, choć marzyłem tylko o tym, żeby zacząć go czytać, trzymać w dłoniach, przewracać kartki i zagubić się w tej zakazanej prozie; prozie, która była wolna. – Skończyło się. Przykro mi.

– To się nigdy nie skończy – powiedziała i wyszła.

Brzemię zakazanej książki zostawiła na blacie mojego biurka.

# MIRIAM

Zapada wieczór. Odwraca ojca na plecy, poi go i opróżnia worek. Cisza zalegająca w mieszkaniu narasta w gromowy ryk. Bierze duży kieliszek, nalewa sobie wina z powleczonej kurzem butelki i wraca do ojca, z kieliszkiem w jednej dłoni i butelką w drugiej.

– Pamiętasz, jak kiedyś poszłam do zoo i szybko wróciłam do domu, bo zrobiło mi się słabo?

Pije, a trunek jednocześnie koi i pali.

Wspomina swoje pierwsze spotkanie z Nim. Rozchylona biała koszula, ciemne okulary wiszące na ostatnim zapiętym guziku. Włosy na jego piersi łaskotały w policzek, kiedy podniósł ją z podłogi i zabrał tam, gdzie nie było duchoty, trocin i mrugającego ptaszyska o kłującym spojrzeniu: na zewnątrz, na powietrze, niebieskie i pachnące świeżą trawą.

Znajomi też wyszli z pawilonu i stanęli dookoła, przyglądając się. Ale On mówił do Miriam. Był starszy, wysoki i patrzył tylko na nią. Traktował ją jak dorosłą kobietę. Po raz pierwszy w życiu poczuła się zauważona i podziwiana. Piękna – tak o niej mówił.

Ale szybko się skończyło.

Kolejny łyček wina zamienia się w długi łyk.

– To było tak dawno. – Krąży po pokoju, pijąc wino haustami, aż w końcu musi dolać z butelki. – Przedstawiłam go wam w Boże Narodzenie...

Tyka wewnętrzny zegar, odlicza czas, którego ubywa. Każdą chwilę chciałoby się zatrzymać, ale też wiadomo, że z każdym dniem On jest coraz bliżej. Miriam nie boi się śmierci, ani trochę; do myśli o umieraniu nie przywiązuje wagi.

Przeszywa ją dreszcz. Wlewa w siebie pół kieliszka, by zatopić echo wspomnień. Pozostać tutaj i teraz.

– Kto miał na imię Frieda? Twoja matka? A może siostra? – Opada ciężko na fotel i unosi kieliszek do ust, a jej oddech marszczy powierzchnię wina. – Wychodzi na to, że o niczym nie wiedziałam, co?

Gdy gładzi kciukiem dłoń ojca, o cienkiej skórze, poprzecinanej siateczką żył i usianej plamkami, która marszczy się jak u gada, Miriam uśmiecha się cierpko.

– Cały czas tutaj jestem – mówi, bardziej do siebie niż do niego, obserwując, co robi jej kciuk z jego skórą.

– Musisz... – Głos ojca spowija ją w ciemności. Prostuje się gwałtownie, wino oblewa jej palce.

– Musisz... odejść. – Ciche słowa ulatują z jego suchych warg niczym cienkie smużki dymu. Ojciec układa głowę z powrotem na poduszce. To już tylko szkielet, nic więcej, szkielet luźno okryty skórą. Głowa opada w tył, żuchwa wisi, oczy wciąż zamknięte, wargi rozchylone. Miriam chce dotknąć jego twarzy, ale cofa rękę, nie wiedząc, w którym miejscu położyć palce.

– Odeszłam, tato. Odeszłam od niego. To już się skończyło.

– To się... nigdy... nie skończy. – Ojciec wyrzuca z siebie słowa przerywane oddechami niczym szumem zakłóceń.

Miriam z nagłą ekscytacją podskakuje w fotelu.

– Ale tato, przecież... Mur... Mówiłeś, że nigdy do tego nie dojdzie, a doszło. Nie ma już muru. Skończyło się. – Ale spojrzenie na jego twarz uświadamia jej, że nic do niego nie dotarło, nie usłyszał ani słowa. Drżącą ręką odstawia kieliszek na stół.

Ojciec nerwowo ciągnie za bransoletkę swojego zegarka, palce ślizgają się po metalu, przypomina to raczej skubanie pierza. Miriam usiłuje go uspokoić, ale on nie daje sobie przerwać.

– Topi się... – rzezi, aż dygocze z wysiłku. – Pradawny obrzęd... – Z piersi wydobywa się charkot. – Niewinności. – Jego oczy napełniają się łzami, które spływają po policzkach, coraz szybciej, coraz obficiej.

Miriam bierze go za rękę, ale on się wyrywa, bije na oślep. Z jego piersi wydobywa się szloch, taki sam jak jej własny.

– Ty jesteś moją... miłością... i światłem... – zawodzi, a w jego głosie jest tyle udręki, że Miriam gwałtownie kręci głową i na krótką chwilę zakrywa mu usta dłonią, żeby przerwać te męczarnie.

Ojciec nieruchomieje, cichnie.

Miriam wbija stopy w dywan, a dłonie, teraz schowane w rękawach, zaciskają się w pięści.

Pochyla się nad nim.

– Tato?

Poduszka mokra od łez, włosy przyklejone do czoła. Policzki czerwone, w gardle wibruje chrapliwy skowyt.

– Miriam? – pyta, wciąż obecny, jest przy niej.

A potem zaczyna płakać, zalewa się łzami. Oddech, głuchy i szybki, rwie się, kuleje.

Dotyka jej dłoni, prosi, aby podeszła bliżej.

– Frieda... – zaczyna, lecz zanim zdąży powiedzieć coś więcej, jego głowa opada w tył, a ciało sztywnieje. Potem silny spazm przegina go przez plecy, ciska z powrotem na posłanie.

Miriam cofa się, wystraszona.

I znowu, kolejny spazm.

Wszystkie ścięgna w jego ciele napinają się jak postronki. Wibrują. Konwulsje wstrząsają całym łóżkiem. Palce zakrzywione jak szpony. Zgrzytają zęby. Głowa uderza o poduszkę, szybciej, jeszcze szybciej.

– Nie! – woła Miriam. A potem zaczyna myśleć.

Doskakuje do nocnego stolika. Po drodze uderza piszczelą o ramę łóżka.

Midazolam. Otwiera pojemniczek i nabiera do strzykawki mililitr płynu. Ma dwie lewe ręce, nagły stres i wypity alkohol odebrały palcom zręczność.

Syczy powietrze w materacu ciśnieniowym. Łóżko łomocze. Hałas niesie się głuchym echem.

Z kącika ust ojca cieknie ślina.

Miriam wsuwa mu strzykawkę pomiędzy wargi i ustawiwszy ją pod kątem, opróżnia po wewnętrznej stronie policzka, a potem masuje kłującą zarostem żuchwę, aby lek wchłonął się przez dziąsła. Zęby ojca są mocno zaciśnięte, twarz stężała w grymasie.

Powinna do niego mówić, jej głos go uspokoi, ale okazuje się, że Miriam nie ma głosu.

Czeka.

Chwyta się nadziei.

Ucieka się do modlitwy.

Spazmy nie ustają, ale da się już zauważyć, że słabną. Ojciec łapie powietrze długimi haustami, krztusi się przy tym.

Łzy nadziei napływają jej do oczu, spadają.

Ogarnia ją przemożne pragnienie, aby go objąć i poczuć się bezpieczną w uścisku jego silnych ramion; jeszcze tylko ten jeden raz.

Układa go w pozycji bocznej i wychodzi do salonu, gdzie jest telefon. Nieporadnymi palcami wybiera numer pogotowia, wzywa karetkę, a potem dzwoni po Hildę.

## HEINRICH

Od chwili gdy wyszła z mojego gabinetu, Frieda nie odezwała się już do mnie ani razu, na żadnych zajęciach, a mimo to coś mnie do niej ciągnęło. Pośliniła palec, żeby przewrócić stronę w książce – wiedziałem o tym. Potarła kciukiem dolną wargę – wiedziałem o tym. Nie umknęło mi ani jedno poruszenie jej ołówka. Bo chciałem wiedzieć, o czym myśli, jaka niecierpiąca zwłoki sprawa zmusza ją do wciśnięcia grafitu w papier. Miała zwyczaj zaciskać usta w skupieniu, a kiedy jej włosy urosły już długie i zaczęły się lekko kręcić na końcach, musiała je co rusz odgarniać, bo wchodziły do oczu. Te oczy wciągały mnie jak wir. Często, zbyt często, tonąłem w ich głębi, zabłąkany niby w leśnej gęstwinie.

Miała powodzenie, ale wybrała sobie niejakiego Felixa, wysokiego, chudego i płochliwego jak chrząszcz. Nie mogłem zrozumieć, co ona w nim widzi. Staralem się nad tym nie zastanawiać, ale myśli o Friedzie trawiły mnie dniem i nocą.

Po wejściu do sali wykładowej najpierw odnajdywałem wzrokiem jej ławkę. Odczytując uczniom nudne referaty, starałem się myśleć jak ona i robiłem uwagę na temat Yeatsa albo Joyce'a, żeby coś jej podrzucić. Przeszywała mnie intensywnym spojrzeniem, które mówiło o czymś, czego nie umiałem zgłębić.

Najchętniej wycofałbym się z tego, co powiedziałem wtedy w gabinecie; zaryzykowałbym, że mnie przyłapią na czytaniu zakazanych książek, tylko po to, aby usłyszeć jej głos, posłuchać tego, co miała do powiedzenia, chłonąć obce języki, tak swojskie w jej ustach. Zdawałem sobie sprawę, jakie to niebezpieczne, a mimo to każdy jej ruch absorbował mnie bez reszty.

Wydawało mi się, że nie mam innego wyjścia.

# MIRIAM

Karetka już odjechała, tata śpi, blady jak kreda, a Hilda, kolorowa jak zawsze, Hilda o twarzy pofałdowanej zmarszczkami, trzyma w dłoniach kruchą filiżankę na spodeczku. To najlepsza porcelana mamy: biała z szafirową obwódką.

– Dobrze się spisałaś – mówi Hilda. – Zawsze jest ciężko, ale naprawdę sobie poradziłaś. To już długo nie potrwa.

Miriam unosi głowę, bo ton głosu Hildy rozkazuje: spójrz na mnie, ale szybko wraca do obserwowania ojca, oddychającego przez zaparowaną, przekrzywioną maskę tlenową.

– Jest mu dobrze – stwierdza Hilda.

– O wielu rzeczach nie miałam pojęcia.

– To normalne, uwierz mi. – Hilda unosi filiżankę do ust. – Zawsze chciałoby się mieć więcej czasu.

– Przed atakiem mówił o tonięciu, niewinności... jakichś obrzędach – dodaje Miriam drżącym głosem. – I ma numer na ręce.

– Numer? Tatuaż?

Miriam potwierdza skinieniem głowy i zakrywa twarz dłońmi schowanymi w rękawach.

– Myślałam, że byli razem. – Czysty, wyprany sweter tłumi jej głos.

Zapach uprasowanych rzeczy budzi wspomnienie z czasów, kiedy miała dziesięć, dwanaście lat. Leżała wyciągnięta na łóżku, przyglądając się obłoczkom pary unoszącym się nad ubraniami, z których pod ręką mamy znikwały wszelkie zagniecenia.

– Co robiłaś, jak była wojna? – zapytała mała Miriam pogodnym głosem.

– Jak co było?

Mama odłożyła żelazko i odwróciła się w stronę rozrzuconych luzem wieszaków.

– Wojna, mamó, przecież pamiętasz.

– Czemu pytasz?

– Mówili dziś o tym w szkole. – Nie doczekawszy się natychmiastowej odpowiedzi, Miriam ciągnęła: – Rodzice Anity uciekli z Francji do Anglii, a potem wrócili tutaj. Dieter opowiadał, że jego dziadkowie trafili do obozu śmierci. Byłaś wtedy pielęgniarką, tak jak teraz?

– Hmm.

– Czytaliśmy o...

Ale mama pochyliła nisko głowę, zmagając się z guzikiem od kołnierzyka.

– Nie płacz, mamó, proszę. – Miriam przesunęła się na skraj łóżka.

– Wszystko w porządku, kochanie. – Matka otarła łzy kciukiem. – Rozmawiałaś z ojcem?

– Nie, bo on... – Wiedziała, że jest w swoim gabinecie. Zajrzała tam i okazało się, że tata ma atak, bo siedział z papierosem, spowity kłębam dymu niczym peleryną z mgły. Pocałowała go w czoło, otworzyła okno i poszła do mamy, która prasowała w sypialni. Nie chciała jej o tym mówić – lepiej, żeby dowiedziała się sama. – Co się wtedy działo? Chyba że nie chcesz o tym rozmawiać.

– Pracowałam w szpitalu, pomagałam rannym żołnierzom, żeby mogli wrócić na front – zdawkowo wyjaśniła mama, zabierając się do następnej koszuli. Po długiej chwili milczenia podjęła: – Mieliśmy mieszkancko w pobliżu szpitala, bez okien i tak ciasne, że nie było się jak odwrócić.

– Obrócić – poprawia Miriam.

– Dlaczego obrócić?

– A dlaczego odwrócić?

Śmieją się razem.

– Zamieszasz zupę? – Mama wychodzi z za deski do prasowania, staje nad łóżkiem i całuje Miriam w czoło.

Myślałam, że byli razem – powtarza Miriam.

Hilda długimi krokami obchodzi łóżko.

– Opiekowałam się wieloma ludźmi, którzy przeżyli obóz. – Obejmuje ją za ramiona. – Ich krewnym trudno sobie z tym poradzić, zwłaszcza jeśli o niczym nie wiedzieli i dowiadują się nagle.



- Przecież on nie jest Żydem, więc dlaczego był... tam?
- Zostało trochę dokumentów, aż dziwne, jak wiele można się teraz dowiedzieć.
- Hilda badawczo spogląda na Miriam. – Zdajesz sobie sprawę, że możesz zostawić ojca samego na godzinę albo dwie, prawda? I tobie też dobrze zrobi, jeśli się stąd wyrwiesz.

Na myśl o opuszczeniu azylu, jaki daje mieszkanie taty, czuje suchość w ustach. Wargi przywierają do siebie. Próbuje przełknąć ślinę, bez skutku.

– Przykro mi, Hildo, ale... – To, co miała już na końcu języka, nagle ubiera w całkiem inne słowa. Chwila namysłu, głębokiego zastanowienia. Druga. I trzecia. Załamane rąk schowanych w rękawach swetra. W myślach mętlik: to piórko, to dłoń zaciśnięta na nadgarstku, Frieda, mama i wreszcie On.

– Nie mogę – mówi Miriam. – Ale dziękuję ci, Hildo.

Hilda spogląda na nią, po czym zmienia temat.

– Myślę, że w tej chwili najgorsze już minęło. Musi to odespać, ale potem takie rzeczy mogą się powtarzać.

Spogląda na ojca Miriam, a jemu, jakby był sprzężony z jej słowami, nagle lekko drżą nogi.

– Może tak właśnie będzie wyglądać jego koniec.

Miriam kładzie sobie dłoń na brzuchu, bo czuje, że pęka od środka, i chce to powstrzymać.

Ojciec się uspokaja.

– Frieda – mamrocze.

# HEINRICH

W pewną marcową środę przestałem być pracownikiem uniwersyteckim. Tego dnia jej ławka była pusta.

Nie przekazali mi tego ani pod koniec semestru, ani pod koniec tygodnia, ani nawet na koniec dnia. Kierownik mojego wydziału, Herr Wager, groźnie wyglądający oficer Trzeciej Rzeszy w stanie spoczynku, wkroczył do sali wykładowej w towarzystwie dziekana, wątłego mężczyzny nazwiskiem Erik Scholl.

– Pan wybaczy, Herr Winter, to koniec pańskich zajęć. Nie pracuje pan już na tym wydziale. Proszę zabrać marynarkę. – Położywszy potężną rękę na moim ramieniu, Wager odwrócił mnie o czterdzieści pięć stopni, twarzą do drzwi.

– Dlaczego? – zapytałem, chociaż nie miało to znaczenia.

– Przepraszam cię, Heinrich – powiedział Erik. – Od tej pory tylko członkowie partii mają odpowiednie wykształcenie, aby tutaj wykładać.

Wyprostowawszy się, wytarł z tablicy wszystko, co na niej napisałem, i sam wziął do ręki kredę.

Sięgnąłem po marynarkę wiszącą na oparciu krzesła. Niektórzy studenci przyglądali mi się z zaciekawieniem, inni ze współczuciem. Zamknąłem teczkę.

– Czy mogę iść do gabinetu po swoje rzeczy?

Erik stanął plecami do mnie i zwrócił się wprost do uczniów. Do moich uczniów.

Herr Wager wypchnął mnie z sali i odprowadził do głównego wejścia. W pustym korytarzu było słycać tylko nasze kroki. Otworzył przede mną wysokie drzwi, sam pozostał w środku.

– Nie wolno panu opuszczać Berlina, mamy do pana kilka pytań. – To były jego ostatnie słowa. A ja pomyślałem, że to na pewno była Frieda, że to ona na mnie doniosła.

Poczułem, że na moich ramionach zaciskają się dwie olbrzymie dłonie, pozostawiając głęboki ślad.

– Do widzenia – powiedział Herr Wager.

Piekący ból zagnieździł się w moich oczach, utkwiał w gardle. Pierś przeszył lodowy kolec. Znajdą książki, „te” książki, aresztują mnie. Strach dodał mi skrzydeł. Oddaliwszy się od wejścia, przez które mnie wyprowadzono, skręciłem za róg uczelni.

Zobaczyłem ją kątem oka, idącą w moim kierunku.

– Panie profesorze! – zawołała, a ja, wiedziony nagłym impulsem, odwróciłem się do niej, chociaż wiedziałem, że nie powinienem.

Rozwiane włosy, białe w blasku słońca, płynęły za nią płomieniem. Biegła do mnie, a ja stałem bez ruchu, przestępując niepewnie z nogi na nogę. Co miałem zrobić? Uciec i schować się gdzieś czy wybiec jej na spotkanie? Tylko jedno było pewne, mianowicie to, że zapomniałem oddychać, więc kiedy mnie dogoniła, obojgu nam brakło tchu.

– Panie profesorze – wydyszała, a jej głos nagle opadł o całą oktawę. – Mam coś dla pana.

Stała tak blisko, że z trudem panowałem nad własnym ciałem, dlatego musiałem trzymać ręce skrzyżowane na piersi. Nie mogłem oderwać oczu od jej twarzy i objąć wzrokiem całej postaci, a intymność tej chwili wytrącała z równowagi.

– Chyba dość już pani zrobiła? – odparłem. A kiedy dostrzegłem, że dotknęły ją moje słowa, opuściłem ręce, choć rwały się do niej. Dręczyła mnie obawa, że to wszystko stało się za jej przyczyną, lecz mimo to nie mogłem zapanować nad sobą na tyle, aby odejść, uciec, chociaż tak właśnie należało postąpić.

Była obrazem mojej agonii.

# MIRIAM

Obraz ojca dręczonego nieustającymi atakami konwulsji aż do samej śmierci oraz świadomość, że nikt nie może mu pomóc, są trudne do zniesienia. Cisza narasta, aż wreszcie Hilda, przełknąwszy ostatnie drobne fusy, z cichym brzękiem odstawia filiżankę i podnosi swoją torbę z podłogi, a po drodze zrzuca gazetę ze stołu.

– To prawda z tym Bogiem! – Stuka palcem w nagłówek i zaczyna się śmiać. – *À propos*, rozmawiałam dzisiaj z doktorem Baumem, prowadzącym twojego ojca. Miałam odezwać się do ciebie rano, ale skoro już tu jestem...

Miriam unosi wzrok i spogląda jej w oczy.

Ten nowy temat wyostrza zmysły.

Pełna gotowość.

Nazwisko tego człowieka, choć minęło już dziesięć lat, wciąż budzi w niej znajome, bolesne uczucie. Doktor Baum siedział za swoim biurkiem, zza drzwi dobiegał stłumiony gwar poczekalni. Jego twarzy nie widziała, bo całą postać zalewał słoneczny blask bijący z okna.

Miriam wbija paznokiec głęboko w łożę drugiego paznokcia, wyciąga luźną skórkę. Przebiega myślami wszystkie „spotkania” z doktorem Baumem. Stęchła kawa, gruba teczka z jej dokumentacją medyczną, środek antyseptyczny, recepty i lepka od potu dłoni męża mocno ściskająca jej dłoń.

Nieodparty przymus umycia rąk chwyta ją znienacka, jak zawroty głowy. Ściągać skórę płatami i warstwa po warstwie cofać czas, aż do chwili kiedy ich dłonie jeszcze się nie zetknęły.

Miriam haustami połyka powietrze, żeby nie zemdleć. Przed sobą ma Hildę, ale w nozdrzach zalegają zmieszane wonie gabinetu doktora Bauma. Zdaje sobie sprawę, że w rzeczywistości jest gdzie indziej, w pokoju swojego ojca, w jego domu, Hilda stoi przed nią, a twarz ma ściągniętą niepokojem, jednak

w powietrzu i tak wisi zapach foteli u doktora, siedzeń z grubej pianki obitej wełną.

Czuje, jak dłoń męża przylega do jej dłoni, ciasno niczym rękawiczka, czuje zapach jego gorącego oddechu, a doktor Baum, odchrząknąwszy, teatralnym gestem kładzie okulary na teczce z jej dokumentacją, a potem pełnym współczucia głosem opowiada, jakie jego zdaniem są rokowania. Omawiają różne możliwości leczenia Miriam, uzgadniają, jak należy je prowadzić, a potem podają sobie dłonie. Doktor daje im proszki i wychodzą.

To wszystko dla niej.

Miriam ściska w dłoniach tkaninę okrywającą jej brzuch, miękki nylon, niemalże przezroczysty, palce chowają się w nim, dotykają ciepłego ciała. To pomaga się opanować.

– Spotkamy się w przyszłym tygodniu i ustalimy dalszy plan opieki – mówi Hilda.

Te słowa padają niczym ciężkie krople.

– Nie jestem chora. – Miriam spogląda na nią. Co ona może wiedzieć? Zna jej przeszłość? Ale Hilda pochyła się nad jej ojcem, mierzy mu tętno.

– Nie chodzi o ciebie, tylko o niego. To zwykła procedura. Należy się zastanowić, czy robimy wszystko, żeby wam pomóc.

Miriam kolejno kładzie palce na brzuchu. Kciuk. Wskazujący. Środkowy. Serdeczny. Mały. Wciska je w skórę, a potem unosi. Mały. Serdeczny. Środkowy. Wskazujący i kciuk.

– Świetnie sobie poradziłaś, to nic przyjemnego oglądać go w takim stanie. Ja to rozumiem. – Hilda spogląda na zegarek. – Późno już, a właściwie wcześnie. Zostawię cię, odpocznij.

Zabiera swoje torby.

– Pamiętaj, pilnuj, jak oddycha, a w razie potrzeby zadzwoń jeszcze raz na pogotowie. Kiedy midazolam przestanie działać, musi przyjmować dużo płynów. Aha, Miriam... zrób coś dla siebie i prześpij się, dobrze?

Miriam uśmiecha się blado. Hilda to burza barw i falujących tkanin, okulary, które uniosła wysoko nad czoło, siedzą w jej kręconych włosach niczym ptak w gnieździe. Objąwszy zdrętwiałą Miriam na pożegnanie, roztacza dookoła gęstą jak smog woń kwiatnych perfum.

– Nie wstawaj, wyjdę sama.

Kiedy zamykają się za nią drzwi, Miriam biegnie do przedpokoju, aby przekręcić klucz w zamku i zablokować zasuwkę. Na podłodze przyprószone

kurzem leży jej piórko, to, które na co dzień mieszka pomiędzy drzwiami a futryną. Podnosi je i chowa do kieszeni.

## 4

# MIRIAM

Następnego dnia ojciec jest już spokojniejszy, a na policzki wracają mu kolory. Miriam nie ma siły, by jak zawsze paplać, co ślina na język przyniesie, więc dogląda go w milczeniu. Oczy ma zaczerwienione, a powieki ciężkie, bo zamiast położyć się spać, siedziała na fotelu przy jego łóżku. Blask poranka maluje świat surowymi barwami.

Kuchenne szafki są prawie puste: tylko krakersy i kawa.

– Dzisiaj muszę wyjść – mówi Miriam do siebie, wyjmując paczkę krakersów. Idzie do salonu i włącza telewizor. Upłynął już cały miesiąc, ale w wiadomościach wciąż mówią tylko o spotkaniu Wschodu z Zachodem.

– Bardzo się bałem. – Przed kamerą stoi młody mężczyzna w dżinsowej kurtce, ma czarne, kręcone włosy i mikrofon tuż przy twarzy. To stare nagranie, Miriam już je widziała, ale ogląda ponownie, podjadając przy tym.

– Zrobiłem pierwszy krok i myślałem, że mnie zabiją. Zastrzelą na miejscu – ciągnie brunet. – Ale szedłem dalej. – Odrywa wzrok od obiektywu kamery i ogląda się na mur, który ma za plecami. – Już tam nie wrócę. – Kamera z powrotem pokazuje reportera z telewizji, a brunet płynie dalej z tłumem.

– Świętowanie trwa. Tutaj, w Checkpoint Charlie, Gwiazdka w tym roku naprawdę zaczęła się wcześniej. – Reporter żegna się z widzami i na ekranie pojawia się prowadzący w studiu.

Gdy na ekranie migają portrety Helmuta Kohla, Gorbaczowa i prezydenta Busha, Miriam słyszy, jak przez szczelinę w drzwiach wejściowych wpadają listy.

Wyłącza telewizor, zostawia niedojedzonego krakersa na szafce w kuchni, a potem idzie do przedpokoju i podnosi z podłogi kopertę zaadresowaną do ojca. Pismo jest zwarte, znajome.

*Herr Winter*, widnieje na kopercie, ale Miriam wie, że to do niej.

Wraca chwiejnym krokiem do pokoju ojca, koperta ciąży jej w dłoni.

Tata śpi.

Jest sama.

Całuje go w policzek obciągnięty papierową skórą.

– Nie zostawiaj mnie, proszę – mówi, odgarniając mu włosy z czoła, po czym przykrywa go dodatkowym kocem, zabranym z łóżka mamy. Skubiąc strup, który zrobił się na kciuku obok paznokcia, wbija wzrok w podłogę, samo oddychanie to ogromny wysiłek. Oprócz tego może tylko czekać.

Zna dobrze presję czasu, tego milczącego towarzysza, ale po tym, co wydarzyło się zeszłej nocy, zegar zaczął tykać naprawdę głośno.

– Przepraszam, że nie było mnie przy tobie – mówi. – Chcę pomóc. – Rozcina kopertę. Nieważne, co w niej jest. Wiadomo, kto ją przysłał. On.

W kopercie znajduje się polaroidowe zdjęcie, włożone tyłem do przodu. Wzrok przykuwa nazwisko wypisane ściśniętymi literami na odwrocie. *Frau Voigt*, tylko tyle.

*Frau Voigt*. Tak opisano ten obrazek. Ale na kopercie jest nazwisko taty.

– Wysłał to do ciebie... – mówi Miriam, przypatrując się z trwogą sobie na zdjęciu. Czuje żar bijący z głębi piersi w górę, aż po czubek głowy.

Wstaje gwałtownie, idzie do gabinetu ojca. Najwięcej jej wspomnień o nim wiąże się właśnie z tym miejscem.

Przez otwarte drzwi wylewa się zastały zapach starości, podobny do tego, który czuć w bibliotekach latem. Pełen słów i myśli przelanych na papier, zapisanych, a potem zapomnianych. Miriam kieruje się prosto do ciężkiego orzechowego biurka, szuka zapalek, które tata gdzieś tam trzyma. Biurko zajmuje całą ścianę naprzeciwko drzwi. Leży na nim blok listowy, na pierwszej kartce widnieją odcisnięte ślady słów, które napisał.

Zdjęcie w sepii, na nim jego rodzice. Przecięte na krzyż załamaniem po złożeniu, ale choć te dwie krechy dzielą, widać na nim więź, jedność. Zdobi je tylko ramka, nic innego. Mama nigdy nie zajmowała się tym pokojem, nie znać tutaj jej ręki.

Biurko tarasuje drogę do otwieranego pionowo okna, przez które widać ulicę zarośniętą kasztanowcami i kościstymi dębami. Markizy nad oknami kawiarenek, czerwone, zielone i niebieskie, są zwinięte, a na chodnikach nie ma stolików ani krzeseł, ale przed piekarnią z daleka widać wystawioną tablicę informującą o świeżej dostawie.

Na regale za oknem piekarni, niczym cegły w pryzmach, leżą bochenki chleba, żytniego, razowego, wiejskiego. Miriam przypomina sobie, że słodkie wypieki są w środku, na ladzie za szkłem. Kiedyś nad drzwiami był dzwonek, który



melodyjnie dźwięczał, gdy się wchodziło. Stawała przy tej ladzie, opierała się obiema rękami o szybę i wybierała lukrowane pączki: ten dla niej, a ten dla taty. Mama w tym czasie gawędziła z panem piekarzem o zaletach tradycyjnych proszków spulchniających i tym podobnych rzeczach.

W brzuchu jej burczy. Odwraca się od okna.

Po obu stronach pokoju stoją regały, ich półki uginają się pod ciężarem książek w wielu różnych językach. Ściana naprzeciwko drzwi jest pusta. Cztery wgniecenia na dywanie to cień po fotelu, który stał w tym miejscu.

Zapałki są w najwyższej szufladzie. Drżącymi rękami Miriam zapala jedną, płomień liże róg polaroidowej fotografii. Gdy papier już się zajmie, kładzie zdjęcie na ceramicznej popielniczce stojącej na biurku i patrzy, jak się skręca i zwija, jak czernieje najpierw obraz, a potem jej nazwisko.

W powietrzu zawisa dławiący dym.

Miriam otwiera okno. Poszarzały, spopielony rulonik przywodzi jej na myśl kominy, tamte kominy. Przed oczami stają obrazy przesłonięte dymem, spowite kłębamii popiołów. Obozy. A w tych obozach – jej ojciec.

To jego gabinet, miejsce, gdzie wszystko mówi tylko o nim. Miriam zaczyna szperać w szufladach, wyciąga księgi rachunkowe, grube tomy i kartki, stosy kartek. Szuka wyjaśnień.

Przegląda każdy dokument, wypatrując słów skreślonych jego ręką. Ma przed sobą opisy jakichś wydarzeń, daty zaczynają się w latach sześćdziesiątych, niektóre notatniki są zapisane stenograficznie, prawie wyłącznie ołówkiem.

Z przeglądanych dokumentów Miriam układa stos na środku pokoju. Bardzo szybko gubi się w labiryncie ojcowskich zapisków; co notes, to nowa zawilóść. Po opróżnieniu biurka podchodzi do półek z książkami.

Przebiega wzrokiem tytuły, niemieckie, angielskie, francuskie. Teksty naukowe i literatura piękna. Poezje, eseje i dramaty.

Zbiory przekładów Yeatsa prężą się, niezłomne, ramię w ramię z oryginałami. Miriam zdejmuje z półki jeden z nich, *Michael Robartes i tancerka*. Pociera palcami usta. Poniżej – znów Yeats. Ten sam tytuł. Cała półka pełna przeróżnych wydań i przekładów jednego tomiku wierszy. Wyciąga je po kolei, otwiera na stronie tytułowej. Własność Biblioteki Państwowej w Berlinie. I następny. To samo. Dwadzieścia egzemplarzy. W większości pochodzą z Biblioteki Państwowej. Czym zajmował się jej ojciec? Po co mu było aż tyle tych książek?

Zabiera jedną ze sobą, wraca do ojca, opada na fotel obok łóżka.

Oddech ojca nabiera hipnotyzującej regularności. Miriam otwiera książkę na stronie tytułowej i podsuwa mu ją pod sam nos. Stary, sfatygowany, dobry papier.

„Węch to ostatni zmysł, który człowiek traci”, powiedział ktoś w szpitalu, właściciel jednej ze stale zmieniających się twarzy.

Kilka stron dalej zaczyna się pierwszy wiersz, tytułowy.

Miriam czyta, a słowa tańczą w zakamarkach pokoju niczym cienie rzucone przez mobil kołyszący się nad dziecięcym łóżeczkiem. Rycerze zbrojni we włócznie, smoki i szlachetna dama, którą ona wyobraża sobie w wysokim czepcu z welonem.

Po pierwszej zwrotce unosi wzrok.

– Pamiętam ten wiersz, a ty? – Zabiera się z powrotem do czytania, łagodnie dotyka złocistych kartek, a tomik ugina się w jej dłoniach. Palce pamiętają, jak kiedyś trzymały tę książkę.

Miriam, sama przyszykujesz się do szkoły – powiedziała mama przed wyjściem z domu. – Mam dzisiaj nocną zmianę. Zobaczymy się rano.

– A tata? – Wzięła tosty ze stołu.

– Jakoś się ogarnie.

Miriam poszła do jego pokoju. Zaciągnięte zasłony, powietrze skrzeplę od snu. Tata leżał w łóżku.

– Dzień dobry. – Usiadła sprężysto na posłaniu i pocałowała go w głowę. Pachniał przegrzaniem, jego miękka skóra nie była umyta.

Znów miał atak.

Zrzuciła buty i wgramoliła się wyżej, by usiąść na poduszce, a stopy wsunąć pod kołdrę.

– Co mamy na dziś? – zapytała, jednocześnie dostrzegając tomik Yeatsa leżący na stole. – Ooo, moje ulubione. – Wzięła wiersze do ręki. – Siedzisz wygodnie? Poczytam ci...

I zaczęła mu czytać. Zawsze gdy miał ataki, wagarowała, aby przez cały dzień być z nim i pomagać mu dojść do siebie. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, skąd się biorą te jego okresy apatycznego zawieszenia – tak już miał i tyle. Przypomina sobie teraz, jak odnosiła się do tego, będąc dzieckiem. Czytała mu wiersze. I to pomagało.

Mama nie wiedziała o niczym.

– *Jak różnych rzeczy w szkole uczą!*<sup>2</sup> – Odczytuje ostatni wers utworu Yeatsa.

Jej twarz wilgotnieje od łez, a słowa rozplývają się na kartce. Jeśli to mu pomaga, postanawia, będę mu czytać, żeby wyzdrowiał i wrócił.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, aby zapytać ojca, jak wyglądało jego życie, zanim ona przyszła na świat. Hitler zabijał Żydów, a jej rodzice nie byli Żydami. Więcej o tym nie myślała. Historia, ta potworna historia, jeszcze nigdy nie zastukała tak głośno do drzwi ich domu.

<sup>2</sup> W.B. Yeats, *Michael Robartes i tancerka*, przeł. Piotr Siemion, w: *Wiersze wybrane*, Ossolineum, Wrocław 1997.

# HEINRICH

To był, jak się okazało, mój ostatni dzień w pracy. Stałem na ulicy, niedaleko uczelni, a Frieda zatrzymała się. Podmuchy wiosennego wiatru porywały jej włosy z karku i ramion, niosły w moją stronę. Nie było zimno, ale ona miała na sobie grubą bawełnianą sukienkę, a wysoko pomiędzy włosami perliły jej się kropelki potu.

– Chyba dość już pani zrobiła – stwierdziłem.

– Raczej o wiele za mało. – Chwyła mnie za ramię, ścisnęła. W tym samym miejscu co Herr Wager, rozgrzała je. – Proszę. – Z wyładowanej szkolnej torby zaczęła wyciągać książki i jedną po drugiej wpychać je w moje ręce. Nie miały okładek ani kilku pierwszych stron, ktoś je powyrywał, jeszcze zanim trafiły do mnie. Mimo to znałem każdą z nich niemal na pamięć.

– Skąd pani to wszystko wzięła?

– Wykradłam dla pana. Gdyby znaleźli, toby pana aresztowali.

– Co pani wyprawia?

– Zwracam. Nie byłam pewna, które wziąć, więc zabrałam ile się dało, a do tego wszystkie papiery z zamkniętej szuflady w pańskim biurku. – Zamilkła. A ja poczułem gniew zmieszany z nieopisaną ulgą, jak ojciec, który odnalazł swoje zaginione dziecko.

– Proszę, torbę też niech pan weźmie. – Zdjęła ją z ramienia i podała mi, ale miałem w rękach pełno książek, a w jednej dłoni na dodatek trzymałem teczkę. Roześmiała się, nisko, gardłowo, a ja natychmiast zawtórowałem jej uśmiechem. Odpowiedziała tym samym, a jej twarz nabrała innego wyrazu. Oczy w ledwie widocznej oprawie jasnych rzęs były olbrzymie, szmaragdowe.

– Pomogę panu – powiedziała, zgarniając książki z powrotem do torby. Kiedy mi ją wręczyła, byłem zdziwiony jej ciężarem. – Nie mogłam zabrać wszystkiego

– dodała. – Dowiedziałam się rano i sporo czasu minęło, zanim udało mi się dostać do pańskiego gabinetu.

– Myślałem, że już nie palą książek. Nie powinienem trzymać ich w gabinecie – przyznałem, zarzucając torbę na ramię.

– Jeśli palą książki, to niebawem zaczną palić też ludzi – wyrecytowała bezdźwięcznym głosem. Potem pochyliła głowę, a ja podążyłem za jej wzrokiem, wzdłuż fałd sukienki, aż na sam dół, gdzie były brązowe buty. I zanim zdążyłem się opamiętać, ująłem ją pod brodę, końcami palców, dłonią do góry i uniosłem jej głowę z powrotem, aby nasze spojrzenia znów się spotkały.

Zadrzałem, zaskoczony, czując, jak pod moimi palcami gromadzi się potężny ładunek energii, która poraziła mnie niczym piorun, zalewając płomieniami elektrycznego żaru. Cofnąłem się, ale nie opuściłem wzroku, chociaż ręka opadła.

– Nie rozumiem – wyjąkałem. – Dlaczego mi pani pomaga?

Uśmiechnęła się promiennie.

– Mam jeszcze pożegnalny prezent.

Widząc, jak oblewa się szkarłatnym rumieńcem, zapragnąłem jeszcze raz dotknąć jej skóry, napromieniować się tym ciepłem. Wyjęła z tornistra małą, niemożebnie wysłużoną książeczkę. *Michael Robartes i tancerka*.

– Ma pan już to?

Rozejrzałem się dookoła, przypominając sobie, gdzie się znajduję. Pętała mnie niepewność, ale ona wsunęła mi tomik do rąk.

– To Yeats? Nie, nie mam tego – odparłem, zachwycając się cieniutkim zbiorem wierszy. – Dziękuję.

– Do zobaczenia, panie profesorze – powiedziała z ulgą i ruszyła przed siebie.

Tylko że akurat w moją stronę. Zawahałem się, pamiętając, że mam przy sobie kontrabandę. Odzyskawszy książki, zamierzałem zabrać je do domu, ale tak, żeby nie przechodzić pod uczelnią, bo nie chciałem rzucać się prosto w paszczę bestii. Przekonawszy się, że ona nie wybiera się z powrotem na zajęcia, nie miałem wyjścia i musiałem pójść za nią.

– Przepraszam, Fräulein Hasek! – zawołałem sztucznie oficjalnym tonem. – Idziemy w tę samą stronę i wygląda na to, że panią śledzę. Zwolni pani odrobinę, bym mógł pani towarzyszyć?

– Mam na imię Frieda – odpowiedziała.

– Wiem o tym.

– Proszę więc nie zwracać się do mnie po nazwisku, skoro zna pan moje imię.

– Ja tylko...

– Każdy ma jakieś nazwisko, bo każdy ma jakąś rodzinę – mówiła dalej. – Ale to jeszcze nie oznacza, że ja chcę być kojarzona z moją, prawda? – Pomimo tych nieprzyjaznych słów w jej oczach migotały wesołe iskierki.

– Na to wychodzi – zgodziłem się. – A więc Frieda, czy tak?

– Tak.

– Mogę ci towarzyszyć, dopóki idziemy w tę samą stronę? Jestem Heinrich.

– Miło mi, Heinrichu. – Gdy wypowiedziała moje imię, jej głos nabrał głębi i zmysłowości, jakiej nie słyszałem jeszcze nigdy w życiu.

Szliśmy w milczeniu. Nie wiedziałem, jak mam ją zagadnąć, ani też, co powiem w domu po powrocie, ale myśl, która naprawdę nie dawała mi spokoju, brzmiała tak: co zrobić, żeby jeszcze raz usłyszeć swoje imię w jej ustach?

– To było bardzo ryzykowne. – Poklepałem torbę zwisającą mi z ramienia.

– Nie aż tak. Czasem porządkuję papiery u Herr Wagera. Dzisiaj rano, przed zajęciami, usłyszałam, jak z kimś rozmawiał, więc wślizgnęłam się do twojego gabinetu i zabrałam, ile się dało.

– Ale i tak mogli cię nakryć – zauważyłem.

– Jeden mały akt oporu.

– A więc kradzież moich książek miała podłoże polityczne?

– Nie, kierował mną rozsądek – odparła.

Przez resztę wydeptanej po wielokroć drogi do domu nie umiałem znaleźć odpowiedzi na te słowa. Wreszcie skręciłem w moją ulicę. Dziewczyna szła dalej prosto.

– Dziękuję, Friedo – powiedziałem.

– Do zobaczenia, Heinrichu. – Uśmiechnęła się na odchodne.

„Ale kiedy?”, chciałem za nią zawołać.

Idąc ścieżką prowadzącą do drzwi, zdałem sobie sprawę, że w moim życiu nastąpił właśnie przełom. Refleksja brzmiała banalnie, lecz ten banał krył szczerą prawdę. Wyjrzałem na główną ulicę. Miałem nadzieję, że dojrzę sylwetkę Friedy albo przyciągnę ją z powrotem i przez jakiś czas uda mi się jeszcze umknąć przed nieuchronną prawdą. Tą prawdą, że byłem teraz podejrzany, że mojej żonie i mnie groziło niebezpieczeństwo i że za chwilę będę musiał powiedzieć to na głos, a wtedy prawda stanie się rzeczywistością.

Wsparty mocno na betonowym stopniu schodków, wsunąłem klucz do zamka. Obrócił się opornie. Drzwi otworzyły się cicho. Zapachniało pastą do drewna i kwiatem pomarańczy. Emilie.

Gdy obejrzałem się ponownie, ulica była pusta. Zrozumiałem, że chcąc posmakować raj, zmierzam do piekła. Niebo i piekło? Potrząsnąłem głową,

usiłując rozproszyć mgłę, która zasnuła mi oczy.  
Mgłę o imieniu Frieda.

## MIRIAM

Trafiła na wers usłyszany poprzedniego dnia z ust ojca.

„Topi się pradawny obrzęd niewinności”. Wiersz z tego zbioru i ze wszystkich innych pochodzących z Biblioteki Państwowej w Berlinie. Musi kryć w sobie coś więcej, ale co? Tego Miriam nie wie. Może doprowadzi ją do Friedy, wyjaśni, co stało się z ojcem, może pozwoli mu odnaleźć spokój.

„Odnaleźć spokój”. Tak się mówi. Ale to kojarzy się ze śmiercią. A jeśli jest jakaś szansa, chociażby najmniejsza, aby powrócił do żywych?

Miriam odsuwa od siebie tę myśl.

– Przy łóżku umierającego nie znajdziesz nadziei – mawiała mama swoim chłodnym, rzeczowym tonem, kiedy trafiła się jej jakaś szczególnie ciężka zmiana w szpitalu. I, oczywiście, miała rację. – Można tylko przynieść im ukojenie, aby nic ich nie dręczyło w tej ostatniej drodze.

Ojciec umrze na pewno. Ale może coś go jeszcze tutaj trzyma? Gdy podaje mu wodę, przypominają jej się słowa Hildy. Rzeczywiście, ocalały różne dokumenty. Możliwe, że szukał czegoś w berlińskiej Bibliotece Państwowej, a jeśli nie, to idąc tym tropem, może uda się wyjaśnić, przynajmniej po części, zagadkę jego przeszłości. Ostatecznie ten sam los spotkał miliony ludzi, chociaż niewielu miało tyle szczęścia, aby przeżyć, tak jak on.

Przygląda się przez chwilę śpiącemu ojcu, a potem zakłada płaszcz i buty. Staje przed drzwiami.

– Niedługo wrócę – uspokaja siebie samą. – Tylko małe zakupy i biblioteka. Dam radę.

On wiedział, gdzie jej szukać, ale i tak od niego odeszła. To było najtrudniejsze, a teraz... A teraz wychodzę, kończy w myślach.

Pomiędzy framugę a drzwi wtyka białe piórko. Jest gęste, skrzywione na końcu i gdzieś tam ma trochę ubytków. Pieszczotliwie gładzi je palcem; w środku coś



się łamie, ale nie powstaje kłująca zadra.

Klucz obraca się w zamku ze zgrzytem i szcękaniem. Miriam oddala się, a ciepło domowego zacisza woła za nią jeszcze na schodach i na samym dole, w pustym holu, gdzie przy swoim biurku siedzi pan Ludwig.

– Dzień dobry. – Unosi wzrok. – Święteczne zakupy, Fräulein?

Miriam kiwa głową.

– A jak się miewa ojciec? – pyta pan Ludwig.

– Bez zmian – odpowiada Miriam, popychając skrzydło drzwi.

Nie pada już tak mocno jak poprzedniego dnia. Na ulicy ściele się miękkie jesienny dywan. Miriam przemierza krajobraz swojego dzieciństwa.

Pod względem struktury nic się nie zmieniło, ale znajome widoki budzą już inne emocje niż kiedyś. Zniknęło poczucie bezpieczeństwa, każdy zakręt niesie ryzyko, otwiera drogę w nieznaną. Ze sklepów i kawiarni na głównym placu wylewa się zgiełk głosów, muzyka, jasne światła. Dzieciaki bawiące się na ulicy chodzą z przenośnymi magnetofonami, które huczą jej nad uchem, woda z kałuż pryska spod kół rowerów na chodniki.

Wszyscy ci ludzie zlewają się w jedną masę. Jego w tej masie nie ma.

Neufertstraße to już obcy teren, ale zamiast szukać punktów orientacyjnych, Miriam sprawdza, czy nikt jej przypadkiem nie rozpoznał. Nogi same stawiają krok za krokiem, a ona baczym spojrzaniem mierzy każdą mijaną osobę. Bez wyjątków. Zagląda pod każdy kaptur i kapelusz, wypatruje, czy gdzieś nie mignie jej On, jego oczy, jego twarz.

On.

W sklepie na rogu pełno ludzi, wózki, jedzenie, radio włączone na cały regulator. Myśli kłębią się w głowie, oczy błędzą, przeskakują od jednej rzeczy do drugiej. Miriam, zapatrzona, stoi z pustym koszykiem przed regałem i w końcu wybiera produkty, które mniej więcej kojarzy. Przy kasie dorzuca jeszcze gazetę. *Freiheit*, krzyczy do niej nagłówek, *Wolność*.

Wysupławszy z kieszeni pieniądze, wychodzi, nie zabierając reszty. Na ulicy robi kilka głębokich oddechów, a potem dopiero pierwszy krok. Przypomina sobie słowa młodego bruneta z Berlina Wschodniego o tym, że pierwszy krok jest najtrudniejszy, ale potem pójdzie już łatwiej. Nie zatrzymuj się, mówi sobie Miriam.

Trzeba szukać odpowiedzi.

# HEINRICH

Nie musiałem długo czekać na ponowne spotkanie z Friedą. Pierwszy tydzień był burzliwy; Emilie co wieczór płakała w moich ramionach. Potem zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej. Nie spaliśmy po nocach, ani ona, ani ja. Emilie znalazła dla nas nowe mieszkanie, kłitkę na poddaszu, z wyjściem na dach. Mogło służyć za kryjówkę, chociaż się nie ukrywaliśmy. Emilie zapłaciła za sześć miesięcy z góry, a właścicielowi podała swoje panieńskie nazwisko.

Wyjechać z Berlina, będąc podejrzanym – to już oznaczało większe ryzyko. Gdyby nas przyłapali na próbie opuszczenia stolicy, nie uniknęlibyśmy aresztowania, a poza tym żadne z nas nie miało ochoty porzucić rodzinnego miasta, więc zostaliśmy. Tłumacząc sobie, że nie ma wyjścia, trzeba przeczekać.

Pożegnaliśmy nasz dotychczasowy dom. Klucz, chcąc nie chcąc, zostawiliśmy u Frau Voss, która tylko cmoknęła cicho – miałem nadzieję, że to była oznaka współczucia, ale całkiem możliwe, że po prostu miała ochotę „zatroszczyć się” o wszystko, czego nie zabraliśmy ze sobą.

Czułem przejmującą pustkę, bo nie wiedzieliśmy, czy kiedyś jeszcze zobaczymy ten dom. Spakowaliśmy dobytek w torby, całe mnóstwo toreb, i przenieśliśmy się do garsoniery na poddaszu, bo tam było bezpieczniej. Emilie wciąż popłakiwała, ale wraz ze łzami przychodził sen. Gdy usypiała, trzymałem ją w ramionach, nasłuchując, jak jej oddech powoli łagodnieje. Sam nie mogłem zaznać odpoczynku, wiedząc, że oni, tamci, są na każdej ulicy, na każdym rogu; wystarczył jeden fałszywy krok, aby stać się ich celem.

Nie miałem pojęcia, co nas teraz czeka. Wyobrażałem sobie wszelkie ewentualności, lecz nijak nie mogłem wymyślić, jak mam zapewnić żonie bezpieczeństwo.

Emilie bała się chodzić do pracy, ale nie opuściła ani jednej zmiany, codziennie szła tam z uniesioną głową. Była pielęgniarką z powołania i nic nie mogło jej

przeszkodzić w wykonywaniu obowiązków.

Kiedy wychodziła do szpitala, ja szedłem na spacer, starając się znaleźć choć odrobinę spokoju. Zmuszałem się do wyjścia, wiedząc, że inaczej przez cały dzień będę tkwił w czterech ścianach.

# MIRIAM

Autobus rusza z Sophie-Charlotte-Platz. Jest zatłoczony, wszyscy jadą do centrum, dyskutują z ożywieniem, nastroje dopisują. Miriam skręca w palcach swój bilet, na kolanach ma torbę z zakupami, obmywa ją nurt rozmów, nie broni się przed nimi.

Jej kroki dudnią echem na marmurowych płytach chodnika pod biblioteką, kolumnada przesłania otulonych śpiworami ludzi, którzy schronili się tutaj przed deszczem. Na wewnętrznej ścianie rzuca się w oczy szereg dziur po kulach, ślad przeszłości; nietknięty. Miriam nigdy tutaj nie była, właściwie nie miała po co, jej ojciec miał w domu własną bibliotekę.

Wędruje wśród regałów, oblepiona parnym powietrzem, wrażenie jest takie, jakby weszła pomiędzy stronice otwartej książki. Ludzi dookoła jest dużo, czuje się trochę nie na miejscu.

Przed biurkiem bibliotekarza stoi kobieta w rozpinanym swetrze koloru ciepłego różu. Za nią ciągnie się długa kolejka.

– Chcę powiedzieć, że... – peroruje, wsparta dłońmi o blat.

Miriam idzie dalej, przegląda książki na ciemnych regałach. Gmach biblioteki jest olbrzymi, wielopoziomowy, światło pada ze wszystkich stron; schody biegną dookoła, wyskakują znikąd; zanim się obejrzy, już jest piętro wyżej i gdzieś po drugiej stronie. Najpierw idzie za strzałką z napisem „Historia”, a potem znajduje następną: „Europa”.

Miriam peszy ogromna liczba książek. Wzrok przykuwa hasło „Holokaust”, duże, grube litery. Zdjąwszy z półki gruby tom, siada przy stoliku obok regału. Dłonie jej drżą, przygryza policzek od środka; zanim otworzy książkę, czuje w ustach smak krwi.

Twarze.

Ludzie.

Odwraca strony po kolei, boi się tego, co tam zobaczy. Tego, czego tam szuka. Przygląda się każdej twarzy, bez wyjątku. Szuka swojego ojca i matki. Już po kilku stronach robi jej się niedobrze. Każda z tych osób była czyjąś matką, ojcem, bratem, siostrą, synem albo córką. Nigdy tak o nich nie myślała i z każdą kolejną stroną czuje się coraz gorzej. Kręci się jej w głowie, ale nie odwraca wzroku. Po prostu usiłuje przyjąć do świadomości coś, czego nie da się ogarnąć rozumem.

– Przepraszam. – U jej boku pojawia się ta sama kobieta, która przed chwilą rozmawiała z bibliotekarzem. – Siedzi pani na moim płaszczu.

Miriam zrywa się z krzesła, przepraszając ją gorąco.

– Nic się nie stało – zapewnia nieznajoma. – Ciężki temat – komentuje, zauważwszy leżącą na stole książkę.

– Ja tylko... – Miriam urywa w pół słowa, nie potrafi dokończyć tego zdania.

– Pani ze wschodnich Niemiec?

– O, nie. Ja... Ja... – płacze się Miriam. Kobieta ma krótko obcięte włosy, prawie całkiem białe, z nielicznymi śladami złota z lat młodości. Jest opalona i spogląda surowym wzrokiem.

– Przeszłam za mur jako jedna z pierwszych – mówi. – Mieszkałam w Lipsku, zachciało mi się zobaczyć, o co tyle hałasu. – Obciąga na sobie białą bluzkę, którą ma pod różowym swetrem. Miriam dostrzega przepiękny naszyjnik z czerwonych paciorków, który przy tym ruchu chowa się w wycięciu dekoltu.

– Jakiego hałasu? – pyta.

– Że podobno na Zachodzie najlepiej... – Kobieta nie ma na twarzy ani śladu makijażu, ale widać, że siły i zdrowie jej dopisują. Miriam blednie, uświadomiwszy sobie, jak wypada w porównaniu z nieznajomą. Krzyżuje ręce na piersi, zaciąga rękawy, przejeżdża paznokciem po wewnętrznej stronie nadgarstka. – Nie chce mi się w to wierzyć. Ta biblioteka stoi na kłamstwach, powstała z tego, co zrabowali naziści. Te książki zabrano ludziom. – Ma w oczach tyle pasji, że Miriam spuszcza wzrok. Patrzy na książkę leżącą na stole, a po chwili zabiera ją i odstawia na półkę.

– To wszystko zostało zatajone, zapomniane – ciągnie kobieta. – Wszystko. Jak powiedział Stalin, śmierć jednego człowieka to tragedia, śmierć stu tysięcy to statystyka, a gdy umiera sześć milionów...

– Sześć milionów – powtarza Miriam, aby jakoś wypełnić ciszę.

– Właśnie. No dobrze, przepraszam, przeszkodziłam pani. – I zanim Miriam zdąży cokolwiek powiedzieć, kobieta odchodzi.

Miriam rozgląda się, wszędzie półki, półki i jeszcze raz półki. Ile książek może być w tej bibliotece? Przeciąga palcami po grzbietach; ile mogły mieć domów,

zanim tutaj trafiły?

Mija regał za regałem, mija stoliki, przy których uczą się studenci, rzędy stolików ciągnące się przez całą szerokość sali. Kiedy przechodzi, wiele głów się unosi. Ci młodzi ludzie w swoich wielkich okularach przypominają sowy mrugające w jasnym świetle dnia. Większość tkwi zgarbiona nad notatkami. Ich skupione miny kojarzą się Miriam z ojcem siedzącym za biurkiem w swoim pokoju.

Zdjęcia z przeglądanej przed chwilą książki stają jej przed oczami. Ogarnia ją złość, która ściska żołądek w twardą kulę. Pewnie zgarnęli go w łapance, wsadzili do bydlęcego wagonu, a potem... Gdyby każda z tych książek była człowiekiem, myśli Miriam, rozglądając się dookoła... Ich liczba jest wprost niepojęta.

Nie, ta biblioteka jest za duża. Miriam chce jak najszybciej wrócić do domu.

## 6

# MIRIAM

Stęchła woń przemokniętych ubrań i ludzi unosi się wilgotnym oparem, skrapla na szybach. Miriam przeciera okno rękawem. Chciałaby zdjąć płaszcz, ale ze znużenia nie czuje rąk i nóg. Poddaje się kołysaniu jadącego autobusu. Jej myśli gubią się wśród twarzy, wśród pasów, wśród oczu patrzących w obiektywy aparatów fotograficznych. Była w tych oczach jakaś nieuchwytna pustka, błaganie, lecz i złość, oczekiwanie na... na coś; na rozpoznanie, a może tylko przelotne spojrzenie.

Tata ma numer. On też tam był. Ale przeżył. Miriam widzi go oczyma duszy: leży na podłodze, zwinięty w kłębek. Woła ją. Wykrzykuje jej imię. Potrzebuje jej. Czując na plecach strużki potu, prostuje się niespokojnie na siedzeniu. Autobus toczy się po zatłoczonej ulicy.

Miriam obgryza i skubie skórkę przy paznokciu. Skręca, gniecie w dłoniach torbę na zakupy. Wokół niej panuje gwar, a ona liczy, ile jeszcze przystanków do domu. Wychodzi jej, że pięć, i w tym momencie wsiada kobieta z biblioteki. Miriam posuwa się, robi jej miejsce.

– Znów się spotykamy – mówi z uśmiechem.

– Dzień dobry – odpowiada nieznajoma i Miriam z powrotem odwraca się do szyby. Na głównym skrzyżowaniu przed Bramą Brandenburską powstał korek. Takie tutaj tłumy, że ledwie widać mur. Miriam przygląda się ludziom z aparatami. Kiedyś betonowa ściana, a dziś atrakcja turystyczna. Ta myśl przepętnia Miriam smutkiem. Historia zamieniona w widowisko.

Miriam musi skoncentrować się z całych sił, aby zapanować nad dłońmi leżącymi na kolanach. Aby w ogóle oddychać, kolejno wdech i wydech. Aby nie myśleć o ojcu.

Jeszcze cztery przystanki i dom.

– Znalazła pani to, czego szukała? – pyta kobieta z biblioteki.

Miriam kręci głową.

– Tak naprawdę nie wiem nawet, od czego zacząć.

– A chodzi o coś konkretnego?

– Mniej więcej, ale w zasadzie ja tylko... – Czując na sobie baczny wzrok sąsiadki, Miriam przysuwa się bliżej okna.

– Jestem Eva – przedstawia się kobieta.

– Miriam. – Podają sobie ręce. Dłoń Ewy jest ciepła.

Autobus gwałtownie hamuje, a kierowca klnie siarczyście. Pasażerowie chichoczą, a Miriam i Eva uśmiechają się jednocześnie.

– Jeśli mam być szczerą, nie wiem dokładnie, czego szukam. Bardzo mi głupio, że nie mam pojęcia, co przeszli ci ludzie.

– Ofiary Holokaustu?

Nowe uczucie ogarnia Miriam jak gęsty opar, który nie chce się rozwiać. Ofiary? Jak to, jej ojciec był ofiarą? Z oczu płyną nieproszone łzy. Eva siedzi w milczeniu, pozwala jej płakać i w końcu powraca spokój, a drżenie dłoni ustaje.

– Odkryłam, że mój ojciec ma numer na ręce. Myślę, że był w obozie koncentracyjnym. Chyba chciałam się dowiedzieć o tym czegoś więcej, ale...

Autobus zatrzymuje się i stoi bardzo długo. Ludzie wysiadają i wsiadają bezładną masą.

Trzy przystanki.

Autobus rusza, warkocząc silnikiem.

– Numery tatuowali tylko w Auschwitz – odzywa się Eva łagodnym głosem.

– Proszę?

– Jeśli pani ojciec ma tatuaż, to znaczy, że był w Auschwitz.

– O Boże.

– Nie, Boga nie było.

Autobus jest pełny, ale ludzie i tak pchają się do środka. Nie przeszkadza im, że nie ma gdzie siedzieć. Stoją i kołyszą się w rytm szarpnięć pojazdu.

Dwa przystanki.

– Auschwitz – powtarza Miriam.

– W bibliotece znajdzie pani sporo informacji o obozie, jeśli naprawdę to panią interesuje.

Miriam unosi głowę.

– Nie wiem. To jest po prostu coś strasznego. – Czuje na ramieniu dłoń Ewy. Ze znużonych oczu kapią łzy. Nie da się ich zatrzymać. Eva sięga do kieszeni płaszcza i po chwili wypełnionej cichym szelestem podaje Miriam chusteczkę do



nosa, szarą, obszytą koronką, starannie złożoną w kwadrat. Na wierzchu widnieje niebieski kwiatek.

*Auschwitz.*

– Pani Evo, jak to możliwe, że mój ojciec był w Auschwitz? – pyta Miriam, kiedy autobus zwalnia. – Przecież... on nie jest Żydem, nie mamy Żydów w rodzinie.

– Nie wszyscy więźniowie byli Żydami. – Eva zsuwa się na skraj siedzenia, nogi ma już w przejściu. – Do obozów trafiał element społeczny, przestępcy, aktywiści polityczni, Cyganie. Do wyboru, do koloru. Kto sprzeciwiał się hitlerowskiemu reżimowi, kończył w obozie.

– Czy oni mogli tam być razem? Moi rodzice? – drąży Miriam. – Pobrali się przed wojną.

– Nie. Obowiązywała ścisła separacja mężczyzn i kobiet, bez wyjątków.

– Mama nigdy nie wspominała o tamtych czasach. Ale numeru nie miała – dodaje Miriam z przekonaniem.

– To nie był jedyny obóz. W innych nie tatuowano numerów. Istniały obozy wyłącznie dla kobiet.

– Nic... Nic o tym nie wiedziałam.

– Nie szkodzi. Gdzie jest ten tatuaż?

Miriam unosi brwi, zdziwiona.

– W którym miejscu na ciele? – uściśla Eva.

– Na nadgarstku.

– To znaczy, że trafił tam po 1942 roku. Przedtem tatuowali numery na piersi. – Eva podaje informacje tonem tak rzeczowym, że Miriam aż kręci się w głowie od słuchania.

– Naprawdę? – pyta, a Eva, przytaknąwszy bez słowa, zapiera się dłońmi o podłokietniki i wstaje z siedzenia.

– Tutaj wysiadam.

Podczas tej krótkiej jazdy autobusem Miriam dowiedziała się więcej o przeszłości ojca niż przez całe swoje dotychczasowe życie. Chce podziękować Evie, ale brak jej słów, więc tylko spogląda na nią. Ma jasne oczy o jasnej oprawie, a Eva, spostrzegłszy, że jest obserwowana, uśmiecha się i wyciąga do niej rękę.

Miriam, nie rozumiawszy gestu, oddaje chusteczkę. Eva chowa ją do kieszeni i wysiada. Na ulicy, kiedy autobus już rusza, unosi jeszcze dłoń, jakby chciała pomachać.

Jeden przystanek.

Autobus sunie, szemrząc silnikiem. Po lewej pałac i Szprewa, zielone korony  
sosen ostrym kontrastem odcinają się od szarego tła.

# HEINRICH

Tydzień po rozstaniu z uczelnią wybrałem się do parku pod pałacem. Pochłonięty bez reszty własnymi problemami i znużony ponad wszelkie wyobrażenie, nie zauważyłem Friedy i mało brakowało, abym ją minął, nie zatrzymując się nawet. Siedziała na ławce z widokiem na Szprewę, w cieniu wysokich zielonych sosen, tuż obok głównej alejki. W dłoni trzymała kubek, a na ziemi stał drugi. Jej sukienka była błękitna jak niebo, a buty brązowe, skórzane, te same co zawsze. Warkocz zakręcony z tyłu w kok. Swobodnie odchyłona na oparcie ławki. Woń igliwia i trawy, z delikatną kwietną nutką, aż kręciła w głowie.

– Skąd wiedziałas, że tutaj będę? – zapytałem.

– Nie wiedziałam. – Spojrzała na mnie i nie odwracała wzroku, dopóki nie zarumieniłem się tak jak ona.

– Wybacz mi śmiałość. To chyba nie jest dla mnie, co? – Wskazałem stojący na ziemi kubek. Zaprzeczyła. – Mam sporo na głowie... – mówiłem dalej. – Płotę trzy po trzy. Lepiej się pożegnaj, nie chcę przeszkadzać... – Urwałem.

– Nic się nie stało. Proszę. – Podała mi drugi kubek. – Przyłącz się, jeśli masz ochotę. Felix chyba zapomniał, że byliśmy umówieni.

Wziąłem do ręki kubek, ten drugi, który nie dotknął jej ust, a ona naląła do niego kawy z termosu. Usiłowałem opanować myśli. Podziwiać piękną kobietę to nic złego, ale ślinić się do niej jak goryl – już tak. Frieda uniosła kubek do ust, pełnych, szerokich, a widząc, że siadam obok, uśmiechnęła się.

– To kawa – powiedziała, jakby moja mina świadczyła o niepewności.

– Dziękuję. – Wypiłem łyk. Była ciepła i mocna. – Co się stało z Felixem?

– Ma swoje zajęcia.

– Ale jesteście parą?

Uniosła z namysłem kubek do ust, a ja patrzyłem, jak opierają się na jego krawędzi. Po chwili opuściła dłoń.

– Gapisz się – zauważyła.

Odchrząknąłem, spoglądając jej prosto w oczy. I patrzyłem dalej, bo kubek znów powędrował w górę, do lekko otwartych ust. Uśmiechnęła się, przełknęła i z pełną świadomością oblizała dolną wargę. Roześmiała się, a ja, słysząc tę eksplozję błogości, także zacząłem się śmiać, bo było to nieodparcie zaraźliwe.

– Nie mogłam się oprzeć.

– Ja też nie – odparłem, a po chwili rozpaczliwego zbierania myśli, dodałem: – Mówiłaś o Feliksie.

Odwróciłem wzrok ku Szprewie. Rosnące wzdłuż brzegu rzeki drzewa gubiły liście, odsłaniając podobne do nagich kości gałęzie. Siedzieliśmy ramię w ramię. Blisko, ale nie na tyle, aby się dotykać.

– O Feliksie? Wszyscy myślą, że to moja sympatia. Przyjaźnimy się. Pozory pozorami, ale w rzeczywistości taki układ jest obopólnie korzystny.

– Dlaczego? Jeśli wolno zapytać...

– Ze względu na rodziców. Jego i moich. Udawanie pary chroni nas przed ich „planami”. – Musiałem zrobić jakąś cielęcą minę, bo wyjaśniła: – Chodzi o małżeństwo.

– Rozumiem.

– A czy ciebie też rodzice zmusili do małżeństwa?

– Nie, moi rodzice umarli, kiedy byłem mały. Po wojnie udzielali się politycznie, bywali na wiecach i marszach, rzadko pokazywali się w domu. Moja babcia, chociaż nigdy tego nie przyznała, wstydziła się za mamę, ale mnie bardzo kochała. Jestem dzieckiem wojny, którą toczyli, wojny miłości z poczuciem obowiązku. – Z nerwów nie zamykały mi się usta. – Nie pamiętam ich. To babcia chciała, żebym się ożenił. Niestety, moja wybranka nie przypadła jej do gustu.

– Bo...?

– Babcia była... konserwatystką, czego nie można powiedzieć o Emilie.

– Ale i tak się z nią ożeniłeś?

– Owszem. Osiem lat temu i... Ona jest...

– Kochasz ją?

– Bardzo. – Prawda pomogła mi znieść świadomość, że opowiadam takie rzeczy najbardziej fascynującej osobie, jaką w życiu spotkałem. Siedziałem z Friedą na ławce, co w niczym nie umniejszało mojego uczucia do Emilie ani też nie negowało jej istnienia.

– Przykro mi, że twoi rodzice robią takie trudności, na pewno jest ci z tym ciężko – powiedziałem, starając się skierować rozmowę na inne tory.

– Chyba się boją, że skończę jak ciocia Maya. Córa Safony.

Zaśmiałem się, ale jej najwidoczniej nie było do śmiechu.

– To stąd ten układ z Felixem? – zapytałem.

– Że niby chcę ukryć swoje skłonności? Nie. A czy on ma coś do ukrycia? Być może. – Chyba wyglądałem na wstrząśniętego tym wyznaniem, bo dodała: – Chcesz mi powiedzieć, że jesteś konserwatystą jak twoja babcia?

– Nie – zapewniłem. – Co się stało z twoją ciocią Mayą?

– Była mi bardzo bliska. Była poliglotką. Wszystkiego, co umiem, nauczyłam się od niej.

– Stąd znasz tyle języków?

– Tak. Ciocia Maya przywoziła nowy język z każdej podróży. A ja uczyłam się chętnie. Ale w końcu ją zabili. Jestem tego pewna.

– Kto? Twoi rodzice? – zapytałem, wystraszony, analizując jej słowa, ale mój rozum wzbraniał się przed przyjęciem tej wiadomości. Frieda była tak blisko. Tuż obok. Unosząc kubek do ust, otarła się ramieniem o moje ramię.

– Nie. – Odwróciła się z powrotem twarzą do mnie. – Czystka. Już od dawna groziło jej aresztowanie, bo zawsze broniła swoich przekonań. Szkoda, że nie można tego powiedzieć o reszcie mojej rodziny. To tchórze, wszyscy bez wyjątku.

– W takich czasach każdy radzi sobie na swój sposób – powiedziałem, by podnieść ją na duchu.

– Oczywiście, ale bardziej bym ich szanowała, gdyby mieli trochę charakteru.

– Przykro mi, że twoi rodzice są tacy. I że straciłaś ciocię.

– Ty straciłeś rodziców. Też ci współczuję.

– Ale twoi na pewno rozumieją, że jesteś za młoda na ślub.

– Za młoda? Ty jesteś żonaty.

– No tak. – Skinąłem głową. – Kiedy braliśmy ślub, byłem mniej więcej w twoim wieku.

– Jaka jest twoja żona?

– Niewysoka brunetka, język cięty, umysł lotny. – Uśmiechnąłem się.

– Jak to zniosła? Kiedy zwolnili cię z pracy?

– Słabo. – To niedopowiedzenie było tak zabawne, że parsknąłem śmiechem.

– Przepraszam – powiedziała, również się śmiejąc.

– Nie przepraszaj, to ja pożałuję, a nie ty.

Jej śmiech płynął ku mnie, pokrzepiający jak serdeczny uścisk. Od razu poczułem się lepiej. Jakby w jego głębi zagubił się trochę ciężar, który mnie przygniatał.

W jej oczach z niewiarygodną mocą zapłonęła iskra, przyciągając mnie bliżej. Bliżej tych oczu i ust. Nasz śmiech ucichł.

Odstawiłem kubek na ziemię i uniosłem jej podbródek, tak jak poprzednim razem, tylko teraz, czując, jak przeszywa mnie prąd, już nie wzdrygnąłem się wystraszony. W jej oczach zobaczyłem siebie. I jeszcze coś. Coś, czego nie umiałem pojąć. Opuszkami palców czułem, jak jej skóra się rozgrzewa, ciepło spływa na mnie elektrostatyczną falą, w niewiadomy sposób przekazując ładunek energii. Starłem się odgadnąć, czy to, co dzieje się we mnie, dotyka także jej.

– Co robisz? – wyszeptała.

– Nie wiem. – Ale mówiąc to, zrozumiałem, że jednak wiem, jestem pewny, tak samo jak tego, że moje serce bije. To było coś nowego. Coś, co u mnie nie miało racji bytu, znalazło odzwierciedlenie u niej. Od czegoś takiego nie mogłem się odwrócić.

Była obrazem w ramie moich oczu. Kontury jej twarzy przyćmiły wszystko dookoła. Musnąłem palcami jej podbródek – jej puls uderzył żywiej – i dotknąwszy w przelocie szyi, otuliłem dłonią policzek.

Miała maleńki pieprzyk, prawie niewidoczny, ukryty za krągłym łukiem górnej wargi.

Obserwując jej reakcję, pochyliłem ku niej głowę. Nawet nie drgnęła. W oczach miała powątpiewanie, ale pomiędzy nieznacznie rozchylonymi wargami lśniła wilgoć. Dotarłem tam jednym ruchem, wpijałem się ustami w jej usta.

Potem wycofałem się w miejsce, skąd znów było widać jej oczy. Przetąńczyłem palcami na tył jej głowy i niżej, na kark, pociągnąłem ku sobie, a ona wtopiła się we mnie.

Musnęła wargami moje wargi, lekko niczym piórkiem, a jednak poruszyło mnie to do głębi.

Była w tym taka moc, że inne myśli w okamgnieniu wyparowały mi z głowy.

Jej usta przy moich.

To ona odsunęła się pierwsza, a mnie ogarnął żywy ogień, palące pragnienie, aby przytrzymać ją blisko siebie. Pochyliłem się, by pocałować ją jeszcze raz, ale spojrzała mi prosto w oczy i niewiadomym sposobem zatrzymała w pół drogi, więc tylko objąłem ją za ramiona i przygarnąłem do siebie. Odwróciliśmy twarze w stronę parku.

– Masz żonę – zauważyła.

Serce podeszło mi do gardła, szamocząc się niespokojnie, ale ona umilkła na dobre. Przełknąłem ślinę.

– Jest wojna – odparłem.

– A co to zmienia? – Wysunęła się z moich objęć.

– I jedno, i drugie to fakt, zgadzasz się?

– Tak.

– A fakt jest prawdą absolutną.

– Czym zatem ja jestem?

Zamilkłem, ale tylko na ułamek sekundy, bo odpowiedź była oczywista.

– Friedo, ty jesteś wcielonym światłem.

Nasze spojrzenia spotkały się i chociaż nic nie powiedziała, widziałem, że się zastanawia. Rumieniec uderzył jej na policzki. Zapragnąłem pocałować ją jeszcze raz. Dotknąć.

– Muszę wracać na uczelnię. – Wstała z ławki. – Bo się spóźnię.

Też wstałem, starając się pozbierać myśli, poukładać je w głowie. Frieda wygładziła sukienkę, schowała kubki do torby.

– Dziękuję za kawę – powiedziałem.

– Ja też dziękuję, Heinrichu. Za rozmowę.

Słyszając z jej ust swoje imię, poczułem dreszcz przebiegający po ramionach i mrowienie na karku.

– Spotkamy się znowu? – zaproponowałem. – Tutaj, w tym miejscu?

– O tej godzinie?

– Jutro?

Uśmiechnęła się na znak zgody i poszła.

## MIRIAM

Auschwitz – mówi na głos. Zostawiwszy zakupy w kuchni, idzie do ojca. Daje mu pić i przekłada go na drugi bok.

Długo myje ręce, obraca w myślach to słowo: Auschwitz. Kiedy mycie dobiega końca, trzy paznokcie krwawią, a dłonie trzymane pod wodą bolą tak, że aż ją mdli.

Wyczerpana siada na fotelu, okrywa kolana kocem i zapada w głęboki sen.

Budzi się w środku nocy. Ścierpnięta od wyrzutów sumienia, natychmiast wstaje, aby zająć się ojcem. Daje mu wodę i karmi, a on pije wielkimi łykami, ale nie chce przełknąć ani kęsa. Ułożywszy go z powrotem na posłaniu, Miriam wygląda przez okno. Jest sobotnia noc. W oddali słychać syreny i ludzkie głosy, ale na jej ulicy jest cicho. Pod osłoną ciemności bierze ojca za rękę i delikatnie zsuwa jego zegarek.

Przez jakiś czas wpatruje się w numer. Jakby w tych poszarzałych kreskach na jego skórze chciała doszukać się odpowiedzi.

Poprzedniego dnia nagłówek w gazecie krzyczał: „Wolność!”. Mur runął, ale czy jej ojciec zaznał w życiu wolności? Miriam przykrywa go, a potem idzie do kuchni, by rozpakować zakupy, o których całkiem zapomniała. Zmywa też naczynia, bo zebrało się ich trochę. Nie może znaleźć ścierki, a w szufladzie nie ma czystej. Wyciera dłonie w łazience i odetchnąwszy głęboko, zapala światło w pokoju mamy.

Nic się nie zmieniło, odkąd zrobiła tam bałagan. Ścierka do naczyń leży w stosie sukienek wysypujących się z szafy. W dzieciństwie Miriam chowała się w środku, przymierała buty mamy, bawiła się frędzelkami i wodziła dłońmi po fałdach materiału otaczających ją jak ściany deszczu; to był sposób, aby przeczekać te chwile, gdy atmosfera w domu zapowiadała nieuchronną burzę.



Układa wyrzucone buty w pudełkach i odwiesza sukienki mamy na drążek. Gryzie ją sumienie, że są tak pogniecione, stara się je powygładzać, ale ostrożnie, by nie urazić poranionych palców.

Następnie układa pudełka, jedno na drugim: buty do tańca, wyjściowe, letnie i zimowe. Są nawet te, w których mama była na ślubie Miriam. Wszystkie czystutkie, zadbane. Tylko że pudełka nie chcą stać równo, coś musiało się obluzować. Miriam je zdejmuje i zaczyna od początku, ale znów wychodzi jej krzywo, a wtedy odkrywa przyczynę – pod samą ścianą stoi stara dywanikowa torba podróżna, z której odpadła jedna rączka.

Torba jest ciężka. Miriam nie przypomina sobie, żeby kiedyś widziała w domu coś takiego. Odstawia ją na bok, a potem, doprowadziwszy garderobę mamy do porządku, odwraca się; torba czeka na nią cierpliwie jak pies, podnosi ją więc i otwiera, przekręciwszy klamerkę.

W środku jest żółte prześcieradło, wyblakłe niczym zwiędły zonkil. Miriam siada z nim w nogach łóżka. Prześcieradło jest duże, a z tkaniny bije odór moczu, potu i ziemi, który w miarę rozkładania staje się coraz mocniejszy. Nagle na kolana Miriam wypada to, co było w nią zawinięte. Koszula w granatowo-szare pasy. Po rozłożeniu robi się z niej sukienka. Jest długa i prosta, uszyta z grubego, szorstkiego bawełnianego drelichu.

Ma trójkątny kołnierzyk i trzy guziki na piersi. Rozłożywszy żółte prześcieradło do końca – przykryłoby jednoosobowe łóżko – Miriam wstaje i rozściela je na podłodze, a na wierzchu kładzie pasiastą sukienkę.

Nie może oderwać od niej wzroku, jak od cienia w blasku słońca.

Drelich świeci dziurami, gdzieniegdzie się strzępi i ma zagięcia, jakby długo leżał złożony. Sukienka w pasy. Pasiak.

Miriam zabiera go do pokoju ojca.

– Czy to mamy? – pyta. – Tato... Znalazłam... – zaczyna, a potem zgięta wpół opada na fotel, zalewając się łzami. Jest w tych łzach i wyczerpanie, i ból straty, i jeszcze coś innego.

Lęk.

# HEINRICH

Siedziałem na tej ławce nad Szprewą chyba cały dzień, obserwując latające kaczki i czaple czyhające na zdobycz. I świat w ruchu. W końcu wstałem, wiedząc, że Emilie wróciła już do domu. Przez całą drogę powrotną rozważałem, jak mógłbym jej o tym powiedzieć, jakimi słowami nazwać moje uczucie, aby mogła zrozumieć. Zawsze wszystko jej mówiłem. Rozmowa była dla nas czymś tak naturalnym jak oddychanie. Przemilczeć taką sprawę wydawało się nie do pomyślenia, ale chociaż mocno nadłożyłem drogi, klucząc i krążąc, nie wymyśliłem absolutnie nic.

– Heinrich, to ty? – Z mikroskopijnej klitki służącej nam za kuchnię dobiegł jej niespokojny głos. Mieszkanko, które teraz zajmowaliśmy, przypominało buduar, zagracony przeróżnymi zbytkami, dla których w poprzednim domu mieliśmy więcej miejsca. Tutaj wszystkie te kwiaty, obrazy i książki zalegały dosłownie wszędzie. A pośród nich krzątała się moja żona, w rozwiązanym fartuchu.

– Czołem. – Podszedłem i cmoknąłem ją w policzek.

– Gdzie byłeś? – zapytała.

– Na spacerze. – Rozsupłałem luźny węzeł i zawiązałem go na nowo, a przy okazji wygładziłem szpitalny strój, który miała pod spodem. Ujawszy Emilie za nadgarstek, obróciłem ją do siebie, porwałem w ramiona i wyprowadziłem z kuchni do przepelnionego sprzętami salonu. Nucąc pod nosem jakąś zmyśloną melodyjkę, ruszyłem z nią w takt walca o nieco zbyt szybkim tempie.

– Heinrich, co ty wyprawiasz? – Zaśmiała się.

– Cieszę się – odparłem i już miałem wszystko wyjaśnić, wypuścić roztańczone słowa, podzielić się z nią tym uczuciem, tak, by miała w nim udział, lecz ona nagle zatrzymała się w pół kroku.

– A czym tu się cieszyć? – zapytała, wspięta na czubki palców. W jej oczach widziałem ból, wycięty tak głęboką kreską, że przeszył mnie do żywego. Położyła

mi dłoń na policzku, pocałowała mnie, a potem wróciła do kuchni. A ja zrozumiałem, jaka jest prawda, i był to potężny cios zapierający dech w piersiach: otóż powód mojej radości dla niej był źródłem bezbrzeżnego cierpienia.

# MIRIAM

Sukienka – pasiak – leży na jej kolanach. Tato zasnął, a po kątach pokoju snuje się noc. Miriam dotyka guzików, gładkich, okrągłych. Kieszeń z przodu jest nadpruta, a w rogu coś wystaje. Miriam wsuwa dłonie pod tkaninę; słysząc szelest, ale pod spodem nie ma nic, co wydaje taki dźwięk. A do kieszeni nie ma jak się dostać.

– Tam coś jest – mówi Miriam, a pogłos powtarza to w ciemności.

Przynosi z salonu nożyczki krawieckie mamy. Srebrzysty chłód wsącza się pod jej ciepłą skórę, stalowe oczka miękko oplatają palce. Śrubka trzyma ostrza razem, ale pozwala im się rozchylić. Miriam pieśczośliwie przesuwając po nich opuszkami, zatrzymuje się na czubku, tak, żeby ledwie dotykał skóry.

Pod naciskiem metal zagłębia się w ciało, a gdy tylko pokaże się krew, spływa na nią odprężenie, jak w gorącej kąpieli. Przyglądając się ciemnej kropli wyrastającej na czubku palca, Miriam bierze głęboki oddech. Bezładny mętlik tego, co nienazwane, zaczyna się klarować.

Swojskie, dobrze znane uczucie. Stary przyjaciel.

Odchrząknawszy, przełyka ślinę i wkłada palec do ust. Posmak stali kłuje w język punkcikiem wymiarów czubka szpilki, rozlewa się ciepłem po podniebieniu.

Rozciąwszy nożyczkami kilka centymetrów szwu, Miriam wsuwa palce w otwór i wyciąga ze środka kartkę. Złożoną kilka razy, nie większą niż pudełko zapalek.

Po rozłożeniu kartka ma wielkość strony z zeszytu, ale jest cienka jak bibułka. I zapisana ręcznie – Miriam nigdy w życiu nie widziała takich maleńkich liter. Ledwie można je odcyfrować. Rozkłada list na kolanach i włącza lampkę, kierując światło prosto na papier. Szary ołówek widać wyraźniej na tle ciemnej

spódnicy. Tekst nie ma marginesów ani akapitów, biegnie od jednego brzegu kartki do drugiego. Po obu stronach.

Miriam przygląda się uważnie. Dreszcz przebiega jej po ramionach tysiącem drobnych ukłuc. Podsuwa list, tę misterną pajęczą sieć słów, pod światło i zaczyna czytać.

*Mój drogi Heinrichu,*

*Eugenia Kawińska myśli, że już jej nie ma, że umarła z chwilą, kiedy stała się numerem i niczym więcej.*

*To, że naprawdę może umrzeć i obrócić się w popiół, jest już dla niej nieistotne.*

*Słucham jej słów, ale muszę się przed nimi bronić. Staram się zachować nadzieję. Tylko że tutaj nadzieja jest jak te życzenia, które mówi się w myśli na widok spadającej gwiazdy; to tylko dziecinny wymysł. Czysta naiwność. Wspomnienie, nic więcej.*

*Wspomnienie tunelu z czerwonej cegły, wiodącego na Gleis 17. To było przedtem.*

*A teraz pochłania nas opar, który bije z naszych ciał. Wełniane koce pęcznieją, wzdęte powłoki kryjące pod spodem dodatkową, niechcianą podszewkę martwego zastoju. Jedyne ruch, który da się złowić okiem, to wisząca w szarówce letniego zmierzchu mgiełka mojego oddechu, zwiotczała i mdła. W palcach trzymam ołówek. Za ten ołówek oddałabym życie. Tutaj wielu się modli, ale ja znam tylko ten jeden sposób, aby dalej być i pozostać sobą, więc pewną ręką, z całych sił, przyciskam mój ołówek do papieru, a stawiane nim znaki ratują jedno istnienie.*

*Eugenia zaczęła mówić, cicho, jakby do siebie, a my, zamknięte w kokonach własnych wyziewów, słuchałyśmy.*

*Mówiła o tym, jak ją złapali.*

*Schowała się w malowanej na biało skrzyni stojącej za kotarą na zapleczu sklepu w jej rodzinnym Lublinie. I czekała, słuchając, jak ziemia dygocze z gniewu pod stopami żołnierzy, którzy grabili, gwałcili i palili całe miasto. Tych, którzy ocaleli, czekała wywózka.*

*Eugenia powiedziała, że to było jak zły sen, kiedy człowiek wie, że musi uciekać, ale nie może, bo jego pozbawione czucia nogi nie chcą zrobić ani kroku.*

*Tak właśnie tutaj się czuję, każdego dnia, od świtu do zmierzchu, bez Ciebie.*

*Eugenia to młoda katoliczka. Polubiłbyś ją; ma w twarzy jakieś ciepło, coś, co dodaje otuchy. Przedtem, tak sobie wyobrażam, wyglądała jak anioł, którego oglądaliśmy na reprodukcji Madonny w grocie: tchnąca spokojem i cichym pięknem. Jej twarz przetrwała ciężkie próby, czoło marszczy się często, a w ruchy dłoni wkradł się pośpiech, ale kiedy Eugenia zaczyna mówić, uwaga skupia się na niej. Jest niezwykle opanowana. Pełna gracji. Nawet wykrój jej ust i włosy skręcone w pukle przywodzą na myśl anioła.*

*Opowiadała, jak zatkała uszy przed rykiem marszu śmierci. Znajdowała się na granicy snu i jawy. Usłyszała głosy, szepty i pospieszne kroki, po czym uniosło się wieko drugiej, osobnej przegrody skrzyni, w której się schowała, a światło padło też na nią. Nie mogąc unieść głowy, spojrzała przed siebie, wzdłuż drewnianej ścianki. Zobaczyła buciki, niebieskie, wyszywane zieloną nitką. Dziecięce. Jedna sznurówka była zawiązana na luźny węzeł, druga – rozwiązana. Z cholewek sterczały różowe, pulchniutkie nóżki w szarych skarpetkach.*

*Kobieta ze swoim małym synkiem.*

*Eugenia opowiada, jak mama starała się go uciszyć, ale on, gdy tylko znalazł się w skrzyni, zaczął pisać. Stópki w maleńkich bucikach próbowały wdrapać się po ścianie, ale była za wysoka. Kobieta przemawiała do synka cichym głosem. Prosiła, żeby się położył. Nie chciał. Stał, ściskając w rączkach jakiś gałganek, a gdy usiadł na dnie skrzyni, natychmiast wyciągnął je do mamy.*

*Kobieta wsunęła się do środka. Była bosa. Zdjęła marynarkę, choć pod spodem miała tylko lekką sukienkę, i owinęła całego chłopczyka dwa razy, jakby kładła go spać. Potem położyła się sama i przygarnęła go do siebie, podkuliwszy nogi, bo nie było miejsca, aby mogła leżeć na wznak. Ta pozycja miała zapewnić mu osłonę ze wszystkich stron: ciało mamy było dla niego jednocześnie poduszką, kołdrą i łóżkiem. Kiedy leżeli już razem, kobieta zamknęła wieko skrzyni i ciemność znów skryła nas wszystkich.*

*Heinrichu, zapisuję tutaj jej słowa, bo chcę je zachować. Jak ona o tym mówi... To jest jej historia, nie moja.*

*– Nie chciałam widzieć jej twarzy. Przez jakiś czas było cicho, mama przemawiała do dziecka kojącym szeptem. Słyszając ciche odgłosy tej najprostszej ze wszystkich radości, poczułam, jak rośnie we mnie głęboka pustka. Pogrążałam się w niej, aż żołądek wywracał mi się na nice. W którymś momencie dziecku pewnie zachciało się jeść, bo rozległo się dziarskie ssanie*

*i przetykanie, z początku głośno, a potem trochę ciszej. W końcu chłopiec zasnął i wtedy uderzył huragan.*

Miriam w milczeniu odchyła głowę na oparcie fotela.

## HEINRICH

Przed wojną perony stacji Berlin-Grunewald kojarzyły się z bezpieczeństwem. Ciągnęły tam tłumy, bo ludzie pragnęli skorzystać z szansy; wyrzec się wszystkiego, co mieli, w zamian za wolność. Ale rok 1944 nie był już bezpieczny i nie wyjeżdżało się jak na wakacje.

Wyjazd przymusowy. Cel podróży: nieznany.

Spoceni i spragnieni tak, że suchość w ustach głużyła nienawiść wzbierającą falą żółci w głębi żołądka (przynajmniej u mnie), Frieda i ja znaleźliśmy skrawek miejsca do siedzenia, ale o odpoczynku nie było mowy. Poderwali nas i zagonili gdzieś indziej, a potem znów popędzili dalej.

Po aresztowaniu przez wiele godzin prowadzili nas ulicami miasta i dopiero późną nocą mogliśmy oprzeć plecy o czerwone cegły tunelu prowadzącego na perony stacji. Wyjrzawszy na zewnątrz, zobaczyłem na torach drewniane bydłace wagony i wtedy poczułem w sobie siłę, aby spojrzeć na Friedę. Oczywiście miała pełne łez, ale żadna nie popłynęła.

– Przepraszam – powiedziałem.

Znaleźliśmy się w oku cyklonu. Czekaliśmy. Tam, na peronie przy torze numer siedemnaście, były setki ludzi takich jak my. Na wszelkie sposoby broniliśmy się przed chłodem nocy. Szmer szeptów drżących niepewnością co chwilę głużył tupot skórzanych buciorów na bruku, dziurawiły go krzyki i huk wystrzałów. Setki ludzi razem; niektórzy mieli jakieś bagaże, lecz większość tylko siebie nawzajem, tak jak my dwoje. Frieda tonęła w moim płaszczu; postawiony granatowy kołnierz sięgał jej uszu, wisały na nim niezwiązane włosy. Jak gdyby łączyła nas niewidzialna nić, czułem bicie jej serca, każdy jego skurcz tłoczył energię do moich żył. Dialog dwojga serc.

Przy Friedzie traciłem swadę i nigdy nie umiałem wysławić się swobodnie, tak jak do tego przywykłem. Chowałem się za słowami wielkich poetów,



najwspanialszych artystów naszych dziejów. Na własnych nie mogłem polegać, pękały mi od nich wargi, a język momentalnie kołowaciał. Powiniennem przemawiać do niej własnymi słowami, ale nader często miałem świadomość, że lepiej tego unikać. Zamiast opowieści o moich uczuciach, tak dotkliwych i tak dla mnie nowych, z moich ust wydobyłyby się tylko bełkot i jakanina. A ona rzucała mi wyzwanie samym spojrzeniem. Czułem je na sobie, a wtedy odrywałem wzrok od swoich palców, pracowicie splatanych i rozplatanych. Patrzyła i widziała mnie. Zaglądała w głąb mej duszy.

Wykładałem literaturę na uczelni, znałem biegle trzy języki, ale wszystkie te umiejętności zdały się na nic. Plotłem trzy po trzy, sfrustrowany jak pisarz dotknięty niemocą twórczą. A jednak to właśnie dzięki Friedzie potrafiłem zrozumieć mowę ciszy i poezję spotykających się spojrzeń.

Zamknąłem oczy na otaczający mnie świat i już tylko słuchałem bicia jej serca, które brzmiało, jakby deszcz padał na drogę pod gołym niebem.

Pachniała ciepłem, ciepłem domu.

Gdy tak czekałem na peronie, nie byłem w stanie zasnąć, więc położyłem palce na szorstkim kołnierzu mojego starego płaszcza. Przygarnąwszy Friedę do siebie, zamknąłem się w kokonie wspomnień, bo tylko żyjąc przeszłością, mogłem przetrwać tę noc.

# MIRIAM

Dzwoni telefon.

Miriam siedzi wpatrzona w kartkę leżącą na pasiaku. Jedno i drugie położyła w nogach łóżka ojca. W końcu snujący się pobrzask poranka odpływa dalej, pasiasta sukienka kryje się w cieniu.

– Byliście tam oboje? – Nie ociera łzy toczącej się po policzku. Pozwala jej spaść na spódnicę i zniknąć w splotach tkaniny.

Telefon dzwoni znowu, ale tym razem nie cichnie. Zostawiwszy sukienkę, list i ojca, idzie odebrać.

– Halo?

W słuchawce szum i nic więcej.

– Halo?

Cisza. Serce wali jej jak młotem, głucho tłucze się w uszach.

– Kto tam?

Kark pokrywa się gęsią skórką. Cisza narasta, trzęsie ścianami. Miriam odrywa słuchawkę od ucha i odkłada na widełki. Dłoń kurczowo zaciska się na plastikowym uchwycie.

Idzie do łazienki zalanej blaskiem, tam puszcza wodę do wanny, dygocze spowita kłębamii pary. Złożona do grobu. Zamknięta w bryle lodu. W wannie, głęboko pod wodą, gęsia skórka znika, wyparzona. Myśli, pojedyncze kropelki, zbierają się, aby w końcu zalać ją falą powodziową.

Przebiera się w bawełnianą spódnicę z podszewką i pulower, po czym wraca do pokoju. Telefon dzwoni po raz kolejny. Powoli podnosi słuchawkę i przykłada do ucha.

– Halo?

– Miriam – odpowiada głos. Znajomy głos. Jego głos.

Axel.

Miriam szybko odkłada słuchawkę. Wpatruje się w gładki plastik wilgotny od uścisku jej spoczonej dłoni. Odłącza kabel od telefonu i staje nad stolikiem: lampa z szerokim abazurem, pudełko chusteczek, notatnik, a teraz telefon.

Uciszony.

Siada na starym fotelu, który przeżył już niejedną zmianę tapicerki i teraz ma obicie ze sztruksu. Jej drobne, szczupłe palce przeczesują runo tkaniny, w tę i z powrotem, zmieniając jej fakturę i kolor, z rdzawej czerwieni na bordowy.

Tam i z powrotem.

Fotel towarzyszył jej od lat, gdy się śmiała i płakała, gdy rozmawiała z ojcem albo mówiła do jego pleców.

Palce biegają coraz szybciej, paznokcie z miłym dla ucha chrzęstem orzą sztruksowe prążki. Dłonie zmieniają się w szponiaste łapy, a myśli krążą wokół listu ukrytego w pasiaku i osoby, która go napisała.

Jedyna skaza to ślubna obrączka, obwiedziony złotem otwór, który połyka palec, a potem go wypluwa, a do tego optycznie deformuje staw. Miriam przestaje skubać poręcz fotela i szarpie się z obrączką. Nie zdjęła jej nigdy, ani razu i sama myśl o tym każe jej teraz rozejrzeć się dookoła.

Tata leży na boku, śpi głębokim, spokojnym snem.

Przeciąga obrączkę przez staw palca serdecznego. Grube złote kółko spada ciężko na jej kolana. Błady pasek skóry, wystawiony na działanie żywiołów, wydaje się lśnić oślepiającą bielą. Miriam pociera świeżym naskórkiem o wargi.

Nie wie, co zrobić z obrączką, unosi ją w dwóch palcach, podciąga wysoko nogi i kładzie na kolanie, wbijając wzrok w pusty okrąg, linię, która nie ma końca.

Nagle brzęczy dzwonek domofonu. Podrywa się, obrączka koziółkuje po podłodze w kąt pokoju i mruga na nią stamtąd. Miriam podnosi ją i chowa do podszytej jedwabiem kieszeni granatowej spódnicy.

– Frieda – mamrocze ojciec, przebierając nogami jak śpiący pies.

Kiedy domofon cichnie, rozlega się pukanie do drzwi, a potem ludzki głos: ktoś woła przez szczelinę na listy. Miriam ledwie go słyszy, bo materac ciśnieniowy hałasuje, zresztą nie bardzo ją to obchodzi.

*To, że naprawdę może umrzeć i obrócić się w popiół, jest już dla niej nieistotne.*

Miriam to Frau Voigt, człowiek zredukowany do nazwiska, tak jak Eugenia została zredukowana do numeru. Ale ten pasiak i list – to oznacza, że mama też tam była.

Mamy już nie ma. Miriam o niczym nie wiedziała, a tata... Kim była Frieda?

Jest z tymi pytaniami całkiem sama.

– Za późno – mówi. – Spóźniłam się.

W żaden sposób nie poskłada już fragmentów przeszłości, o nic nie zapyta, nie zrozumie, nie pozna tych ludzi takimi, jacy byli naprawdę. Bo ten... ta sukienka zmieniła wszystko; wszystkie wspomnienia, wszystko, co wiedziała, uleciało.

Rozlega się łomotanie w drzwi i jakiś znajomy głos.

– Miriam!

Miriam wytacza się z pokoju, kuśtyka na sztywnych, lodowatych nogach.

– Hilda?

Otwiera drzwi, a Hilda po wejściu kieruje się prosto do sypialni, w przelocie delikatnie dotknąwszy jej ramienia.

– Wszystko w porządku?

– Ja tylko... zasnęłam – tłumaczy Miriam, ruszając za nią.

– Oczywiście. Ojciec chyba się wyspał. – Hilda spogląda w jego stronę. – Jak się czujemy, Herr Winter? Świetnie pan wygląda z rana.

Miriam przeciera oczy, a Hilda swoim kaczym krokiem podchodzi do łóżka.

– Zrobić ci herbaty? Czy może kawy?

– Kawy poproszę. – Hilda otwiera torbę.

Miriam stawia czajnik na gazie. Kiedy zaczyna piszczeć i pryskać wodą, zrywa się, aby zestawić go z palnika. Jak to możliwe, żeby tak błyskawicznie się zagotowało? Kawalek czasu przepadł na zawsze.

Pstryk i nie ma.

Zdejmuje czajnik z kuchenki.

– Spać. Muszę się tylko wyspać – mamrocze, zanurzając łyżeczką torebkę herbaty podskakującą w filizance.

– Pomóc ci? – Hilda staje w drzwiach kuchni, zdejmując rękawiczki i przygląda się, jak Miriam wyławia torebkę, posyłając przy tym fontannę herbaty prosto na blat. – Nie masz kawy? – pyta.

– Przepraszam, zagapiłam się. – Miriam zabiera filizankę i odwraca się do zlewu.

– Nic nie szkodzi. – Hilda wyciąga rękę, przechwytuje naczynie. – W sypialni już wszystko gotowe.

Wracają do ojca.

– Co u niego?

– Nie odzywa się, ale ogólnie w porządku. – Miriam obrzuca wzrokiem jego ciało, którego z dnia na dzień coraz bardziej ubywa. Niedaleko leży dywanikowa torba. – Gdzie sukienka? – pyta. – Położyłam ją w nogach.

– Tam – wskazuje Hilda.

Miriam podbiega do krzesła, unosi ją w obu rękach. Przyciska do piersi.

– Co to? – pyta Hilda.

– Chyba pasiak. – Po plecach Miriam przebiega dreszcz. – Ona też tam była – dodaje. – Oboje tam byli. Znalazłam go w szafie... a w środku zaszyty list.

– Jak się czujesz? – chce wiedzieć Hilda. – Powinnaś gdzieś się ruszyć, wyjść z domu. Przed południem mam na liście tylko twojego ojca, mogłabyś... – Wchodzą do salonu. W promieniach słońca unosi się zapach kurzu i pasty do drewna. – Patrz, jaki piękny poranek. – Na dowód rozsuwa zasłony, a potem jeszcze otwiera okno. Zapomniany pokój napełnia się światłem, a ją opadają nieproszone drobinki kurzu.

– Nie mogę go zostawić – mówi Miriam. – Tak wiele... Tak wiele przegapiłam. Tym razem już go nie opuszczę.

Hilda siada, kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Nie chcieli, żebyś o tym wiedziała. Gdyby było inaczej, sami by ci powiedzieli. Idź na ten spacer. Rozjaśni w głowie. – Zapala się do swojego pomysłu. – Idź, ja tu będę.

I chociaż Miriam całym sercem wolałaby zostać, zakłada buty, a potem daje się wbić w płaszc i wypchnąć za drzwi.

– Zobaczysz, że dobrze ci to zrobi. No, idź – zachęca Hilda. – My tutaj damy sobie radę.

Na ulicy panuje przenikliwy ziąb. Świat budzi się do życia, oddycha czystym powietrzem, chyba to niedziela, bo tak mało samochodów. Ziemia kręci się dalej. I Miriam też nie stoi, nogi same ją niosą.

Już bardzo dawno nie włączyła się tak bez celu, a każdy kolejny krok bardziej rozluźnia boleśnie przykurczone mięśnie. Na skrzyżowaniu Miriam skręca prosto w Dancklemannstraße, gdzie klasyczne berlińskie kamienice lśnią bielą w blasku poranka. Wszystkie sklepy i restauracje zamknięte, stojaki na rowery – puste. Mrugające oknami fasady łączą się w długi ciąg, niczym wagony toczącej się z mozołem kolejki. Miriam mija nieduży butik, włoską knajpkę, antykwariat z książkami i winylami. Z okien nad jej głową płynie zaspana jeszcze cisza.

Stawia kroki w rytm odległego stukotu kół pociągu, potem w rytm uderzeń swojego serca, ale zagubione myśli bez przerwy powtarzają słowa listu sprzed lat.

Padła w nim nazwa „Gleis 17”. Przypomina sobie zdjęcie z książki przeglądanej w bibliotece. Na zdjęciu peron i bydlęce wagony. Podpis: stacja Berlin-Grunewald, tor numer siedemnaście. Stamtąd wywozili ludzi do obozów. A wśród tych ludzi musieli być jej rodzice.

Niedaleko jeziora Lietzensee skręca w prawo, dochodząc do Sophie-Charlotten-Straße. Powraca w miejsce, gdzie wszystko się zaczęło. Bo nawet jeśli

ich rozdzielono, to nie zginęli, ocalili życie.

Dociera do dzielnicy Grunewald. Oddycha nierówno, serce łomocze jej głucho w piersi. W budynku dworca, zbudowanym z czerwonej cegły, zalega cisza, a kwiaciarnia jest zamknięta. W miejscu, gdzie z założenia ma panować ruch, brak hałasu działa na nerwy. Biała tablica z dużym czarnym napisem wskazuje drogę na peron, ten peron. Odetchnąwszy głęboko, Miriam rusza za strzałką.

## MIRIAM

Tory są kasztanowe od rdzy, zasypane liśćmi i kamieniami. Miriam przystaje na peronie, a wiatr zawodzi niczym żywa istota, chrypi, gwizdże i cicho mruczy pomiędzy drzewami. Nos i koniuszki uszu mrowią i pulsują. Miriam wpatruje się w dal, jak gdyby czekała na pociąg z przeszłości.

Trzy podkłady kolejowe ułożone jak popadło jeden na drugim i opatrzone tabliczką z brązu upamiętniają ludzi, których stąd wywieziono. Ile to już lat. Całe życie, myśli Miriam. Dłonie grabieją z zimna, czucie w stopach zamiera, a ona stoi dalej. Czeka.

Wiatr bawi się łydyżkami róż złożonych tutaj jako dowód pamięci. Ich płatki leżą teraz na dużych szarych brukowcach, razem z liśćmi, które opadły z drzew. Jeden płatek, niegdyś czerwony, dziś szerniały i pomarszczony, muska w przelocie buty Miriam. Kobieta pochyla się i podnosi z ziemi kamień. Nierówne krawędzie czuć wyraźnie pod palcem, a ciężar dodaje jej otuchy.

Miliony ludzi, wywiezionych, zamordowanych. Ci, którzy przychodzą tutaj z różami, chcą pamiętać, ale jej rodzice woleli zapomnieć. Dlaczego?

Kładzie kamień na pomniku z podkładów.

– Za mamę – mówi, a potem dokłada obok jeszcze jeden, tak żeby się stykały. – Za tatę.

Oni przeżyli. Jedni z nielicznych. Postanowili uwolnić się od przeszłości, ale skoro tak, to dlaczego mama przechowała ten pasiak? Miriam nie potrafi tego zrozumieć. Na niebie gromadzą się chmury, wiatr kręci powietrzem.

– Skoro chcieliście zapomnieć, czemu zatrzymałaś tę sukienkę? – szepcze, przykucnąwszy nisko, teraz oba kamienie ma na wysokości oczu.

Mocno zaciska wargi.

– I ten list. – Przecież mama nie знаła żadnej Eugenii. Po co jej był list, który tak naprawdę „nie należał” do niej?

Obrazy z przeszłości kłębią się jak dym poruszany wiatrem i nagle rozwiewają się w nicość, bo słyhać kroki. Miriam podnosi się, walcząc z odrętwieniem kończyn. Dwoje ludzi, każde w długim, ciemnym płaszczu i futrzanej czapce. Niosą kwiaty. Na ich widok Miriam kiwa głową i wtedy dopiero zauważa, że wszędzie leżą kamienie. Tyle kamieni, tak wielu ludzi. Dlaczego jej matka przechowywała pasiak z jednym jedynym listem?

W tym musi się coś kryć.

Przytupuje, aby rozgrzać stopy, i nagle czuje, że coś popycha ją do przodu, nadaje rozpędu. Zostawić miejsce zatopione w bursztynie pamięci i wrócić do domu, do tu i teraz, do taty i do pasiastej sukienki. Poznać ich losy. Zaczyna padać, oddech unosi się mgiełką tuż przed jej twarzą.

Niebo nad stacją tonie w szarości. Miriam jest cała mokra; zanim zdąży dotrzeć choćby do końca parkingu przed budynkiem dworca, woda cieknie z kaptura prosto na jej twarz. Na parkingu stoi jedna, samotna taksówka; już ma odjeżdżać, ale Miriam zatrzymuje ją gestem i wsiada.

Radio brzęczy, taksówkarz trajkocze, ogłuszona wesołkowatą kakofonią Miriam siedzi w milczeniu. Razi ją ten hałas, bo wciąż ma w uszach czystą, rzešką ciszę dworca Grunewald. Spokój i uszanowanie dla przeszłości wyrugowane tandetną muzyką.

– Dokąd, złotko? – pyta taksówkarz, przekrzywiając lusterko, żeby ją zobaczyć. Gdy Miriam podaje adres, rzuca jej się w oczy tłusty odcisk palca, który pozostał na szkle i rozprasza światło swoim niepowtarzalnym rysunkiem. Za oknami przepływają puste ulice, a ten znaczek wciąż przyciąga jej wzrok. Wycieraczki szorują po szybie, zasypując ją garściami kropel rozmigotanych niczym gwiazdy. Im bliżej domu, tym częściej Miriam zadaje sobie pytanie: gdzie jest Axel? Sama myśl o nim przyprawia ją o mdłości.

– Nie będzie ci przeszkadzać, jak dam głośniejszy radyjko?

Trajkoczący taksówkarz buzuje sztuczną radością.

Płaci i wysiada. Taksówkarz życzy Miriam wesołych świąt i rusza, zostawiwszy ją przed dużą, czteropiętrową kamienicą, ocienioną z obu stron wysokimi dębami, które sypią liście na brukowany chodnik. Białe światło drzwi wejściowych wskazuje zagubionemu statkowi drogę do domu.

Miriam wyjmuje klucz, otwiera i wchodzi do środka, po czym rusza schodami na górę. Futerko przy kapturze łaskocze mokrą twarz. Stara się iść jak



najszybciej, ale nogi nie nadążają, wlecze je za sobą, jakby po pas brodziła w wodzie.

Obróciwszy drugi klucz w zamku, popycha drzwi.

Czas przeskakuje jak klatki filmu w aparacie fotograficznym. Błysk. Pstryk. Dalej. Myśli kołują w głowie. W tle posykuje materac ciśnieniowy, cicho gra radio.

Miriam otwiera drzwi sypialni. Ojciec leży na swoim łóżku jak martwy.

Wchodzi dalej, pospiesznie, choć jeszcze nie jest pewna, ale zatrzymuje ją słodki zapach przejrzałych owoców, tym mocniejszy, że dopiero wróciła. Wrażenie jest takie, jakby wpadła na ścianę.

Pierś ojca unosi się, opada.

Miriam uśmiecha się do siedzącej na fotelu Hildy. Z radia płynie jakiś solowy koncert skrzypcowy, kaskady przejmujących, ostrych dźwięków przywodzą jej na myśl podróże i pożegnania.

– Pogoda się popsuła, co?

Miriam kiwa głową.

– Tak sobie pomyślałam... – Hilda wstaje z fotela. – Skoro przeprowadziłaś się tu na stałe, może umówisz się na spotkanie z lekarzem?

Miriam zdejmuje płaszcz i składa pocałunek na pergaminowej skórze ojca.

– Nic mi nie dolega – oznajmia stanowczo, ale szybko traci pewność siebie, bo coś jednak wytrąciło ją z równowagi. Rozsypała się gdzieś pomiędzy dążeniem niespodziewanie odnalezionym w kamieniach na peronie stacji Grunewald a chwilą obecną, po powrocie do mieszkania taty.

Hilda chowa okulary do torby.

– Moim zdaniem świetnie sobie radzisz, ale wiem, że to byłby błąd, gdybym nie zaproponowała pomocy, czy to lekarskiej, czy innego rodzaju. – Zamknąwszy torbę, wiesz ją na ramieniu. – Pomyśl o tym, dobrze?

Miriam spogląda na ojca, na jego lśniące czoło i różowe policzki. Samymi opuszkami gładzi go po wierzchu dłoni.

– Gdybyś zdecydowała się na takie rozwiązanie – dodaje Hilda.

Ognista kula frustracji wybucha w piersi Miriam z taką siłą, że jeszcze chwila i rzuci się na Hildę i ją rozszarpie na kawałki.

– Są różne placówki, hospicja, jeśli to dla ciebie zbyt trudne... To nie będzie źle świadczyć o tobie, po prostu...

Wewnętrzny ogień gaśnie z sykiem.

– Nie. Ja muszę. I chcę – tłumaczy Miriam błagalnie.

– W takim razie o siebie też powinnaś się zatroszczyć, żebyś mogła opiekować się ojcem. Umówię cię na wizytę. – Hilda całuje ją w oba policzki, jakby chciała w ten sposób przypieczętować obietnicę, i wychodzi.

Koncert skrzypcowy wciąż trwa. Miriam wyłącza radio, gaśnie harmonia dźwięków.

# HEINRICH

Wspomnienie Friedy w moim płaszczu, barwa północnej godziny. Wiem, że jeśli będę pamiętał, jeśli wytrwam... Szukam wspomnienia, które kiedyś utrzymywało mnie przy życiu.

Teraz też mi pomoże.

I natrafiam na nie pośród cieni, bez żadnego trudu, jakbym pytał siebie samego o nazwisko.

Yeats.

Obrazy sypią się jak krople deszczu z płaszcza, który po wejściu do mieszkania Friedy strzepnąłem i powiesiłem na drzwiach łazienki.

Spalili dzisiaj twoje książki. – Frieda podała mi filiżankę czarnej herbaty i przeczesała dłonią moje mokre włosy. Siedziałem na łóżku, które za dnia pełniło rolę sofy, ponieważ oprócz niego jedynym meblem był tutaj niski stolik. Pomalowane na różowo ściany pociemniały już, przyrudziały. Pomimo panującego chłodu wewnątrz emanowało ciepłem.

Znajdowało się na wschodniej ścianie kamienicy, w środkowej klatce. Miało tylko jedno okno, w łazience; brak dziennego światła oznaczał brak naturalnego ogrzewania.

– I ogłosili nagrodę za ciebie. Dziesięć tysięcy marek. – Usiadła na stoliku, naprzeciwko mnie, dmuchnęła w swoją filiżankę; obłoczek pary wzbił się w górę jak kłęb dymu. Była tak blisko, że prawie dotykaliśmy się kolanami. Prawie.

– Dziesięć tysięcy?

– Tak. A co, myślisz, że jesteś wart więcej? – Zaśmiała się.

– Nie. Gdyby dali więcej, sama byś na mnie doniosła.

– Nie mów tak.

Dotknąłem kolanem jej kolana, ale szybko się odsunęła.

– Moje książki... – powtórzyłem. – Wszystkie?

Bolało, choć na dobrą sprawę nie powinno.

– Nie przejmuj się, byłeś w doborowym gronie. Coś mi się wydaje, że jutro rano chmury będą pełne uczonych słów. Cały świat przeczyta, co napisałeś, wystarczy spojrzeć w niebo.

Wypiłem łyk herbaty i spuściłem głowę, zatrzymując wzrok na filiżance.

– O co chodzi? – zapytała.

– Wellsa i Freuda też palą. Po moich pracach nikt nie będzie rozpaczał.

– Oczywiście, że będzie. Spójrz na mnie. – Nie uniosłem oczu. Trąciła mnie kolanem i omal nie rozlałem zawartości filiżanki. – To tylko na pokaz, wiesz przecież. Książki przetrwają stosy.

Wtedy uniosłem głowę i spojrzałem jej prosto w oczy.

– Emilie może załatwić nam wyjazd z Berlina.

– Ach. – Zgarbiła się, oklapła. – Kiedy jedziecie?

– Ja nie wyjadę. Nie mogę.

– Musisz.

– Nie, nie zostawię cię samej.

– Masz własne życie. Z nią. Nie możesz postąpić inaczej – oznajmiła stanowczo, a po chwili milczenia dodała: – Czy ona wie?

– Powiedziałem jej prawdę, żeby mogła odejść ode mnie, jeśli zechce. Nie chce. Nazwała mnie naiwnym głupcem.

– Całkiem słusznie zresztą. – Frieda się uśmiechnęła. – Gdyby nie wiadome okoliczności, na pewno byśmy się zaprzyjaźniły. Zrobisz, co zechcesz, ale wiedz, że ja się z nią zgadzam. Tutaj nie masz już czego szukać.

– Friedo – powiedziałem, a ona uniosła wzrok. – I kto tutaj jest głupi?

Przechyliła głowę na bok, a ja myślałem tylko o tym, żeby musnąć palcami jej policzek i przygarnąć ją do siebie.

– Heinrich, wiesz, że muszę to powiedzieć: nie masz innego wyjścia. Musisz wyjechać.

– I co, lepiej ci już?

– Lepiej? Coś takiego! Mam się lepiej poczuć, prosząc cię: wyjedź, może już na zawsze, ze swoją żoną? Żyjcie długo i szczęśliwie, a ja zostanę tutaj sama?

– Więc czemu mi to mówisz?

Nasze twarze rozdzielała tylko cienka wstążka przejrzystej pary.

– Bo chyba powinieneś to usłyszeć – odparła. – Właśnie ode mnie.

– Dajesz mi swoją zgodę?

Przytaknęła.

– Gdybym potrzebował zgody, żeby wyjechać, to już by mnie tu nie było. Wiesz, że cała ta sprawa jest znacznie bardziej zagmatwana. – Postawiłem filiżankę na podłodze.

– Nasz kraj jest w ruinie – oznajmiła, ale gdy jej usta się poruszały, wyrzucając słowa, ja zajrzałem jej w oczy i nagle więź, która kiedyś połączyła nas bez słów, zapłonęła na nowo. Trudno określić, na czym polegała, wiem na pewno, że była w niej odrobinę krępująca świadomość wzajemnej obecności. Nie rozumiałem tego, wiedziałem jednak, że ta właśnie siła trzyma nas razem.

– Nie chodzi o nasz kraj ani o źle pojęty patriotyzm. Nie chcę wyjechać, bo nie umiem cię zostawić.

– Umiesz – odparła cicho, niemal szeptem. – Skoro ja potrafię, to ty też.

Uśmiechnąłem się.

– Umiem cię zostawić. Umiem – powtórzyła, tym razem chyba do siebie.

Pochyliłem się jeszcze bliżej, zsunąłem z łóżka i przykucnąłem przed nią. Jej gorący oddech owiał moją twarz.

– Kogo chcesz przekonać? – zapytałem.

– To tylko słowa – odparła.

– Wiem, ale... – Urwałem targany wewnętrznym konfliktem: pragnąłem ją pocałować i jej ustami wypowiedzieć swoje myśli, lecz zależało mi na tym, aby widzieć jej oczy, bo magia ich spojrzenia sprawiała mi czystą rozkosz. – Szczerze kocham Niemcy – powiedziałem z braku innych słów. – Stare Niemcy.

Uśmiechnęła się i cofnęła odrobinę, unosząc do ust filiżankę, którą po chwili postawiła na podłodze obok mojej.

– Jesteś zupełnie jak Yeats.

Taki miała zwyczaj: zbić mnie z tropu niejasną uwagą, której sens znała wyłącznie ona. Wymamrotałem coś niezrozumiałego, adorując wzrokiem kontur jej ramion, obrys pochylonej głowy, owal policzka.

– Mylisz miłość do ojczyzny z miłością do kobiety – wyjaśniła ze śmiechem.

Usiadłem z powrotem na łóżku.

– Potrafisz to wykazać?

– Weźmy *Ledę i łabędzia*. W tym wierszu gwałt zadaje się nie kobiecie, lecz krajowi. Yeats nade wszystko kocha Irlandię. Ten posepny skrawek ziemi, który dla niego jest domem. A ty stawiasz mnie sobie na drodze. Trzyma cię tutaj twoja miłość do Niemiec, nie do mnie.

Ująłem jej dłonie w swoje, potarłem kciukiem kostki. Powoli.

– Nie obrażaj mnie – poprosiłem.

– Podobno Yeats kochał kobiety, ale tak naprawdę ponad wszystko inne kochał ziemię ojczystą, ten pokonany kraj.

– Czy to źle?

– Nie, ja tylko twierdzę, że gdybyś zajrzał w głąb swojej duszy, zrozumiałbyś, że ja symbolizuję wszystko, co kojarzy ci się z Niemcami, to, co dobre, i to, co złe. – Odwróciła wzrok. – I dlatego musisz wyrzec się nas obu, razem.

– To prawda, ale ciebie się nie wyrzeknę, a kraj niech piekło pochłonie.

– To już się stało.

– No dobrze, skończyłaś? – Siedzieliśmy nos w nos i wiedziałem, że jeśli choćby drgnę, to stracę z nią kontakt wzrokowy i dalsza rozmowa potoczy się bez słów.

– Nie. – Cofnęła się. – Nie skończyłam.

– Proszę więc, mów dalej. Nie przeszkadzam. – Z powrotem położyłem dłoń na jej dłoni, przyciągnąłem ją bliżej, moje nogi splątały się z jej nogami.

– *Najlepszym brak przekonań, gdy...* – zaczęła.

– *Gdy najgorsi są pełni intensywnej pasji*<sup>3</sup> – dokończyłem, pocierając kciukiem jej nadgarstek.

– Właśnie. To pokazuje, jacy są ludzie.

– Chcesz powiedzieć, że brak mi pasji?

– Nie. Brak ci przekonań.

– Doprawdy? – Mówiąc, czułem, jak jej usta dotykają moich, spoczywają na nich piórkową wagą oczekiwania. Tylko że traciłem z oczu jej oczy, a jeszcze nigdy nie lśniły tak jasno i nie były takie zielone. – Yeats przedstawia człowieczeństwo, pokazuje, jaki jest człowiek, a nie to, jacy są ludzie.

– No cóż, jak doskonale wiesz... – Ujęła mnie pod brodę, zmuszając do uniesienia oczu utkwionych w kosmyku włosów, który opadł jej na ramię. – Mnie ani intensywnej pasji, ani przekonań nie brakuje. – Uśmiechnęła się.

– Ty... – powiedziałem. – Ty jesteś wyjątkiem od zasady.

Przywarła do mnie całym ciałem i pocałowała mnie. Dowiodła swojej racji, zezwalając moim dłoniom, aby ruszyły w dalszą wędrówkę szlakiem jej ciała.

I tak trwała rozmowa naszych ciał, od wysiłku do wytchnienia, a my nie rozdzieliliśmy się.

<sup>3</sup> *Drugie przyjscie.*

# MIRIAM

Siada obok cicho pochrupującego ojca i układa na kolanach wyciągnięty z szafy pasiak. Tomik Yeatsa, *...gdy wszystko legnie w gruzach znów*<sup>4</sup>. Brutalna rzeczywistość upadku muru berlińskiego, jej odejście od męża, choć zakrawało na niemożliwość, a potem jeszcze... puste twarze ofiar Holokaustu, które należy „wykuć w kamieniu”, ocalić od zapomnienia. Rozkłada w dłoniach list.

A może ten pasiak nie należał do mamy? Iskierka nadziei tli się w mroku, każe przeczytać list ponownie. Miriam nie wie nawet, gdzie szukać miasta o nazwie Lublin.

Przesuwa rękami po szorstkim drelichu, kładzie każdy palec na osobnym pasku, jak pianistka na klawiszach fortepianu. Kciuk, wskazujący, wielki, serdeczny – no tak, już bez obrączki – i mały, a potem jeszcze raz po kolei, tylko wstecz. Odślonięta, pomarszczona skóra na serdecznym palcu błyszczy bielą w świetle lampy służącej ojcu.

Spacerując palcami po paskach, Miriam dociera do kieszeni. W miejscu, gdzie znalazła list, sterczy nitka. Chcąc ją schować, wsuwa palec do środka, maca dookoła. To jeszcze nie koniec, na pewno.

Odnajduje w nadprutej kieszeni tylko fakturę tkaniny, odór udręki wsiąka pomiędzy linie papilarne.

<sup>4</sup> *When all is ruin once again (Gdy wszystko legnie w gruzach znów*, przeł. M. Juskiewicz) – ostatni wers wiersza epitafium W.B. Yeatsa *To Be Carved on a Stone at Thoor Ballylee (Wykuć w kamieniu na ścianie Thoor Ballylee)*, zamykającego tom *Michael Robartes i tancerka*.

## HEINRICH

Frieda oderwała się ode mnie, zanim ja zdążyłem to zrobić. Chyba czuła, że musi, ostatecznie to zawsze ja odchodziłem od niej, nie na odwrót. Napiliśmy się wody.

– Musisz już iść. Niedługo godzina policyjna – mruknęła.

– Zostanę... – zaproponowałem, bez przekonania.

– To niemożliwe, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Ubrała się leniwymi ruchami. Bluzki nie zapięła, a tylko wsunęła za pasek spódnicy. Pod spodem nie miała nic.

Objąłem ją od tyłu, zanurzyłem nos w jej włosach.

– W innym świecie... – powiedziałem.

– W innym życiu... – westchnęła. – Wiesz, który wers z tego wiersza Yeatsa najbardziej zapadł mi w pamięć?

Potrząsnąłem głową, jeszcze głębiej chowając twarz w jej włosach.

– *Gubi się pradawny obrzęd niewinności.*

– *Topi się* – poprawiłem, odsłaniając jej kark i składając na nim pocałunek.

– *Topi się pradawny obrzęd niewinności*<sup>5</sup> – powtórzyła.

Skinąłem głową, dmuchając lekko na jej skórę, wilgotną od dotyku moich ust.

– *Topi się pradawny obrzęd niewinności* – wyrecytowała jeszcze raz. – Jakie to prawdziwe.

– Muszę iść.

– Musisz. – Odwróciła głowę, abym mógł jeszcze raz ją pocałować.

<sup>5</sup> *Drugie przyjscie.*



# MIRIAM

W zapadającym zmroku czuć zapach sukienki z grubego drelichu. Miriam jest świadoma porażki, ale i tak obmacuje kieszeń na wszystkie strony, chcąc znaleźć coś, cokolwiek, co wyjaśni, skąd wziął się u mamy obozowy pasiak, a w nim – jeden list, którego treść nic jej nie mówi. Nie przypomina sobie też, aby rodzice kiedyś wspominali choćby słowem o tym pasiaku i liście. W końcu ogarnia ją zniechęcenie i wtedy właśnie palce natrafiają na drugą kieszonkę, wewnątrz tamtej. A w środku wyraźnie czuć papier.

Siada prosto, próbuje chwycić go kciukiem i palcem wskazującym, ale nic z tego.

– Tu jest coś jeszcze – mówi do ojca i idzie po nożyczki, odłożone do pudełka, w którym mama trzymała przybory krawieckie. Tym razem mocno zamyka je w dłoni i zabiera do sypialni.

Pochyliwszy się nad sukienką, drżącymi dłońmi rozcina szew i szeroko otwiera kieszeń, by z wewnętrznej kieszonki wydobyć trzy kartki złożone do rozmiarów pudełka zapalek.

– Znalazłam coś jeszcze – powtarza, kładąc nożyczki na odchylonej na bok kieszeni. Ostrożnie rozkłada papier.

Pierwsza cienka kartka ma wielkość kieszonkowej książki i oderwany róg. Po obu stronach pokrywają ją rzędy zdań pisanych ołówkiem. Litery są maleńkie, filigranowe.

Cały list jest chyba w obcym języku. Po francusku.

Miriam rozkłada drugą kartkę, najcieńszą, jaką w życiu widziała.

– Czy to ty pisałeś? – pyta, ale nic nie wskazuje na to, że ojciec ją słyszy. Litery są zbyt małe, żeby dało się przejrzeć tekst pobieżnie, ale ten list też jest po francusku: iskierka nadziei wybucha płomieniem.

Mama. Mówiła tylko po niemiecku, obcych języków nie znała nawet w piśmie. Te listy nie są do niej, a co więcej, myśli Miriam z ulgą, nie mogą też być od niej. Skoro nie mama, to kto?

Włącza górne światło i siada pod mocną lampą przy łóżku. Trzecia kartka jest nie większa niż portfel, też zapisana z obu stron. Miriam przygląda się uważnie; list jest po niemiecku.

*Heinrichu,*

*żyję. Tak mi się w każdym razie zdaje. Jeśli umarłam, to gorszego piekła już nie ma. Widziałam Cię – wiem, że to byłeś Ty – na peronie, kiedy wpychali mnie do wagonu. Było ciasno, ale weszło nas tam ponad dwadzieścia osób, a sześć umarło, jeszcze zanim pociąg ruszył. Zauważyłam jednak Twoją wydatną szczękę, gdy się odwróciłeś; zaciśnięte zęby zdradzały strach.*

*Pamiętam, jak złożyłam głowę na Twym ramieniu, koniuszkiem nosa dotykając tego wrażliwego skrawka skóry tuż pod samym uchem. Zapach w tym miejscu, w tym maleńkim punkcie, ukryty przed całym światem, był mój i tylko mój. Wspomnienie o nim przynosi nutę tytoniowego dymu i melodię słów, które czytałeś mi na głos. Gdy patrzyłam, rozglądałeś się dookoła – chciałabym myśleć, że to mnie szukałeś, możliwe jednak, że za bardzo się bałeś, aby mnie szukać.*

*Moje serce jest zamknięte w bryle lodu, który nie stopnieje, dopóki Cię znów nie zobaczę. Przeczucie mówi mi, że żyjesz; wiem, że jesteś silny i zdolny wiele znieść.*

*W powietrzu czuć sól, oczyma duszy widzę fale, piasek. Tutaj nie ma odrobiny wolnego miejsca. Ludzie otaczają mnie ze wszystkich stron, leżą pod nogami, stoją obok, a jeśli stracę równowagę, lecą prosto na mnie. Oddycham powietrzem przerobionym przez innych.*

*Brak mi słów, aby opisać to, co widzę. Myślę tylko o tym, że Ty trafiłeś lepiej, że nie cierpisz. Lepiej nie dopuszczać do siebie myśli, że Ty także podróżujesz w takich warunkach.*

*Postaram się dowiedzieć, co się stało. Nikt mnie tu chyba nie słyszy ani nie rozumie. Ludzie tłoczą się dookoła bez celu, każdy zamknięty we własnym świecie pełnym cierpienia i pustki, każdy stara się przystosować do nowych, nieznanych reguł.*

*Kiedy będę już wiedzieć, gdzie jestem, postaram się do Ciebie napisać.*

*Przepraszam Cię.*

Miriam odkłada list. Niedawno wróciła z dworca, z tego samego peronu, na którym był też jej ojciec.

– Ten list jest do ciebie – mówi.

Ale on nie odpowiada.

– Od kogo to? Po niemiecku, więc może od mamy?

Ale list został pisany tą samą ręką co pierwszy. Miriam składa oba razem i bierze do ręki następny. Niczego nie rozumie. Znow po francusku. Ten sam charakter pisma.

– Czy od Friedy? – wymawia to imię ostrożnie. Ojciec nie reaguje.

Wie, że nie powinna pozwalać sobie na nadzieję, ale jednak... Gdyby miał po co żyć, gdyby znalazła mu coś takiego, może by się ocknął.

W głowie aż huczy od pytań, ale ręce same sięgają po nożyczki. Zabiera pasiak oraz torbę ze schowanym w środku prześcieradłem, wynosi do jadalni. Zdjąwszy ze stołu podkładki, świeczniki i bieżnik, rozkłada na blacie najpierw prześcieradło, a potem obozową sukienkę. Włącza wszystkie światła i zaczyna obmacywać kołnierzyk i rękawy.

Rozemocjonowana jak małe dziecko.

Obmacuje każdy szew, starając się nie zwracać uwagi na swoje poranione, pokryte strupami dłonie. Rozpina guziki i wsuwa jedną dłoń do środka, nakrywa od góry drugą; okazuje się, że szwy są twarde, wypukłe, jakby czymś wypchane.

– Tu jest coś jeszcze.

Obrzuca spojrzeniem sukienkę, rozłożoną, obnażoną, podobną do zwłok oczekujących na sekcję. Rozciąwszy szew kołnierzyka, wydobywa ze środka kartkę i odkłada na bok. Po chwili dołączają do niej następne. Cały kołnierzyk jest wypchany papierem.

Rozpruwa po kolei wszystkie szwy. Każdą znaną kartkę odkłada na bok i dalej tnie nitki, wyjmując z ukrycia list za listem. Po godzinie pracy zbiera się okazały stosik: listy były w górnej części, w pasku, rękawach i w każdym obrębieniu.

Ta praca to odkrywanie przeszłości.

Wypruwanie starych słów. Rozdrapywanie dawnych ran.

Stęchły odór bijący z tkaniny zalepia jej nozdrza, głowa puchnie, jakby ktoś ją owinął tym starym drelichem.

Miriam spogląda na stos wydobytych z ukrycia kartek. Jest ich wiele. Jedne duże, inne to skrawki papieru nie dłuższe od kciuka. Na niektórych jest tekst, drukowany albo pisany na maszynie, zdarzają się listy na marginesach stronic

wyrwanych z książek. Jeden z nich znalazł się na odwrocie karty z nutami. Większość złożono kilka razy. Niektóre zwinięto w rolkę cienką jak najmniejszy palec.

Upewnia się, że to już wszystko, co było ukryte w pasiaku, rozkłada i liczy kartki. Bierze każdą do ręki. Listów po francusku jest tyle, że powstają z nich dwa osobne stosiki. Znalazłszy jeden po niemiecku, unosi go do światła.

*Heinrichu,*

*ten list jest do Ciebie, ale także do mnie. Bo wiem, że jeśli nie będę pisać, to zniknę w tłumie.*

*Serce mi pęka – nie wiem, czy Ciebie traktują lepiej, ale obawiam się najgorszego. Niczym na to nie zasłużyłeś. Nie wiem, czy żyjesz, nie wiem, czy cierpisz, czy nie. Na myśl o tym, że możesz cierpieć, przeszywa mnie tysiąc igieł i boli to znacznie bardziej niż ukąszenia nieznośnych wszy.*

*Może w ogóle nie trafiłeś do pociągu, może to nie Ciebie widziałam, może uciekłeś, wróciłeś do Emilie i teraz jesteście razem, szczęśliwi. Może udało Ci się wyjechać za granicę, może...*

Zdanie urywa się, niedokończone.

*Emilie.* Widząc w liście imię mamy, Miriam czuje, jak serce wyrywa się jej z piersi i wzlatuje pod niebiosa. A więc mamy tam nie było, na pewno. *Uciekłeś. Razem, szczęśliwi...* Świat wiruje, przyspiesza, jakby miał zaraz pomknąć w wybranym przez siebie kierunku. Ale zaraz, przecież tata ma numer na ręce. Czyli nie mógł uciec. Miriam czyta dalej. Ten fragment jest napisany piórem, tusz poszarzał już dawno.

*Gdy myślę o was razem, przepęłnia mnie nadzieja, ale też serce mi krwawi ze strachu, że mnie już nie wspominasz, nie pragniesz. Bo jestem tutaj, a Ty jesteś szczęśliwy. Katuję się tymi myślami, a obóz katuje moje ciało i mojego ducha.*

*Tamtego dnia poszłam do rodziców, chociaż wiedziałam, że to zły pomysł. Potem pobiegłam do Was. Aby uciec, musieliście mieć coś na wymianę. Bałam się tego, co nadchodzi. Pierścionek i brylanty, które ukradłam mamie, miały umożliwić wam wyjazd.*

*Wyjedziesz, myślałam, i już Cię nie zobaczę, nie będę Ci potrzebna. Będiesz bezpieczny, ale nie ze mną. Zostanę sama. Nogi niosły mnie do Ciebie, a ja nasłuchiwałam z trwogą marszowego tupotu ciężkich butów, wiedząc, że tak czy inaczej czeka nas rozstanie.*

*Nie umiem powiedzieć, czy celowo zwlekałam, wolę myśleć, że nie, ale może jednak tak było. Zasiedziałam się u mamy, uwięziona za szybami, gdy tymczasem teraz moje więzienie to ceglany mur, płoty pod prądem i kolczaste druty.*

*Zastanawiam się, czy gdyby nie wojna, byłaby dla nas szansa.*

*Czy ta wojna nas stworzyła, czy zniszczyła?*

*Zapukałam do drzwi, a Ty nie otworzyłeś od razu. Przeraziłam się, że już za późno, że wilki odnalazły Twój dom po moich śladach. Ale potem w drzwiach stanęła Emilie. Kazała mi odejść. Kipiałam zazdrością, podsycaną smutkiem i pustką po stracie; zazdrościłam jej urody, prostoty, a najbardziej tego, że miała Ciebie pierwsza. Naparłszy ramieniem na drzwi, wepchnęłam ją do środka.*

*Staliśmy tak wszyscy, w pośpiechu płytkich oddechów. Niesamowite, jak cicha może być czysta furia.*

*Położyłam brylanty na dłoni Emilie. Tak wiele chciałam jej przekazać, lecz ona spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym przysłała ją okraść.*

*– Wyjędź. – Tylko tyle zdołałam wykrztusić w tych niewysłowionych emocjach. Bałam się, że źle to zrozumiała, na opak, ale ona, widząc, że patrzę na Ciebie, zabrała klejnoty i zniknęła. Wiedziała, o co mi chodzi. Jestem pewna, że jej radość dorównywała mojej rozpacz.*

*A potem ktoś zapukał do drzwi.*

Tego listu nie napisała mama. Serce Miriam przepełnia ulga i radość. Może mamie jednak udało się uciec? Tylko że sam fakt istnienia tych listów i pasiaka to dowód, że inna kobieta kochała tatę, kiedy był z mamą, a mama jakimś sposobem weszła w posiadanie obozowego stroju. Ta świadomość uderza do głowy, podcina kolana.

Co ja znalazłam? myśli Miriam. I czy mama w ogóle o tym wiedziała?

Jej wzrok przyciąga fotografia stojąca na kominku, duży ślubny portret rodziców w srebrnej ramce. Stoją pod ramię przed kościołem Zbawiciela i wyglądają na szczęśliwych. Teraz ten kościół na pewno popadł w ruinę, bo znalazł się na ziemi niczyjej pomiędzy Wschodem a Zachodem. Miriam też

chciała wziąć tam ślub, tak jak oni, ale był niedostępny – z jednej strony płynęła rzeka, a z drugiej ciągnął się pas śmierci. Wybrała więc inny, mniejszy, na peryferiach miasta.

Kościół Zbawiciela był piękny, miał liczne kolumny i łukowato sklepione wejścia. Stał nad brzegiem rzeki, podobny do statku, który osiadł na mieliźnie.

Czy wszystko, w co wierzyła, było kłamstwem?

Miriam zdejmuje zdjęcie w srebrnej ramce z kominka i zabiera je razem z listami do sypialni. Ojciec oddycha nierówno, lekko drżą mu dłonie i ramiona.

– Nie zostawiaj mnie, tato. Znalazłam listy. Pisane do ciebie, ale...

Nie mając mu nic więcej do przekazania, chwytą pospiesznie kolejny list, trójkątny kawałek pożółkłego papieru, wyrwany z większego notatnika.

*Heinrichu, jestem w Ravensbrück...*

– Ravensbrück – powtarza na głos. Kilka razy, by się przekonać, czy zareaguje. Następnie spogląda na kartkę i czyta dalej.

*Sól w powietrzu pochodzi z jeziora, nie z morza, jak wcześniej myślałam. Jestem pewna, że w dzieciństwie przyjeżdżałam na wakacje w te strony, do Fürstenbergu. Na wzgórzu, skąd widać to miasto, znajduje się grób Louisy. Odkąd wiem, gdzie dokładnie się znalazłam, jakoś mi lepiej, chociaż z tego miejsca nie ma ucieczki. Trudno oprzeć się poczuciu, że stąd wszędzie jest bardzo daleko. Kobiety w obozie są chłodne i surowe. Zamknęły się w sobie, żeby przeżyć. Zdaję sobie z tego sprawę, ale sama nie mogę tego zrobić; jeśli stracę ducha, nic mi już nie zostanie.*

*Na pasiaku mam naszyty czerwony trójkąt, co oznacza więźnia politycznego. Mam też nawet czerwony krzyż, dwa pasy farby na plecach starego płaszcza z przydziału. Ani pasiak, ani płaszcz nie pasują. Nie mam pojęcia, dlaczego nie mogłam zatrzymać własnego ubrania.*

*Czuję się jak żywy cel. Tutaj mogą zabić bez powodu i bez ostrzeżenia.*

*Jakąś kobietę, trochę tylko starszą ode mnie, pogryzł dzisiaj pies blokowej, tak bardzo, że blokowa ją zabiła. Strzeliła jej w głowę, jak gdyby nigdy nic. Ta kobieta robiła dokładnie to samo co ja.*

*Nie potrafię tego zrozumieć.*

*Nie znam nawet jej nazwiska i nikt go już nie pozna.*

– Bestialstwo – mówi Miriam do śpiącego ojca, po czym jeszcze raz czyta ostatnie dwa zdania. – Kto to pisał?

Odkłada listy razem z tymi czterema, które była w stanie przeczytać. Krąży po pokoju, przystając nad nimi od czasu do czasu. Ruch pomaga jej się skupić.

– Pisała je kobieta... Czy to była Frieda? – Tym razem nie przepełnia jej radość, bo nie rozumie: kto, jak, dlaczego. Myśli bezładnie kotłują się w głowie, jeszcze bardziej pomieszane, jeszcze więcej w nich wątpliwości.

– „Żywy cel” – czyta na głos. – „Więzień polityczny”. – I przypomina się jej, jak w telewizji pokazywali mieszkańców Berlina Wschodniego zastrzelonych za próbę przedostania się za mur. Tak Niemiecka Republika Demokratyczna mordowała własne dzieci.

Cena wolności.

A moja wolność, myśli Miriam. Jaka ma być jej cena?

Przegląda listy, aż palce rwą bólem, a w głowie huczy. W końcu wraca na fotel, kładzie na kolanach stos papieru.

Do tego, co napisano po francusku, nie zajrzała przez całą noc. Wpatruje się w te kartki, jakby mogła jakimś sposobem przemienić obcy język w ojczysty niemiecki albo sprawić, że do rana będzie umiała to wszystko przeczytać. Czy napisała je ta sama osoba?

Myśli o listach kłębią jej się w głowie, a przeszłość stapia się z teraźniejszością w jeden nieczytelny zlepek.

## MIRIAM

Śni jej się mama, coraz starsza, coraz słabsza. Przybywa jej lat, a ubywa sił, aż wreszcie skóra, cienka niczym bibuła, zaczyna się łuszczyć i opada, jak kartki garściami rzucane na wiatr. Mama znika, rozplywa się w ich wirze. Z kartek sypią się słowa, a potem pojedyncze litery. Miriam chce je pochwycić, ułożyć mamę z powrotem w jedną całość, ale to niemożliwe.

Budzi się, otwiera oczy. Lepiej ich już nie zamykać, nie puszczać sennych obrazów na żywioł, dlatego wpatruje się w blask grudniowego poranka przebijający się przez okno. Słyszając pierwsze samochody i dychawiczną śmieciarkę toczącą się z łoskotem po ulicach, Miriam wstaje z łóżka, aby zacząć dzień.

Rozwiązać te zagadki.

Trzeba się z tym pospieszyć, bo inaczej będzie za późno. On wie, gdzie jej szukać. To tylko kwestia czasu, a odwrotu już nie ma. Zawinąwszy listy pisane po francusku w chusteczkę do nosa, chowa je starannie do torby.

– Kocham cię, tato. – Wzruszenie dławi ją w gardle. – Niedługo wrócę. Obiecuję.

Zamiast jechać autobusem, łapie taksówkę, więc na miejsce dociera jeszcze przed otwarciem biblioteki. Jako jedna z pierwszych staje w dużych, dwuskrzydłowych drzwiach i towarzyszy jej jedna myśl: potrzebny mi słownik.

Zasiada przy stoliku, olbrzymi słownik francusko-niemiecki kładzie przed sobą. Wyjmuje z chusteczki jeden list, a resztę zawija z powrotem. I zaczyna od początku: zapisać słowo, sprawdzić znaczenie, potem następne i tak dalej.



Tłumaczenie jednego zdania trwa całe wieki. A czas nie działa bynajmniej na jej korzyść.

W czytelnicy jest prawie całkiem pusto, słychać, jak kilka osób rozmawia, ale nie ma studentów, nie szeleszczą przewracane strony, nie skrzypią ołówki.

Miriam odkłada słownik z powrotem na półkę, zabiera listy i idzie do stanowiska bibliotekarza. Za stołem tkwi młody człowiek w okularach, z drugą parą szkieł wiszącą na szyi. Pracowicie przerzuca papiery.

– Dzień dobry, czy mógłby mi pan pomóc? – pyta Miriam.

– Pewnie bym mógł – odpowiada, nie unosząc głowy. – Czego pani szuka?

– Szukam kogoś, kto przełoży kilka listów z francuskiego.

Bibliotekarz unosi wzrok.

– Francuskie słowniki są tam. – Pokazuje palcem w kierunku, z którego przyszła.

– Wiem, ale potrzebny mi ktoś, kto zna ten język i zechciałby pomóc.

– To jest biblioteka. Ja się zajmuję książkami, a nie pośrednictwem pracy – oznajmia młodzieniec i pokazawszy jej plecy, zaczyna szeleścić papierami na drugim końcu stołu.

Nagle ktoś delikatnie kładzie jej dłoń na ramieniu. Miriam odwraca się gwałtownie, upuszczając list.

– Przepraszam. – Stojący za nią mężczyzna podnosi kartkę z podłogi i podaje ją Miriam, która cofa się tak daleko, że wpada na stół bibliotekarza. – Proszę.

– Dziękuję.

– Zauważyłem tam panią z tym wielkim słownikiem. – Pokazuje ręką stolik. – Ma pani jakiś problem i ten *Schmutz*<sup>6</sup> nie wie, jak pomóc?

Bibliotekarz prycha z irytacją, ale nie przerywa układania papierów.

– Nie... – zaczyna Miriam. – To znaczy tak, bo... – Urywa.

Mężczyzna ma duże oczy i wydatne wargi. Chce być miły, myśli Miriam, nie wiedząc, co powiedzieć. Czasem trudno znaleźć słowa, ale rzuca kilka na próbę, chcąc zobaczyć, co się stanie, a wtedy płyną z jej ust nieprzerwanym potokiem.

– Mam list, który ktoś kiedyś napisał do mojego ojca. Ojciec umiera, a mama... już wcześniej, więc to... – Pokazuje list. – Po prostu chcę zrozumieć, ale nie znam francuskiego. Tata znał, ale... I nie mam czasu, żeby szukać słowo po słowie...

Mężczyzna uśmiecha się łagodnie.

– Współczuję z powodu... ojca? – kończy pytającym tonem i wtedy Miriam dostrzega dwa duże aparaty słuchowe, które wypychają jego małżowiny nieco do przodu. – Niedosłyszę. – Wskazuje słabsze ucho. – Więc trochę mi umknęło.

Miriam, zakłopotana, kładzie dłoń na ustach, ale szybko uświadamia sobie, że on właśnie musi je widzieć.

– Czyli szuka pani kogoś, kto mówi po francusku, do pomocy z tym listem?

Miriam kiwa głową.

– Moja *Nonna* zna francuski.

– To bardzo miło z pana strony, ale... – Protesty nie docierają do adresata.

– *Nonna* i *Opa*<sup>7</sup> urodzili się w Strasburgu nad Renem, wie pani, gdzie to? Pięknie tam jest. Pojechaliśmy kiedyś do Strasburga, dawno temu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem, ale *Nonna*... To bardzo smutna historia. – Mężczyzna bierze Miriam pod łokieć. – Mieszkali razem na wschodzie Niemiec. Kiedy budowano mur, *Opa* ciężko chorował, więc została z nim. – Nie przerywając monologu, prowadzi ją kręconymi schodami dwa poziomy wyżej. – *Nonna* lubi siedzieć w tak zwanej czytelnicy, ale tutaj trzeba być cicho. – Miriam uśmiecha się, bo powiedział to na cały głos. – Dobrze jej robi, jeśli się czymś zajmie, kiedy muru już... wie pani, no... Chyba źle to zniosła. Ja i moja mama staramy się jej pomagać, ale za długo była sama. Zaczęła męczyć pracowników biblioteki, że skradzione książki trzeba zwrócić właścicielom, uważa, że te zbiory powstały za sprawą faszyzmu, a miejsce tych książek jest gdzie indziej. Przegrana sprawa, jeśli mam być szczery... Ich właściciele pewnie już dawno nie żyją. Śmierć dziadka to był dla niej duży szok...

Miriam chce powiedzieć, że bardzo współczuje, lecz nagle dostrzega Evę, kobietę z autobusu. Eva siedzi przy tym samym dużym, okrągłym stoliku, przy którym ona siedziała w zeszłym tygodniu. Ma na sobie granatowy sweter zapinany na guziki, a pod nim czerwony T-shirt. Do tego beżowe spodnie i ciężkie czarne buty, wysokie aż do łydki. Opuściwszy głowę, tak że włosy częściowo zasłaniają twarz, ogląda coś przez szkło powiększające.

– To jest *Nonna* – oznajmia triumfalnie towarzysz Miriam, stając razem z nią nad stolikiem. Nad blacie leżą fotografie i dwie gazety. Eva, zatopiona w pracy, nie unosi nawet głowy.

– *Nonna* – powtarza mężczyzna, zwracając się wprost do niej. – Ta pani potrzebuje pomocy z tłumaczeniem listu. Mówi, że jest po francusku.

– Jens – burczy Eva z rozdrażnieniem. – Jestem zajęta.

– Wiem, ale to zajmie chwilę, a możesz komuś pomóc – odpowiada rozpromieniony Jens, niezrażony jej reakcją.

– Dzień dobry – odzywa się niepewnie Miriam.

– To ja panie zostawię. – Mężczyzna poklepuje babcię po ramieniu i unosi dłoń z wyprostowanym kciukiem. – Powodzenia.

Eva wzdycha ciężko i odrywa się od swoich zdjęć.

– Ja panią znam. – Mruży oczy, słowa wręcz jeżą się jej w ustach.

– Tak, poznałyśmy się przed kilkoma dniami, tutaj, w bib...

– Miriam, zgadza się?

Miriam przytakuje.

– Dziwne, tak wpaść na siebie dwa razy. – Eva prostuje się, mierzy ją wzrokiem, określenie „dziwne” ma nieprzyjazny wydźwięk.

Miriam czeka, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie wierzę w przypadki – oznajmia Eva. – Kto panią przysłał?

– Och nie, nikt. Pani wnuk...

– Jaki wnuk?

– Jens? – Miriam odwraca się w stronę, gdzie przed chwilą stał jej towarzysz.

Eva kiwa głową.

– Jens to... – Pochyliła się, opierając łokcie na stole. – Wtedy w autobusie opowiadała mi pani o swoim ojcu.

– Tak. I bardzo pani dziękuję za pomoc.

Eva wzdycha.

– Znalazłam potem różne listy, których nie mogę niestety przeczytać, bo są po francusku. Jens powiedział, że mogłaby je pani przetłumaczyć. Oczywiście zapłacę.

– Ile? – Eva wpatruje się w nią, a Miriam czuje kropelki potu na górnej wardze.

– Hm... No, tych listów jest sporo.

– Ile?

– Około dwudziestu...

– Pięć dych – ucina Eva, nie mrugnawszy okiem. – Pięćdziesiąt marek. Zachodnich.

Miriam podaje jej list, który cały czas trzymała w dłoni, a nie doczekawszy się reakcji, kładzie go na stole i sięga do torebki, z której wyjmuje zawiniętą w chusteczkę mamę połowę „francuskich” listów z pasiaka.

– W domu zostało mniej więcej drugie tyle. Ile czasu pani potrzebuje?

– Jens mówił, zdaje się, że nie mam nic do roboty?

Miriam się uśmiecha.

– Wyrobię się w kilka dni. Czy ma być szybciej?

– Mój ojciec... – Miriam zawiesza głos. – Jest już stary. Wydaje mi się, że w tych listach jest coś, czego od dawna szukał.

– Dobrze. Przetłumaczę je dla pani. Proszę mi podać swój adres. – Eva podsuwa jej czystą kartkę i ołówek.

Miriam pochyla się i drżącą dłonią zapisuje adres mieszkania ojca.

– A nazwisko? – chce wiedzieć Eva.

– Voigt – odpowiada Miriam i dopisuje pod spodem nazwisko, a następnie sięga z powrotem do torebki, by wyjąć dwa banknoty dziesięciomarkowe. – Resztę dam pani... – zaczyna, ale Eva zbywa ją machnięciem dłoni.

– Proszę przyjść tutaj w środę. I przynieść resztę listów. Część będzie już gotowa.

– Dziękuję.

Odpowiedzi znów nie ma; Eva sięga po szkło powiększające i wraca do zdjęć. Listy leżą na brzegu stołu, a Miriam uświadamia sobie, że trudno jej odejść i zostawić je tutaj. To wszystko wydarzyło się tak niespodziewanie. Może jednak powinna je zabrać? Ale co jej z nich przyjdzie, skoro nie zna francuskiego?

Na stole w sypialni taty czeka druga partia listów, tych po niemiecku, zrozumiałych dla niej. Miriam postanawia wrócić i zgłębiać temat z tej strony.

Zanim postawi nogę na pierwszym stopniu schodów, ogląda się za siebie. Eva właśnie odchyła róg chusteczki. Miriam wzdycha głęboko i schodzi na dół, do holu, po drodze mija Jensa, który rozmawia z jakimś młodym chłopakiem, ale na jej widok wstaje i podchodzi.

– Zgodziła się pani pomóc? – pyta.

Miriam kiwa głową.

– Dziękuję. Wie pan, że przez całe życie nie znałam żadnego socjalisty? Ona jest całkiem... – Ale jakoś trudno jej znaleźć odpowiednie słowo.

– *Nonna* socjalistką? Nic z tych rzeczy. To takie wschodnie zwyczaje. Przyjechała tu z jedną torbą swoim starym trabantem. Przeklęty gruchot, stoi w garażu, za nic nie potrafię go uruchomić. Wie pani, jak to jest...

Miriam nie wie, ale mimo wszystko uśmiecha się ze współczuciem.

– Nasza *Nonna* myśli, że ściany mają uszy. Nie ufaj nikomu, te rzeczy, rozumie pani. Poradzi sobie, musi się tylko tutaj zadomowić. Może dobrze się złożyło, że pani potrzebuje pomocy. W jesieni życia człowiek powinien mieć hobby. Tak w każdym razie uważa moja mama.

Miriam kiwa głową chłopakowi, który obserwuje ich rozmowę.

– Raz jeszcze dziękuję. Nie przeszkadzam panu.

– Do zobaczenia.

Przed drzwiami mieszkania czeka na nią paczka z jedzeniem od sióstr Schmidt spod dwójki. Duży garnek z jeszcze ciepłą zawartością, a na pokrywce kilka

bułek. Miriam otwiera drzwi, a białe piórko spływa jej pod nogi.

Zabrawszy paczkę od sąsiadek, przekręca klucz w zamku, zamyka zasuwkę i przestąpiwszy leżące na podłodze piórko, niesie ciężki, ciepły jeszcze garnek do kuchni. Zapach potrawy unosi się w powietrzu. Miriam bierze bułkę i skubiąc ją, wraca do przedpokoju.

Musi włożyć piórko na miejsce.

Pod drzwiami leży wizytówka. Na niej widnieje nazwisko Hildy, znaczek centrum medycznego i dopisek kulfonami: „Dr Keller. Jutro rano o dziewiątej. Hilda”. A pod spodem krzyż. Na odwrocie Hilda dodała: „Troszczę się też o Ciebie”.

Miriam zostawia wizytówkę na stoliku w kuchni i idzie do ojca. Przekłada go i poi, a potem od razu staje nad stołem, bierze do ręki pierwszy list z brzegu. Rzuci się jej w oczy pewien szczegół: maleńki numer w górnym rogu. Sprawdza drugi list, potem następny. Wszystkie są ponumerowane.

Przez resztę popołudnia układa je w kolejności, zaznacza białymi karteczkami numery, których brakuje, i listy napisane po francusku – te odkłada na bok i też zawija w chusteczkę z szuflady mamy. Powstaje paczka, która w środę trafi do Evy. Dopiero w środę; to tak długo, cała wieczność.

Teraz musi znaleźć pierwszy w kolejności list, który będzie w stanie przeczytać.

*Najdroższy Heinrichu,*

*w kieszeni marynarki była resztką chleba, który mi dałeś, zanim nas rozdzielili. Zostałeś bez marynarki, a mnie jest wstyd, że o tym nie pomyślałam. Teraz ciągle myślę, że Twój sweter zapinany na guziki, nawet nie najlepszy, tylko ten drugi, nie ochroni Cię przed zacinającym wiatrem. Przepraszam, bardzo się wstydzę, że postąpiłam tak samolubnie. Nawet gdybym próbowała się kłócić, sprzeciwić, Twoja marynarka i tak okryłaby mnie w podróży, chociaż ciepło Twojego ciała ulotniło się bardzo szybko.*

*Nie wiem, jak długo jechał nasz pociąg, ale w wagonie nie było jedzenia ani wody, nic. Tylko ciała, ciała kobiet, starych i młodych. Czekaliśmy na jakieś wiadomości, czepiając się nikłej nadziei, kiedy któraś z nas mówiła, że jedziemy tutaj albo tam, rzucała nazwę jakiegoś miejsca, gdzie z pewnością było lepiej niż w tym wagonie. Z początku rozmawialiśmy, aby się dowiedzieć, co nas łączy – kim jesteśmy, skąd jesteśmy. Nie wspominało się o tych, których straciliśmy, bo brak dzieci tam, gdzie jest tak wiele kobiet, mówi wszystko.*

Pocieszałyśmy się myślą, że bliscy, mężowie, dzieci, rodzice, będą czekać na nas na miejscu. A ja zataiłam prawdę, mając nadzieję, że też Cię tam spotkam.

Powiedziałam, że jesteś moim mężem.

To kłamstwo mnie uskrzydliło, było w moich ustach czystą słodyczą. Wtedy, na samym początku, odzywałam się często i mówiłam same kłamstwa, karmiłam się nimi.

Rankiem po pierwszej nocy byliśmy pewne, że powiedzą nam, dokąd jedziemy, ale kiedy wstał świt, pociąg wciąż jeszcze nie ruszył ze stacji. Czekaliśmy. Dobiegały nas rozmowy, szydercze śmiechy, łomot butów, krzyki, płacz. Słyszałyśmy głosy najdroższych, których nam odebrano, i tak wszystkie cierpiałymy wspólnie. Ale pociąg wciąż stał.

Drugiej nocy zaczęły się kłótnie. O to, gdzie będziemy spać i jak. Stłoczyli nas tak, że mogłyśmy tylko stać. Podpierając się nawzajem.

Strażnicy otworzyli drzwi tylko raz, myślałyśmy, że dadzą nam wodę albo coś do jedzenia, ale oni najpierw zaczęli strzelać w powietrze – krzyczałyśmy ze strachu – a potem kazali wyrzucić wszystkie zwłoki z wagonu, prosto na nasyp. Zanim koła pociągu w końcu potoczyły się po torach, miejsca było już tyle, że każda mogła usiąść.

Przestałyśmy ze sobą rozmawiać. Zagubiłyśmy się w pustce. Zdjęcia, które kobiety przyciskały do piersi, przeciekały im przez palce niczym woda.

Była w naszym wagonie jedna Cyganka – do tej pory widywałam Cyganki tylko w dużych grupach. Bez przerwy zaplatała i rozplatała frędzle przy swojej chuście. Piękna kobieta, o włosach długich, kruczoczarnych, podobnych falom hebanowego jedwabiu, długim pasom smolistej farby. Rzęsy miała czarne, brwi gęste. Na pierwszy rzut oka moja rówieśniczka.

Po kilku dniach podróży nagle zawołała: „Zginiemy!”. Jej krzyk zagrzmiął w ciszy, którą mąciły tylko szepty umierających i modlitwy żywych. „Zginiemy, wszystkie zginiemy!”. Wołała głośno, z mocą, słowami obcego języka. „Śmierć wszystkim! Idziemy do piekła!”.

Zdania po holendersku, a chociaż w jej ustach brzmiały prostacko i dziwacznie, to jednak znów usłyszeć inny język... Upłynęło dopiero kilka dni, lecz po groźbach i obelgach rzucanych po niemiecku cudowne holenderskie słowa ogrzały mnie radością. I chociaż ta Cyganka mówiła o ogniu piekielnych czeluści, łowiłam je skwapliwie.

Ja tylko się przyglądałam, ale kilka kobiet zaczęło ją kopać, uciszać i wyzywać od gnid i hołoty.

Jedna z nich, rosła i mocna, uderzyła ją otwartą dłonią w twarz.

*Krzyki ustały.*

*W kieszeni miałam ostatnie okruchy chleba, wagon trząsł, próbując sił w starciu ze smagającym wiatrem.*

*Staraliśmy się zasnąć. Znaleźć ukojenie, znaleźć się gdzieś indziej. Byle nie tutaj. Za zamkniętymi powiekami zamiast snów nadzieja, że po przebudzeniu ta rzeczywistość okaże się snem.*

*Tylko ciemne oczy Cyganki były szeroko otwarte. Patrzyła prosto na mnie, gdy wsuwałam dłoń do kieszeni. Gdy dotykałam suchych okruchów chleba, delikatnie, żeby ich nie zetrzeć na proch, lecz na tyle mocno, by mieć pewność, że tam są.*

*Aż wreszcie, nie mogąc już czekać ani chwili dłużej, spojrzałam jej prosto w oczy i wsunęłam kawałek chlebowej skórki do ust, niczym dekadenczką czekoladkę.*

*To samo zrobiłam z drugim kawałkiem. Cyganka nie spuszczała ze mnie wzroku. Kiedy wreszcie skończyłam żuć i połykać, uśmiechnęła się blado i zamknęła oczy, a jej ciało jakby wsiąkło w drewnianą podłogę towarowego wagonu; zeszło z niego całe napięcie.*

*Zaczęłam się wtedy modlić, lecz nie do Boga, w którego nie wierzyłam, tylko do prawdy, do dobra tego świata, o pomoc, abym nie ugięła się przed złem.*

*Taka jest moja kara.*

*Za Louisę.*

*Nie czuję już smaku chleba, ale świadomość mojego okrucieństwa nie mija. Kim ja jestem?*

– Zgubiłam się trochę. Powiedziała, że jest twoją żoną? Obce języki i swetry zapinane na guziki? I żeby nie podzielić się chlebem... „Kim ja jestem?”, dobrze powiedziane. – Miriam ogląda się na leżącego nieruchomo ojca. Na jego czystej koszuli nocnej znać każdą fałdę, każde zagięcie materiału.

– Tobie zawsze było zimno, prawda? – pyta, otulając go szczelniej zrobionym na drutach pledem. – Pamiętasz, jak mama cmokała – nie z nerwów, tylko z niedowierzania – kiedy na wakacjach chodziłeś na plażę w swetrze? – Uśmiecha się. – „Mógłbyś przynajmniej założyć koszulkę z krótkim rękawem” – mówi lekko piskliwym głosem mamy, ale to naśladowanie szybko się kończy.

Umiera śmiercią naturalną.

Przypomina sobie chwilę, kiedy mama wypowiedziała te słowa. To było na wakacjach, w wynajętym domku. Mama w kwiecistej sukience i kapeluszu wielkim jak parasol stała przy drzwiach.

– Nie – odpowiedział jej tata, a potem: – Jestem jak jaszczurka, słońce mnie nie grzeje, choćbym cały dzień leżał na piasku. Hej, Miriam! Twój papa to stary gad!

I spojrział na nią, czekając, aby się roześmiała, co posłusznie uczyniła, by rozładować narastające pomiędzy rodzicami napięcie, twarde jak fortepianowa struna.

Kiedy sweter wyciągał się i tracił fason, mama cerowała dziury na łokciach i kupowała nowy, żeby tata mógł się przebrać z jednego w drugi i tak to szło. Był niczym jego druga skóra. Rosnąca kolekcja zielonych i brązowych swetrów zapinanych na guziki, każdy z nich w tym czy innym stadium znoszenia, z zegarkiem – Miriam uświadamia to sobie teraz – schowanym pod rękawem.

Na wakacjach Miriam kąpała się w morzu i gdy wracała na plażę, zostawał po niej szlaczek słonych kropli na gorącym piasku. A tata siedział pod parasolem, na głowie miał zawiązaną chusteczkę, na nogach skarpety, no i najczęściej był w swetrze zapinany na guziki. Inni ojcowie opalali się w samych szortach, ich wydatne brzuchy ciemniały na słońcu.

– Kochałam cię, tato – mówi Miriam. Staje nad jego starą drewnianą komodą, wyciąga najbardziej sfatygowany sweter. Zielony. Dziury na łokciach, sito na rękawie.

– Obróć cię – uprzedza i układa go najpierw na prawym boku, a potem wsuwa mu sweter pod plecy, a dłoń w rękaw. Potem powtarza to z drugiej strony. Zadanie nie jest proste. Ręce taty są sztywne i stawiają opór.

Chory i słaby, ale ma na sobie swój sweter zapinany na guziki. Może to niewielka zmiana, ale dzięki temu jest teraz sobą, a nie ciałem, które go więzi.

<sup>6</sup> *Schmutz* (niem.) – tu: ciemna masa.

<sup>7</sup> *Nonna* – babcia; *Opa* – dziadek.



## MIRIAM

Kolejny list. Drukowana kartka, może z jakiejś francuskiej książki; zdania pisane odręcznie, po niemiecku, wypełniają marginesy i czystą stronę na odwrocie. Miriam przestawia lampę, aby świeciła prosto na kartkę, bo w pokoju robi się ciemno.

*Heinrichu,*

*popadłam w otępienie; nie dbam ani o człowieczeństwo, ani o to, co tracę.*

*Złapali mnie i trzymali, z początku mocno, a potem odpuścili, widząc, że jestem zbyt wstrząśnięta, aby chociaż drgnąć. Wtedy kobieta, kobieta jak ja, ogoliła mi głowę do gołej skóry.*

*Nie miała włosów. Ją też niedawno ogolili. Nosiła białą chustę, a na pasiaku czarny trójkąt.*

*W tamtej chwili zrozumiałam, że wszystko stracone. Czy strażnicy w ogóle musieli je do tego zmuszać? Czy i ja niedługo będę to robiła? Może nawet zgłoszę się na ochotnika?*

*Strzygli mnie długo, kto by pomyślał. Nożyczki szarpały i cięły moje gęste pukle, które odchodziły całymi garściami. Nie było słychać nic poza sykliwymi szczęknięciami, kiedy metalowe ostrza przecinały włosy.*

A Miriam przypomina sobie, co czuła, gdy jej włosy opadały spod nożyczek...

Właśnie kończyła się jej pierwsza firmowa Gwiazdka; pracowała wtedy w administracji dużej szkoły. Założyła czerwoną kopertową sukienkę. Czarne rajstopy i czarne pantofle na obcasie.

Teraz trudno jej uwierzyć, że mogła się tak wystroić, a do tego zakręcić włosy i związać je gumką. Niesamowite, przypomnieć sobie, że w tym poprzednim życiu była beztroskim lekkoduchem, bawiła się, śmiała i tańczyła z koleżankami.

Poszła do pracy, poznała Axela, a potem bardzo szybko za niego wyszła. Prawdziwy szalony romans, miłość od pierwszego wejrzenia, jak u jej rodziców. Od początku poświęcała swojemu mężczyźnie dużo czasu i uwagi. Był troskliwy, czarujący, dowcipny i wrażliwy. Stracił ojca, kiedy był jeszcze małym chłopcem, wychowywała go matka, zimna, bezwzględna kobieta. Miriam czuła, że jest mu potrzebna, i bardzo ją to cieszyło.

Zasiedziała się na tej imprezie gwiazdkowej, długo szalała na parkiecie; chłopak, który zajmował się muzyką, puszczał w kółko nową płytę Bowiego, aż w końcu trzeba było zwrócić mu uwagę. Bolały ją nogi, a także mięśnie twarzy od ciągłego uśmiechania się do coraz bardziej pijanych koleżanek.

Utykając lekko, weszła do domu, starając się robić jak najmniej hałasu. Nie zapalając światła, zsunęła z nóg pantofle i właśnie miała zdjąć płaszcz.

– Dobrze się bawiłaś? – zapytał Axel, wychodząc z salonu. Drgnęła, wystraszona, kiedy zapalił światło.

– Och, Axel, było świetnie – roześmiała się, strzepując płaszcz i zasypując męża gradem kropelek.

– Świetnie, powiadasz?

Oczy miał ciemne, a światło padało na niego z góry, więc nie widziała jego twarzy.

– Wiesz, która godzina?

– Tak, już późno, przepraszam.

– Bardzo się o ciebie martwiłem – wyrecytował bezbarwnym głosem.

– Naprawdę? Przecież wiedziałeś, że jestem na imprezie z dziewczynami.

– Z dziewczynami?

Przytaknęła. Czuła się winna, chociaż całkiem bez powodu. Miała tylko nadzieję, że nie czuć od niej za bardzo tych sznapsów, które wypijała.

– Z dziewczynami – powtórzył jeszcze raz i wyszedł.

Stała bez ruchu i czekała, nie wiadomo na co.

– Wiesz co? – powiedział Axel, gdy wrócił do przedpokoju; trzymał coś w dłoni. – Żona Dana mówiła to samo co ty: bawiłam się z dziewczynami. A potem się okazało, że różnęła się z jakimś typem.

– Co? – Miriam cofnęła się, wystraszona. Zauważyła, że jego oczy są czerwone, pewnie od płaczu. – Axel, to była impreza gwiazdkowa, ty też dostałeś zaproszenie. Ja nie... Ja bym nigdy... – jąkała się, oszołomiona.

Uniósł dłoń, chcąc dotknąć jej twarzy. Wzdrygnęła się, uchyliła.

– Boisz się mnie, Miriam? – zapytał, gładząc ją po policzku.

Chłód srebrną strużką rozlał się jej po kościach. Zadrzała, ale potrząsnęła przecząco głową.

– Ja bym cię nigdy nie skrzywdził. – Zsunął jej gumkę z włosów, owinął sobie jeden kosmyk dookoła palca. Długi pukiel osnuł jego bladą skórę. – Nigdy bym cię nie skrzywdził. – Pochylił się i pocałował ją delikatnie, a w tym samym momencie szczęknęły nożyczki. Tego dźwięku nie sposób było pomylić z żadnym innym. – A ty nigdy mnie nie zostawisz, prawda? Nie możesz tego zrobić, bardzo cię potrzebuję.

Cofnęła się ze strachem. Włosy, których dotykał, zostały mu w dłoni. W drugiej lśniły nożyczki.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego to się stało – mówi Miriam ojcu i wstaje, aby go obrócić. – Do dziś tego nie rozumiem.

To był pierwszy raz, kiedy Axel... Trudno jej znaleźć właściwe słowo, zastanawia się nad nim, gdy poprawia prześcieradło i odgarnia tacie włosy z czoła.

Axel nie zrobił jej krzywdy, nie uderzył jej, ale... przestraszył. Obcięcie kosmyka włosów można by jeszcze zbagatelizować, tylko że potem było coraz gorzej. Zaczęły się codzienne przesłuchania: gdzie byłaś, co robiłaś. Miriam nie mogła tego znieść, odeszła z pracy, zrezygnowała ze znajomych i z wolności.

Bierze do ręki kolejny list i czyta dalej, nie mając przekonania, czy w ogóle chce wiedzieć, do czego tam doszło.

Przemiana z aresztantki w więźniarkę była błyskawiczna, trwała tyle, co obcięcie włosów. I wcale nie chodziło o włosy, lecz o osobę, która mi je obcięła.

Inna kobieta, prosto z transportu, zaczęła protestować i zaraz leżała na podłodze, zakrwawiona i nieprzytomna. Ogoliła ją inna aresztantka. Moje jasne loki utonęły w ciemnej głębinie.

Kobieta, która mnie goliła, miała puste, martwe oczy. Chciałam ją zapytać, jak długo tutaj jest, ale nie miałabym sił, aby wysłuchać odpowiedzi.

Cyganka z wagonu, ta, z którą nie podzieliłam się chlebem. Od tej pory trzymamy się razem.

Ma na imię Hani.

Chyba jej się wydawało, że włosy obcinają tym, których mają powiesić albo zabić w jakiś inny sposób. Nie rozumiała, co się dzieje, i coś, jakiś lęk albo zasłyszana kiedyś historia, kazało jej myśleć, że szykują ją na egzekucję. Nie chciała usiąść, wyrывała się, krzyczała, płakała, gryzła i drapała. Wysoka, barczysta strażniczka uderzyła ją w twarz, tak mocno, że Hani poleciała pod ścianę i walnęła głową w krzesło. Nikt się nie odezwał. Wstałam i podeszłam, aby ją podtrzymać, kiedy gramoliła się z podłogi.

Wtedy strażniczka zdzieliła mnie w tył głowy, po świeżo ogolonej skórze. Plasnęło, aż echo poszło. Zachwiałam się i ścierpła mi skóra.

Nie wolno pomagać.

To się czuje. Wszystkie kobiety spuściły wzrok, unikając patrzenia w oczy, ale Hani już wstała, gotowa do walki.

Strażniczka podeszła spokojnie i zamachnęła się pałką, trafiając ją prosto w szczękę. Hani zwała się na podłogę, rzygając krwią i zębami, a strażniczka obejrzała się na mnie. To było wyzwanie. Jakby chciała zapytać: „No co, podejdziesz do niej?”

Nie podeszłam.

Patrzyłam tylko, jak aresztantki, wyręczając strażniczkę, sprawnie rozebrały Hani, a inna, nie siląc się na delikatność, obcięła jej długie włosy.

Zanim odzyskała przytomność, zdążyli mnie ogolić i przydzielić mi pasiak. Nie pozwolono nam jednak niczego założyć, mogliśmy je tylko trzymać. Ściany trzęsły się od dygotu nagich kobiecych ciał.

– Zdjęcia – wybełkotała Hani. Trudno było ją zrozumieć, bo straciła kilka zębów. – Gdzie moje zdjęcia? – Uniosła dłoń do ust, odkrywając, że jej twarz zmieniła kształt.

– Mama, rodzina, Boże, gdzie zdjęcia?

Potoczyła wzrokiem dookoła i zaczęła ciągnąć strażniczkę za ubranie, obmacywać ją, skamląc przy tym błagalnie. Strażniczka gwizdnęła na psa. Był to owczarek niemiecki, którego nasi nadzorcy pieszczotliwie wołali Didi, olbrzymia, wyszczerzona i zaśliniona bestia. Szczuli nas nim i straszili, odkąd tylko weszliśmy. Strażniczka była gotowa spuścić go na Hani.

I wtedy inna „polityczna” zgarnęła leżące gdzieś nożyczki, rzuciła się na strażnika i złapała go od tyłu za szyję, wciskając szpic w skórę. To była ostatnia

próba i ona dobrze o tym wiedziała, można to było poznać po jej oczach. Strażniczka odwróciła się i obserwowała ją.

– Wstawaj. Szybko – powiedziałam, niewiele myśląc.

Hani była w takim szoku, że ktoś odezwał się w zrozumiałym dla niej języku, że od razu stanęła na równe nogi.

Jest ode mnie o głowę niższa, a oczy miała olbrzymie jak psiak spoglądający na swojego pana. Mały, skatowany szczeniak.

Strażniczka, tak pewna swojej nieograniczonej władzy, stała tyłem i nie widziała, że Hani chciała się na nią rzucić i że ją powstrzymałam.

– Obcinają nam włosy, żeby wypychać nimi poduszki i materace – powiedziałam, szybko wyrzucając z siebie przepiękne holenderskie zdania, z radością karmiąc się słowami tego języka. Rozpływały się w moich ustach jak masło. – Nie zabijają nas. Mamy przysłużyć się sprawie, wspomóc przemysł wojenny. Ale ona cię zabije, jeśli jej coś zrobisz.

Hani kipiła wściekłością, lecz słowa znajomego języka zawojowały ją na dobre. Słuchała.

– Twoich zdjęć już nie ma – mówiłam dalej, chociaż coś ścisnęło mnie za gardło. – Kochasz swoją mamę?

Pokiwała głową, wpatrując się, urzeczona, w moje usta, układające się w słowa, które była w stanie zrozumieć.

– A więc ona jest tutaj. – Położyłam dłoń na jej sercu, uświadamiając sobie nagle, że jesteśmy całkiem nagie; musiałam zrobić to tak, żeby nie dotknąć jej małych piersi. Nigdy jeszcze nie widziałam nagiej kobiety, aż dziwne, jak nieznaczący był to szczegół.

– Tutaj, nie na żadnym zdjęciu – powtórzyłam, odciągając ją od tłumu, który otoczył strażnika i kobietę, która go zaatakowała. Pies usłyszał komendę i rzucił się na nią. Odwróciłam wzrok, kiedy warknął, wbił zęby i szarpnął. Echo jej wrzasku dudniło mi w uszach przez wiele dni.

Strzec się psów.

Ustawiłam Hani przed sobą i złapałam ją za rękę. Jej potylicę przecinała sinoczerwona pręga, ślad po uderzeniu o krzesło. Puchnąca skóra aż lśniła, fontanna krwi zalewała twarz.

Pod prysznicem nie było już żadnych problemów. Hani dostała buty, oba na lewą nogę. Mnie jakoś nie zabrali trzewików.

Gdy ta męka dobiegła końca, pozwolili nam okryć głowy i ciała. Ubrania roiley się od wszy, były szorstkie i źle leżały; każda z nas wyglądała jak dziewczynka przymierzająca rzeczy swojej mamy.

Poczułam dłoń Hani w mojej dłoni i tak już zostało. Kiedy spędzili nas w jedno miejsce i szturchnięciami ustawili w szeregi po pięć. Kazali nam iść, a potem zatrzymali, przeliczyli i pogonili dalej. W końcu trafiłyśmy do małego tymczasowego namiotu. Weszło tam chyba kilkaset kobiet. Stałyśmy w wejściu, bo brakowało już miejsca, ale masa napierająca od tyłu wtłoczyła nas do środka.

Nie wiem, czy to ona mnie trzymała, czy może ja ją, wiem tylko, że żadna z nas nie chciała puścić.

Głodzili nas, maltretowali, ogolili nam włosy, bili i upokarzali, ale dopiero traktowane gorzej niż trzoda w oborze uświadamiamy sobie, że mimo wszystko wciąż żyjemy. Że mamy imiona i, jak się zdaje, mamy też siebie nawzajem.

Dawno już zniknęły okruchy chleba, które połknęłam w wagonie, ale trudno było nie myśleć o nich, kiedy siedziałyśmy we dwie, ja i Hani, głowa oparta o głowę, pod ścianą namiotu, na skrawku podłogi tak małym, że ledwie dało się usiąść. Byłyśmy wyczerpane i żadna nie miała siły czuwać. W mojej zwieszanej ciężko głowie kołatała się modlitwa o cud.

Szok i osłupienie. Ten list, prosto w oczy, bez ogródek, miażdżący każdym słowem. Miriam potrzebuje czasu, aby ogarnąć rozumem potworności opisane na papierze, który przetrwał tyle długich lat.

A czas w jej odczuciu gna przed siebie, aż wszystko zamazuje się w tym pędzie, a potem zwalnia tak bardzo, że mruganie latarni za oknem jest jak jeden długi, niespieszny rozbłysk.

*Modlitwa o cud.*

*Zegar tyka.*

*Axel klęczy na ręczniku rozłożonym obok wanny, nanosi jej na skórę grubą warstwę piany.*

*Chwila ucieka niepostrzeżenie.*

*Axel wyciska mokrą gąbkę. Piana jest lodowata. Woda wystygła.*

*Samotność dudni głucho.*

*Chłód przenika ją do szpiku kości.*

*Schła po kąpieli jak pies, naga, na kocu. Rzuconym na podłogę.*

## HEINRICH

Dwa lata po naszym pierwszym pocałunku, niemalże dokładnie co do dnia, wszystko nagle się zmieniło. Tamtego dnia Emilie wróciła do domu wcześniej, kiedy właśnie wychodziłem na spotkanie z Friedą.

– Już tak dłużej nie mogę – powiedziała, opierając się plecami o zamknięte drzwi i odchylając głowę w tył. – Znaleźli mnie dzisiaj, wypytywali o ciebie, chcieli wiedzieć, gdzie jesteś i kiedy się ciebie spodziewam. – Dyszała ciężko, a w pewnym momencie ugięły się pod nią nogi i osunęła się na podłogę. Podciągnąwszy wysoko kolana, opłotła je ramionami i z powrotem oparła głowę o drzwi. – Nie wytrzymam dłużej – powtórzyła. – Nie mogę udawać, że ty i Frieda... Że to jest... Że ja... – Głos zamarł jej w gardle. Usiadłem obok, wziąłem ją w ramiona.

– Kto cię znalazł? – zapytałem.

– Tylko tyle usłyszałeś z tego wszystkiego, co powiedziałam? – Odetchnąwszy ze znużeniem, mówiła dalej: – Oni. SS. Przyszli do mnie do pracy. Szukali cię u mnie w pracy!

– Co im powiedziałaś?

– Nic. Że odkąd odszedłeś z uczelni, nie widziałam cię na oczy. Pytali, czy wiem, gdzie jesteś, u kogo mieszkasz, czy masz jakichś znajomych. – Umilkła.

– Powiedziałaś im o Friedzie? – Strach chwycił mnie za gardło.

Emilie zjeżyła się i odepchnęła mnie, aż poleciałem w drugą stronę, uderzając łokciem w podłogę.

– Nie. Nie. Nie przyznałam się, że mój mąż ma kochankę. – Zgrubiałymi palcami przeczesła swoje krótko obcięte włosy. – Że woli się z nią prowadzić, niż siedzieć w domu. Ze mną. Że bardziej go obchodzi jej bezpieczeństwo niż własna żona! Heinrich, to ty ściągasz na wszystkich zagrożenie. Zostaw tę

dziewczyne. – A potem, już łagodniej, ale z wielkim wysiłkiem, zapytała: – Co ty wyprawiasz? Zastanów się.

Zamiast odpowiedzieć, oparłem głowę o drzwi, tak jak ona chwilę wcześniej.

– Proszę cię, skończ z Friedą. Jest młoda, wybaczy ci. Ale my musimy stąd wyjechać. Teraz, zaraz. Drugiej szansy nie będzie. Grete, moja znajoma, nam pomoże. Proszę cię, Heinrich, miej rozum. Skoro znaleźli mnie w pracy, to tutaj też nas znajdą. I co wtedy?

– To nie ciebie szukają, tylko mnie. – Powoli cedziłem słowa, obserwując, jak Emilie zbiera myśli.

– Tak, szukają ciebie, ale mnie też zgarną. Nie rozumiesz? Jestem twoją żoną! Ukrywam poszukiwanego! – Odetchnęła, roztrzęsiona. – Porzuć te swoje polityczne ideały, powiedz, że zmieniłeś poglądy – co tam, możesz nawet wstąpić do partii. Na Boga, jakie to ma znaczenie?

– Nigdy! Wiesz, że tego nie zrobię. Za nic.

– To wyjedźmy stąd, teraz, już. – Zgięła się wpool. – Możemy znów być rodziną. Zapomnieć o tym wszystkim. Mieć dziecko. Wyjedź ze mną. Zacznijmy od początku.

Była na skraju rozpacz. Widziałem to. Jej piękne rysy zmieniły się w rzeki łez, ale te łzy nie przesłoniły jej prawdy. Emilie wiedziała, że nie zostawię Friedy, choćbym nie miał żadnego innego wyjścia, choćby rozum podpowiadał mi na wszystkie sposoby, że jeśli nie wyjadę, czeka mnie pewna śmierć.

– Nie mogę – odparłem.

A moja cudowna żona wydała z siebie przerażający krzyk, zwierzęcy skowyt.

– Więc odejdz! – zawyła. – Zostaw mnie. Zdecyduj się, Heinrich... Bo ja... – zakreśliła dłońmi krąg dookoła – nie dam ci nic więcej. Nie jestem nią i nigdy nie będę. Odejdz więc... – Pchnęła wysoki stos książek obok fotela, przewrócił się, a ona podniosła jedną książkę i zamachnęła się, chcąc rzucić we mnie, ale cisnęła ją na podłogę i zerwawszy się na równe nogi, pobiegła do kuchni.

– Niech was piekło pochłonie, ciebie i tę Friedę! Niech Bóg was przeklnie! – szlochała.

Ułożyłem z powrotem rozrzucone książki. Potem zajrzałem do kuchni. Emilie założyła fartuch i zabrała się do czyszczenia blatu. Wierzchem dłoni ocierała łzy. Tasiemki fartucha zwisały, niezwiązane.

Patrzyłem na nią, aż w końcu i mnie zakłuło pod powiekami. Wyszedłem, cicho zamknąwszy drzwi za sobą. Szybkim krokiem przemierzałem ulicę, z opuszczoną głową, z kapeluszem naciągniętym na oczy. W każdej chwili mogłem poczuć czyjaś dłoń na ramieniu i rozpląnąć się w wieczornej mgle.



# MIRIAM

Jakimś sposobem po przeczytaniu tego listu Axel, nieproszony, staje przed Miriam jak żywy. *Otepienie*, tak było to nazwane w którymś z poprzednich listów. Otepienie jest jak nabłonek, ściśle przylega do skóry. Noc dłuży się niemiłosiernie, bo dręczy ją dojmujący chłód, a gdy szarość poranka zaczyna się sączyć przez okno, jest cała obolała, a jej zziębnięta skóra wydaje się mokra.

Wstaje z fotela tylko po to, aby zająć się ojcem.

Nie odzywa się przy tym.

Czuje obecność swojego dręczyciela, tak, jakby On był tuż obok, oddychał tym samym powietrzem. Tutaj. Teraz. Gdy ktoś puka do drzwi, nie zamierza otwierać.

– Halo! – Głos przebija się przez szczelinę na listy.

Nie odpowiada.

– Miriam? To ja, Hilda. Jesteś w domu?

Podnosi się z fotela, podtrzymując pasiastą sukienkę, którą okryła sobie kolana jak kocem. Uchyła drzwi. W progu stoi Hilda.

Jej spódnica kołysze się lekko, eklektyczny deseń przyciąga wzrok.

– Nie przyszłaś – oznajmia Hilda. – Byłaś dzisiaj umówiona do lekarza, o dziewiątej rano, pamiętasz? – Zerka na zegarek. – A jest wpół do drugiej.

– Tak? – Miriam otwiera drzwi na całą szerokość. – A jaki dzisiaj dzień? – pyta, ziewając szeroko. Wstrząsa nią dreszcz. Widząc minę Hildy, energicznie rozciera ramiona i przywołuje na twarz maskę imitującą normalność.

– Wtorek – informuje ją Hilda. – Doktor Baum powiedział mi, co z tobą kiedyś było. Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Doktor Baum?

Hilda mija Miriam i wchodzi do salonu. Jej twarz przybiera coraz to inny wyraz. Najpierw troski, potem niepokoju, wreszcie konsternacji. Zmiany następują tak szybko, że Miriam aż się uśmiecha.

– Lubię cię, Hildo – mówi. – Masz szczerą twarz.

– Proszę cię... – mruczy Hilda, siadając. Miriam dołącza do niej. – Zrozum wreszcie, że sprawa jest bardzo poważna. Doktor Baum chciałby umieścić twojego ojca z powrotem w szpitalu. Uważa, że jesteś nie zrównoważona. A ja nie mogę zaprzeczyć, ty zresztą też nie... Nie przysłaś na wizytę. Boże, Miriam, naprawdę możesz sobie zaszkodzić. – Przeczesuje palcami włosy. – Spotkanie jest w piątek – oznajmia stanowczym tonem.

Mgła się rozwiewa, szczegóły otoczenia nabierają ostrości.

– Hildo, proszę cię, po prostu zapomniałam... Nie dzieje się nic złego, przysięgam. Pójdę do innego lekarza i wszystko mu wytłumaczę, dobrze? Tata nie może wrócić do szpitala... Nie teraz.

Hilda wzdycha tak ciężko, że wyraźnie czuć od niej czosnek.

– Dobrze – zgadza się. – Ale dzisiaj, od razu. Umówię cię w przychodni. Ostatnia szansa, Miriam.

– Tylko sprawdzę, jak się czuje tata. Przyjdę, na pewno.

– Poczekam na ciebie.

Miriam, nie mogąc dotrzymać kroku Hildzie, idzie tuż za nią. Hilda przez całą drogę milczy. Goniąc zielone i fioletowe kwiaty na jej spódnicy, Miriam karnie maszeruje ruchliwymi ulicami. Nisko wiszące chmury czepiają się drzew niczym niesione wiatrem liście.

Na przejściu dla pieszych razem z nimi czeka jakaś mama prowadząca wózek spacerowy. Siedzi w nim rozwrzeszczane dziecko, z czerwoną, zalaną łzami buzią. Kiedy zapala się zielone światło, kobieta rusza naprzód. Dziecko szarpie się w szelkach, napiera całym ciałkiem, chcąc się z nich uwolnić. Mama idzie szybkim, równym krokiem. Ciekawe, myśli Miriam, czy słyszy w głosie dziecka błagalną prośbę. A może ogarnęło ją otępienie i jest już głucha na takie rzeczy. Ciekawe, kiedy dziecko zrezygnuje.

W centrum medycznym zapach farby po niedawnym remoncie miesza się z wonią starości i chorób, a do tego jest tam tak gorąco, że Miriam najchętniej od razu by wyszła. W poczekalni, niczym na głównej ulicy w mieście, roi się od ludzi i wszyscy oni kaszlą. Pracownicy polerują szybę w dużym oknie wychodzącym na parking.

Hilda kieruje się wprost do punktu przyjęć pacjentów. Widać, że czuje się tutaj jak w domu. Gestem pokazuje Miriam, żeby usiadła sobie na jakimś krześle, po czym wdaje się w rozmowę z recepcjonistką medyczną.

W końcu przychodzi i mówi:

– Doktor cię wezwie, kiedy będzie miał okienko.

– Dziękuję. – Miriam siedzi pomiędzy pykającym fajkę mężczyzną z nogą w gipsie a matką ściskającą w ramionach zapłakane dziecko z wysypką na buzi. Odprowadza wzrokiem oddalającą się Hildę.

Przychodnia tętni gwarem, przetykanym co jakiś czas nagłym atakiem kaszlu albo głośnym beknięciem.

Miriam bierze do ręki czasopismo, które ktoś zostawił, ale nawet go nie otwiera. Zakłada nogę na nogę, zdejmuje. Bawi się plisami na swojej spódnicy, prostuje każdą po kolei.

Dziecko kwili, wpasowane w ciało swojej mamy, która przemawia do niego kojącym głosem. Miriam przypomina sobie drewnianą skrzynię, kobietę z synkiem i Eugenię, która też leży tam schowana... i czeka.

Nagle unosi głowę, wyczuwa czyjąś obecność. Skacze wzrokiem od twarzy do twarzy, wygląda przez szybę w drzwiach.

To On. Stoi tam.

Ręce skrzyżowane na piersi, dłonie wciśnięte pod pachy.

Obserwuje ją.

Jego obecność ma sobie siłę słońca, spojrzeć prosto na niego grozi wypaleniem siatkówek.

Miriam wstaje, odwraca się tyłem.

– Frau Voigt, gabinet numer sześć. – Męski głos niesie się po otwartej poczekalni. Miriam zrywa się z miejsca, biegnie do połączonej z przychodnią apteki, potrąca ludzi. Ucieka. Ucieka, ile sił. W przeciwnym kierunku.

– Frau Voigt. – Głos ściga ją, odbity rykoszetem dookoła.

Miriam biegnie dalej, w końcu nie czuje już nóg, które niosą ją same. Ogląda się za siebie dopiero na jakimś wzniesieniu. Nikogo.

Teraz może zwolnić, liczyć kroki, skupić się na tym, aby iść, iść przed siebie.

– Nie zatrzymuj się – mówi sobie. – Już niedaleko. – Nie przestaje mówić, szukając słów, które ją uspokoją. – To nie mógł być on. To nie mógł być on. – Przyspiesza kroku, słowa zlewają się ze sobą: – To był on?

– Żal i nożyczki, w zimnie i w chorobie, Hani i Cyganka, chleb i chłód. Tęsknota i dreszcz, i koniec, i nie odchodź nie odchodź nie odchodź – skanduje w rytmie wybijanym stopami.

– Miriam! – woła pan Ludwig, ale ona nie zbacza z obranego kursu „na dom”, staccato kroków niesie ją prosto na schody.

– Fräulein! – Ten okrzyk wybija ją z tempa. – Przyszedł list. – Dozorca wręcza jej kopertę z papieru pakowego.

Miriam bierze ją w palce, trzyma z daleka od siebie.

– Nie chcę tego – mówi panu Ludwigowi.

– Przyniosła go jakaś kobieta. Ze wschodnich Niemiec. Mówiła, że panią zna. Bardzo naciskała, żebym go przekazał. Osobiście.

Miriam odnajduje wzrokiem swoje nazwisko wypisane na kopercie. Charakter pisma nie należy do Niego. Opuszcza wyprostowaną rękę.

– Proszę uważać, złociutka. Na tych ze Wschodu trzeba mieć oko, tyłu ich tutaj teraz się kręci. Mój kuzyn z, tego... – Wskazuje kciukiem przez ramię. – Miał straszne kłopoty z...

Ale Miriam odwraca się i odchodzi.

Piórko w drzwiach – bezpiecznie.

Woda w kranie – ukrop.

Dłonie krwawią – spokój.

Kilka ran trzeba zakleić plastrem. Noże w drewnianym klocek i krawieckie nożyczki leżą zamknięte w szufladzie, ale palce i tak nie dają spokoju naruszonemu naskórkowi, muszą drapać, skubać, rwać. Miriam przejeżdża kciukiem po świeżo zabliźnionym otarciu na nadgarstku, z całej siły wbija kciuk w skórę, ciągnie w poprzek i przyglądając się, jak bieleje pod naciskiem. Róż, potem biel i wreszcie pokazuje się czerwień; palce ciągną i rwą dalej, aż nie pocieknie krew.

Uszy tętnią zalegającą w mieszkaniu ciszą. Rzęsa wpadła do oka i kłuje, Miriam trze powieki i wyrywa po kolei rzęsę za rzęsą, a one spływają razem ze łzami.

– Tato – rzuca w ciszę. – Widziałam. To znaczy wiem, że widziałam, ale nie jestem pewna i...

– Miriam – odpowiada on i odsuwa rękę, robiąc odrobinę miejsca na posłaniu obok siebie. Miriam nie zastanawia się ani chwili.

– Tato... – szlocha, kładąc się obok niego; materac ciśnieniowy ugina się z sykiem, gdy ona przytula się niezgrabnie do jego sztywnej, wyprostowanej sylwetki. Guziki swetra przypominają jej dzieciństwo, bo lubiła się nimi bawić. Teraz znowu bierze je w palce, rysuje na nich kółeczka. I raz, i dwa.

Ojciec otacza ją ramieniem. Jest osłabiony, Miriam czuje jego kości pod skórą.

– On wrócił – mówi.

## MIRIAM

Dni i noce rozmywają się, zlewają ze sobą jak akwarele na papierze. Upływ czasu wyznacza tylko ojciec: pije, je – bardzo niewiele – i mówi: bełkocze, a czasem woła.

– Frieda. Frieda. Frieda.

Jego usta otwierają się i zamykają, ale najczęściej nie słyhać nic, chociaż walczy zaciekle, całym ciałem.

Miriam nie porzuca nadziei, że znajdzie sposób, aby mu pomóc, ale gdy rozciera jego zziębnięte dłonie, masuje ręce i nogi, zdaje sobie sprawę, że może się tylko nim opiekować.

W kopercie, którą przekazał pan Ludwig – gdy się wreszcie zebrała, żeby ją otworzyć – znajdują się trzy gęsto zapisane stronice i jedna mała karteczka. Do każdej ze stronic doczepiony jest jeden wyciągnięty z pasiaka list.

Mała karteczka to wiadomość.

*Musimy porozmawiać o tych listach, proszę o kontakt.*

*Eva*

Miriam odkłada ją na bok i zanurza się w świat listów. Świat, w którym On nie istnieje.

*Heinrichu,*

*mój pasiak nie ma kieszeni. Spada mi z ramion. Nie mam nic, a jednak mam wszystko. Nie wiem, czy to promyk szczęścia, czy moje świadome działanie, ale udało mi się zachować trzewiki, a w nich – dokumenty i pierścionek. Czuję go przez cały czas. Kółeczko wrosnięte w spód stopy, pod palcami. Mam możliwość ucieczki. Mogę się stąd wydostać. Poszukać sposobu, znaleźć kogoś, kto mi w tym pomoże.*

*Muszę porozmawiać z komendantką, dopóki jeszcze da się mnie rozpoznać na zdjęciu w dokumentach. Dopóki nie stałam się taka jak inni. Dopóki mam własną twarz. Muszę się uwolnić, abym mogła odnaleźć Ciebie.*

*Trzymam głowę nisko, uważnie stąpając po byle jak ułożonych brukowcach. Trzeba się pilnować, bo o potknięcie nietrudno. Te twarde kamienie dają mi oparcie. Wielu ludzi oddało krew i życie, układając ścieżkę, na której teraz stoję. I wciąż jeszcze oddycham, nie umarłam.*

*Słony posmak powietrza przypomina mi plażę, Louise i zabawę w berka. Goniłam ją, nad samą wodą, unikając fal, a choć wyęźałam wszystkie siły, to moje nóżki nie mogły się mierzyć z jej długimi nogami. Włosy płynęły za nią niczym fale potoku. Świeże morskie powietrze, lawendowe wianki, które plotłyśmy razem. Tak pachniało jej ostatnie lato.*

*Tutejsze słone powietrze psuje woń ludzka. W obozie nie przewidziano miejsca dla aż tylu osób. Na jednego strażnika przypada nas chyba ze sto, a mimo to nie robimy nic.*

*Dziesięciometrowy mur, drut kolczasty, więźniarki zachowują się jak strażniczki, a strażniczki jak psy. Sól w powietrzu, jej smak czuć na skórze. Jodły i wypielegnowane trawniki, widziałyśmy je, gdy nas tutaj przywieźli.*

*To jest Ravensbrück.*

Miriam odrywa oczy od kartki. Przebiega ją dreszcz, ale to nie z zimna. Głos przemawiający zza słów listu nie daje jej spokoju, trudno oprzeć się myśli, że to mówi ktoś, kto już od dawna nie żyje.

Przynosi do sypialni ojca niski stolik z salonu, po drodze obija sobie w drzwiach kostki dłoni. Układa na nim wszystkie listy we właściwej kolejności, a słowa powtarzają się same, nieproszone, słychać cały tok rozumowania tej biednej kobiety, która teraz siedzi w głowie Miriam i nic już nie da się z tym zrobić.

– Nie walczyła, nie miała komu zaufać – mówi ojcu. – A ja? Czy powinnam wtedy się bronić?

To ciężkie pytanie, wielki czarny kamień zalegający w trzewiach.

– Nawet gdybym próbowała się bronić, i tak nikt by mi nie uwierzył. – Prawda boleśnie szczypie pod powiekami.

Przed oczami staje jej tamto rozzłoszczone dziecko szamoczące się w wózku; ona robi dokładnie to samo, szarpie się i zмага z czymś, co stawia nieprzełamany opór. Tylko że w jej przypadku nie są to szelki w wózku spacerowym, ale mężczyzna, który stłamsił ją fizycznie i na inne, gorsze sposoby. Spętała ją siła strachu – Miriam bała się tego, co jej zrobi, jeśli zdoła się od niego uwolnić. A kto by jej uwierzył, gdyby głośno powiedziała, co się dzieje? Komu mogłaby zaufać?

*Nie możemy ufać nikomu.*

– On wrócił – mówi.

Następny list w kolejności jest po niemiecku, ale bardzo trudno go przeczytać, zdania wiją się pomiędzy wierszami druku, a litery są drobne jak pyłki kurzu. Miriam urywa co słowo i zaczyna od początku, czyta jedno zdanie po kilkakroć, układa wyrazy jak łamigłówkę. A myśli przebijające się z tekstu wciągają ją z powrotem w świat, którego brzemienia nie potrafi udźwignąć.

*Heinrichu,*

*blok tymczasowy okazał się namiotem. Zarwany, ciekący dach, płócienne ściany smagane wiatrem i deszczem, nieustannie podrywane podmuchami. Miałyśmy tylko dwie łyżki, żadnych misek. Łapałyśmy w nie kapiącą deszczówkę. Tak, piłyśmy deszczówkę po łyżeczce. Zajęło nam to aż dwa długie dni, żeby ukraść miskę i wreszcie coś zjeść.*

*Wszyscy tutaj kradną, wszyscy cierpią, wszyscy są podli i szukają miejsca dla siebie. To jest nasza waluta. Kto zdobędzie miejsce, już go nie oddaje.*

*Zupa to woda, w której z rzadka pojawiają się warzywa albo cokolwiek, co da się rozpoznać. Dostajemy też chleb, twardy jak kamień, oraz coś, co nazywają kawą. Zupa i kawa to w zasadzie jedno i to samo, chociaż przyznaję, że lepiej, kiedy coś pływa w zupie niż w kawie. Przeżuwam chleb na papkę i karmię nim Hani, bo trudno jej jeść bez zębów, a do tego usta wciąż ma obrzęknięte.*

*Jestem tutaj od miesiąca. Dzisiaj są moje urodziny: dwudzieste pierwsze. I boję się, że dwudziestych drugich już nie będzie.*

*Obozową rutynę mam już w małym palcu i nie muszę nawet o niej myśleć, przemierzam dzień za dniem, a moje ciało samo pilnuje tego rytmu. Myślami*



*i sercem jestem gdzie indziej. Z Tobą.*

*Już wkrótce stanę się jedną z nich. Przeistoczę się w żywego trupa. Bez rozkazu strażniczki nie wezmę nic do ust, nie poruszę się, nie zaznam odpoczynku ani snu, jeśli ona nie wyda mi polecenia. Nie myślę już samodzielnie.*

*Tęsknię za Tobą  
kochająca Frieda*

– Frieda! – powtarza Miriam na głos i przysunawszy się do ojca, bierze go za rękę, a drugą dłonią delikatnie ociera mu czoło i policzki. Wodzi wzrokiem po jego gęstych, białych jak mleko włosach, twarzy usianej plamami wątrobowymi, wydatnym nosie, cienkich ustach. Przygląda mu się uważnie, chłonąc każdy szczegół.

– Tato, słyszysz mnie? – Bierze głęboki oddech. – Te listy są od Friedy.

Po kilku minutach, nie doczekawszy się odpowiedzi, unosi jego dłoń do ust.

– Dowiem się, co się z nią stało, obiecuję ci – mówi i czyta, czyta dalej, trzymając te straszne listy w rozdygotanych dłoniach. Robi to dla niego.

# HEINRICH

Wyszedłem z mieszkania, gdzie została zapłakana, wściekła na mnie Emilie, i poszedłem do Friedy, ale każdy krok obarczał mnie coraz większym poczuciem winy. Zatrzymywałem się na każdym rogu ulicy. Wrócić czy nie wrócić? Zawracałem, aby po chwili znów stanąć w miejscu. Byłem poszukiwany, a robiłem wszystko, aby rzucać się w oczy: miotałem się po ulicy, nie umiając podjąć żadnej decyzji.

Emilie miała rację. Byłem jej mężem. Naraziłem ją na niebezpieczeństwo, a mimo to została ze mną. Wiedziała o Friedzie, ale została. Wyrzuty sumienia paliły mi gardło kwaśną falą żółci. Kim ty jesteś, pytałem sam siebie. Kim trzeba być, żeby zrobić coś takiego własnej żonie, którą się przecież uwielbia?

A jednak...

Kochałem Friedę. Kochałem ją taką miłością, jakiej nie zaznałem jeszcze nigdy w życiu, i właśnie dlatego nie mogłem postąpić z nią tak samo jak z moją żoną.

Koniec z tym.

Emilie miała rację. Frieda poradzi sobie beze mnie. Prawdę mówiąc, nawet będzie jej lepiej. Znacznie lepiej. Przeraziła mnie ta myśl. A strach poderwał mnie do biegu, przez co jeszcze bardziej zwracałem na siebie uwagę. Biegłem, popędzany biciem serca, wiatr świszczął mi w uszach, rwany oddech falował w piersiach.

Musiałem rozstać się z Friedą, zwrócić jej wolność. A potem zabrać Emilie i wyjechać. Postarać się być dla niej lepszym, przynajmniej tyle.

Czekałem pod drzwiami cały w nerwach, zlany zimnym potem. Tak należało postąpić. Tak było trzeba i nic innego nie...

Frieda otworzyła drzwi, a cała determinacja nagle zastygła mi w piersi, stwardniała na kamień. W tej chwili zawieszenia Frieda powitała mnie ustami, a potem dłońmi.

Wciągnęła mnie do środka, zamykając drzwi. I chociaż moje serce biło inaczej, niżbym sobie życzył, a zaciśnięty żołądek podchodził do gardła, to moja decyzja, tak świeża, sprzed kilku zaledwie chwil, była teraz niczym przebrzmiałe echo.

Zostawiłem to wszystko za sobą i wtuliłem się w tę dziewczynę, pragnąłem zatracić się w jej dotyku.

– Stęskniłam się – mruknęła mi do ucha, a jej pięknie modulowany głos nabrał nieprzeparłej głębi. Przyłgnąwszy wargami do moich ust, pociągnęła mnie w kierunku łóżka.

# MIRIAM

Litery tego zdania wydają się być mocniej wciśnięte w papier:

*Dzisiaj ukradli mi trzewiki. Straciłam moje dokumenty, a bez dokumentów przepadłam.*

Miriam pospiesznie bierze następny list i czyta go najszybciej, jak umie. Pomaga jej w tym szkło powiększające, które znalazła w pudełku z przyborami do szycia. Axel rozpływa się w zapomnieniu, pamięć oczyszcza się niczym pędzel wypłukany w wodzie. Teraz Miriam może się skupić.

Znalazła Friedę. Musi już tylko dowiedzieć się, co ją spotkało.

*Kochany Heinrichu,  
człowiek nie zazna spokoju w tym namiocie tymczasowym. Siedzimy, ja i Hani, ramię w ramię, głowa w głowę, grzejąc płócienną ścianę własnymi plecami.*

*Hani zapytała mnie, dlaczego skłamałam wtedy, w wagonie, dlaczego powiedziałam, że mam na imię Emilie. Zaczęłam się zastanawiać...*

*Czyż miłość nie jest brutalna, gwałtowna i dzika jak burza, a jednocześnie świeża i spokojna niczym niebo, gdy cichną żywioły? Taka miłość pozwala nam myśleć, że możemy przenosić góry i dusić węże gołymi rękami, chociaż to nieprawda. Tak jak my, którzy rzuciliśmy wyzwanie nazistom, wierząc*

w możliwość zwycięstwa. Chyba jednak miłość odebrała nam rozum. Jestem tutaj...

Rozejrzałam się dookoła. Te kobiety, ten hałas, ten smród, poła namiotu smaga jakąś staruszkę siedzącą na wylocie.

Łopot i trzask, i znów łopot.

...a Ciebie tutaj nie ma.

Hani pytała o Ciebie. Pochlebiałam Ci trochę. Na moim portrecie jesteś wyższy, szerszy w ramionach i młodszy, bo kto mi zabroni? Powiedziałam, że to była miłość od pierwszego wejrzenia, chociaż nie była, nie przeżyłeś tego ze mną, tylko z Emilie. Tak się poznaliście.

Miriam przełyka z wysiłkiem. Myśl o tym, że ta kobieta zawłaszczyła historię jej mamy, miłość jej rodziców, napełnia ją odrazą.

Może tylko czytać dalej.

Hani ma ośmioro rodzeństwa; mówi po romsku, a holenderski zna dość pobieżnie.

Podobno nikt się specjalnie nie ucieszył, kiedy przyszła na świat. Jej życie, jak sama powiedziała, wyglądało następująco: „Pojawiłam się i najpierw siedziałam cicho, a potem wstałam i krzykiem oznajmiłam światu, że jestem”.

Naziści też nie byli tym zachwyceni.

Kiedy miała czternaście lat, rodzice chcieli ją wydać za kuzyna, jej rówieśnika, ale Hani uciekła z domu, poszła do szkoły (stąd zna holenderski) i znalazła sobie pracę. Miała pieniądze i własny kąt, ale ponieważ nigdy dotąd nie spała sama w łóżku, bawełniana pościel wydawała się zimna i szorstka. W domu rodzinnym zawsze dzieliła z kimś pościel, więc trudno jej było mieszkać samej.

Kiedyś wybrała się w swoje strony i okazało się, że cała jej rodzina zniknęła. Ciotki, wujowie, dziadkowie – wszyscy. Nie mając się gdzie podziać, krążyła po okolicy, aresztowali ją i teraz jest tutaj.

Mówi tak: „Wolę dzielić z kimś łóżko i wiedzieć, że żyję, niż nie mieć nikogo i wcięż myśleć, że jestem sama. Bo wtedy równie dobrze mogę nie żyć”.

Tęsknię też za Tobą. Za Tobą i za wspólnymi chwilami, które sobie obiecywaliśmy. Ani razu nie obudziłam się przy Tobie, nie spędziliśmy razem ani jednej nocy. Zawsze musieliśmy podkradać czas. Marzę o tych

*drobnostkach, które, choć tak ważne, dla wszystkich są takie oczywiste. Chcę tego, chcę nie być sama.*

*A teraz jest już za późno.*

*Przeżyłam ostatni kęs dzisiejszego chleba i oddałam Hani wszystko, nie połknąwszy ani odrobiny.*

# HEINRICH

Przytłaczał mnie wielki ciężar. Leżałem na łóżku Friedy, w splątanej pościeli, okryty jej ciałem niczym kocem. Jej łagodny oddech łaskotał mnie w szyję. Opuszkami palców rysowałem na jej ramieniu szarzejące w półmroku fale.

– Gdybym mógł wybrać jedną, tylko jedną, wybrałbym ciebie – powiedziałem.

Otworzyła oczy, ale dostrzegłem, że jej twarz pociemniała.

– Nie możesz. Nie masz takiego wyboru – szepnęła.

– Jesteś stworzona dla mnie – odparłem i pocałowałem ją w czoło, co wyszło niezgrabnie, bo odsunęła głowę, chociaż dalej na mnie leżała.

– Nie. Masz Emilie.

– Ciebie też mam.

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale”, Friedo. Kocham cię.

– Nie możesz mnie wybrać, Heinrichu – powtórzyła, jeszcze ciszej. – Ja ci nie wystarczę.

Miałem odpowiedź na końcu języka, ale położyła mi palec na ustach, a potem zamknęła je swoimi. Czuję, że wargi jej drżą.

Leżała na mnie całym ciężarem swojego jej ciała, a mimo to byłem zupełnie odkryty. Uniosłem wzrok do sufitu, rozmyślając nad swoim losem, i nagle łzy popłynęły mi z oczu, a potężny szloch rozdarł pierś niczym rzeźniczy tasak.

Frieda podniosła się, usiadła na posłaniu i wzięła mnie w ramiona, tuląc do nagiej skóry.

– Heinrichu, co się dzieje?

Nie mogłem dobyć głosu z zaciśniętego gardła, nie mogłem znaleźć słów, aby opisać, jak niszczy mnie to, co się dzieje. Wydałem wyrok na nas wszystkich. Bomby wybuchały coraz bliżej, a brzemię mojej winy było jak morderczy pocisk spadający mi prosto na głowę.

Mimo wszystko nie umiałem jednak znieść rozłąki z Friedą, a moje wizyty narażały ją na niebezpieczeństwo. Rozdarty wewnątrz, nie wiedziałem już sam, kim jestem; Frieda scałowała mi z oczu łzy i oparła czoło o moją skroń, a ja szlochałem w jej ramionach, nie próbując nawet się z tym kryć.

Całowała mnie w usta, aż nasze oddechy połączyły się w jedno, a gdy wspięła się na mnie i objawszy udami, przyjęła w siebie, przywarłem jeszcze mocniej ustami do jej ust, nie chcąc już dłużej istnieć jako pojedynczy byt.

Zaczęła się poruszać, nie wypuszczając mnie z objęć. Ujęła mnie pod brodę, uniosła lekko, żebym mógł ją widzieć. Próbowałem odwrócić wzrok, porażony głębią jej oczu, pięknem twarzy. Nie mogłem znieść świadomości, że jestem sprawcą tak wielkiego cierpienia, że niedługo wszystko się skończy, i to z mojej winy.

Szukali mnie, a więc Frieda i Emilie też nie były bezpieczne.

Pocałowałem ją w szyję.

– Zgłoszę się na policję – powiedziałem i natychmiast ogromny ciężar spadł mi z serca. – Jutro. Ty i Emilie będziecie wolne.

Przygarnąłem ją do siebie, jak najbliżej. Nie mogąc spojrzeć jej w oczy, wtuliłem twarz w jej pierś.

Jej rozkołatanе serce krzyczało na mnie ze złością.

– Co na to Emilie? – zapytała.

– Nie powiedziałem jej. Przed chwilą podjąłem decyzję. Kiedy całowałem cię w szyję.

– Idź więc do niej, spakujcie się i wyjeżdżajcie. Ona ma wszystko zaplanowane.

– Oparła dłoń na mojej piersi.

– Nie mogę. – Znów byłem bliski łez. – Ale jeśli się zgłoszę, obie będziecie bezpieczne.

– Bezpieczne? A ty? Sam przed chwilą powiedziałeś, że gdyby była tylko jedna... – Potrząsnęła głową, odpędzając tę myśl. – Ale są dwie. I jesteś ty. Zrozum wreszcie, że obie cię kochamy. Jesteś nam potrzebny, nie możemy żyć bez ciebie. A ty chcesz oddać się w ich ręce. To samobójstwo!

– Nie mogę dłużej was krzywdzić.

– Spójrz na mnie, kochany. Nie krzywdzisz mnie. To jest mój wybór, tak samo jak i twój. – Słyszając jej łagodny głos, z powrotem odwróciłem głowę w jej stronę.

– Nie musisz brać wszystkiego na własne barki. Boli cię krzywda Emilie, więc ja też czuję ból. – Pocałowała mnie w czoło. – Pamiętasz, co powiedziałeś mi wtedy, na ławce nad Szprewą?



Ujęła w dłonie moją twarz i spiła wargami spadające łzy. Przytaknąłem, lecz w środku krzychałem bezgłośnie i jeśli ten krzyk nie wyrwał mi się z gardła, to tylko dlatego, że Frieda mocno trzymała mnie w uścisku; każde uderzenie jej serca czułem w głębi własnej piersi.

I nagle – pstryk – całkowite wyczerpanie uśmierzyło szarpiący ciało ból. Oparłem dłonie na udach Friedy.

– Powiedziałem, że jesteś światłem – wymamrotałem, a ona nakryła mnie sobą, wparła się we mnie, aż każdy mój oddech przechodził przez nią. Byłem ze wszystkich stron omotany czystym światłem. Złożyła usta na moich wargach, aby zdławić łkanie, wygniatane z piersi ciężarem cierpienia.

– Nie ma światła bez ciemności – szepnęła mi do ucha.

– Friedo, to ja jestem ciemnością, spójrz na... – Nie pozwoliła dokończyć.

– Daj mi kilka dni, Heinrichu. – Wypowiedziała moje imię, abym poczuł je głęboko w trzewiach i jeszcze niżej.

– Kilka dni – zgodziłem się.

# MIRIAM

Miriam. – Głos ojca przerywa ciszę. Miriam budzi się na fotelu, gdzie drzemała skulona.

– Miriam. Ja... Ty. Frieda. – Powtarza jeszcze raz, wyciągając rękę. Miriam bierze ją w dłonie. Nogi ma zmartwiałe, nie może poruszyć nawet palcami stóp.

– Ja... – zaczyna znów ojciec. – Zabiłem.

Ostre, kłujące mrowienie budzi jej zdrtwiałe stopy.

– Frieda – mówi ojciec po chwili milczenia.

– Frieda? Frieda jest tutaj, w tych listach – mówi Miriam.

– Zabiłem. Friedę. – Wyrzuciwszy to z siebie, ojciec bezwładnie osuwa się na poduszkę, pogrąża w czarnym, niemym smutku.

## MIRIAM

*Zabiłem Friedę.*

Miriam garbi się na skraju fotela.

– Nie. – Reakcja odruchowa. To nieprawda. To nie może być prawda.

– Spójrz, tato. – Kładzie mu na piersi jedną z kartek. – To jest list, list od Friedy. Był schowany w pasiaku. Kochała cię, tato. Słyszysz mnie? Nikogo nie zabiłeś. – Urywa, wbijając wzrok w papier.

Skąd ten pasiak wziął się w garderobie mamy? Miriam prostuje się, zagłębia w fotel. Tutaj już nie można powiedzieć: „To nieprawda”.

Jej ojciec nigdy nie zabiłby człowieka. Nie byłby do tego zdolny.

Kiedy w mieszkaniu znalazł pająka, kładł go delikatnie na dłoni, broniąc przed mamą, która już podnosiła but albo książkę. Zabierał go i szukał mu bezpiecznego miejsca.

Mówił do os i pszczoł, dziękował im, że zechciały go odwiedzić. Nie, jej ojciec nigdy by nikogo nie skrzywdził, nie mówiąc już o odebraniu życia.

Miriam podnosi list leżący na jego piersi.

– To nieprawda – oznajmia. Następne listy, te, które oddała Evie do tłumaczenia, pokażą, że ma rację.

*Heinrichu,*

*przenieśli nas i miałyśmy już nadzieję na przydział do bloku. Tymczasowy namiot pęka w szwach, tyle tam siedzi kobiet, a bloki są zbudowane z cegły i kamienia, nakryte dachem z blachy falistej.*

*W namiocie zabrali mi trzewiki. Przez dwa dni siedziałam boso, dopiero potem wzięłyśmy buty od jednej z tych, które umarły. Hani ma teraz parę*

chodaków, które pasują na jej nogę, a ja znów mam buty.

Hani i mnie przydzielili do bloku piętnaście, ale z początku nie było dla nas pryczy. Drewniane półki na ścianach były pełne kobiet. Po sześć na jednej. W uszy nieustannie biją różne hałasy: jazgoczą koty, ktoś kogoś woła, ktoś jęczy, dręczony koszmarem, ktoś krzyczy i urąga. Prycze są piętrowe. Trzy półki do góry, osiem w rzędzie. Blok jest podzielony na dwie części, A i B.

Nie było dla nas miejsca, więc poszłam do blokowej, starej, zatwardziałej prostytutki. Chciałam z nią porozmawiać, a ona zdzieliła mnie tak mocno, że wyrznęłam głowę o pryczę zaraz przy wejściu do bloku i upadłam na tej poniżej. Ocknęłam się w ciasnym ustępie. Za mną stała Hani, a przede mną wisiało lustro.

W ustępie, nad dziurą kloaczną, znajdują się zbudowane przez kobiety prycze, które wyglądają solidniej od pozostałych. Jest tam też chyba trochę wolnego miejsca. Dowiedziałyśmy się, że w ciągu kilku ostatnich dni „straciły” dwie towarzyszki. Siadamy więc i napawamy się tym cudownym widokiem: trzypiętrowa prycza, a na niej teraz już sześć osób.

Bo przyjęto nas z otwartymi rękami. Nie pytając o nic.

Jedna z nich, starsza już, rosła i tak samo wielka duchem, o tubalnym głosie, pomogła otrzeć ranę na głowie, a w lustrze po raz pierwszy mogłam się przejrzeć.

Nie poznałabym się chyba. Dotknęłam szkła kilka razy, bo myślałam, że to jakieś złudzenie. Zobaczyć swoją ogoloną głowę to coś zupełnie innego, niż obmacywać ją palcami. Miałam zapadnięte oczy, a czerwień krwi na policzku podkreślała sinozielone cienie, nadając mi niemalże demoniczny wygląd.

Ta starsza kobieta ma na imię Vanda. Bardzo szybko mówi i równie szybko pracuje. Dostałam od niej bandaż do opatrzenia twarzy. Obmyła też Hani i przytuliła ją, chociaż Hani nie rozumiała ani słowa. Tak samo jak ja wpatrywała się w lustro jak zauroczona, uważnie badając dziury po wybitych zębach.

Vanda przedstawiła nam Stellę, małą dziewczynkę, najwyżej siedmio-, może ośmioletnią. Stella wciąż ma jeszcze więcej zębów mlecznych niż stałych, a z przodu dwie szczyrby. Dzieli pryczę z młodą kobietą, na którą mówią Trusia, ale to chyba nie jest jej matka. Trusia przez całą noc nuci, żeby mieć spokojne sny.

– Trusia nic nie mówi. Odkąd ją tutaj przyprowadzili, nie odezwała się ani słowem – wyjaśniła nam Vanda.

*Jest też Eugenia, z pozoru chłodna, ale być może to tylko tutejsze życie tak ją zahartowało. Spędziła w obozie dużo czasu. Dwa lata! A ma chyba ledwie dwadzieścia pięć. Przypuszczam, że tyle samo ma Trusia, ale z nią tak naprawdę nie wiadomo: równie dobrze może być podlotkiem, jak i dobiegać czterdziestki. Obserwowałam ją, próbując się tego domyślić, ale chustka na głowie, ponury mrok zalegający na dnie oczu i strach nie pozwalały odgadnąć jej wieku. Tak wygląda ktoś, kto wiele widział.*

*Zjawiłyśmy się z pustymi rękami, bo miałyśmy tylko jedną miskę na dwie i żadnego koca, ale Vanda nie przywiązuje do tego wagi. To wcielona życzliwość. Jesteśmy jej niezmiernie wdzięczne. Coś mi mówi, że nie przyjęto by nas tak ciepło, gdyby Vanda nie wzięła mnie i Hani pod swoje skrzydła. Zdaje się, że oczarowała ją uroda Hani i jej niewinne spojrzenie osoby, która nie jest w stanie zrozumieć, co się dookoła niej dzieje.*

*Dostałyśmy miejsce do spania na trzeciaku, czyli najwyższej pryczy. Tysiąc pytań kłębi mi się w głowie, ale jestem głęboko poruszona wielką życzliwością, z jaką nas przyjęto. Twarz i głowę mam obolałą. Leżymy razem, Hani i ja, jedna w objęciach drugiej. Po raz pierwszy od wielu tygodni mogłam się położyć. Tak mi dobrze, że płaczę. Po raz pierwszy, odkąd rozstałam się z Tobą. Oczy mam ciężkie od wylanych łez, suche, rozpalone. Nadchodzi wytchnienie.*

Tamte kobiety, tamto miejsce. Miriam nie potrafi znaleźć żadnego punktu odniesienia. Zawodzi ją wyobraźnia, ale o tym właśnie mówią te listy. A miliony ludzi doświadczyły tego osobiście.

– Nie zrobiłeś nic złego – tłumaczy ojcu. – Nie możesz się obwiniać. To nie przez ciebie. – Unosi w dłoni list. – To jest... Tego chyba nie sposób nazwać słowami.

# HEINRICH

Był dziesiąty kwietnia 1944 roku. Poniedziałek. Wtedy widziałem Friedę po raz ostatni.

Aresztowano nas dwa dni po tym, jak prawo przestało obowiązywać, a nadzór nad miastem powierzono jednemu człowiekowi.

Nasza podróż rozpoczęła się w Berlinie, na Schildhornstraße. Byłem pewien, że rozstrzelają nas od razu, pod oknami mieszkania, gdzie ukrywałem się z Emilie. Ale nie, kazali nam iść przed siebie. W powietrzu wisiała gęsta mgła, która odbierała promieniom słońca wszelkie ciepło. Lodowate światło mąciło wzrok.

Maszerowaliśmy wiele godzin, a wszystko, co znajome, zostawało za nami. Zatrzymywaliśmy się tylko pod domami, z których wypędzano mieszkańców. Wreszcie Hagenstraße się skończyła i prowadzili nas dalej Fontanestraße. Szliśmy jezdnią, a na poboczach sterczały kikuty drzew i czerniały spalone wojskowe pojazdy.

Kroki tej procesji przypominały stukot kół sunącego po szynach pociągu. Okna i drzwi domów wzdłuż ulicy były pozabijane deskami, ale na ziemi leżały odłamki potłuczonych szyb. Trwał nieustanny atak, z ziemi i z powietrza. Fasady pustych, zrujnowanych domów kryły ludzi, którzy modlili się i dziękowali, że dziś jeszcze nie padło na nich. Mnie też przez tyle czasu wydawało się, że w czterech ścianach jestem bezpieczny. Ale te ściany runęły, nie mogłem dalej się kryć i nie miałem już nikogo, oprócz Friedy u boku. Zlaliśmy się w jedno z tłumem osaczonych ludzi, flankowanym przez maszerujących po chodnikach oficerów.

Gdzieś z przodu ktoś upadł na ziemię.

– *Schwein!* – szczechnął męski głos i z lewej strony podbiegł oficer w nieskazitelnym zielonym mundurze i błyszczących butach. Stanął nad starszym panem, który potknął się o swoją walizkę i napluł mu na plecy.

– *Du faules Schwein*<sup>8</sup>. – Uderzył klęczącego w tył głowy. Wystarczył jeden cios; starszy mężczyzna poleciał do przodu i uderzył twarzą o walizkę, a spod strąconego kapelusza wysypały się gęste białe włosy. Przechodząc obok w tłumie, spojrzałem na niego. Frieda pociągnęła mnie za rękę, uciekła wzrokiem. Kiedy zacząłem zwalniać, chwyciła mnie mocniej, ale nie zważałem na to i ruszyłem w jego stronę, potrącany przez mijających nas ludzi.

Frieda zatrzymała się w miejscu.

– *Zurück in der Reihe!*<sup>9</sup> – wrzasnęli oficerowie, chociaż nie było tam przecież żadnego szeregu, tylko sunąca przed siebie ociężała ludzka masa.

Szerokim łukiem omijająca klęczącego człowieka.

– Heinrich. – Frieda znów złapała moją rękę, spoglądając na obserwujących mnie oficerów. Nikt się nie zatrzymał, nie zwolnił nawet, nie odwrócił oczu. Oficer musnął palcami daszek swojej czapki, po czym uniósł nogę i nadepnął starszemu mężczyźnie na plecy.

– *Aufstehen!*<sup>10</sup> – ryknął, czerwony na twarzy, a gdy obejrzał się na swoich kolegów i zarechotał głośno, ci zawtórowali mu śmiechem. Zatrzymałem się.

– Heinrich – wyszeptała Frieda, wspinając się na palce i dotykając ustami mojego ucha. – Proszę cię.

Oficer cofnął się, pstryknął zatrząsk kabury, z której wyciągnął pistolet.

– *Aufstehen!* – Machnął lufą.

– *Bitte warten!*<sup>11</sup> – zawołałem. Odepchnąwszy Friedę, stanąłem między oficerem a klęczącym staruszkiem. – Proszę. Niech pan zaczeka – powtórzyłem, tym razem już bardziej do siebie niż do żołnierza w zielonym mundurze. Pochyliwszy się, poczułem woń wilgoci i starości bijącą od jego ofiary. Rękawy kusego płaszcza podjechały mu aż do połowy przedramion, na nogach miał kapcie, praktycznie bez podeszwy. Jego walizka była skórzana, mocno sfatygowana, popruta na szwach. Wbiłem w nią wzrok, czekając na wystrzał. Czekałem, ale Frieda dopadła mnie pierwsza.

– Proszę, niech pan wstanie. – Położyła dłoń na plecach klęczącego. – Bo wszystkich nas zastrzelą. – Podniosła jego kapelusz, nasadziła mu na głowę.

– Temu panu nic nie jest. – Obejrzała się na oficera, który wciąż mierzył do nas z pistoletu. – Proszę, niech pan opuści broń, jemu trzeba tylko trochę pomóc.

Słyszając jej słowa, ująłem mężczyznę pod pachę, podniosłem go z ulicy. Zarzuciłem sobie jego ręce na szyję, tak, że zawisł na mnie całym ciężarem ciała. Frieda chwyciła upuszczoną walizkę.

– *Nein* – sapnął mi prosto do ucha, tak blisko, że aż się wzdrygnąłem, po czym odepchnął mnie i opadł z powrotem na kolana.

– *Nein!* – krzyknął i wyrwawszy Friedzie swoją walizkę, uniósł ją do piersi jak tarczę. Oficer, który mierzył w nas, wycelował w niego pistolet.

– *Die Juden*<sup>12</sup>... – Wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że sprawa jest beznadziejna. Przyciągnąłem Friedę do siebie, a gdy się odwróciliśmy, huknął strzał. Skuleni, ruszyliśmy szybko naprzód, aby zgubić się w tłumie. Dzwoniło mi w uszach, ale gromki, szyderczy śmiech oficerów przebijał się do mojej świadomości.

Wyciągaliśmy nogi, aby utrzymać tempo. Tuliłem Friedę do siebie, fizyczna bliskość pomnażała ciepło naszych ciał. Uciekaliśmy przed tym, co rozegrało się na naszych oczach, aż w końcu, gdy tłum zwolnił, Frieda wzięła mnie pod ramię i odtąd szło się już łatwiej.

Nasze dłonie ostygły razem i wtedy wyszeptała, po francusku, aby zapewnić nam odrobinę dyskrecji:

– Co teraz zrobimy?

– A co możemy zrobić? – Potrząsnąłem głową, zrezygnowany. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, a potem wyjęła dłoń spod mojego ramienia.

Odwróciła wzrok, spoglądając na kłębiący się wokół tłum ludzi. Do końca naszego długiego marszu miałem z nią taki sam kontakt jak oni wszyscy.

8 *Du faules Schwein* (niem.) – Ty leniwa świnio.

9 *Zurück in der Reihe!* (niem.) – Z powrotem do szeregu!

10 *Aufstehen!* (niem.) – Wstawać!

11 *Bitte warten* (niem.) – Proszę zaczekać

12 *Die Juden...* (niem.) – Ci Żydzi...



# MIRIAM

Następny list. Każdy z nich zawiera odpowiedzi, ale Miriam gubi się w gąszczu słów, w świecie tak dalekim od jej własnego, i zapomina, jakie chciała zadać pytania.

*Heinrichu,*

*cóż to była za rozkosz przebudzić się po raz pierwszy na pryczy w bloku piętnastym. Dzień wstał słoneczny, a zamiast szturchnięć i krzyków powitały nas uprzejme słowa: „Dzień dobry” i „Dobrze się spało?”. Poranny apel był długi, ale niebo lśniło błękitem, a nas, Hani i mnie, przepęłniał optymizm. Po przydzieleniu do bloku możemy pracować i to jeszcze bardziej dodaje nam animuszu. Kobiety pracują, dają sobie radę, takie już są. Wyznaczono nas „do piasku”.*

*Z całego bloku tylko my dwie pracujemy w komandach. O kobietach z „piętnastki” mówi się z czułością „króliki”. Na ile zdążyłam się zorientować, prowadzą na nich eksperymenty, jak na zwierzętach. Czuje się, że „króliki” są pod ochroną pozostałych więźniarek. Hani i ja patrzymy po sobie, zdziwione. Trudno nam to zrozumieć.*

*Trusia w ogóle nie rusza się ze swojej pryczy. Ona, Vanda i Eugenia pracują dla wojska: szyją i robią na drutach. Stella bawi się na dworze z innymi sierotami.*

*Chętnie zaznam ruchu, poczuję krew krążącą w żyłach. Po kilku tygodniach ciągłego siedzenia ruch będzie błogostawieństwem dla moich zeszywniałych kończyn. Miło też będzie robić coś razem z ludźmi.*

# HEINRICH

Obudziliśmy się razem, w tunelu prowadzącym na peron przy torze siedemnastym. Z odrętwienia wyrwał nas strach. Jedna komenda przepędziła sen. Mężczyźni na prawo, kobiety na lewo. Dzieci? Nie było tam ani jednego. Wezbrana ludzka fala za chwilę miała rozprysnąć się o najeżony skałami klif i posłać każde z nas w inną stronę.

Nikt nie chciał zrobić pierwszego kroku, ale całą naszą masę wprowadzono w ruch siłą. Dopiero gdy otworzyły się wagony i zobaczyliśmy ludzi, którzy już byli w środku, zrozumiałem, że to koniec. Musieli spędzić w tych wagonach całą noc, zamknięci jak bydło, ale nie próbowali uciekać ani choćby wychodzić z tych cel o drewnianych ścianach. Dienne światło ukazało nam ich twarze; był na nich lęk, ciekawość, przygnębienie.

Powinienem był trzymać ją mocniej. Nie puszczać. Znaleźć jakiś sposób, aby zapobiec temu, co nas spotkało. Ale nie chciałem jej złamać, a tak by się stało, gdybym zatrzymał ją przy sobie. Przerazenie omotało mnie niczym nić rozwijana ze szpulki. Wiedziałem, że ona też mu się nie oprze, a musiała zachować siłę, bo oboje mieliśmy zaraz ruszyć w drogę.

Oddzielnie.

Henry Van Dyke napisał, że dla tych, którzy kochają, czas jest wiecznością, i miał rację. Wiem, że zawsze będę tam, gdzie ona. I dopóki żyję, ona będzie żyła we mnie. Żałuję, że jej tego nie powiedziałem.

Powinienem był.

Powiedziałem tylko: „Masz zimne ręce”.

Całe moje pożegnanie.

Uśmiechnęła się. Jej dłoń wysunęła się z mojej, wyprostowane palce musnęły powietrze. Potknąłem się i wpadłem na kogoś, musiałem odwrócić głowę. A gdy obejrzałem się z powrotem, jej już nie było.

# MIRIAM

Króliki? Eksperymenty? – Miriam przegląda kolejne listy, maleńkie skrawki cienkiego jak bibuła papieru. Pozwijały się i trudno je porządnie rozprostować, bo zaraz zwijają się z powrotem. – Co oni tam z nimi robili?

*Heinrichu,*

*pracujemy, jedzenia dają skąpo, ledwie tyle, aby nie umrzeć z głodu, ale za mało, aby go nasycić. Vanda wyszperała dla mnie i Hani drugą miskę, żebyśmy już nie musiały jeść z jednej. To oznacza też, że od teraz każda z nas będzie jadła więcej. Wciąż jeszcze przeżuwam dla niej chleb, coraz trudniej mi się powstrzymać i nie połknąć całego kęsa.*

*Piasek wżera mi się w skórę. Ta praca pozbawiona jest sensu, ma tylko złamać w nas ducha. Przenosimy piasek z miejsca na miejsce, a on zaraz osypuje się z powrotem. Ręce bolą mnie tak, że nie mogę dłużej pisać, zresztą i tak skończył się papier.*

Ojciec stęka i dygocze, a potem zaczynają się spazmy. Wzbierają niczym fala, podrywając lewą stronę jego ciała, coraz mocniejsze, coraz gwałtowniejsze. Miriam wstaje i już chce iść po midazolam, ale nagle skurcze łagodnieją i ojciec znów już tylko dygocze, szcękając przy tym zębami.

– Trzymaj się, tato. – Miriam okrywa go dodatkowymi kocami, gładzi jego chłodne dłonie.

– Jakie zimne... – mamrocze ojciec. Miriam kładzie się obok niego.

– Jestem przy tobie – mówi, a on cały się odpręża. Noc sączy się przez okno, nieproszona, nie jest tutaj mile widziana. – Jestem przy tobie – powtarza Miriam, ale czuje strach pełną po łydkach, a przytłaczający mrok każe jej myśleć o Nim. Jeśli naprawdę wrócił, to w jednym celu. Po Miriam.

Brakuje im czasu. Tak jak Friedzie zabrakło papieru. A jednak zostały jeszcze nieprzeczytane listy. Każde kolejne słowo, każda litera budzi w niej trwogę; to się nie może skończyć dobrze.

– Dowiem się, co się stało, ale proszę cię, nie odchodź. Zostań jeszcze trochę. Proszę.

Gdy ojciec zaczyna pochrapywać, Miriam podnosi się dyskretnie i bierze następny list, aby przeczytać go w słabym świetle stojącej lampy.

*Wymieniłam przydział chleba na długi, cienki ołówek i piszę do Ciebie, przyczajona na pryczy. Nasza blokowa nie zwraca uwagi na „króliki”. To prawdziwa olbrzymka o tubalnym głosie. Budzi postrach, ale nigdy nie uderzy po złośliwości. Nie musi. Zbitemu psu wystarczy pokazać kij.*

*Inne kobiety na ogół też nie zwracają uwagi na „króliki”. Niektóre przynoszą Trusi albo Vandzie chleb, kiedy tylko uda im się go trochę odłożyć albo ukraść. Inne robią zabawki dla Stelli. Z bawełnianej ściereczki powstaje lalka, a mała buzia rozjaśnia się uśmiechem.*

*Trusia i Vanda obszywają nas wszystkie. Specjalność Trusi to kieszonki po wewnętrznej stronie pasiaka. Jakże zwinne są jej palce! Kiedy pracuje, patrzę jak urzeczona.*

*Z nimi jestem bezpieczna.*

*Dni są wyczerpujące, ich rutyna, a także ciągłe liczenie się z tym, że mogą mnie zastrzelić, zranić, pobić, zamknąć w bunkrze<sup>13</sup> albo w bloku karnym. To codzienny widok: wloką gdzieś jakąś kobietę, a ona na próżno zdziera gardło. Wszystkie stoimy i patrzymy, ciesząc się, że to nie na nas dzisiaj padło. Przyjaciółki nie ruszą palcem, ale gdy taka kobieta wraca, do szczętu wychudła, z żebrami na wierzchu, aż dziw bierze, że w ogóle jeszcze oddycha, czekają na nią z zupą, chlebem i ciepłym sercem.*

*Piszę po nocach, oczy mi łzawią i szczypią z wysiłku, bo jedyne oświetlenie to blask księżyca. Vanda chrapie, Trusia, zwinięta w jeden kłębek ze Stellą, nuci. Hani, przytulona do moich pleców, oplata mnie ręką i nogą, a ja leżę na boku i piszę do Ciebie, starając się zmieścić na każdej stronie jak najwięcej słów.*

*Mam nadzieję, że kiedyś razem spalimy te listy, aby zapomnieć o tym, co było, i otworzyć drogę ku przyszłości.*

*Od czasu do czasu Eugenia wystawia głowę ze środkowej pryczy i rozmawiamy. Opowiada mi o aliantach, wyzwoleniu i o kobietach z obozu, które co dnia robią różne drobne rzeczy, aby ratować siebie i innych. Transporty regularnie wywożą stąd więźniów. Są tacy, którzy wierzą, że do sanatorium. Eugenia sądzi, że na śmierć. Słyszałam od niej o liście, podobno niektóre kobiety wychodzą ze skóry, żeby usunąć z niej nazwiska swoje i swoich najbliższych. Zdaje się, że to blokowa podaje nazwiska strażniczkom, które prowadzą te listy. Tak czy inaczej, kobiety opuszczają obóz.*

*Eugenia zarzeka się, że alianci są już blisko. Rosjanie i Amerykanie wkrótce wyzwolą obóz, tak mówi. Żadna z nas w to nie wierzy. Nie ma czegoś takiego jak wyzwolenie, a wierzyć, że to się kiedyś skończy, zakrawa na szaleństwo. Robimy dalej swoje: pracujemy, aby przeżyć. Jak to miło porozmawiać, porozumieć się jak kobieta z kobietą. Gadamy długo, dopóki jedna z nas nie zaśnie. W głębi serca czuję się ubogacona rozmowami z Eugenią.*

*Listy chowam w fałdach siennika i modlę się, żeby były na miejscu, kiedy wrócę.*

*Otula mnie ciepłe ciało Hani, trwonię te nocne chwile, aby spać. Mogę wtedy marzyć, myśleć, dziękować za wszystko, co mam. Nie ma Boga, jest tylko zupa. Jestem ja, z ołówkiem w ręku. Zostawię po sobie ślad, chociaż być może mały i nieistotny. Istnieję. Nie zdołają mnie wyeliminować.*

13 Bunkier – piwniczny karczer w obozie hitlerowskim.

## MIRIAM

Po lekturze ostatniego listu ogarnia ją poczucie beznadziei. One naprawdę wierzyły, że doczekają się pomocy, że ktoś je uratuje. Próbuje zasnąć, ale gdy zamyka oczy, widzi milczącą kobietę otuloną kocami. Kobieta szyje i wszywa kieszenie, a wszyscy wokół są poturbowani, zdruzgotani. W porównaniu z tym jej własne problemy wydają się żałosne.

Tuż przed świtem zapada w drzemkę i śnią jej się węże. Brzuch to gniazdo pełne wijących się gadów, które to wypełzają spod skóry, to chowają się z powrotem. Miriam chwyta je, ciągnie, ale nie dadzą utrzymać się w dłoni. Śliskie i lśniące, wracają do środka i tam wiją się dalej.

Budzi się z paznokciami wbitymi głęboko w brzuch. Zrywa się na równe nogi i biegnie po nożyczki schowane w szufladzie mamy, aby przeciągnąć szpicem po ciepłej, miękkiej skórze na brzuchu. Gdy tylko pokażą się czerwone krechy, gniazdo węży zapada się i rozplywa jak sen, bo tym przecież jest.

Przerywa jej pukanie. Idzie do przedpokoju i uchyla drzwi odrobinę, tyle tylko, żeby wyrzucić. To Eva, zastygła w pół gestu z uniesioną ręką i dłonią złożoną jak do pukania. W granatowym swetrze zapinanym na guziki, szaroczarnych spodniach i ciężkich butach. Na ramieniu torebka, przez rękę przewieszony płaszcz. Obok niej stoi pan Ludwig.

– Domofon u pani nie działa – informuje. Czoło lśni mu od potu. – Domyśla się pani może dlaczego?

– Hmm...

– Ta... – Dozorca ogląda się na milczącą Evę. – Ta pani nie mogła się dodzwonić na górę. Musiałem się z nią pofatygować aż tutaj. Dla bezpieczeństwa, bo czasy teraz takie...

– Dziękuję panu.

– To skoro już jestem, może rzućmy okiem, co? – Mężczyzna przeciska się obok stojącej w drzwiach Miriam i unosi słuchawkę domofonu. – No, słońce... – Gromi ją wzrokiem. – Wyciągnięta wtyczka. – Wkłada ją z powrotem do gniazdka, posyłając Miriam spojrzenie mówiące: „Proszę tego więcej nie robić”. Potem uchyla czapki Evie i odchodzi.

– Wejdzie pani? – pyta Miriam.

– W zasadzie to chciałam porozmawiać. – Eva spogląda jej prosto w oczy, wzrok ma twardy, stanowczy. Miriam zasłania brzuch dłońmi, które przed chwilą umyła. – Ostatnim razem, w bibliotece, mogłam być nieco... zbyt kategoryczna.

– Kategoryczna?

– Nie byłam w stanie... No cóż, trudno jest komuś zaufać.

– Rozumiem. – Miriam szerzej otwiera drzwi. – Chyba mogę mówić o szczęściu, bo nie znam życia po drugiej stronie muru.

– Czytała pani listy?

– Tak, te kobiety króliki... To potworne, że takie rzeczy się działy i...

– Nie było pani wczoraj w bibliotece – Eva wchodzi jej w słowo.

– Nie poszłam, przepraszam.

– Przekazano pani przesyłkę?

– Tak, dziękuję za listy. Co za historia... Nie wiem tylko, czy...

– Mogę panią zaprosić na kawę? Na końcu ulicy jest kawiarnia – Eva znów jej przerywa.

Miriam biegnie myślami do ojca, który teraz odpoczywa.

– Kawa? Świetny pomysł – zgadza się. – Tylko powiem tacie.

Kawiarnia jest otwarta, klienci, wszyscy miejscowi, śmieją się i rozmawiają. Słychać, że żyją. Świąteczne zapachy atakują zmysł węchu od samego wejścia. Miriam rozpływa się w ciepłym blasku cynamonu i ziarnistej kawy.

Eva wypatrzyła wolny stolik w głębi sali, pod dużym, uchylonym oknem; pomimo wczesnej pory widok z okna jest ponury i ciemny. Chłodny przeciąg miło kontrastuje z szalonym młynem klientów i zamówień. Miriam zamawia kawę w wysokiej szklance, z bitą śmietaną i posypką cynamonową; do tego dostaje na talerzyku małe kruche ciasteczko i długą łyżkę.

Zamawia dla Evy to samo i rozgląda się po sali, po czym siada przycupnięta na samym skraju krzesła. Najlepiej, myśli, żeby Axel był tutaj, przy tym stoliku. Bo jeśli nie ma go tutaj, to może być wszędzie. Miriam wierci się, strzela oczami dookoła i wzdryga się za każdym razem, kiedy ktoś się poruszy albo wyda jakiś

dźwięk. Mięśnie wciśniętego w krzesło ciała, napięte jak postronki, po kilku minutach zaczynają rwać pulsującym bólem.

Eva odgryza kawałek ciasteczka, okruchy sypią jej się na kolana. Strzepuje je wierzchem dłoni.

– Dziękuję za pomoc z listami – zaczyna Miriam, przyglądając się jej.

– Płaci mi pani, więc...

– No właśnie, jestem pani coś winna, prawda?

Eva zbywa pytanie machnięciem dłoni.

– Dobrze, że spotkałam Jensa – mówi Miriam. – Inaczej ślęczałabym nad słownikiem, składając te listy po jednym słowie. – Jest w pełni świadoma, że zaczyna paplać, za szybko i bez sensu, ale nie potrafi się uspokoić. – Ma pani rodzinę? – pyta. – Poza Jensem?

– Mój mąż zmarł kilka lat temu. Był lekarzem. I bardzo dobrym człowiekiem. Jego córki są już dorosłe. Jens to syn Renke, najstarszej. – Eva bierze długą łyżkę, miesza kawę z bitą śmietaną. – Kiedy był chłopcem, całą rodziną uciekli podkopem do RFN. Nie widziałam ich blisko dwadzieścia lat.

Przeciągłe milczenie kładzie się cieniem na blacie stolika. Miriam wsłuchuje się w oddech Ewy, który powoli zwalnia. Dłonie kobiety, chociaż pociemniałe od wieku, są smukłe i szczupłe.

– Ma pani kogoś, Miriam? – pyta Eva z pełnymi ustami.

Miriam kręci przecząco głową, upija łyk kawy, która parzy jej wargi.

– Nie – odpowiada. – W zasadzie to nie.

Myśli biegną do tamtej nocy, kiedy odeszła od Niego.

– To jest... – Urywa. – Widzi pani... – Ostatecznie decyduje się ująć sprawę tak: – To skomplikowane.

Tamtej nocy, po telefonie ze szpitala, Miriam dokładnie umyła ręce i z głową huczącą od słów, które padły podczas tej rozmowy, weszła na palcach do wspólnej małżeńskiej sypialni. Myślała tylko o swoim ojcu, umierającym samotnie o kilka godzin drogi od jej domu.

Axel chrapał, a ten dźwięk był dla niej cudownie kojący. Leżał w tej samej pozycji co zawsze, a pogrążony we śnie wyglądał jak trup w grobie.

Miękki kremowy koc, zazwyczaj kładziony w nogach łóżka, znajdował się na podłodze, złożony kilka razy, w nieduży prostokąt. Rozmiarów psiego pościania. W takim łóżku Miriam miała spędzić tę noc.

„Psy i suki śpią na podłodze”.



Odwróciła się i wyszła z sypialni.

W łazience, balansując na brzegu wanny i rozpaczliwie chwytając się śliskiej powierzchni palcami stóp, sięga z niemałym wysiłkiem na ostatnią półkę szafki, gdzie były schowane jej leki. Schowane przed nią.

Axel był jedyną osobą, której można było powierzyć pilnowanie, aby Miriam przyjmowała właściwe dawki. Po tym, co wydarzyło się ostatnim razem... Kiedy każda gorzka pigułka była lukrowanym smakołykiem, błogim uśmiechem otchłani.

Otworzyła stare pudełko wciśnięte głęboko, pod samą ścianę, a w nim, pomiędzy opakowaniami przeróżnych leków, od antydepresantów przez neuroleptyki po proszki nasenne...

Był tam.

Przez tyle lat nie miała pojęcia, gdzie się podział, a tymczasem tego właśnie dnia, szukając drogi ucieczki, chcąc się uwolnić – znalazła.

Znalazła swój dowód osobisty.

Z dokumentem potwierdzającym, że jest obywatelką RFN, wreszcie mogła wrócić do Berlina, do domu. Mieszkała z mężem w Wolfsburgu, czyli też w Niemczech Zachodnich, ale podczas kontroli na przejściu granicznym trzeba było wykazać, że nie jest się pasażerem na gapę z NRD.

Schowała dowód do kieszonki koszuli nocnej, tuż przy sercu, i zeszła po schodach, na palcach, przezornie omijając drugi stopień od góry, ten, który głucho skrzypiał. Wsunęła stopy w buty stojące w przedpokoju, zdjęła z wieszaka swój płaszcz. Wszystko odbyło się bez namysłu. Nogi niosły ją same.

Przepraszam, Evo, co pani mówiła? – Dookoła tętni kawiarniany gwar, zmuszając ją do myślenia o tym, w jaki sposób zdołałaby się przebić przez tę masę stłoczonych ciał, gdyby nagle On się tutaj pojawił. Albo usiadł przy stoliku. Albo za jej plecami.

– Mówiłam, że relacje między ludźmi są na ogół bardzo skomplikowane – odpowiada Eva. – Nic nie jest takie oczywiste, jak się wydaje: książki i filmy są powierzchowne. To chyba dlatego, że większość komercyjnej sztuki tworzą mężczyźni. – Eva uśmiecha się z błyskiem w oku.

– Gdy zastanawiałam się kiedyś, co chcę robić w życiu, moja mama powiedziała: „Mężczyźni tworzą sztukę, a kobiety rodzą dzieci”. Niestety, nie wyszło mi ani jedno, ani drugie – mówi Miriam. A potem dodaje: – Z początku jej słowa wydawały mi się głupie, ale może to miała być przestroga.

– Jaka przestroga?

– Że trzeba znać swoje miejsce. – Miriam znów unosi kawę do ust i znów parzy się dokładnie w tym samym miejscu. Odstawia szklankę i sięga po ciastko.

– Mogę zapytać o te listy? – odzywa się Eva. – Skąd je pani ma?

– Były zaszyte w takiej sukience... To chyba jest obozowy pasiak. Znalazłam go, gdy robiłam porządki w szafie mojej mamy.

– To był jej pasiak?

– Nie sądzę. W jednym z listów jest mowa o Ravensbrück, może mama tam była, ale same listy... Nigdy nie słyszałam od niej słowa po francusku, nie знаła tego języka ani w mowie, ani w piśmie...

– Nie można jej o to zapytać?

Miriam potrząsa przecząco głową, ale ponieważ znów trzyma przy ustach szklankę z kawą, bita śmietana pryska jej na twarz. Musi wytrzeć się serwetką.

– Współczuję – mówi Eva. – Dawno?

– Trzy lata temu. Rak. – Dłonie jej drżą, kawa leje się po palcach.

Muzyka gra cicho, zmieszane głosy brzęczą jak rój pszczół, a Miriam czeka na ten druzgocący cios, który towarzyszy każdej myśli o mamie. Zdążyła już przywyknąć, ale tym razem tak się nie dzieje. Czeka dalej, popijając kawę. Zlizuje z warg słodycz bitej śmietany, nasiąka ciepłą atmosferą kawiarni.

Eva sięga do swojej torby.

– Chce pani jedną? – Częstuje Miriam klementynką. Jedzą, przyglądając się samochodom na ulicy i ludziom paradującym przed oknami.

– A pani ojciec? – odzywa się w końcu Eva.

Obok ich stolika przechodzi mężczyzna w skórzanych butach. Miriam podrywa się nagle, bez uprzedzenia.

– Muszę wracać do domu – mówi.

– A myślałam, że to ja jestem nerwowa. Coś się stało?

– Muszę wracać do taty, zanim będzie za późno. – Miriam patrzy na zegarek. Czas nie stoi w miejscu.

Kawiarniany gwar zmienia się w ogłuszający hałas. Pogodne twarze, śmiech, zapach perfum, pary patrzące sobie w oczy. Poczucie winy chwyta ją za gardło, ściska mocno. Ekspres do kawy grzechocze, łomocze, łoskocze. Zgrzytliwe dźwięki wyostrzają jej zmysły.

Dźwięczy dzwonek nad drzwiami kawiarni, a do środka, razem z wilgotnym powietrzem, wtacza się rozłożony parasol, trzymany przez mężczyznę w długim czarnym płaszczu.

Wysoki jak Axel, ale to nie on.

Kawa nagle gorzknieje. Miriam dławi się strachem, który jest jak lepka pajęcza sieć.

– Przepraszam, jeśli powiedziałam coś nietaktownego – mówi Eva.

– Och, nic z tych rzeczy. – Miriam zarzuca na siebie płaszcz. – Ale muszę już wracać do ojca.

Wychodzą z kawiarni razem.

– Zjrzy pani do mnie? – prosi Miriam. – Mam dla pani jeszcze parę listów, zostały na stole.

– Ja też kilka przyniosłam. – Eva łagodnie ujmuje ją pod ramię, przyhamowując odrobinę, aby szły w jednym tempie. Miriam za każdym krokiem czuje obok siebie ciężar jej ciała. Podnosi ją to na duchu i w końcu popłoch, w który wpadła, ustępuje.

Idą razem w milczeniu, ostrożnie stawiając stopy na usłanym liśćmi chodniku.

W mieszkaniu jest cicho i spokojnie. Miriam staje nad ojcem.

– Przyszła pani Eva, tato. Pomaga mi szukać Friedy – szepcze i mocno ściska jego rękę, a potem prowadzi Evę do jadalni, gdzie zostawiła dywanikową torbę z wiadomą zawartością.

– To ta sukienka. – Szczęknąwszy zameczkiem, wyciąga złożone prześcieradło i chce podać je Evie, ale ta cofa się o krok.

– Niech pani to zrobi.

Miriam rozkłada pasiak na stole.

– Cud – komentuje krótko Eva. – A gdzie były listy?

– Tutaj. – Miriam pokazuje kieszenie i wszystkie rozprute szwy, łącznie z kołnierzykiem i mankietami.

– Pasiaki były przerabiane. – Eva wodzi palcami po grubej tkaninie na dole sukienki. – Doszywało się kieszonki, żeby móc nosić przy sobie własne łyżki, czasami zdjęcie bliskiej osoby albo list.

– W tych listach też jest o tym mowa. Trusia wszywała ukryte kieszonki. – Wymawiając na głos to imię, Miriam uświadamia sobie, że Trusia to prawdziwa osoba, a listy mówią prawdę. Opisują ludzi, którzy żyli i którzy stracili życie. Są bardzo osobiste i gdy je czyta, jest bardzo skrępowana; chciałaby wiedzieć, co czuje Eva przy tłumaczeniu. Możliwość podzielenia się z kimś tym przeżyciem jest pokrzepiająca. Kto wie, może ta znajomość przerodzi się nawet w przyjaźń.

Eva obchodzi stół dookoła i wygładza tkaninę dłońmi.

– Może napije się pani wody? – proponuje Miriam.

Eva nie odpowiada.

Miriam idzie do kuchni i przynosi dwie szklanki.

Ma wrażenie, że Eva się postarzała; nie przybyło jej zmarszczek, ale wydają się głębsze, wargi natomiast jakby węższe. Wyrównuje palcami kieszeń pasiaka. Przemyka z wysiłkiem wodę, którą podała jej Miriam.

– Niesamowite, że coś takiego w ogóle się zachowało – mówi cicho. – Wielu moich krewnych zginęło w obozach.

– Bardzo pani współczuję. Na mnie ten pasiak też działa – przyznaje Miriam. – Szczególnie jego zapach.

Nagle Eva siada na krześle i kuli się, zapada w sobie. Składa dłonie i potrząsa głową, wpatrzona w pasiasty drelich.

– Potworność – ciągnie Miriam. – Nie wiem, jak pani sobie radzi z tłumaczeniem tych listów, bo ja z całą pewnością... – Przerywa jej głośny łomot. Ktoś dobija się do drzwi. Obie aż podskakują. Miriam oblewa się wodą, a Eva szeroko otwiera oczy i odwraca się w stronę przedpokoju. Zamierają w bezruchu.

Kolejne walnięcie w drzwi zmusza Miriam do działania. Idzie otworzyć. W progu stoi zdyszany pan Ludwig z olbrzymim bukietem czerwonych róż o bujnych zielonych liściach. Takie kwiaty kosztują fortunę.

– Ciężkie – skarży się. – Co znowu z tym pani domofonem?

– Nic. – Miriam wyjmuje mu bukiet z rąk. Rzeczywiście, trudno go utrzymać. – Od kogo to?

– Tyle tych schodów... – Dozorca sapie, unosząc rękę, żeby nic nie mówiła. – Nie ma za co – rzuca po chwili i otrzepawszy koszulę z zielonych listków, odchodzi spod drzwi, mamrocząc pod nosem.

– Ładny bukiet. – Eva pojawia się obok Miriam. – Od wielbiciela?

Miriam potrząsa głową.

– Może przyniosę wazon?

– Nie, dziękuję. – Miriam odkłada kwiaty na stolik w kuchni, jakby to była bomba, niewypał. Proszę, jest i karteczka:

*Do jutra, żono.*

– Od kogo to? – Eva zagląda jej przez ramię.

Miriam zgarnia róże ze stolika i wpycha do kosza na śmieci, głęboko, jak najgłębiej, aż łamią się łodygi. Zatrzasnąwszy pokrywę, cofa się, otrzepując ręce, plastry na palcach kleją się do siebie. Potem jednak zmienia zdanie, otwiera kosz z powrotem i wyciągnąwszy całą torbę ze śmieciami, wynosi ją do śmietnika na parterze.

Eva czeka w kuchni na jej powrót.

– Mogę pani jakoś pomóc?

Nastawia wodę, a Miriam w tym czasie myje ręce. Krzywiąc usta z bólu, wsuwa dłonie pod gorący strumień, sięga po mydło. Słyszac gwizd czajnika, odwraca głowę, myśli o tym, co zrobiłby wrzątek z jej skórą i ile ukojenia by jej to przyniosło.

Eva zdejmuję czajnik z gazu. Miriam spłukuje pianę, a następnie szoruje dłonie i opuszki pilnikiem do paznokci, zrywa plastry i znów płucze dłonie pod ukropem. Woda w zlewie robi się czerwona i wtedy Eva kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Już dość – mówi.

– To nie był wielbiciel – mamrocze Miriam.

– Widzę, ale teraz już wystarczy. – Sięga do kranu, aby zakręcić wodę, a potem podaje jej ręcznik. – Mogę spojrzeć?

Miriam wysuwa dłonie spod ręcznika. Palce krwawią, wokół paznokci sterczą ponadrywane skórki, na nadgarstkach ciemniejszą otarcia.

– Pomogę, dobrze? – Eva bierze ją za obie ręce i prowadzi do salonu, tam sadza Miriam na oliwkowym krześle z wysokim oparciem nabijanym ozdobnymi złotymi ćwiekami. Wyciera jej dłonie ręcznikiem, najpierw jedną, potem drugą, tamuje krew i okleja rany plastrami, według szeptanych instrukcji Miriam.

– Co ma być jutro? – pyta.

– Chyba chcą zabrać tatę do szpitala. Jutro jest spotkanie w tej sprawie.

– I co będzie?

Pytanie zawisa w powietrzu.

– Te kwiaty... – Eva zaczyna od nowa. – To od pani męża?

Miriam przytakuje.

– Nie jesteście już razem?

– Nie. – Po chwili powtarza to słowo jeszcze raz, z większym przekonaniem.

– Czas leczy nawet najgorsze rany. Zapewniam panią. Palce się zagoją i dusza też. Trzeba na to czasu i tyle. – Eva podnosi swoją torebkę. – Przyniosłam kilka przetłumaczonych listów. – Wyjmuje zawiniątko. – Lepiej już pójdę – mówi, spoglądając jeszcze na pasiak, a potem na dłonie Miriam.

– Oczywiście. – Miriam oddaje jej pozostałe listy i wręcza dziesięć zachodnich marek. – Dziękuję i przepraszam, że musiała pani to oglądać. – Kiwa głową w stronę kuchni.

– Niech pani za nic nie przeprasza. A czy mogłabym... Jeśli to nie kłopot, może odwiedzę panią jeszcze kiedyś?

– Oczywiście, kiedy tylko będzie pani chciała.

Pożegnawszy Evę, Miriam zabiera nowe listy i idzie do ojca.

Kartek jest mnóstwo, przeróżnego kształtu i formatu, a nieprzeczytanych listów pozostało jeszcze tak wiele. Zadowolona, że ma co zrobić z rękami, Miriam bierze kolejny. Woli zastanawiać się nad losem Friedy niż nad swoim.

## HEINRICH

Nie spoczywam w pokoju, gdy słyszę głos Miriam.

Jej ciche słowa nie są skierowane do mnie. Nasłuchuję, szukając utraconej równowagi, ale kręcę się w kółko, a one umykają mi w tym mroku.

Jestem dryfującą łodzią. Chcę poruszyć palcami stóp, ale chociaż je czuję, to moja wola ich nie sięga, są za daleko. Nogi mam jak spętane i wydają się należeć do kogoś innego, ale są na swoim miejscu. Leżę w jakimś łóżku. Nie wiem, gdzie się znajduję, wiem tylko, że jestem.

Friedy już nie ma, to pewne, ale ja wciąż mam ją przed oczami, w pełnych, żywych barwach. Muszę wiedzieć, co się stało, muszę wiedzieć wszystko, muszę poznać cały ciężar mojej winy, oddać się pod sąd i usłyszeć wyrok.

Bo to wszystko spotkało ją przeze mnie.

Znów słyszę głos Miriam. Wołam Friedę, ale moje usta odmawiają posłuszeństwa. Nie dzisiaj. „Błagam!”, krzyczę, ale ten krzyk niesie się tylko głuchym echem w mojej głowie, a z ust cieknie mi ślina. Czuję, jak ścieka na brodę i stygnie.

# MIRIAM

Aby nie myśleć o jutrze i o Axelu, aby nie myśleć o niczym oprócz listów, Miriam czyta do późnej nocy.

*Heinrichu,*

*blokowa powiedziała, że mogę spotkać się z komendantką. Tylko że teraz to mi już niepotrzebne. Nie mam jej nic do powiedzenia. Po przydziale do bloku piętnastego nie mam po co z nią rozmawiać. Ale kiedy komendantka wzywa, to się idzie i już.*

*Wchodząc do jej gabinetu, czułam się całkiem naga. Nie kąpałam się od wielu dni; zabrakło wody do kąpieli, bo wszystko wypiliśmy. Taki był upał. Przesiąkłam całą zapachem ludzkich ciał, zgrzanych i brudnych. Umyłam tylko ręce, uwalane i oblepione piachem, a resztkę wody połknęłam. Przed pójściem do komendantki poszczypałam sobie policzki i oblizałam wargi, żeby wydawały się pełniejsze. Piach zgrzytał mi w zębach.*

*Blokowa przyłapała mnie na tym, a próżność jest zakazana i podlega karze. Dostałam po łapach, po wierzchu dłoni. Bolało tak, że łzy stanęły mi w oczach.*

*W gabinecie było cicho, a za biurkiem siedziała kobieta o jasnych włosach i gładkiej cerze. W wyprasowanym, ciemnym mundurze.*

*To mogłam być ja.*

*Myślę, że dzielił nas tylko zbieg okoliczności. Ona, ze szminką na ustach, lakierem na włosach i w furażerce umocowanej spinkami. Ja ściągnęłam z głowy chustkę, odsłaniając ogoloną głowę. Cienkie włosy odrastały mi nierównymi, gęstymi kępkami. W pewnej chwili dotarło do mnie, że stoję*



*i gapię się na nią. Nie wiedziałam, jak zacząć. Płakałam, chociaż wydawało mi się, że wylałam już wszystkie łzy.*

*Słowa, które wypowiedziałam, były niczym cios prosto w serce. Ogolona głowa, okaleczone ręce, pusty brzuch – to pokazuje, kim teraz jestem. Zrobię wszystko, aby odzyskać wolność. Wyprę się nawet nazwiska, które przyjąłam z taką łatwością.*

*Prawda jest brzydka.*

*Jeszcze tak niedawno, osiem tygodni temu, zgłosiłam się, gdy padło nazwisko Emilie Winter – postanowiłam być z Tobą, bo Emilie się ukrywała. Stałam dumnie u Twego boku. Dałam się aresztować razem z Tobą. Poszłam z Tobą, nie myśląc o tym, że ta droga doprowadzi mnie tutaj.*

*A tutaj, chociaż palił mnie wstyd, powtórzyłam wszystkie słowa i gesty, których nienawidzę.*

*– Pochodzę z czystej aryjskiej rodziny – wymamrotałam.*

*Komendantka zmierzyła mnie nieprzeniknionym wzrokiem, twarz miała jak z marmuru.*

*– Heil Hitler! – zawołałam, po raz pierwszy od bardzo dawna. I było to jak oszustwo, jak zdrada sercem i myślą.*

*Byłam gotowa sprzedać duszę. I martwiłam się tylko o to, czy dusza to nie będzie za mało.*

*Przed komendantką leżały jakieś papiery.*

*– Jak długo tu jesteś?*

*– Osiem tygodni, pani komendantko.*

*– Czego chcesz?*

*I wtedy, choć wiedziałam, że chcę dostać miskę i lepszą pracę niż noszenie piasku, że chcę, aby blokowa lepiej nas traktowała, a nadzorzynie przestały zachowywać się jak bandytki, że chcę coś zrobić...*

*...powiedziałam bardzo cicho:*

*– Proszę, chcę wrócić do domu.*

*– W Ravensbrück nie ma zwolnień.*

*I tyle.*

*Ale gdy już miałam wyjść, komendantka zawołała mnie jeszcze.*

*– Dobrze by było mieć oczy i uszy na terenie obozu, rozumiesz? Zbieraj dla mnie informacje, o niedozwolonym zachowaniu, o łamaniu regulaminu, bumelantkach, o podziemiu, które tutaj działa. O tych, które „ukrywają się” w blokach i rozsiewają kłamliwe plotki. – Uniosła wzrok. – Jak mi się przydasz, to będzie ci tutaj lepiej. Rozumiesz?*

*Skinęłam głowę.*

*– Masz tu wrócić w środę i wtedy chcę się czegoś dowiedzieć.*

*Wyszłam.*

*Strażniczka odprowadziła mnie do bloku. Myślałam o Trusi, Vandzie, Stelli, Eugenii. Jaką cenę będę musiała zapłacić za wolność?*

# HEINRICH

Wepchnęli mnie siłą do wagonu pełnego mężczyzn. Oglądałem się za Friedą. Stanąwszy przy zakratowanym okienku, szukałem jej w tłumie. Każdy pchał się do tego okienka, aby przed odjazdem raz jeszcze zobaczyć kogoś, z kim musiał się rozstać.

I żaden nic nie zobaczył.

Oparłem głowę o drewnianą ścianę wagonu. Drzwi były zamknięte na głucho. Co ja zrobiłem?

Wywieźli mnie do Auschwitz. Nie wiedziałem, co to znaczy „Auschwitz”, nie słyszałem tego wszystkiego, o czym mówi się teraz. Wiedziałem tylko, że jestem w piekle. Co noc, zamknąwszy oczy, powracałem do tunelu prowadzącego na peron przy torze siedemnastym dworca Berlin-Grunewald, gdzie razem czekaliśmy na to, co przyniesie nam los, nie spodziewając się, że będzie to rozstanie.

Dla mnie te czasy, które wszystkim zatarły się w pamięci lub też zostały z niej wymazane, splatają się nierozdzielnie ze wspomnieniami o Friedzie, tworząc gęsty gobelin. Wystarczy, że pociągnę za jedną nitkę, i już gubię się wśród scen z przeszłości. Jedna z nich pokazuje, jak gryzę człowieka w rękę, aby zabrać mu chleb, który ściska w dłoni. Na innym obrazie wrzucam ludzi do pieca w krematorium, nie zastanawiając się nad tym, czy umarli, czy może jeszcze żyją.

# MIRIAM

Rozkłada list na blacie stołu. Na samym dole poźółkłej, pozawijanej kartki rzucają się w oczy cztery imiona. *Trusia. Vanda. Stella. Eugenia.* Czy którejs z nich udało się przeżyć obóz? I kim była Frieda, że mogła w ogóle pomyśleć o donoszeniu na te bezbronne, złamane kobiety?

Czyżby Eva miała rację i naprawdę nikomu nie można ufać? Miriam ufała swoim rodzicom, wierzyła, że zawsze mówią jej prawdę, a tymczasem teraz każde wspomnienie o nich okazuje się splamione kłamstwem. Kim byli ci ludzie, zanim ona po raz pierwszy powiedziała „mamo” i „tato”? Kim była dla nich Frieda?

*Wszystkie „króliki” leżą w kawałkach. Zrobili im operacje.*

*Vanda ma pocięte obie łydki, po wewnętrznej stronie, od kostki aż do kolana.*

*Eugenii wycięli bardzo dużo mięsa z lewej nogi.*

*U nich się zagoiło.*

*Ale Trusia... Słodki, mocny smród gnijącego ciała jest sercem naszej pryczy.*

*Trusia okrywa nogi kocem. To, co jej zrobili, nie chce się goić. Nigdy nie będzie mogła chodzić; straciła tak dużo kości, że nie utrzyma się na nogach.*

*Żadna z nich nie mówi o tym, co się stało, z wyjątkiem Eugenii. Jej szeptane pospiesznie historie mrozą krew w żyłach. Nawet teraz, gdy je spisuję, skóra cierpie mi ze strachu.*

*Operacje przeprowadzane pod przymusem, potworny ból po przebudzeniu, odłamki szkła wprowadzane do ran na nogach, smród, a potem zakażenie.*

*Z grupy, w której była Eugenia, przeżyła tylko ona i niejaka Katia – pozostałych sześć kobiet zabiło zakażenie skóry, kości i krwi. Często jeszcze na*

stole operacyjnym.

Nie mogły się ruszać – przywiązano je pasami do łóżek. Ich nogi były jak obce ciało. Nie dostały wody ani leków przeciwbólowych. Leżały na wznak, modląc się o śmierć.

Katia przeżyła. Pijany lekarz zaszył jej rany na nogach i wróciła do głównego obozu. Cztery miesiące później została „wytypowana” i zlikwidowana. Jej nogi stanowiły dowód eksperymentów prowadzonych na ludziach. Ten sam los spotkał wiele „królików”, które tak jak Katia przeżyły operację.

Po powrocie do bloku piętnastego Eugenia urządziła sobie w pustej dziurze pomiędzy pryzkami małe posłanie z drewna wyszperanego na poddaszu, tam, gdzie chowały się inne „króliki”. Więźniarki udawały, że ich nie widzą. „Króliki” były jak ranni, o których wszyscy zapomnieli: pozostawione same sobie, aby ostrożnie lizać swoje rany.

Tylko strażniczki zawsze ich szukały, zawsze próbowały je wykurzyć.

Znalazły schronienie na naszych połamanych pryzkach. Cały obóz strzeże tajemnicy kobiet królików. Bardzo rzadko się zdarza, mówi Eugenia z dumą, aby więźniarki stanęły ramię w ramię przeciwko strażniczkom.

Jej zdaniem robią to ze strachu. To strach strzeże tajemnicy. Bo każda z tych kobiet wie, że do eksperymentów brali na chybił trafił i równie dobrze mogło paść na nią.

Eugenia myła gojącą się nogę wodą ze zlewu, ale teraz w kranie nie ma już wody. Ukryła się dobrze, nie znaleźli jej. Niedługo potem dołączyły do niej kolejne „króliki”, niestety, wiele z nich umarło. Eugenia wróciła do szpitala i uratowała Wandę i Trusię, a następnego dnia dołączyła do nich Stella.

Strażniczki zawzięcie szukają „królików”. Chcą zniszczyć dowody.

Jutro je wydam. Trzy ludzkie istnienia jako zapłata za moją wolność.

Vanda.

Eugenia.

Trusia.

A co będzie ze Stellą, kiedy Trusi zabraknie?

Nie śpię. Nie obawiam się jutra, ale wiem, że zamierzam zrobić dokładnie to, czemu od zawsze się przeciwstawiłam. Nie każde życie ma taką samą wartość. Moje liczy się bardziej. Mogę więc dokonać takiej wymiany. Mam przewagę. Nie jestem w niczym lepsza od strażniczek, które zabijają pałką i kulą. Nie jestem już Friedą. Jestem ponad.

*Podępczę te, które okazały mi dobroć. Przejdę po nich i wydostanę się stąd. Myślę o moim pustym żołądku, o dręczącym mnie bólu i wiem, że naziści wygrali – nawet jeśli nie na polu bitwy, to wygrali wojnę przeciwko człowieczeństwu. Zwrócili ludzi przeciwko sobie.*

*Wystarczyło osiem tygodni.*

*Czy będziesz umiał mi wybaczyć?*

*Czy ja sama wybaczę sobie?*

Miriam odrywa się od listu z obrzydzeniem. Czuje się skalana. Skalana brutalnością i szczerością tego, co przeczytała. Spogląda na pozostałe listy i nachodzi ją ochota, aby spalić je wszystkie, co do jednego, każde słowo wymazać ogniem i puścić z dymem. Wyobraża sobie potartą o draskę zapalną, płomień strzelający w powietrze, lepiący się do rogów kartek, ożywiający je sobą. Wyplenić przeszłość z korzeniami, kiedy teraźniejszość dobiega już końca. Nagle oczami duszy widzi siebie, stojącą chwiejnie na krawędzi wanny. Wspomnienie nabiera wyrazistości, wanna ziębi bose stopy, Miriam przypomina sobie, na co sama była gotowa, aby uciec od Axela. Gdyby ktoś dał jej wtedy okazję albo możliwość ucieczki... to czyby nie skorzystała?

Zamiast zabrać się do palenia listów, zaczyna zastanawiać się nad tym, co niedawno usłyszała od ojca: „To ja zabiłem Friedę”. I wie już, że doprowadzi tę sprawę do końca, bez względu na trudności. Musi, aby on mógł spocząć w pokoju.

## HEINRICH

Wspominać znaczy przeżywać na nowo.

Kto przeżywa coś na nowo, ten umiera wciąż na nowo, tysiąc razy. A ja ledwie uszedłem z życiem jeden raz. Zgubiłbym się w labiryncie oczu pełnych mroku, w dżungli przeraźliwego odczłowieczenia. Byliśmy zwierzętami, a tam, za płotem z kolczastego drutu, otoczeni wzorcami słabości rodzaju ludzkiego, stoczyliśmy się w otchłań niewolnictwa. To nie „oni” nas zniewolili, ale instynkt przetrwania. Wyczekiwanie na kolejny kęs pożywienia. Każdy z nas zabiłby za kromkę chleba. Zwycięży ten, kto bije mocniej i dłużej wytrzyma.

Miałem wszy, widziałem, jak pełzają po mojej skórze. Czy Frieda z nimi walczyła, zdejmowała, otrzepywała się, drapała? A może uległa im i jak ja poddała się tej torturze?

Powtarzam sobie, że musiałem tak postąpić, aby przeżyć, wiem jednak, że wolałbym umrzeć, niż stać się tym, kim teraz jestem.

Dlatego nie wróciłem. Stąd wziął się mój paraliż. Nie chcę myśleć, że Frieda postąpiłaby tak samo, nie chcę wiedzieć, czy była zmuszona do podobnych wyborów.

Śmiałem się i cieszyłem życiem, ale w środku byłem pusty. Zabrała mi coś, czego nie można zwrócić, tym można się tylko dzielić.

Był taki czas, kiedy zawzięcie przekopywałem się przez wojenne wspomnienia, mapy i relacje, szukając potwierdzenia, że na przykład zabili ją strzałem w tył głowy. Ta myśl otwierała się przede mną czarną czeluścią, w której tlił się czerwony żar, lecz mimo wszystko przynosiła spokój.

Bo to by oznaczało, że Emilie powiedziała prawdę.

Że wszystko już skończone. Bałem się jednak, że jest zupełnie inaczej.

Emilie nie miała pojęcia o trwodze, z którą się zmagam; nie chciała o tym słyszeć i wolała niczego nie zauważać, a ja uwielbiałem ją za to jeszcze bardziej.

Auschwitz było jak złośliwy rak: przeżarło wszystko i zmieniło w jedną gęstą, czarną masę. W otchłań.

Emilie odnalazła mnie w szpitalu, a ja wróciłem do niej. Byliśmy mężem i żoną przez dziewięć lat, a ona po wyzwoleniu obozu przyjęła mnie z powrotem, chociaż wcale nie musiała.

Nie widziałem się w roli męża. Jako człowiek byłem zgubiony. Wystarczyło dziewięć miesięcy.

Spędziwszy pół roku w szpitalu, wróciłem do ciasnego pokoiku, który Emilie nazywała domem. Byliśmy jednym z bardzo niewielu małżeństw, które przetrwało czasy nazistowskiego reżimu i powszechnie uważano, że mamy wielkie szczęście; odwiedzało nas wiele kobiet z dużej kamienicy, gdzie mieszkaliśmy. Pamiętam tylko nieustannie falujące w otwartych drzwiach morze kobiecych głów i żonę u mojego boku. Na długie miesiące zawładnął mną niemal całkowity bezwład. Bez polecenia nie robiłem najmniejszego ruchu, jadłem i odzywałem się tylko, gdy musiałem.

Emilie powtarzała mi wiele razy, że chciała zostawić mnie tam, w tym pokoju. Pograżony bez reszty we własnych koszmarach, że nie byłem w stanie niczego zrobić, a trzeba było zrobić absolutnie wszystko. Została ze mną, bo przysięgała – tak zawsze mówiła. „Przysięgałam trwać przy tobie, Heinrichu, ale gdybym tylko mogła, zostawiłabym cię już dawno”. Moja żona nigdy nie przebierała w słowach; były szczerze, choć surowe, lecz mimo to nie potrafiłem się odnaleźć.

A więc czy jestem słabym człowiekiem?

Tak. Oczywiście, że tak. Jestem słaby, ponieważ jestem silny, ponieważ zabierałem słabszym ode mnie, na co nie pozwoliłbym sobie w żadnej innej sytuacji. Jestem słaby, bo dając Friedzie siebie, złożyłem jej milczącą przysięgę: przysięgłem, że będę ją kochał, i chociaż dotrzymałem słowa, to kochałem ją tylko w skrytości ducha, słowami własnego serca.

Może należało wcześniej zacząć jej szukać. Może to jednak nie była miłość, bo gdybym ją kochał, tobym po nią wrócił. A przynajmniej próbował. Poruszyłbym niebo i ziemię, aby odnaleźć ukochaną. Może. Ale życie to nie jest miłosna historia ani baśń.

W życiu nie ma szczęśliwych zakończeń.



# MIRIAM

Wyszła z mieszkania później, niż zamierzała. Pospiesznym krokiem mija sklepy wypływające roześmianych ludzi z torbami w rękach. Lustruje wzrokiem każdą twarz. Sprawdza, czy któraś z nich należy do Niego.

Dzisiaj jest jutro, o którym pisał na kartce dołączonej do bukietu. Jest pewna, że go zobaczy, chociaż nie wie kiedy i gdzie.

Otrząsnąwszy się z deszczu za drzwiami centrum medycznego, znajduje salę konferencyjną numer siedem, o której mówiła Hilda. Drzwi są białe, a cyfra czarna. Odkleja się na rogach. Miriam stoi, nasłuchując głosów ze środka, i ma wielką ochotę wyskubać górny róg czarnej siódemki, ale się powstrzymuje.

– Przepraszam. – Kobieta z okularami wiszącymi na szyi i blokiem notatnikowym w dłoni sięga obok niej i otwiera drzwi. Miriam, tknięta tym impulsem, wchodzi do środka. Ogarnia ją gwar ludzkich głosów i ciepłe, wilgotne powietrze. Drzwi zamykają się za nią.

Wszyscy zgromadzeni w sali ludzie odwracają wzrok w jej stronę, z wyjątkiem mężczyzny, który akurat stoi tyłem, bo nalewa sobie kawę.

Mężczyzna odwraca się. Ma na sobie swoją najlepszą koszulę.

– Dzień dobry, Mim. Kawy? – Unosi trzymany w dłoni dzbanek.

Miriam cofa się i wpada na ścianę.

Axel odstawia dzbanek.

*On tutaj jest, a ona nie może uciec.*

*Nie może nawet drgnąć. Wrosła w ziemię.*

Nie może drgnąć, ale porusza się w czasie: o miesiąc wstecz, zanim od niego odeszła, zanim ojciec śmiertelnie zachorował; zanim poznała Evę.

– Och, kochanie. Bardzo się martwiłem. – Ludzie wokół stołu patrzą tylko na niego.

Miriam także unosi wzrok. Axel jest gładko ogolony, do koszuli założył spodnie garniturowe.

*Widzi go też w dzinsach i swetrze, opartego swobodnie o lodówkę. Zabrania jej pojechać do ojca. Jesteś moja i tylko moja, mówi. Porzuciła mnie matka, ale ty mnie nie opuścisz. Jeśli wyjedziesz, to znaczy, że mnie nie kochasz.*

Miriam milczy, a nikt z obecnych nie przychodzi jej z pomocą.

*Słyszy mechaniczny warkot lodówki i jego słowa, ten ostry, uszczypliwy ton. Nie. Czuje, jak bawełniana sukienka ociera się o jej nogi, czuje pod stopami chłodne linoleum. Czuje ścianę, o którą oparła się plecami.*

Axel odwraca się, aby nalać kawę, a ona rozgląda się po sali, szukając innych znajomych twarzy, może trochę bardziej życzliwych.

– Co on tutaj robi? – pyta szeptem siedzącą obok Hildę; kwiatowy aromat jej perfum tłumi stęchły zaduch ciał przykutych do łóżek, pomaga Miriam zachować jasny umysł.

– Kto?

Wskazuje Axela.

– Przyjechał, żebyś nie była sama. – Axel przynosi Hildzie kawę, a ona dziękuje mu uśmiechem.

– Możesz mu powiedzieć, żeby wyszedł?

– Skoro jesteśmy w komplecie, to chyba można już zaczynać – proponuje doktor Baum.

Zebrani ożywiają się, siadają, szurając krzesłami.

Axel wraca na swoje miejsce, na wprost Miriam.

– Niczym się nie martw. – Hilda poklepuje ją po ramieniu.

Miriam chowa dłonie w rękawach, wyłamując palce. Jest za grubo ubrana, a mimo to mróz przenika ją do szpiku kości.

*Prosiła go, błagała wręcz, aby ją puścił, pozwolił wyjść z jej własnego domu. Pojechać do umierającego ojca.*

– Miriam, Miriam – powiedział Axel. – Teraz chcesz tam wracać? Co to da?

– On umiera – wyjąkała.

– A więc pozwól mu umrzeć w spokoju, kochana. – Powoli zbliżył się do niej i delikatnie dotknął jej policzka.

– Ale... – odparła, lecz już nie protestowała.

Witam państwa... – Doktor Baum przebiega wzrokiem po sali, jak pastor z ambony. – Na początku chciałbym podziękować wszystkim... no, pogodę

mamy taką... i zaparkować teraz trudno... że znaleźli czas, bo na pewno mają co robić. – Obraca w ustach każde słowo, zanim zdecyduje się go użyć.

Nie dokończył jeszcze pierwszego zdania, a Miriam już chce się wyć.

Zegar na ścianie ma tylko jedną wskazówkę, upływający czas liczy się tutaj w godzinach, nie w minutach.

Axel siedzi dokładnie naprzeciw niej, po drugiej stronie stołu. Wygląda tak jak zawsze, ale jednak troszeczkę inaczej. Znajomo, lecz jest w tym jakiś posmak nowości, kiedy przez jakiś czas nie widziało się osoby, z którą kiedyś codziennie miało się do czynienia. Ciemne włosy, gładko zaczesane do tyłu, odsłaniają głębokie zatoki i siwiznę na skroniach, której jest już całkiem sporo. Miriam nie potrafi odgadnąć jego nastroju; nie ma zaciśniętych warg, szczęka mu nie drży. Wpatruje się w jego twarz, starając się przewidzieć, co będzie za chwilę.

– Zaczynamy. Proponuję, aby nasze spotkanie miało charakter metodyczny, może nieco liniowy, abyśmy zyskali dobry ogląd sytuacji na chwilę obecną i zapoznali się ze wszystkimi możliwościami, które, być może, mamy do wyboru... z alternatywami, jakie ma przed sobą Herr Winter, jeśli nadarzy się taka okazja, a obecne tutaj grono podejmie zgodną decyzję.

Miriam patrzy na doktora Bauma. Już zdążyła się zgubić w tej wypowiedzi. Słucha jego słów ze skupieniem, ale żadne z nich nie ma dla niej sensu. Jakby miała przed sobą mapę bez żadnych punktów odniesienia.

Zebrani przedstawiają się po kolei, a ona zerka ukradkiem na Axela, który spokojnie pije swoją kawę.

*Widzi go także w innej odsłonie: leży na niej, spocony, roztętniony, napiera, rozżarzony, szamocze się, goni, łapie, szydzi, sprawia ból, śmieje się, kończy, przeprosza, płacze, bierze ją w ramiona. Składa obietnice.*

Zawrót głowy, serce wali jak szalone, nie chce się uspokoić. Za chwilę wyrwie się z piersi albo pozbawi ją przytomności.

*Jego usta wciśnięte w jej usta, gorące, lepkie, wilgotne. Próbuje go odepchnąć, lecz on ani drgnie. Jego wargi napierają, rozchylają jej wargi, język wciska się do środka.*

Głos doktora Bauma sprowadza ją na ziemię. Miriam spogląda na Axela, który siedzi spokojnie i uśmiecha się sympatycznie. Kolejny zawrót głowy porywa ją z powrotem w przeszłość, tym razem nie przesłaniając rzeczywistości, więc ma przed oczami i to, co było kiedyś, i to, co jest teraz, jakby wszystko działało się jednocześnie.

Widzi za stołem ujmującego mężczyznę w średnim wieku, ale czuje też, jak mąż wsuwa jej dłonie pod spódnicę. Chwyta za pośladki, mocno wbija paznokcie w skórę, by uniosła się, przywarła do jego ciała. Czuje to tak wyraźnie, jakby Axel z przeszłości wciąż jeszcze nie przestał jej ścisnąć i obmacywać.

– Chwileczkę – mówi doktor Baum, unosząc rękę. – Widzę, że trochę się rozjechaliśmy.

I wszyscy odwracają wzrok w jej stronę.

– Miriam, czy na pewno rozumie pani, czy zdaje sobie pani sprawę, jaka jest pani rola w tym spotkaniu? – pyta doktor Baum. – Chociaż spotkanie, być może, to nie jest najlepsze określenie...

Miriam odpływa.

Doktor Baum patrzy na nią, a ona nie wie, czy ma coś powiedzieć, nie jest pewna, czy zadał jej jakieś pytanie.

– Miriam. Pytam wyraźnie: czy mogłaby pani wyjaśnić, dlaczego jest pani dziś tutaj?

Miriam ogląda się na Hildę, ale ta nie spieszy się z pomocą.

– Jestem tutaj w imieniu taty, żeby mówić o tym, czego on by sobie życzył – odpowiada z ociąganiem.

– Zgadza się. O tym, czego pani zdaniem chciałby pani ojciec.

– No właśnie. Czego on chce.

– Nie do końca. W jego obecnym stanie nie można się dowiedzieć, czego on chce, ponieważ sam nie może wypowiedzieć się w sposób niepozostawiający wątpliwości. Pani przypuszczenia muszą zatem opierać się na własnej wiedzy i wnioskach, mam słusność?

– Znam mojego tatę – bąka Miriam.

– Oczywiście, ale...

– Przez ostatnich dziesięć lat nie miała z nim kontaktu – odzywa się Axel. Miriam posyła mu piorunujące spojrzenie, a jego twarz rozjaśnia uśmiech.

Axel napisał kiedyś do jej ojca, jeden jedyny raz, jeszcze przed śmiercią mamy. Poinformował go w tym liście, że Miriam go nienawidzi i uważa, że to on ponosi winę za jej obecne trudności, które wyliczył ze szczegółami. Dodał też, że jego ataki (o których powiedziała mu w tajemnicy) spowodowały u niej uraz psychiczny i że musiała brać leki, aby sobie z nim poradzić. List był długi, zawierał także insynuację pod adresem mamy Miriam, nazywał ją *Rabenmutter*, wyrodną matką, dla której praca była ważniejsza niż dziecko; z tego właśnie powodu Miriam miała być złą żoną. Czyste barbarzyństwo i stek ohydnych kłamstw, ale wiadomo było, że to właśnie kłamstwo zabiło ich najbardziej. Axel zakleił kopertę na oczach Miriam i zamknąwszy żonę w domu, wyszedł na pocztę. Nie mogła nic zrobić.

Była bezradna, ale od tej pory czekała noc w noc, obserwując męża we śnie i nasłuchując, czy coś się nie dzieje pod drzwiami. Rodzice nie mogli przecież uwierzyć temu listowi. Powinni się zorientować, że Miriam potrzebuje pomocy. Że jest w potrzasku. Powinni przyjechać na pomoc.

Po tygodniu zaczęła się miotać: jak obłąkana sprawdzała pocztę, wychodziła na ulicę, podnosiła słuchawkę telefonu i – czekała, pogrążona w myślach. Po dwóch tygodniach skaleczyła się przypadkiem przy krojeniu marchewki i nagły ból zaskoczył ją całkowicie, ale też wyrwał z nieustającego zamyślenia. Przestała zadawać sobie pytanie, dlaczego rodzice po nią nie przyjechali.

Czy Axel miał rację? Może naprawdę jej nie kochali?

Tak minął miesiąc, a ona nie doczekała się od rodziców ani listu, ani choćby telefonu, nie mówiąc już o wizycie czy misji ratunkowej. Wtedy Axel zabrał ją do lekarza.

I to był właśnie ten lekarz.

Doktor Baum coś mówi, a Miriam musi wyteńczyć słuch, bo jego słowa tłumi ogłuszający ból zrodzony z poczucia odrzucenia, które uświadomiła sobie w najgorszym momencie: dokładnie wtedy, gdy spodziewała się ratunku.

– Dziękuję, Herr Voigt. A więc, Miriam, pozwoli pani, że zapytam: skąd to przekonanie, że może pani występować w imieniu swojego ojca, twierdząc, iż wie, czego by sobie życzył? – Doktor Baum unosi brwi.

– Iż co?

– Pan doktor pyta, co tutaj robisz, kochanie – wyjaśnia Axel, tonem delikatnym jak bawełniany puch.

– Mam wyjść? – Miriam spogląda na lekarza.

– Myślę, że pytanie brzmi raczej: czy chce pani tu zostać? – ripostuje doktor Baum.

Miriam jest kompletnie rozdarta; chętnie by stąd uciekła, byle dalej od Axela i tych śledzących ją oczu. Myśli jednak o ojcu, a z pomocą przychodzą jej listy, cierpienia operowanych pod przymusem „królików” z Ravensbrück; Czerpie z nich siłę. Skoro one przeżyły coś takiego, myśli, to ja dam radę nie stracić głowy na jednym spotkaniu.

– Chcę – przytakuje.

Ale dlaczego wtedy ojciec po nią nie przyjechał? Przecież list musiał dotrzeć do rodziców – a jego treść na pewno bardzo ich zabolala.

Miriam jest pewna, że mama by tego nie przeżyła. Umarła, myśląc, że własna córka ją nienawidzi.

To nie była prawda.

Spotkanie trwa. Miriam robi, co może, aby oddychać powoli. Kobieta, która weszła do sali razem z nią, zapisuje coś w notatniku; długopis jak szalony drapie papier. Susi, pielęgniarka o okrągłej twarzy i pospolitych rysach, głośno chrupie herbatniki. Hilda słucha, Axel słucha, a doktor Baum mówi... o hospicjum, szpitalu i potrzebie zabrania ojca z domu.

Zdezorientowana takim obrotem rozmowy, przerywa lekarzowi.

– Przecież obecne rozwiązanie doskonale się sprawdza.

– Frau Voigt. Zdaję sobie sprawę, że nie bierze pani przepisanych leków. – Miriam zna ten ton; tak w jego przekonaniu wygląda współczucie. – Rozumiem, że może się pani czuć... nienaturalnie, co zresztą jest całkiem naturalne. – Wzdycha, oglądając się na Axela, a gdy ten porozumiewawczo kiwa głową, mówi dalej: – W takim stanie być może trudno pani nadążyć za tokiem naszej dyskusji.

– Dlaczego nie może zostać tak, jak jest?

– Powodem naszego dzisiejszego spotkania jest fakt, iż Herr Winter obecnie przebywa w warunkach, które trudno określić jako właściwe. Innymi słowy, jeśli pani woli, nie jest otoczony należyłą opieką.

– Nie jest? – powtarza Miriam wyzywająco. – Przecież nie grozi mu nic złego. Owszem, jest umierający, ale umiera we własnym domu, we własnym pokoju i ma przy sobie córkę. To nie potrwa wiecznie, może się skończyć nawet jutro. Ja się nim zajmę, pozwólcie mi, proszę. Poza tym mam przecież Hildę.

Mówi z pewnością siebie, której w ogóle nie czuje, ale po wygłoszeniu tego krótkiego apelu jej oddech zaczyna się rwać, a bluzka kleić do skóry.

Doktor Baum bierze głęboki oddech, ogląda się na Hildę.

– No dobrze, wysłuchajmy opinii pani pielęgniarki.

Hilda pochyla się lekko do przodu. Miriam opada na oparcie swojego krzesła.

– Moim zdaniem Miriam radzi sobie znakomicie, ale niestety, muszę się zgodzić. Herr Winter będzie teraz wymagał stałej opieki, ponieważ jego stan się stabilizuje, na Miriam spocznie więc ogromna odpowiedzialność. Uważam, że najlepsza alternatywa to hospicjum.

– Hilda...?

Pielęgniarka odwraca się do Miriam.

– Bardzo mi przykro. Świetnie się spisałaś, kiedy twój ojciec miał atak, ale... – Zniża głos, a Miriam nagle uświadamia sobie, że wszyscy na nią patrzą, łącznie z Axelem, siedzącym na wyciągnięcie ręki, tuż za stołem. – Kiedy do was wtedy przyszedłam, wyglądało na to, że wypijałaś sama całą butelkę wina. Poza tym nie zjawiałaś się na umówionej wizycie u lekarza, a z drugiej, na którą sama musiałam cię przyprowadzić, uciekłaś.

Ostry, cierpki smak zdrady otwiera Miriam usta.

– Robię to, co powinnam robić: opiekuję się moim ojcem. Nie powinnam natomiast faszzerować się lekami, po których jestem oępiąta, zasypiam albo zaczynam się ślinić.

– Pozwolę sobie zauważyć, że alkohol sam w sobie jest substancją oępiającą zmysły, tak przynajmniej twierdzą niektórzy – wtrąca doktor Baum. – Nie sądzę, aby lek łagodzący objawy paranoi bądź też psychozy mógł mieć gorsze działanie niż upojenie alkoholowe.

Miriam przypomina sobie gniazdo węży w swoim brzuchu. To był tylko sen, ale nożyczki... Nożyczki były naprawdę.

– Mówi pani, że opiekuje się ojcem – ciągnie lekarz. – Niestety, nadużywanie alkoholu wskazuje na to, że nie umie pani przedłożyć jego potrzeb nad własne.

I spotkanie toczy się dalej, jak pociąg z zepsutymi hamulcami. Miriam milczy, nie ma nic do powiedzenia. W końcu doktor Baum kończy tę wymyślną torturę.

– Miriam, decyzja zapadła. Przykro mi, że nie po twojej myśli, ale Herr Winter zostanie jak najszybciej umieszczony w hospicjum Ruhwald.

Axel ściska lekarzowi rękę i znika za drzwiami, po drodze przepuszczając jeszcze tylko pielęgniarkę, która robiła notatki.

– Mogę już iść? – pyta Miriam Hildę.

- Tak, Mim, możesz iść. Posłuchaj, bardzo mi przykro, ale transport do hospicjum najprawdopodobniej odbędzie się jutro.
- Jutro?

Axel czeka na korytarzu. Podchodzi, obejmuje ją ramieniem.

- Nie tego chciałaś, co?

Miriam nie odpowiada. Wychodzą razem z centrum medycznego. Chłodne powietrze szczypie ją w dłonie, które wydają się spuchnięte. Krople deszczu bębnią cicho o dachy samochodów.

Miriam nie zatrzymuje się. Axel rusza za nią.

- Zostaw mnie.

– Muszę cię odprowadzić do domu, żeby nic ci się nie stało. – Axel otwiera drzwi starszemu panu, który czeka pod wejściem. Miriam mija ich szybko, wychodzi na parking. Starszy pan upuścił torbę i Axel nie może ruszyć za nią.

- Już podnoszę – mówi, schylając się.

Korzystając z tego, że jest zajęty, Miriam wycofuje się pospiesznie. Chowa się za jednym samochodem, potem za drugim. Parking jest ogrodzony, ale po chwili wpada jej w oko furka dla pieszych. Jeszcze tylko szybkie spojrzenie na Axela, który właśnie podaje rękę starszemu panu, a ten dziękuje mu, że zachował się „po dżentelmeńsku”.

Miriam odwraca się i rusza biegiem do furki.

Przełykane wielkimi haustami powietrze tętni gorącą falą w całym jej ciele. Zielona sylweta autobusu to znak: tędy uciekniesz. Rusza już z przystanku, drzwi są zamknięte. Miriam, dygocząc z niecierpliwości, wali w nie dłonią i wskakuje do środka, nie czekając, aż otworzą się do końca. Nie ogląda się za siebie.

Drżącymi palcami wysupłuje z torebki garść drobnych. Kierowca wydaje bilet z terkoczącego automatu na korbkę, a Miriam osuwa się na jedno z niskich siedzeń, tyłem do okna.



## MIRIAM

Za masywnymi drzwiami kamienicy wita ją znajoma mieszanka zapachów: wykładzina, pasta do podłóg, odświeżacz powietrza. Jestem w domu, myśli Miriam. Ogląda się jeszcze raz: nie ma go.

Rusza w stronę schodów. Łzy ciążą jej pod powiekami, szukają ujścia. Ściskając klucz w dłoni, wbiega na pokryte wykładziną stopnie, rozpaczliwie pragnąc skryć się w bezpiecznych czterech ścianach.

Na górze zastaje Evę. Kobieta siedzi na podłodze naprzeciwko jej drzwi. Miriam staje jak wryta, nie mogąc złapać tchu i drżąc na całym ciele.

– Dzień dobry – wita się Eva. – Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale pomyślałam, że wolałabyś nie być dzisiaj sama. – Na podłodze przed nią stoją dwie torby na zakupy. – Wiesz od Jensa, że nie mam nic do roboty. – Uśmiecha się. – Więc kupiłam trochę jedzenia.

Miriam osuwa się na podłogę. Nogi ma już tak ciężkie, że nie zrobią ani kroku dalej.

– Jak poszło spotkanie? – pyta Eva.

– Źle – odpowiada Miriam znużonym głosem. – Mam już dosyć. Dłużej nie dam rady. – Wbija wzrok w drzwi do mieszkania. W środku czeka na nią ojciec, ale ona nie jest w stanie się zebrać i pójść do niego.

– Z czym nie dasz rady?

– Z życiem. Z tym. – Miriam gestem wskazuje drzwi.

– Nie masz wyboru. To jest twój ojciec. – Eva bierze ją za rękę. – On cię potrzebuje.

– Prawda – przytakuje Miriam. – Pomożesz mi ustalić, co się stało z Friedą? – prosi. – Już tylko to utrzymuje go przy życiu, jestem tego pewna.

– A ty? – Eva podnosi się z podłogi i pomaga jej wstać. – Co ciebie utrzymuje przy życiu?

Miriam milczy.

– On – odpowiada w końcu, unosząc wzrok. – Mój ojciec. Mam tylko jego.

Eva miękko kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Nie jesteś sama – mówi przez ściśnięte gardło, wyciągając do niej rękę.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła – wzdycha Miriam. – Te listy... Kiedy wiem, że ty też je czytasz... One są straszne, ale bez twojej pomocy w ogóle nie ruszyłabym z miejsca.

– Mam kilka następnych – oznajmia Eva, poklepując torbę. – Wejźmy do środka.

Miriam zagląda do ojca, po czym wychodzi z sypialni, nie zamykając za sobą drzwi. W salonie Eva kładzie właśnie na stole pudełko z ciastkami i nalewa złocistą herbatę z dzbanka.

– Jadłaś coś dzisiaj? – pyta, widząc Miriam w progu.

– Evo, nie trzeba było... – Miriam urywa w pół zdania, widząc, jak się obruszyła. – To znaczy, chcę powiedzieć, że...

– Jeśli wolisz, to sobie pójdę.

– Nie, nie, ja tylko...

– Nie chcę się narzucać, ale jeśli mam być szczerą, dobrze mi to zrobiło. Jens mówił, że rozmawiał z tobą parę dni temu, w bibliotece.

– Powiedział, że przyjechałaś ze wschodnich Niemiec, ale sama też mi o tym mówiłaś. I jeszcze, że potrzebujesz czasu, żeby się tutaj zadomowić.

– Na Wschodzie nie mówi się o Holokauście. To się nigdy nie wydarzyło. Komuniści wierzyli, że obywatele NRD nie ponoszą absolutnie żadnej, choćby częściowej, winy za Holokaust. Zdejmowano z nich całą odpowiedzialność, nie prowadzono dochodzeń, nie myślało się o tym. A ofiary pozostawiano same sobie. Komunizm miłuje pokój. Musieliśmy wierzyć w te bajeczki.

Miriam słucha. Eva jeszcze nigdy nie powiedziała aż tyle. Okazuje się, że tuż za murem istniał kompletnie inny świat.

– Te listy brzmią bardzo aktualnie, a przecież opisują odległą przeszłość. Zapomniane dzieje.

– Są okropne. To straszne, jak ludzie traktują innych ludzi. – Miriam, zamyślona, skubie skórki przy paznokciach, ale czując na sobie baczny wzrok Ewy, przestaje i zaczyna nawijać na palec tasiemkę przy bluzce, aby zapanować nad dłońmi. – Kiedy ona pisała te listy, miała tylko dwadzieścia jeden lat. –

Przełyka ślinę. – Taka młoda, a zamierzała donieść i wydać te „króliki”. Jak można żyć, mając coś takiego na sumieniu?

Następuje długa chwila milczenia.

– Pamiętasz, jak to jest, gdy się ma dwadzieścia jeden lat? – pyta Eva.

– Nie, to było wieki temu.

– Dosłownie przed chwilą stałaś się kobietą, sama za siebie odpowiadasz i nagle dostajesz możliwość, żeby wydostać się... stamtąd? Nie ma takich, co by na to nie poszli, chociaż każdy chciałby myśleć inaczej. Tu włącza się instynkt przetrwania i właśnie dlatego tylu ludzi woli nie opowiadać o swoich doświadczeniach. Nie chcą, żeby osądzali ich tacy, którzy nie mają o tym pojęcia.

– A ty masz? – pyta Miriam ostrożnie. – Własne doświadczenia?

Eva drżącą ręką unosi herbatę i oblewa sobie spodnie.

– Przepraszam, byłam wścibska. – Miriam zrywa się, wyjmując jej filiżankę z dłoni. – To nie moja sprawa.

– Chciałabym o coś zapytać, jeśli pozwolisz. – Eva wyciera chusteczką plamę ze spodni. – Myślałam o tym pasiaku. Czy mogłabym pozaszywać te wszystkie szwy, które rozprułaś?

Miriam patrzy na nią: kobieta siedzi prosto, z nogami skrzyżowanymi przed sobą. Twarz ma poważną, spaloną słońcem, ale wciąż jeszcze pełną; powoli rozjaśnia ją uśmiech.

– Nie wypada tak jej zostawić, rozciętej i wybebeszonej. Ostatecznie zachowała się w idealnym stanie – nieco wstydliwie tłumaczy Eva.

– Oczywiście, proszę bardzo. Ja będę czytać listy, a ty szyć? – Miriam idzie do sypialni taty po pasiak.

Eva bierze go od niej bez słowa.

Miriam przygląda się, co będzie robiła, a ona układa złożoną sukienkę na kolanach i nawleka igłę wyciągniętą ze swojej torby. Potem przegryza nitkę.

– Kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, wyszłam za Axela – mówi Miriam powoli. – Byłam naiwna i bardzo młoda.

– Łatwo jest oceniać, patrząc z perspektywy lat.

Miriam, gdyby tylko mogła coś powiedzieć młodszej sobie, krzyczałaby z całych sił: „Nie rób tego! Nie wychodź za tego człowieka!”. Wie jednak dobrze, że puściłaby te przestrogi mimo uszu. Na pewno.

– Jacy oni byli młodzi... – mówi, rozgarniając listy zalegające na stole niczym płatki śniegu. – Ciągle myślę o tacie. Nie mam pojęcia, co on tam widział, ale teraz jestem już pewna, że mamy z nim nie było. Tym bardziej zastanawiam się,

co oni razem przeszli jako para, te listy do niego... Frieda chyba naprawdę go kochała.

– Dobry, naprawdę udany związek wyjdzie zwycięsko z ciężkiej próby. Czy małżeństwo twoich rodziców tego dowodzi? Wyzwanie umacnia związek albo go niszczy, jeśli jest za słaby.

– Rozumiem – przytakuje Miriam. – Jeśli ciężkie chwile przyjdą później, więc trudniej zerwać.

– Dokładnie tak. Miesiąc miodowy się kończy, a czasem w ogóle nie zaczyna.

– Smutne.

– Takie jest życie.

Cisza wibruje dookoła.

– Muszę wiedzieć, co stało się z Friedą. – Miriam bierze do ręki kolejny list. – To mu się należy.

Czyta, a Eva szyje. List, pisany po niemiecku na kartce, gdzie widnieją trzy zdania nagryzmołone inną ręką, nosi datę 31 maja 1944 roku. Papier jest pożółkły i mocno pognieciony.

*Stałam przed komendantką, mnąc zdjętą z głowy chustkę w czarnych od ziemi dłoniach.*

*– Napisałam do twojej rodziny. Do Hasków z Charlottenburga. Bardzo szybko mi odpisali.*

*Podła mi kartkę, która leżała na stole. Poznałam charakter pisma mojego ojca. List był krótki:*

*„Szanowna Pani,  
dziękuję za list z pytaniem o pochodzenie jednej z podlegających Pani więźniarek. Spieszę z informacją, iż niestety nie mam córki. Nasze małżeństwo nie doczekało się potomstwa.*

*Z poważaniem,*

*Otto Hasek”*

*Chciałam oddać jej list, ale zbyła mnie machnięciem dłoni. Oszczędność słów i niestaranne bazgroły powiedziały mi, że ojciec się bał. Wyparł się własnej córki; nie pomoże mi, obawia się odwetu. Ciekawe, czy tak samo*

zachował się wobec cioci Mai, czy odwrócił się od swojej krewnej, chociaż jedno jego słowo mogło ją uratować; zachwiałam się, a ręce mi drżały. Potem przeczytałam jeszcze raz ostatnie zdanie. „Nasze małżeństwo nie doczekało się potomstwa”. A więc wyparł się też Louisy? Tak trudno mu było mówić o córce, którą stracił? O mojej siostrze? Zgniotłam list w dłoni.

– Tchórz – syknęłam.

Komendantka uniosła wzrok.

Koniec. Zmarnowałam jej czas, ale nie to było najgorsze.

Dwadzieścia pięć batów i bunkier. Wyrzuciła to z siebie jednym tchem, po czym jej naprężone ramiona opadły luźno. Palcem pokazywała drzwi, ale głowę miała już pochyloną i przeglądała papiery na biurku, zajęta kolejną sprawą do załatwienia.

Mocno ścisnęłam list w dłoni, jakby to mogło mnie uratować. Strażniczka, której wcześniej nie zauważyłam, wstała z krzesła i podeszła do mnie, kołysząc pałką.

Musiałam bardzo szybko ogarnąć myślami tak wiele rzeczy naraz, że cały świat zwolnił. Chciałam uciekać.

Raz po raz czytałam tych kilka słów, które przypieczętowały mój los.

Z bunkra nikt nie wraca sobą. Najczęściej umiera się niedługo po wyjściu z tej małej, ciasnej celi. Dwadzieścia pięć batów.

Strażniczka uśmiechnęła się nienagannie umalowanymi ustami. Włosy miała leciutko zakręcone. Chciałam się wycofać, ale nogi wrosły mi w podłogę. Biorę mnie do bunkra. Zobaczę jeszcze kiedyś światło dnia czy umrę tam? Buty strażniczki skrzypiały na deskach podłogowych. Skóra ocierająca się o drewno.

Słyszac za plecami zgrzyt zawiasów, byłam gotowa, że za chwilę poczuję na sobie obce dłonie.

Komendantka uniosła głowę, a ja padłam na kolana.

– Proszę...

– A to co znowu? – Wstała, spoglądając ponad moim ramieniem.

Do pokoju wbiegła dwójka dzieci, ósmio-, może dziewięciolatek, chłopiec i dziewczynka, brudni jak nieszczęście. Minąwszy mnie, stanęli przed komendantką i zaczęli mówić jedno przez drugie, że nie mogą znaleźć swojej babci.

– Gdzie ona jest? Nie mamy co jeść, bardzo głodno, nie ma dla nas jedzenia. Babcia...

– Co one gadają? – zapytała komendantka strażniczkę, która zatrzymała się w pół drogi do mnie.

Obejrzałam się za siebie. Drzwi były otwarte, nikt nie patrzył na mnie, tylko na te sieroty, więc gdybym tak stąd wyszła? Cofnęłam się o krok.

Dzieci, dostrzegłszy lekkie zdumienie na twarzy komendantki, podeszły jeszcze bliżej. Na biurku stała do połowy pełna szklanka wody. Skondensowane krople ściekały po ściankach na blat. Przedtem jej nie zauważyłam, ale teraz nie byłam w stanie oderwać od niej wzroku. Chłopiec rzucił się do tej szklanki, w pośpiechu rozlewając prawie wszystko. Wypił wielki łyk i oddał ją dziewczynce, która łapczywie wychłęptała wodę do końca, a następnie odstawiła szklankę z powrotem, osuszoną prawie do dna. Na mundurze komendantki ciemniał rzucik drobnych plamek, kilka kropel spadło także na papiery leżące na biurku.

– Co to ma być? Jak tu weszłyście?

Dzieci tylko na nią patrzyły.

– Już was tu nie ma. Do bunkra z nimi. Niech siedzą razem z tamtą.

Bunkier – to musiały zrozumieć, bo uczeły się jej z obu stron.

– Nie rozumiem, co one mówią. Zabierz je ode mnie!

Strażniczka oderwała sieroty od przełożonej.

– Czekaj – rozkazała komendantka, otrzepując spódnice. – Ty. – Wskazała mnie palcem.

W kompletnej ciszy wszyscy odwrócili się, zauważając nagle, że wciąż jestem z nimi. Trzeba było wyjść, kiedy nadarzyła się okazja, przemknęło mi przez głowę.

– Wybieraj: które do bunkra, a które na chłostę. Skoro jesteś gorącą zwolenniczką reżimu, zadecydujesz, kto dostanie jaką karę.

Panika targnęła mną, ścisnęła żołądek.

– Pani komendantko... – Myślałam gorączkowo, szukając słów. Szeroko otwarte oczy, świecące nad umorusanymi, rumianymi policzkami, obserwowały strażniczkę z pałką i mnie. – One pytają tylko, gdzie jest ich babcia. Nie mogą jej znaleźć i są bardzo głodne – powiedziałam.

Strażniczka uniosła pałkę, mierząc mnie wzrokiem. Dzieci skuliły się ze strachu.

– Rozumiesz, co mówią?

– Tak, to język holenderski. Szukają swojej babci. – I dodałam, zwracając się do dzieci: – Cicho, maluchy.

– Znasz jakieś inne języki?

– Tak, pani komendantko. Kilka.

– No proszę, poliglotka! – Kobiety w mundurach prychnęły śmiechem, po czym komendantka nieznacznie skinęła głową, a strażniczka zamachnęła się pałką i uderzyła chłopaka w plecy. Padł na podłogę, wyjąc z bólu, a dziewczynka rzuciła się ku niemu i zasłoniła go własnym ciałem. Strażniczka zaczęła się z nią szarpać, próbując odciągnąć od malca, który upadł na brzuch.

– Stój – rozkazała komendantka i spojrzała na mnie: – Powiedz im, że mają wrócić na swój blok.

Przetłumaczyłam jej słowa, dodając, że w bloku znajdują babcię. Skłamałam, aby się uspokoili. Oboje patrzyli na mnie. Chłopiec siedział na podłodze, dziewczynka kuciała obok. Skłamałam, aby mnie słuchali. Skłamałam, aby uniknąć bunkra. Skłamałam, aby odroczyć karę.

– Mam je odprowadzić do bloku? – zapytałam.

– Tak. Tak.

– Chodźcie. – Ujęłam drobne dziecięce rączki i wszyscy razem odwróciliśmy się do wyjścia.

– Czekaj...

Już myślałam, że strażniczka zaraz mnie złapie i odciągnie.

– Przysyłają nam kobiety z całej Europy. Dobrze by było mieć kogoś, kto im wyjaśni, jak się u nas pracuje.

– Oczywiście, chętnie pomogę – zapewniłam szybko.

– Zgłoś się tutaj jutro. Znajdziemy ci zajęcie. Szósta rano.

– Dziękuję, pani komendantko.

I nie wiem, co we mnie wstąpiło, ale puściłam małą dłoń, wyrzuciłam wyprostowaną sztywno rękę przed siebie i tupnąwszy piętą, krzyknęłam:

– Heil Hitler!

Dzieci spojrzały na mnie jak na jakiegoś potwora i po chwili nie trzymałam też drugiej małej rączki. Strażniczka uśmiechnęła się wymownie, z pogardą, a ja odwróciłam się i wyszłam. Dzieci wymaszerowały za mną, ale kiedy tylko znaleźliśmy się na zewnątrz, w jasnym, palącym słońcu, natychmiast uciekły.

Patrzyłam za nimi z ciężkim sercem. Małe, obdarte smyki.

Kiedy zniknęły mi z oczu, ruszyłam w kierunku naszego bloku. Słońce parzyło mi głowę i kark, ale nigdy jeszcze upał nie był taki przyjemny. Zaledwie kilka minut wcześniej czekał mnie bunkier i byłam pewna, że idę na śmierć.

– To jest... – Miriam staje nad stołem, aby odłożyć list. Brak jej słów zdolnych wyrazić uczucia, które w niej obudził.

– Prawda jest paskudna. Tak tam było napisane? – przypomina Eva.

– Ale coś takiego? Te dzieci? – Miriam jest oszołomiona. – Mój ojciec na pewno nic nie wiedział o tych listach. Nie mógłby przez tyle lat myśleć o kimś, komu w ogóle przyszłoby do głowy wydać bezbronne, okaleczone kobiety, które nie mogły nawet stać o własnych siłach. Na pewno nie. A dzieci? – Miriam potrząsa głową. – To nie może być ta kobieta, o której mówił tata, niemożliwe, żeby kochał... to. – Dla podkreślenia swoich słów potrząsa trzymanym w dłoni listem.

– Pewnie masz rację – zgadza się Eva. – Ale też sama dobrze wiesz, że miłość nie zawsze odpowiada naszym oczekiwaniom.



## MIRIAM

Te listy są bardzo ważne – mówi Miriam. – Ale strasznie trudno mi je czytać, bo nie miałam o tym wszystkim pojęcia. Takie rzeczy naprawdę się działy? Ludzie tak traktowali innych ludzi?

– Dlatego właśnie przepadło tak wiele świadectw. Ci, którzy to przeżyli, nie umieli znaleźć słów, a ci, którzy mogli ich wysłuchać, nie chcieli. Słowa mają większą moc, niż nam się wydaje – konkluduje Eva, a potem dorzuca, już jakby do siebie: – Nawet najmroczniejsze ze słów zawsze odnajdą światło.

– Nic nie ginie bezpowrotnie – wtóruje jej Miriam, biorąc ze stołu kolejny list.

*Heinrichu,*

*kiedy wróciłam od komendantki, Stella podskoczyła do mnie i złapała za rękę.*

*– Dzień dobry pięknej pani, idziemy już do domu? – zapytała, wywijając swoją małą rączką.*

*Pod ścianą bloku dwudziestego znalazły mnie tamte maluchy mówiące po holendersku. Starszy, chłopiec, splunął na ziemię.*

*– Oszukałaś nas – powiedział.*

*– Przepraszam... Pytaliście w rewirze? – Na samą myśl o obozowym szpitalu struchlałam ze strachu. Rewir, bo tak tu się mówiło, był siedliskiem męczarni i śmierci, których przyczyną nie zawsze były choroby.*

*– Pytaliśmy, ale babcia nie jest chora. Mówiłaś, że ją znajdziesz, obiecałaś nam pomoc. Oszukałaś. – Chłopiec splunął znowu. – Wszyscy zawsze oszukują.*

*Stella przyglądała się nieznanym dzieciom, uczipiona mojej dłoni, dającej poczucie bezpieczeństwa. Nie mogłam dłużej z nimi rozmawiać. Bałam się, że za dużo zrozumie.*

*– Możemy razem jej poszukać. Pomogę wam.*

*– Nie. Nie potrzebujemy od ciebie pomocy. Jesteś z nimi. – Dziewczynka pokazała palcem stojącą nieopodal strażniczkę. – Jesteś z nimi! – powtórzyła, tym razem głośniej. Najchętniej bym ją uciszyła. Wzdrygnęłam się, słysząc tę obelgę.*

*Dzieci wzięły się za ręce i pokazały mi plecy.*

*Stella uniosła główkę, daremnie czekając na wyjaśnienie.*

*– Jak się nazywa wasza babcia? – zawołałam za odchodzącymi dziećmi. – Pomogę wam ją znaleźć!*

*– Babcia nazywa się babcia! – odkrzyknął chłopiec.*

Miriam oddycha głęboko. Jest roztrzęsiona. Musi ochłonąć, zanim zacznie czytać kolejny list.

*Heinrichu,*

*w bloku zastałam Trusię, która szyła w milczeniu. Stella wskoczyła na prycę i usadowiwszy się obok niej, wesoło bawiła się swoją nową laleczką zrobioną z brudnego bawełnianego gałganka zawiązanego na supełki udające główkę, dłonie i stópki.*

*Ja przysiadłam się do Eugenii i powiedziałam jej, że dostałam pracę.*

*Wyprostowała się i uważnie słuchała.*

*Heinrichu, martwię się teraz, bo tam... będzie mi lepiej niż przy noszeniu piasku, ale to zawsze jakaś zmiana i boję się, co każą mi robić. Ale Eugenia mówi, że wyboru w zasadzie nie miałam.*

*Na apelu obok mnie stanęła Hani. Niebo nad Appellplatzem, gdzie codziennie sterczałyśmy przez wiele godzin, czekając, aż wydadzą zupę, było czyste i jasne. Strażniczki przeliczały nas parokrotnie i trzeba było stać. Jeśli któraś z nas upadła, zaczynały liczyć od początku.*

*– Zimą to zawsze trwa dłużej – szepnęła mi Eugenia do ucha.*

*– Jeszcze dłużej? – zapytałam, a ona przytaknęła.*

*Odwróciłam się do Hani, by podzielić się tą wiadomością, ale ona stała nachmurzona, unikając mojego wzroku.*

Gdy wzięłam ją za rękę, wyrwała się od razu.

– Co się stało?

– Kłamiesz – szepnęła, a potem powtórzyła, tak głośno, że strażniczki obejrzały się w naszą stronę: – Kłamiesz! – Eugenia syknęła na nas i z powrotem zapadła cisza.

Hani kołysała się w miejscu, przestępując z nogi na nogę, ściskając dłońią dłoń i wykręcając palec po palcu. Nie wiedziałam, co jej jest, ale było jasne, że niedługo wybuchnie.

Wreszcie apel się skończył i wróciłyśmy do bloku.

– O co chodzi? – zapytałam znowu.

– O ciebie. O ciebie chodzi. – Złapała mnie za rękę. – Ty hitlerowska gnido!

– Hani, bądź cicho. O czym ty mówisz? – wymamrotałam półgębkiem, wyciągając miskę po zupę i wyjmując łyżkę przyczepioną do pasiaka.

– Znasz Paula i Brigitte? – zapytała, wciąż uniesionym głosem, cofając rękę z miską za szybko, przez co zupa z chochli poląła się po ściance.

– Nie znam.

– To te małe dzieci. Wytypowałeś Paula do bicia.

Próbowałam jej wytłumaczyć, że nikogo nie wytypowałam. Kazali mi wybierać, ale strażniczka sama uderzyła Paula. Hani była wzburzona.

– Ma siniaki na plecach. Obiecałaś, że znajdziesz ich babcię. Szukali pomocy i trafili na ciebie. Komendantce też obiecałaś pomoc. Wskazałaś Paula, żeby został ukarany za ciebie. Salutowałaś po hitlerowsku!

– Hani. Zamilcz – wycedziłam przez zęby. Głos miała donośny i już chyba wszyscy się na nas gapili.

– Kłamiesz – powtórzyła. – Znowu chcesz mnie oszukać.

– Nie chcę. Proszę cię, mów ciszej, wszystko ci wyjaśnię.

– Mam ci dać czas, żebyś zdążyła znowu coś zmyślić? – odparła. – Kim ty jesteś, co? Wyglądasz jak z obrazka. Możesz być jedną z nich.

– Posłuchaj mnie, proszę. – Położyłam jej dłoń na ramieniu.

– Nie dotykaj mnie.

– Dobrze, tylko pozwól mi wytłumaczyć...

Ucichła, ale okazało się, że nie wiem, co powiedzieć. Wszędzie dookoła byli ludzie i chociaż rozmawiałyśmy po holendersku, to przecież nigdy nie wiadomo, kto słucha.

– Skąd wiesz, że te dzieci mówią prawdę? – zapytałam.

Hani trzasnęła mnie w twarz. Zamiast bólu poczułam lodowate zimno w żołądku, a potem przeszył mnie jej piorunujący wzrok. Najgorszy cios, jaki

w życiu dostałam. Serce bolało gorzej niż policzek.

– Ja cię kocham, ufam ci – załkała Hani – a ty chcesz stąd uciec, tak? Zostawić mnie tutaj?

– Nie chcę cię zostawić, ale to prawda, próbowałam się wydostać – przyznałam, próbując jeść zupę. Jeszcze godzinę wcześniej skręcało mnie z głodu, a teraz nie byłam w stanie przełknąć nawet łyżki. Podsunęłam swoją miskę Stelli, która z radością zabrała się do jedzenia.

– Mogę się podzielić z Trusią? – zapytała i zaniósła miskę na pryczę. Obie odprowadziłyśmy ją wzrokiem, a potem, szeptanymi zdaniem, opowiedziałam Hani wszystko.

Cisza.

– Powiedz coś – jęknęłam błagalnie.

Dokończyła swoją zupę i odeszła bez słowa.

Od tej pory nie odzywa się do mnie. Odcięła się. Śpi z głową po tej stronie, gdzie zawsze kładziemy nogi. Straciłam coś, a nie wiedziałam nawet, że to mam, że na to zasłużyłam. Jeszcze chyba nigdy nie czułam się taka samotna. Nie wiem, czy Hani mi wybaczy. A może mi się należało? Chyba jutro się okaże.

– Te listy... – Miriam bierze głęboki oddech. – Straszliwie to wszystko smutne. Eva podchodzi do stołu, kładzie na blacie złożony pasiak. Miriam gładzi palcami szorstką tkaninę.

– Okropnie nawet wyobrazić sobie życie w takich warunkach – mówi. – A do tego te listy wciąż przypominają mi o różnych rzeczach.

Szuka słów, aby o tym opowiedzieć. Eva czeka.

– Na przykład to stanie na placu apelowym – zaczyna wreszcie Miriam. – Mój mąż miał minutnik, taki do gotowania. Gdzieś przeczytał, że to nam pomoże poradzić sobie z problemami. On powie swoje, a potem ja powiem swoje. Tak to chyba miało wyglądać.

– Odmierzał ci czas?

– Tak. Nie pamiętam już teraz, o jakie problemy chodziło, ale podczas rozmowy musiałam stać, abym mogła poświęcić mu maksimum uwagi. Jeśli tylko się zachwiałam, cofał minutnik.

W jej uszach rozbrzmiewa zgrzyt nakręcanego mechanizmu. Minutnik miał kształt kurczaka. Był ustawiony na trzydzieści minut, zawsze na trzydzieści.

Eva siada naprzeciwko, kładzie złożone dłonie na kolanach. Twarz ma zmienioną.

– To było dla mnie za trudne – ciągnie Miriam. – Nie radziłam sobie. Niby nic wielkiego, stoimy i rozmawiamy. On nie miał z tym problemu: stał i mówił do mnie. Tylko że musiałam cały czas na niego patrzeć i po prostu nie byłam w stanie utrzymać się na nogach. – Zerka na Evę z ukosa. – Nie mówię, że to było to samo, nic z tych rzeczy – zastrzega się, unosząc trzymany w dłoni list. – Ja tylko... – Znowu wyciąga rękę, muskając palcami szerokie pasy obozowej sukienki.

– Miriam... – mówi Eva.

Miriam nie reaguje.

– Przepraszam – wzdycha. – Nie chciałam się z nikim porównywać, ani z tymi „królikami”, ani z listami, ani nawet z moim ojcem. Po prostu przypominają mi się różne rzeczy, to wszystko.

– Widać, że bardzo cierpiałaś. – Eva pochyla się ku niej.

– Nie pozwalał mi pójść spać, dopóki nie wykonałam zadania. Trzydzieści minut – opowiada Miriam drżącym głosem. – Nic więcej. Ale nie pozwalał mi spać. Błagałam go: puść mnie, odpocznę trochę i dam radę – szepcze. – Byłam pewna, że dam radę.

Od nieustannego patrzenia na Axela bolał ją kark, serce biło nieregularnie, a przed oczami latały czarne plamy. Jeszcze kilka minut, krzyczała na siebie w myślach.

Nakręcany minutnik pokazywał pięć kresk do końca, widziała to wyraźnie.

Jeszcze tylko pięć minut i będzie po wszystkim. Mechanizm tykał jak zegarek, ale szybciej, niczym serce prawdziwego kurczaka.

Tik-tak-tik-tak-tik.

Jeszcze pięć minut i odpoczynek, sen.

– No, jak myślisz? – zapytał Axel.

– Tak. Myślę, że tak. – Nie miała pojęcia, na co się zgodziła, nie była w stanie pojąć jego zawilej argumentacji. Uwagi i siły starczyło jej tylko na tyle, aby wytrzymać w postawie stojącej. Stać i nie przewrócić się.

– Hej, uwaga... – powiedział Axel, podtrzymując ją za ramiona, bo osunęła się na niego, zamykając oczy, usiłując nie stracić przytomności. Dookoła wirowały czarne plamy.

Ostrożnie posadził ją na kanapie. To była ich wspólna kanapa. Symbol nowego początku. Przyniósł jej szklankę wody z kuchni.

– Jak się czujesz? – Na jego twarzy głębokimi bruzdami rysowała się troska.

– Jestem bardzo zmęczona, Axel. Czy możemy dokończyć kiedy indziej?

– Co dokończyć? – zapytał.

– Tę naszą dyskusję. Zgadzam się z tym, co mówiłaś, ale jeśli chcesz mnie jeszcze o coś zapytać, to czy możemy do tego wrócić na przykład jutro?

– Jaką dyskusję, kochana? – Był tak szczerze zdziwiony, że pogładziła go po policzku.

– Ten... ten minutnik z kurczakiem, żeby skupić się na... Po prostu jestem już bardzo zmęczona – powiedziała.

– Miriam, co się z tobą działo? – Jego głos był cichy.

– Nic... – Zająknęła się. – Rozmawialiśmy i zrobiło mi się słabo.

– Skończyliśmy rozmawiać kilka godzin temu. Poszedłem spać, mówiłaś, że zaraz przyjdiesz, ale cię nie było, więc teraz zszedłem na dół i znalazłem cię tutaj. Mamrotałaś coś do siebie, że niby coś straciłaś. O co ci chodziło?

Miriam pokręciła głową, a czarne plamy znów zawirowały jej przed oczami.

– Nie. Rozmawialiśmy, kazałaś mi stać...

– Kazałem ci stać?

Przytaknęła.

– Moja droga, dlaczego miałbym to robić?

Nie umiała odpowiedzieć, ale czuła, że jego słowa wżerają się w nią, zabierają pewność siebie, sieją mętlik w głowie.

– Nastawiłaś ten minutnik, a mnie zrobiło się słabo.

– Spałem, a ty mnie obudziłaś tym swoim mamrotaniem, zresztą nie pierwszy raz. Wydaje mi się – ciągnął – że właśnie o czymś takim rozmawialiśmy ostatnio u lekarza. – Wstał i cofnął się o kilka kroków.

– Nie! – zawołała, chcąc iść za nim, ale ciężko upadła na podłogę. – Axel, proszę cię, nie.

Słyszając mechaniczny warkot i trzaśnięcie migawki aparatu, skuliła się w pozycji płodu.

– Nie – jęknęła.

Aparat wypluł zdjęcie, Axel wziął je w palce i pomachał nim w powietrzu.

– Lekarze mówili, że musimy prowadzić dokumentację, bo inaczej nie zdołamy ci pomóc.

Miriam leżała nieruchomo. Dywan wirował wokół niej.

– Przepraszam, Axel – powiedziała. – Bardzo cię przepraszam.

– Nie ma za co, kochana. Jak to mówią: w zdrowiu i w chorobie... A teraz moja żona pójdzie spać – wyrecytował melodyjnie, jakby nucił kołysankę. – Mam cię zanieść na górę?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wyszedł z pokoju. Jego kroki zadudniły na schodach.

– Tylko nie siedź za długo! – zawołał.

Miriam otworzyła oczy, odnalazła wzrokiem kominek. Na gzymsie nad paleniskiem leżał aparat, a obok, tuż obok, stał...

Minutnik do jajek.

I co było dalej? – pyta Eva, gdy Miriam milknie.

– Dostałam leki. Nikt nie chciał mi wierzyć. Zresztą sama sobie nie wierzyłam. Przepraszam, to nie ma żadnego związku z tymi listami, z obozami. Ośmieszam się tylko.

Eva otwiera usta, ale Miriam nie daje jej dojść do słowa.

– Muszę zajrzeć do ojca. – Porusza zeszywniałym karkiem i ramionami. – Za długo siedziałam – mruczy pod nosem.

– Dobrze się czujesz, Miriam?

– Jestem zmęczona, bardzo zmęczona.

– Może już pójde?

– Jeśli chcesz. – Opiera się o ścianę, czując zawroty głowy. – Muszę zajrzeć do taty.

– Miałaś ciężki dzień – mówi Eva, wychodząc za nią. Na korytarzu rozdzielają się: Miriam idzie do sypialni, a jej towarzyszka do przedpokoju.

– Dziękuję, że przysłałaś mnie pocieszyć – mamrocze Miriam, patrząc, jak cień Ewy znika za drzwiami.

Jakiś czas później Miriam zabiera się do zmywania. Ręce zajmują się tą przyziemną czynnością, a myśli krążą wokół przeróżnych szczegółów wyczytanych z listów.

Sięga po butelkę czerwonego wina, ale po namyśle odstawia ją, zamieniając na otwarte opakowanie kodeiny. Oczami duszy widzi siebie połykającą te gorzkie tabletki.

Przystanąwszy pod oknem, wygląda na ulicę. Nagle jakiś cień przecina chodnik. Axel. Miriam zaciąga zasłonki jednym szarpnięciem, aż kółka brzęczą na drążkach. Sprawdza, czy drzwi są zamknięte na klucz i czy ojciec jest u siebie, a następnie wynosi z salonu krzesło, zataczając się, bo jest takie ciężkie. Zastawia nim drzwi.

– On wrócił – mówi, jeszcze raz przekręcając klucz w zamku.

Noc spędza w fotelu, przy ojcu. Rozpamiętuje decyzje, które zapadły w ciągu dnia. W szmerze materaca ciśnieniowego słychać tykanie: tik-tak-tik. Nie zauważyła tego jeszcze nigdy. *Jutro*.

Bierze ojca za rękę i kuli się na fotelu. Jej powieki opadają, marzy o tym, aby zapaść w sen.

– Topi się... – szept ojca otwiera jej oczy. – Topi się pradawny obrzęd niewinności.

– Tak, tato. To prawda.

– Miriam. Miriam. Ty jesteś...

– Jestem przy tobie. Kocham cię, tato – mówi Miriam i czeka, łowiąc wzrokiem każdy jego ruch, ale on już tylko rozluźnia się i cicho pochrapuje. Wkrótce potem Miriam idzie w jego ślady.



## HEINRICH

Moje pierwsze wyraźne wspomnienie po Auschwitz to trawa lśniąca w słońcu, mocno, aż bolały oczy. Zielona. Tak bardzo zielona, że błyszczała jak czyste złoto. Blask był ostry, wyciskał łzy. Ocierałem policzki mokrą chusteczką i czekałem, aby ktoś zabrał mnie z powrotem pod dach.

Nagle na moim kolanie spoczęła czyjaś dłoń, a właściwie maleńka, chociaż całkiem ciężka, różowa łapka. Po chwili dołączyła do niej druga, a następnie na wysokości moich kolan ukazała się podobnie różowa buzia małej osóбки. Wyglądała jak laleczka: ciemne włosy i takie same oczy, osadzone w okrągłej niczym księżyc twarzyczce. Posłała mi bezzębny uśmiech. Poczułem, że się rozjaśniam, i nagle coś sobie przypomniałem.

Jak się uśmiechać.

Dotarło do mnie, że siedzę w fotelu, a fotel stoi na kawałku trawnika otoczonym żwirem. Słońce nie świeciło zbyt mocno, na tyle tylko, że było można wygrzewać kości i nie spalić sobie przy tym skóry. Musiała być późna jesień. Otaczały mnie ludzkie głosy, ale odbierałem je niczym świergot ptaków: chociaż trochę irytujący, to bez trudu można nie zwracać na niego uwagi.

Pochyliłem się, by spojrzeć w dół, na kolana i dalej. Prawy but miałem na lewej stopie, a lewy – na prawej. Skarpetki zniknęły. W trawie siedziała mała dziewczynka. Nóżka podwinięta pod siebie, rączki majstrujące przy moich sznurówkach.

Moja mała dziewczynka.

To była Miriam.

# MIRIAM

Przygląda się, jak płomyk podchodzi coraz bliżej dłoni, jak składa świetlisty pocałunek na pokancerowanej skórze. Czeka. Mogą tu być w każdej chwili. Ogień oblizuje jej palce, upojną pieśczętą dotyka skaleczeń, ręce drżą, zapalając nową zapałkę, a potem przychodzi uspokojenie, opanowanie, pewność każdego ruchu.

Zapach jest wspaniały.

Wszechpotężny ogień, który wszystko potrafi zniszczyć, oblec czernią. Obrócić w popiół. To byłby piękny koniec. Patrząc, jak pochłania mieszkanie, czule gładzi stary fotel, wspina się po ścianach. Wysysa z pokoju tlen. Gdy już raz zapłonie, ogień przywłaszczy sobie wszystko, co stanie mu na drodze. Jak by to było, zastanawia się Miriam, zapaść w nieświadomość, oglądając taniec płomieni w swoim rodzinnym domu.

Uderzenie zapałką o draszkę koi drżenie rąk. Pomaga nie zrobić sobie krzywdy.

Miriam przygląda się, jak płomyk kąsa drewno, z każdą chwilą coraz bliżej jej palców. Nagle ktoś puka do drzwi. Wystraszona, upuszcza zapałkę i odruchowo depta ją stopą.

Przyszli.

Po niego.

Mają ze sobą nosze. Tak samo, tylko w drugą stronę, przed dwoma tygodniami przyjechał do domu ze szpitala. To ona zgodziła się, aby go wypisano. Szpital to nie było miejsce dla niego. Człowiek powinien móc umrzeć we własnym łóżku, otoczony swoimi rzeczami. Tak powiedzieli specjaliści od opieki medycznej. A teraz go zabierają.

Po wyjściu ratowników zamiast ulgi Miriam czuje tylko rozpacz wielkiej straty.

Zabierają go, ostrożnie pakują do karetki. Miriam całuje jego lepkie od potu czoło, uczepia się ręki, nie chce go puścić.

Obchodzi wszystkie zakamarki mieszkania, zagląda w każdy kąt. Wszędzie pusto, ta pustka wlewa się do uszu jak woda.

Utonąć w pustce.

Białe ściany, olbrzymie meble, tyle miejsca. I nic do zrobienia. Samotność i brak celu. Miriam czeka, trudno powiedzieć na co, wyglądając przez okno, za którym rozciąga się nieruchomy ocean mokrej ciemności.

Powoli zapada wieczór, a ona nie ma żadnych informacji o ojcu. Czyta listy przetłumaczone przez Evę i przepisane jej ręką dużymi, grubymi literami. Nie ma nic innego do roboty. Rozkłada kolejną kartkę, wiedząc, że to nie skończy się dobrze, nic nie skończy się dobrze.

*To pierwszy dzień mojej nowej pracy, tłumaczę listy w „Kanadzie”, dużym magazynie, w którym przechowuje się osobiste rzeczy odebrane więźniom. Część tych rzeczy przekazuje się „potrzebującym”, ale większość, po opisaniu, trafia do przechowalni. Ja mam czytać listy pisane w obcych językach i tłumaczyć, byle zwięźle, to, co dam radę zrozumieć.*

*Gdy skończyłam, słońce kłuło już w oczy. Nagle stanęła przede mną Stella.*

*– Co się stało? – zapytałam, widząc jej zmartwioną buzię.*

*– Wasza Hani zniknęła – pisnęła, oddychając pospiesznie. – Pani pomoże, piękna pani...*

*Pochyliłam się, aby pocałować ją w głowę. Pachniała utraconą niewinnością.*

*– Chodźmy – powiedziałam, zebrawszy się w sobie. Powiedziałam to pewnie, choć bynajmniej nie tak się czułam.*

*Tymczasem minął już tydzień, a o Hani słuch zaginął.*

*Śpię sama.*

*Komendantka zleca mi tłumaczenie listów; mam szukać adresów i wzmianek o miejscach pobytu osób poszukiwanych przez SS.*

*W „Kanadzie” jest mnóstwo ubrań, biżuterii, pieniędzy. Są też leki. Pigułki bez etykiet, wszystko ma swoje miejsce. Tylko że w Ravensbrück mienie jest bez wartości.*

*Do moich obowiązków, oprócz czytania listów, które znaleziono przy więźniach, należy pisanie do rodzin tych, którzy umarli w obozie. Są w tym*

*celu specjalnie drukowane formularze. Wpisuję do nich nazwiska i adresy. Mogę sobie siedzieć, czytać i pisać. Każdego dnia dziękuję cioci Mai za naukę języków, bo francuski, holenderski i polski uratowały mi życie.*

*Mogę się też myć dwa razy dziennie i mam dostęp do papieru, ile dusza zapagnie. Moje listy do Ciebie będą teraz dłuższe. W gruncie rzeczy ich słowa nie są skierowane do Ciebie – bo nie wiem, czy kiedyś je przeczytasz – ale do wspomnienia o Tobie. Żyjesz w tym wspomnieniu i w języku, który pokochałam razem z Tobą.*

*Każdego, kogo tylko się da, wypytyuję o Hani. Mam przed oczami tamte dzieci szukające babci („Babcia nazywa się babcia”) i nie mogę wyrzucić z pamięci odrazy wymalowanej na ich buziach. Poszukiwanie Hani nabrało, zdaje się, głębszego znaczenia. Płacę za informacje własnym jedzeniem. Szukam jej jak opętana. Boli mnie brzuch, nic nie jem i nie mogę zaznać odpoczynku; padam ze zmęczenia. Pracę mam teraz znacznie lepszą, bo obawiam się, że tam, na tym słońcu i piasku, usnęłabym chyba. Snem wiecznym. Tutaj jestem bezpieczna. Obok mnie zawsze siedzi jedna stara nauczycielka. Mówi mało, ale jeśli przysnę, trąca mnie ukradkiem, kiedy idzie strażniczka. Nie wiem, jak ma na imię. Nie chcę pytać. Pracujemy w milczeniu.*

*Śpię sama i chociaż mam więcej miejsca, nie mogę się wyspać. To miejsce od zawsze jest dla mnie naznaczone jej obecnością. Nie mam już cienia, zostałam sama na słońcu.*

Miriam siedzi obok pustego łóżka i płacze. Frieda, która włożyła tyle wysiłku w pisanie do jej ojca, została sama jak palec. Tak bardzo współczuje tej kobiecie, jego kochance, że nie może powstrzymać łez. Bo przecież wie, czym jest samotność.

Następny list, zgodnie z kolejnością, opowiada o Eugenii. Serce zamiera jej w piersi, ponieważ zdaje sobie sprawę, że pozna teraz koniec jej historii, a wcale tego nie chce. Cisza narasta dokoła niczym nadchodząca burza. Miriam uspokaja się, myśląc o ogniu, o zapalkach, przypomina sobie matkę i jej synka w szarych skarpetkach, czekających nie wiadomo na co. Czyta dalej.

*Eugenia głęboko zaczerpnęła powietrza i skinęła głową, choć nikt jej nie widział, a potem, na wydechu, zaczęła mówić. Słowa, rzucane szybko, jedno za*

drugim, zlewały się, potykały o siebie.

Poderwała się, wystraszona, walnęła głową o wieko skrzyni. Wyczuła obecność żołnierzy, jeszcze zanim usłyszała ich kroki. Poruszali się cicho niczym cienie. Potem pojawił się śmierdzący dym.

Kiedy dookoła wybuchło zamieszanie, chłopczyk zakwilił, ale mamie udało się go uciszyć. Eugenia poczuła, jak cierpnie jej skóra. Smak spalenizny zalegał na języku, a pełznące macki dymu można było wziąć w palce. Wyobrażała sobie, jak przenikają przez ściany skrzyni niczym długie palce kościotrupa. Bała się, że spłonie tutaj żywcem.

– Szukać! Szukać! – wołali żołnierze.

Huknęły główne drzwi i rozległ się głośny rumor przewracanych sprzętów. Kiedy wokół skrzyni załomotały ciężkie buty, odczuła to tak, jakby cały oddział piechoty deptał jej płuca.

Była jak diabełek w pudełku, które zaraz się otworzy, wszystkie ścięgna miała napięte jak postronki. Bała się, że nie wytrzyma i wyskoczy.

Kroki ucichły.

A potem uniosło się wieko skrzyni.

Kobieta i dziecko. Na widoku. Eugenia skuliła się, by uciec przed światłem, wcisnęła głębiej w ciemny kąt skrzyni. A że pod tym kątem mogła spojrzeć wyżej, zobaczyła ich.

Głębokie głosy i doszczętnie puste słowa, jak złośliwa parodia mowy.

Matkę wyciągnęli za włosy. Pierś miała jeszcze na wierzchu, chłopiec przyssał się do niej mocno, nie chciał puścić, ale siła, która wyrwała mamę z ukrycia, postawiła go na nogi. Stał sam. Jak słup soli.

Ale matka krzyczała, wyła, kopała i szarpała się w uścisku trzymających ją mężczyzn, wrywając się do swojego maleństwa.

Nie musieli się specjalnie wyteżać, aby ją utrzymać, chociaż szamotała się z całych sił. Jeden z nich podniósł ostrożnie jej synka, chłopiec zawisł w jego grubych dłoniach. Matka znowu krzyknęła. Dziecko odpowiedziało płaczem, wyciągnęli do siebie ręce – jej długie i chude, jego krótkie i pulchne.

Zabili ją. Strzałem w kark. Osunęła się na podłogę, miękko jak upuszczony koc.

Chłopiec przekrzyczał swoją mamę, nieludzki wizg wydobył się z jego karminowych warg. Eugenia zaniósła się nagłym szlochem, ale w tej samej chwili malec zaczął drapać, gryźć i kopać, wyciągając ręce do leżącej na podłodze mamy. Trudniej im było go utrzymać niż ją. Szamotał się w ich łapskach, chcąc koniecznie zejść na dół. Do mamy.

*Któryś z żołnierzy musiał wyciągnąć pistolet, ale Eugenia usłyszała tylko:*

*– Nie strzelaj, zmarnujesz kulę albo jeszcze spudłujesz i mnie postrzelisz!  
I zaczęli się śmiać. Jakby to była zabawa.*

*Dziecko krzyczało bez przerwy.*

*– A potem jego główka trzasnęła o ścianę skrzyni – powiedziała Eugenia, tak szybko, że w pierwszej chwili w ogóle to do mnie nie dotarło.*

*Na naszej pryczy zapadła cisza. Słyszałyśmy cichutkie pochrapywanie Stelli. Trusia przygarnęła ją do siebie.*

*Kiedy żołnierze wyszli, Eugenia wydostała się ze skrzyni. Tak szybko, jak tylko mogła.*

*Matka leżała na podłodze, twarzą w dół, z przestrzelonym karkiem; Eugenia odwróciła ją na wznak. Otwarte oczy, wyprężone ciało, ręce wyciągnięte w stronę dziecka, które leżało niedaleko, rzucone na podłogę jak kulka zmiętego papieru. Jeden bucik spadł mu ze stópki.*

*Okrągła buzia była zmiażdżona, roztrzaskana, małe oczka zamknięte.*

*Eugenia chwyciła matkę za ręce i przeciągnęła ją po podłodze, pozostawiając na deskach długi, lśniący pas krwi. Kosztowało ją sporo sił, aby wrzucić kobietę do skrzyni; ciało z ciężkim łomotem wpadło do środka. Wydawała się taka mała, chuda i młoda. Oczy... puste, o nieobecnych spojrzeniu. Eugenia cofnęła się, podniosła dziecko. Główka opadła do tyłu. Obwisła, całkiem nie tak, jak powinna. W otwartych ustach widać było dwa maleńkie ząbki. Pachniało mlekiem i krwią.*

*Eugenia ułożyła dziecko w ramionach matki. Najlepiej jak umiała, przytuliła je do matczynej piersi, próbowała nawet zapleść jej ręce wokół małego ciała. Udało się tylko z jedną. Potem okryła ich oboje własną marynarką. Chciała zamknąć oczy matki, ale pomyślała sobie, że może lepiej zostawić je otwarte, aby mogła strzec swojego maleństwa w niebie.*

*Otuliwszy ich marynarką, zamknęła skrzynię.*

*Uniosła głowę i patrzyła, jak zapisuję kartkę w świetle księżyca.*

*– Nie znałam ich imion ani nazwiska – powiedziała. – Oni już nie istnieją. Ich bliscy nigdy się nie dowiedzą, jak umarli.*

*I znów odetchnęła głęboko, po czym wzięła do rąk skrawek materiału, który leżał na jej kolanach, i obrzuciła szew na okrętkę, metodycznie i precyzyjnie, tak jak zawsze.*

*Heinrich, jej opowieść pozostała w mojej głowie, słyszę jej szept w zakamarkach pamięci. Koniec końców, strach jest zaraźliwy. Powtarzam sobie, że chociaż ciało umiera, wspomnienia o nas żyją dalej. Ci, którzy nas*

*znali i kochali, zachowują nas w sercu, dopóki sami żyją. Eugenia tamtego dnia straciła wszystkich, więc powierzam pamięć o niej Tobie, aby nie musiała umrzeć ponownie.*

*Na zawsze Twoja*

Miriam dostaje mdłości, znów czuje pod skórą kłębawisko oślizgłych, wijących się w drgawkach węży. Tylko że teraz to nie sen je sprowadził, lecz to, co przed chwilą przeczytała.

Dziecko.

Myśl. Pojawia się i gaśnie w okamgnieniu. *Dziecko.*

Łzy napływają do jej oczu. Idzie do łazienki i myje ręce, długo, długo, długo.

Eugenia myślała, że nie istnieje. A ona, Miriam? W jaki sposób może udowodnić, że jest coś warta – i żyć, kiedy te wszystkie wspaniałe kobiety umarły?

*Kochana Miriam, moja żono, moja jedyna.*

Miriam słyszy jego głos, czuje jego dłoń przesuwaną się po jej policzku i dalej, na tył głowy, spływającą pieścizną na kark.

*Nigdy, przenigdy cię nie skrzywdzę.*

Czuje jego usta przywierające pocałunkiem do jej szyi.

*Najdroższa żono, zawsze będę przy tobie.*

Po tych słowach, wypowiedzianych z miłością, pozostały blizny i nie tylko blizny.

Miriam wpatruje się w lustro, jej rysy zlewają się w jedno z jego słowami, czuje jego oddech na karku, słyszy jego głos.

– No, Miriam, i co zamierzasz zrobić? – pyta swoje odbicie.

## HEINRICH

Po pierwszym spotkaniu z Miriam szybko zacząłem z powrotem widzieć świat wyraźnie. Byłem teraz ojcem i mężczyzną. Wymyśliłem, co zrobić z drutem rozciągniętym pomiędzy narożnikami naszego pokoiku, tak, aby Emilie, wieszając pieluchy Miriam, nie musiała balansować na kulawym podnóżku. Brałem małą na ręce, przytulałem i karmiłem, nie przestając się przyglądać tej istotce, którą stworzyłem, całkiem nieświadomie. A patrząc na Emilie, paradującą w blasku macierzyństwa, z Miriam uwieszoną na szyi jak małpka, byłem dumny, że coś jej dałem.

Coś dobrego.

Pojawienie się Miriam odmieniło nasze życie. Byliśmy rodzicami; dzięki wskazówkom mojej żony odnalazłem się w roli ojca. Któregoś dnia siedziałem i patrzyłem, jak Emilie układa Miriam na naszym łóżku. Gdzieś w kamienicy stało na korytarzu porzucone dziecięce łóżeczko, lecz emanowała z niego przeraźliwa pustka, niemożliwa do wypełnienia.

Zacząła śpiewać, masując przy tym plecki małej, a mnie nagle z przemożną siłą opadła dotkliwa zgryzota, która nie dawała mi spokoju już od dobrych kilku tygodni. Ścisnęła tak mocno, że zabrakło mi powietrza w płucach.

– Emilie – zniżyłem głos, wodząc z nią wzrokiem, bo zaczęła się krzątać po mieszkaniu. Miała pełne ręce roboty. Wiecznie była czymś zajęta i nigdy nie patrzyła mi w oczy. Często myślałem o tym, co przeżyła, sama i w ciąży. I czy będzie umiała mi kiedyś wybaczyć.

– Emilie, muszę poszukać Friedy – dokończyłem.

– Dlaczego? – zapytała. – Co ci z tego przyjdzie?

– Muszę spróbować. Dowiedzieć się, co się z nią stało. Muszę.

Uwijała się przy swoich zajęciach, nie patrząc na mnie.

– Emilie, proszę cię, porozmawiajmy o tym.



– Po co? Heinrich, po co do tego wracasz? Mamy dziecko, mamy przyszłość! – Potrząsnęła głową i odetchnąwszy głęboko, usiadła na krześle naprzeciwko mnie. – Naprawdę chcesz wiedzieć? – spytała.

– Tak.

Wzięła mnie za rękę.

– Heinrich, Frieda zmarła w szpitalu, po tym, jak... to miejsce, gdzie byłeś więźniem... kiedy je wyzwolili – wyrzuciła z siebie. – Przepraszam, nie chciałam, żebyś dowiedział się o tym w taki sposób. – Próbowała mnie objąć, przytulić, ale byłem kompletnie sztywny, nie dałem się poruszyć.

– Nie – powiedziałem stanowczo. To nasze jednopokojowe powojenne mieszkanie. Wszystko zdawało się tonąć w czerni, a jednak lśniło oślepiającą bielą.

– Przepraszam cię – powtórzyła Emilie.

– Nie. – Wstałem z krzesła i zacząłem krążyć po pokoju, gotów do ucieczki. Tylko dokąd miałbym pójść? – Nie. Skąd możesz to wiedzieć?

– Po prostu wiem – odparła smutno.

– Nie możesz. – Przejechałem dłonią po włosach, a potem po oczach. – Jak to się stało? Jak umarła?

– Heinrich, uspokój się, proszę.

Chodziłem od ściany do ściany, jak zwierzę w klatce.

– Odnalazłam cię w szpitalu, pamiętasz? Ona też tam była. – Emilie opuściła wzrok. – I tam umarła.

– Nie! – krzyknąłem. A potem opadłem na krzesło. – Emilie, dlaczego mi o tym mówisz?

– Nie powiedziałam ci od razu, bo nie byłeś w stanie nawet jeść ani sam się ubrać. – Odetchnęła. – Ona była o krok od śmierci. Chciała iść do ciebie, ale nie mogła. Coś ci pokażę... – Wstała cichutko i podeszła do starego kufra.

W całym mieszkaniu zachował się tylko ten jeden mebel, zapewne dlatego, że był zbyt ciężki dla szabrowników. Z samego dna Emilie wyciągnęła złożone prześcieradło.

Wstałem z krzesła, przyglądając się, jak kładzie je na stole i ostrożnie rozwija. Pamiętam myśl, która wtedy przyszła mi do głowy: ona musi wiedzieć, co zrobiłem, inaczej po co by miała pokazywać mi... to.

Na stole pojawił się złożony pasiak. To na pewno mój, pomyślałem.

– Należał do niej – powiedziała Emilie.

– Chciałaś mi pokazać, że tam była, że trafiła tam przeze mnie. Zabiłem ją, Emilie. – To było wyznanie. Ciche, prawie wyszeptane. Emilie chciała mnie

objąć, przygarnąć do siebie, ale nie pozwoliłem. Poraził mnie widok tego pustego pasiaka. Ubranie bez człowieka, rzeczowy dowód mojej winy.

Emilie mówiła dalej.

– Opiekowałam się tobą, robiłam wszystko, żebyś wyzdrowiał. Dla mnie i dla Miriam. Nie chciałam, żeby ci się znów pogorszyło. Wiem, że powinnam była powiedzieć ci wcześniej, ale nie umiałam. Proszę cię teraz, nie myśl już o tym. To koniec.

Miałem taki zamęt w głowie, że jej głos w ogóle do mnie nie docierał. *Szukaj jej*, usłyszałem. *Szukaj jej*. Tak, odparłem w myślach. Będę szukał. Ale jak? Pasiak był pusty.

– Gdzie jest Frieda? – zapytałem.

– Umarła. – Oczy Emilie zamglily się niepokojem. Posadziła mnie na krześle i sama usiadła obok, tak że bym musiał skupić wzrok na niej, ale ta obozowa sukienka leżąca na stole, te pasy, zaszyta kieszonka... Przyciągała mój wzrok jak magnes.

– Ona żyje – powiedziałem.

– Znasz kogoś, kto przeżył... tam?

Odwróciłem głowę, spojrzałem w jej ciemne oczy. Ująłem ją za rękę, mocno zaciskając palce na nadgarstkach.

– Jej tam nie było. Ona żyje. – Emilie chciała zabrać rękę, ale jej nie puściłem.

– Patrz. – Wskazała pasiak na stole.

– Proszę, powiedz, że to nieprawda. Proszę cię, Emilie. Powiedz mi, że nie wiesz, gdzie ona jest. Powiedz... wszystko jedno co. Zrobię, co zechcesz, ale proszę, powiedz, że to nieprawda. Proszę.

Wytrzymała moje spojrzenie.

– Bardzo mi przykro, Heinrich.

Mówiła z taką samą siłą jak ja i wtedy poczułem w sobie pustkę.

Otchłań ziejąca pustką. Nicość. Niebyt. Posępne chmury rezygnacji przesłoniły mi wzrok, przestrzeń stała się dwuwymiarowa, pochłoneła kolory niczym próżnia. Wszystko zatraciło swój wyraz, wszyscy zmienili się w nierozpoznawalne skorupy. Płaskie jak ten pusty pasiak.

W absolutnym bezruchu ścisnąłem Emilie za rękę, uczepony jej oczu, a gdy już miałem rozsypać się w proch, jej lśniące spojrzenie padło na Miriam.

Wstała szybko i poszła do małej. Dziecko spało, z kciukiem w buzi i siedzeniem wypiętym do góry. Emilie pokręciła głową, pochyliła się nad Miriam z troską na twarzy.

Nie powiedziała mi całej prawdy, ale dlaczego?

Może wiedziała, jak umarła Frieda, i chciała mi oszczędzić jeszcze większego bólu? Czyżby coś przede mną zataiła?

A może postanowiła na własną rękę to zakończyć, uznawszy, że ja nie dam rady?

Otumaniony, wyszedłem z domu i zawędrowałem na cmentarz przy Heerstraße, gdzie błąkałem się wśród grobów. W pociemniałych od żałoby, przerażonych wojną twarzach widziałem jak w lustrze własną twarz. *To nieprawda*. Szedłem dalej, w tej jawie bez snów, pewien, że ona żyje.

Bo tak jasne światło nie może po prostu zgasnąć.

# MIRIAM

Wraca do listów. Za oknem ciemne niebo, twarz mokra od łez, w duszy otwiera się głęboki wir.

Tego, co się widziało i słyszało, nie można wymazać z pamięci, obrazy zapadają w serce i chociaż Miriam bardzo się stara nie angażować, powtarza sobie, że przecież jej tam nie było, ale nie umie sobie poradzić z dzieckiem, które ukazało jej się po przeczytaniu tego ostatniego listu.

Zegar ledwie powłóczy wskazówkami, a Hilda się nie odzywa. Czas jest jakiś inny, zauważa Miriam: jak o czwartej po południu zawsze zajmowała się ojcem, tak teraz szesnasta nic już nie znaczy; o osiemnastej obracała go na drugi bok, a teraz – nic. Nikt się do niej nie odzywa i nie ma nic do roboty, więc jej dni są puste.

Sprawdza telefon. Okazuje się, że kabel jest rozłączony.

Jak najszybciej wciska wtyczkę z powrotem do gniazdka. Od rana czekała na ten telefon, a mogła przegapić. Dzwoni do Hildy. Nikt nie odbiera.

Dzwoni do hospicjum.

– Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z pielęgniarką, która opiekuje się panem Heinrichem Winterem? Przyjechał dzisiaj, karetką.

– Niestety, nie ma u nas takiego pana – odpowiada jej mocno nosowy, kobiecy głos.

– On... – Połączenie się urywa. Miriam wybiera numer jeszcze raz. – Jestem córką Heinricha Wintera – oznajmia. – Ojciec miał dzisiaj do was trafić.

– Mówiłam już pani: dzisiaj nie zjawił się u nas żaden nowy pacjent.

– Chwileczkę – prosi Miriam. – Mogłaby pani sprawdzić jeszcze raz?

W słuchawce słychać głębokie westchnięcie.

– Tak, jak mówiłam, dzisiaj nie było nowych pacjentów. – Chwila ciszy, przerywana jakimś szuraniem. – Na sali numer cztery mam wpisane ołówkiem

nazwisko Winter, ale tego pana dzisiaj nie przywieźli.

– Jak to: nie przywieźli? Więc gdzie on jest?

– Nie wiem. Kierowniczką poszła już do domu. Proszę zadzwonić jutro, na pewno będzie coś wiedziała.

Miriam jeszcze raz dzwoni do Hildy. I znów nikt nie odbiera. Nagrywa się na sekretarkę, ale chociaż bardzo się stara, słycać, że jest zdenerwowana. Po odłożeniu słuchawki chce jej się płakać. Próbuje jeszcze zadzwonić do centrum medycznego, ale jest już zamknięte. Nie zostawia wiadomości. Drapiąc się w kciuk, odrywa maleńki skrawek skóry i ciągnie go dalej zębami. Długo patrzy na telefon, aby w końcu wziąć słuchawkę do ręki.

Skóra na kciuku, szarpana zębami, powoli zamienia się w strzępy. Miriam wybiera nowy numer. Kiedyś to był jej numer domowy.

– Gdzie jest tata?

– Halo. To ty, Mim?

– Gdzie jest mój ojciec? Co z nim zrobiłeś?

Axel ziewa prosto do słuchawki i słycać, jak się przeciąga.

– Zabrali go dzisiaj do hospicjum?

– Tak. – Miriam sama już nie wie, po co do niego zadzwoniła.

– Więc na pewno tam dotarł.

– Doskonale wiesz, że nie dotarł. Gdzie on jest? Co z nim zrobiłeś?

– Miriam... Kochanie, brałaś dzisiaj swoje leki?

Ogarnia ją znużenie. Przykłada dłoń do czoła, ale cofa ją szybko, bo pogryziony kciuk mocno szczypie.

– Axel, proszę cię, powiedz mi, gdzie on jest, on mnie potrzebuje, wezmę leki, zrobię, co chcesz, tylko mi powiedz. – Cisza w słuchawce zaczyna jej ciążyć. – Proszę cię, Axel – powtarza błagalnie.

– Fachowcy twierdzą, a ja się z nimi zgadzam, że nie jesteś w pełni władz umysłowych. A to, Miriam, oznacza, że musisz wrócić do domu, być moją żoną i brać leki, żeby wyzdrowieć.

– Co z nim zrobiłeś? – W jej głowie kłębi się tysiąc odpowiedzi na to pytanie. – Proszę, powiedz.

– Zgadzasz się?

– Wrócić do ciebie?

– Tak, wrócić do domu.

Miriam wkłada kciuk do ust, zaciska zęby, mocno.

– Axel, ja już nie wrócę do domu. – Powiedziała to. Pierwszy raz na głos. W słuchawce słycać tylko szum. A w przedłużającym się milczeniu Miriam

słyszy zmianę, która zachodzi w jej mężu.

– Niedługo możesz już nie mieć wyboru – rzuca Axel żartobliwym tonem. Miriam wyobraża sobie jego uśmiech. Lodowaty. Ściska słuchawkę w dłoni z taką siłą, że w głośniczku coś trzeszczy. Axel śmieje się wesoło.

– Muszę już kończyć, Mim. Na twoim miejscu zadzwoniłbym do lekarza. O co chcesz mnie oskarżyć? Że porwałem twojego ojca z karetki? Mam już serdecznie dość tych twoich zmiennych nastrojów. To kliniczna paranoja.

I w uchu Miriam rozlega się ciągły sygnał.

Drżącymi palcami wykręca numer Hildy, ale Hilda znów nie odbiera, więc się rozłącza. Krąży po mieszkaniu, za każdym razem mija pusty pokój ojca. Nic, cisza.

Zakłada płaszcz i buty, ale nie wie, dokąd iść, wraca więc do telefonu. I znów dzwoni do hospicjum.

– Czy karetka mogła zawieźć mojego ojca gdzieś indziej? – pyta głosem piskliwym z desperacji.

– To była karetka ze szpitala. Proszę tam zadzwonić i poprosić o połączenie z pogotowiem. Może zawieźli pani ojca do szpitala, przecież tym się właśnie zajmują.

Po dziesięciu dzwonek wreszcie ktoś na pogotowiu odbiera telefon. Potem trzy osoby po kolei zadają jej dokładnie te same pytania i każą czekać. Miriam wygryza sobie skórki i orze paznokciami otarcie na nadgarstku, aż żołądek podjeżdża jej do gardła. W końcu ktoś udziela jej odpowiedzi, na którą czekała.

– Tak, Herr Winter został przywieziony do nas, ponieważ w drodze jego stan się pogorszył. Obecnie jest już stabilny i leży na sali numer siedemdziesiąt jeden.

– Mogę go zobaczyć?

– Odwiedziny do dwudziestej trzydzięci.

– Dziękuję.

Miriam sięga po torebkę i wychodzi z domu.

W szpitalu, o każdej porze dnia i nocy, jest jasno, gwarno i gęsto od ludzi. Miriam znajduje salę numer siedemdziesiąt jeden, a pielęgniarka prowadzi ją do ojca, który śpi. Twarz ma bladą jak prześcieradło, a usta pod maską tlenową lekko uchylone. Miriam przysiadła obok, bierze go za rękę i czuwa przy nim, drugą dłonią po kolei rozkładając i prostując plisy swojej granatowej spódnicy.

Z powrotem w szpitalu. Przypomina sobie wieczór, kiedy odeszła od Axela, i trochę jej lepiej, gdy pomyśli, że nie uległa mu w rozmowie przez telefon i nie zgodziła się wrócić.

To było ponad miesiąc temu. Wsiadła z autobusu i weszła do szpitala. Nie wiedząc nawet, jakim sposobem, znalazła się na obitym sztucznym tworzywie krzesła, które trzeszczało przy każdym jej ruchu. Oparcie było tak wysokie, że nie mogła unieść głowy, bo od razu sztywniał jej kark. Pod płaszczem miała tylko koszulę nocną. Czuwała, słuchając, jak jej ojciec oddycha, i co chwilę wydawało jej się, że to już jego ostatnie tchnienie. Miarowe popiskiwanie aparatury koło jej nerwy. Pielęgniarki po każdej zmianie przynosiły jej coś ciepłego do picia, jedzenie albo koc; troszczyły się o nią tak samo jak o swojego pacjenta.

I z powrotem w szpitalu: to samo krzesło obite zielonym tworzywie, ta sama aparatura, którą trzeba czujnie obserwować. Tym razem Miriam wie, że Axel depta jej po piętach. Wtedy myślała, że ojciec umrze, a ona razem z nim. Teraz wszystko wskazuje na to, że nic mu nie będzie, ale jeśli tak – to dla niej nie ma już ucieczki. Będzie musiała jakoś poradzić sobie z Axelem. A nie ma pojęcia, jak to zrobić. Głupio zrobiła, dzwoniąc do niego. Serce jej ojca kreśli linie na monitorze. Co teraz szykuje Axel?

– Muszę przestać świrować – mówi Miriam na głos i śmieje się, rozbawiona ironią tych słów.

O wpół do dziewiątej wyprasza ją grzecznie ze szpitala, zresztą i tak nadużyła gościnności oddziałowej. Na wszystkie jej pytania odpowiedź brzmiała: „Jutro”.

- Czy tacie będzie lepiej?
- Dowiemy się jutro.
- Zabiorą go do hospicjum?
- Jutro będzie ordynator, zapytamy.
- O której mam przyjść?
- Jutro do pani zadzwonimy.

Mimo to gdzieś z tyłu głowy kołacze się niepewność: ojciec równie dobrze może nie doczekać jutra. Ta myśl przynosi jej ulgę, a jednocześnie przeraża, aż

łzy kręcą się w oczach, a serce łomocze w piersi. Wychodząc z oddziału, Miriam czuje się tak, jakby przebiegła maraton.

Na szpitalnym korytarzu jest nieduża wnęka. Stoi tam ławka, a obok, po obu stronach – szare szafy na dokumenty. Miriam przysiada na niej. Czuje się, o dziwo, całkiem bezpiecznie, nikt na nią nie patrzy. Mogłaby tu zostać, dopóki nie nadejdzie to niejasne „jutro”.

Ale to nie będzie jej dane. Słyszy kroki i najpierw czuje zapach, jego zapach, a potem widzi go przed sobą.

– Aha, więc znalazłaś tatę?

Miriam wstaje z ławki i chce go obejść, ale Axel jakby się rozrósł, wypełnił sobą wszystkie szczeliny, nie sposób przecisnąć się obok.

Wbija oczy w podłogę, nie unosi głowy. Axel wyciąga rękę, chce ją zatrzymać, ale ona tylko przestępuje z nogi na nogę.

– Co ty wyprawiasz, Miriam. Wiesz, co powie doktor Baum?

Gdy Miriam robi krok w drugą stronę, łapie ją za nadgarstek i przyciąga do siebie.

– I co ja mam z tobą zrobić? – Gładzi ją po włosach. – Bo ty naprawdę jesteś chora, wiesz? Taki wstyd. Kto mi powiedział, gdzie jest twój ojciec? Hilda do mnie zadzwoniła, moja droga. Na ciebie nikt już nie liczy, nikt w ciebie nie wierzy.

– Hilda do ciebie zadzwoniła? – dziwi się Miriam, ale niespodziewany pocałunek przerywa jej w pół słowa. Próbuje się opierać, tak jej przynajmniej wydaje, ale nagle jej ręce i nogi robią się miękkie jak galareta. To nie ma sensu, myśli.

Axel wpycha ją pomiędzy ławkę i ścianę. A więc o to mu chodzi. Znalazła się w potrzebie, nikt jej tu nie zobaczy.

A jednak opór ma sens, błyska jej w głowie. I jest ktoś, kto jej wierzy: Eva. Eva, która wie. Miriam wbija dłonie w pierś Axela; odpycha go całą sobą. I nic. Jakby chciała przepchnąć mur. Zresztą trudno jej się poruszyć, bo on wciąż ściska jej nadgarstek, mocno.

Obraca ją twarzą do ściany, wisi tam obrazek, widoczek: morze, zachód słońca, łódka płynie wzdłuż brzegu, w łódce dwie osoby. Axel napiera na nią całym ciałem, a jej policzek dotyka zimnej ściany, obrazek ma ramkę z sosnowego drzewa, a tył wygięty, on też dotyka ściany.

Axel dyszy jej chrapliwie prosto do ucha, a ona, gdy tylko dotyka ją jego oddech, cała trzęsie się z obrzydzenia, próbuje się wyrwać, a wtedy on wykręca jej rękę, do tyłu, za plecy.



– No, no, znam ten widok – komentuje, całując ją w policzek i przesuwając odrobinę w prawo, dalej od obrazka, a bardziej w kąt. Wolną ręką dotyka jej szyi, przejeżdża paznokciem po wklęsłości gardła. – I to bardzo dobrze. – Jeszcze raz cmoka ją w policzek. – Tęskniłem za tobą, Mim.

Miriam ucieka wzrokiem i próbuje odwrócić głowę, ale on przygniata ją ciałem, wciska w ścianę, przydusza.

Potem zadziera jej spódnicę i wtedy coś z metalicznym brzękiem spada na podłogę. Miriam tego nie słyszy, ale on nagle pochyła się, aby podnieść ten przedmiot, ciągnie ją przy tym w tył, prawie przewraca.

– Co to jest? – Podsuwa jej pod nos coś, co błyszczy jak złoto, ale z tak bliska nie sposób zobaczyć tego dokładnie. Axel szarpie ją, przeciąga po ścianie i przewraca na podłogę. Jego ciało i ławka zasłoniły ją całkowicie. Czuje na sobie jego ciężar. Widzi obrączkę, swoją ślubną obrączkę; teraz ma ją na linii wzroku.

– Co to jest? – powtarza Axel, ciągnąc ją z całej siły za rękę. Skąd ta obrączka? Zdjęłam ją kilka dni temu, myśli Miriam, schowałam do kieszeni spódnicy i zapomniałam wyjąć.

Chłodna, wilgotnawa podłoga ziębi jej policzek. Czując, jak Axel zaczyna szarpać się z jej bielizną, próbuje się odwrócić, strącić go z siebie. Wtedy on łapie ją za brodę i odwraca jej twarz ku sobie. Mięśnie szyi napinają się aż do bólu, drżą z wysiłku.

– Przecież wiesz, jak bardzo cię potrzebuję – mówi Axel i puszcza ją, pozwalając oprzeć głowę na podłodze. – Jesteś moją żoną. Nie potrafię żyć bez ciebie, ukochana.

Miriam błądzi wzrokiem po podłodze, po równiutkich kwadracikach upstrzonych plamkami i drobnymi wzorkami; wszystko to przypomina bukiet stokrotek, który spadł na ziemię. Stojący człowiek pomyśli, że podłoga jest zielona. Nie jest. Miriam szuka powtarzających się kształtów, liczy kwiatki, chociaż widzi tylko maleńkie prysnięcia bieli. Szarpie się, usiłuje odsunąć, ale on ją przygniata, rękę, której wciąż nie wypuścił, przyciska jej mocno do biodra, wznosi się nad nią.

– Cicho, cicho – sapie z wysiłkiem.

A potem przychodzi ból.

Ból wlewa się w nią raz za razem, niczym fala żaru.

Nie ustaje.

Fale uderzają o siebie, rozbijają się jedna o drugą.

Czerwień. Czerń, a na końcu rozpalona biel.

Miriam wydaje cichutki okrzyk, a kwiatki zlewają się w jej oczach. Jednak podłoga jest po prostu zielona. Axel pochyla się i kładzie na niej całym ciałem; znów trudno jej złapać oddech. Wszedł prosto spod prysznic, jest czysty, świeży i rozgrzany.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – mówi, po czym wstaje, opierając się obiema rękami na jej plecach. Miriam słyszy, jak poprawia na sobie ubranie i pochyla się z powrotem ku niej. Ująwszy za rękę, całuje kostki jej dłoni.

– Nigdy cię nie skrzywdzę, Miriam. Kocham cię.

A potem na jej palcu zaciska się pas metalu, zimny niczym stal. Jej ślubna obrączka, z powrotem na właściwym miejscu.

Miriam zostaje sama. Przez chwilę leży bez ruchu, myśląc, że on zaraz wróci. Ale nie, poszedł, słychać jego oddalające się kroki. Chwyta się ławki, wstaje szybko i opiera się o szafkę.

Obrazek na ścianie. Dwoje ludzi, plaża, krystaliczne morze. Przekrzywił się na gwoźdźniku, wygląda jak widok przez bulaj z kabiny łodzi lub statku. Miriam poprawia go i odchodzi chwiejnym krokiem, trzymając się blisko ściany.

## MIRIAM

Zauważa ją mężczyzna w niebieskim uniformie szpitalnego personelu. Chyba ją o coś pyta, ale Miriam go nie słyszy i nie zatrzymuje się. Wie tylko, że musi iść przed siebie. Ale mężczyzna bierze ją pod ramię i łagodnie sterując, prowadzi pustym korytarzem.

– Jestem sanitariuszem, nazywam się Karl. Pani jest naszą pacjentką?

Miriam kręci przecząco głową.

– Biła się pani z kimś? Bo tak pani wygląda.

Dopiero teraz Miriam zauważa porwane rajstopy i podciągniętą wysoko spódnicę. Chce ją zsunąć, poprawić, ale opornie jej idzie, bo rękę ma ciężką, zdrtwiała, nie może jej unieść ani zgiąć, a kurtka zsunęła się z ramienia i wisi pod dziwnym kątem. Opiera się o prowadzącego ją mężczyznę.

– Muszę wrócić do domu.

Ludzie, wielu ludzi. Mówią coś do niej. Dotykają jej. A potem rozmawiają ze sobą tak, jakby jej nie było. Kiedy Miriam odzyskuje orientację na tyle, że jest już w stanie skojarzyć głos z osobą, a osobę z miejscem, choć miejsca w tej ciasnej salce jest akurat bardzo mało, odzywa się cicho, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Chcę wrócić do domu.

– Proszę pozwolić się zbadać. Sprawdzimy, czy nie ma pani obrażeń. Jest pani w szoku, to widać. – Pielęgniarka zsuwa jej kurtkę z ramienia i zapina na rękę mankiet ciśnieniomierza, a w zgięciu łokcia przykłada zimną końcówkę stetoskopu.

Zwróciła uwagę na jej szramy i blizny.

– Zbadam parametry życiowe, a potem przyprowadzę lekarza, żeby panią obejrzał – mówi. Z mankietu schodzi powietrze, rzep odzywa się krótkim trzaskiem. – Czy coś panią boli? – pyta, wsuwając jej termometr do ust.

Miriam potrząsa głową. A termometr obija się o jej zęby.

– To dobrze. Zaraz przyjdzie doktor. – Pielęgniarka, tęga, niska kobieta, zabiera termometr i odchodzi, z powrotem zaciągając zasłonę otaczającą łóżko.

Miriam toczy wzrokiem dookoła. Przeszywa ją dreszcz. Zakłada do końca zdjętą do połowy kurtkę, zapina wszystkie guziki. Siedzi na łóżku w pełnym ubraniu, podarte rajstopy marszczą się jak zwiotczała skóra. Spódnica jest pościągana. Zsuwa się z łóżka i choć kręci się jej w głowie, staje prosto. Wsunąwszy palce za pasek spódnicy, znajduje swoje porwane majtki. Pochyla się, aby zdjąć buty i rajstopy, po czym chowa je, razem z majtkami, do torby z pakowego papieru, która chyba ma służyć w przypadku wymiotów. Torbę zwija, dwa razy.

Przysiadłszy w nogach łóżka, ogląda swoje palce. Wszystkie plastry się pozsuwały i są ciemne po brzegach od przyklepionych granatowych kłaczek. Ściąga je po kolei, powoli prostując palce. Potem zdejmuje obrączkę – jeszcze raz – i wrzuca ją do stojącego na stoliku żółtego pojemnika z czerwoną pokrywką. Metalowe kółeczko z satysfakcjonującym stukotem spada na samo dno.

Miriam pochyla się, by zawiązać buty, i w tym momencie zasłonka odskakuje na bok. Staje przed nią mężczyzna imponującego wzrostu, lekarz. W dłoni ma kartę pacjenta.

– Doktor Evers, dzień dobry. – Odwraca się, aby zaciągnąć zasłonkę z powrotem. – Czy ma pani jakieś obrażenia? Przewróciła się pani? Uderzyła się w głowę?

– Nie, nie. Chyba wszystko w porządku.

– Co więc pani robi na pogotowiu? – Lekarz uśmiecha się, szeroko i szczerze, siada obok niej, odkładając kartę.

– Chcę wrócić do domu – mówi Miriam.

– Ktoś z pani rodziny jest w tym szpitalu? Stało się coś złego? Personel zwrócił uwagę, że miała pani podarte ubranie.

– Tak, już zdjęłam to wszystko. Chcę wracać do domu, czuję się dobrze. Przepraszam, że zajęłam państwu czas. – Miriam wstaje.

– Proszę, niech pani usiądzie. Bądźmy dokładni, dobrze? Co się stało, zanim zjawiała się pani na moim oddziale?

Nie mogąc znaleźć właściwych słów, Miriam uśmiecha się tylko, spoglądając lekarzowi prosto w oczy. Są błękitne, ale lekko podpuchnięte. Znać po nich

zmęczenie.

– Mąż mnie tylko trochę poturbował. Nic mi nie będzie. Muszę wracać do domu, do taty. – Nagle przypomina sobie, że jej ojciec jest tutaj, w tym szpitalu. Nie ma do kogo wrócić.

– Poturbował panią? W jaki sposób? – Lekarz zapisuje coś w karcie.

– Nic się nie stało.

– Napastował panią seksualnie? – pyta dalej, tym samym tonem.

– Tak – potwierdza Miriam, ciesząc się, że ktoś znalazł właściwe określenie. – Tak.

– Czy to było celowe działanie z jego strony?

Miriam kiwa głową.

– Rozumiem. Proszę teraz posłuchać: ja cały czas będę obok, ale jestem mężczyzną i zdaję sobie sprawę, że pytania dotyczące zbliżenia intymnego mogą być dla pani krępujące, a chciałbym, aby poczuła się pani nieco swobodniej. Za chwilę przyjdzie więc Sara, moja koleżanka, a na razie spytam tylko, czy czegoś pani potrzebuje?

– Chciałabym wrócić do domu.

– Do męża?

– Nie, do domu moich rodziców. Odeszłam od męża.

– Zostawię pani ten formularz, proszę go wypełnić, zaraz przyjdzie Sara. Jeśli po badaniu okaże się, że nic pani nie dolega, nie będziemy pani tutaj zatrzymywać.

Miriam przegląda formularz. Większość rubryk pozostaje pusta. Stan cywilny – nieznan. Przebyte choroby – skomplikowane. W przebłysku klarownego myślenia dochodzi do wniosku, że przyczyną jej dolegliwości mógł być właśnie stan cywilny.

Zjawia się Sara, barwna plama ze zdecydowaną przewagą płomiennej rudości. Miriam rumieni się i zaczyna jąkać, speszona jak jeszcze nigdy dotąd; odmawia badania, nie zgadza się na pobranie krwi i wymazu, dziękuje za poradę dotyczącą zabezpieczenia przed niechcianą ciążą.

– Nie potrzebuję – mówi najgrzeczniej, jak potrafi.

– Z uwagi na to, że została pani dzisiaj napastowana i wymagała opieki medycznej, chciałabym zapytać, czy życzy sobie pani porozmawiać z policją. Możemy wezwać funkcjonariuszkę, która przyjmie od pani zeznanie, a przynajmniej poinformuje, co może pani zrobić w tej sytuacji.

– Ja naprawdę niczego nie potrzebuję. Przywykłam. Po prostu mnie zaskoczył i tyle.

– I uważa pani, że ma do tego prawo? – pyta Sara.

Miriam spogląda na nią nieufnie.

– Chcę tylko powiedzieć, że jeśli to pani zgłosi, to kartoteka policyjna odnotuje, że mąż panią skrzywdził – tłumaczy lekarka. – A jeśli panią zbadam i opiszę obrażenia, to będzie można postawić mu zarzuty. Poniesie karę za to, co pani zrobił. Bo tak nie wolno.

Miriam milczy.

– Przyniosę pani szklankę wody i herbatnika – mówi Sara. – Proszę się zastanowić, a ja wrócę za parę minut. Czy chce pani, żebym kogoś zawiadomiła?

Miriam kręci głową.

– Nie, dziękuję.

Lekarka zaciąga zasłonę, która co prawda nie pozwala nic zobaczyć, ale nie tłumi żadnych odgłosów, wciąż słychać ludzi dookoła. Miriam zastanawia się nad decyzją, nad jej konsekwencjami i nad tym, co to znaczy, że „kartoteka odnotuje”. Może wtedy zacząć jej wierzyć.

Informuje Sarę, że zgadza się na badanie i rozmowę z policjantką.

Podczas badania przez cały czas obecna jest pielęgniarka, starsza, korpulentna kobieta. Jej górna warga lśni kropelkami potu, a na plakietce przy fartuchu widnieje imię „Dagmar” i naklejka z żółtym słoneczkiem. Wygląda tak, jakby sama potrzebowała trochę słońca, myśli Miriam. Jest niemalże od stóp do głów obleczona bielą: fartuch, blada cera, siwe włosy. Tylko buty ma czarne, aż lśniące.

Lekarskie instrumenty są zimne, lecz w ich dotyku czuć troskę, tyle, ile może jej przekazać nierdzewna chirurgiczna stal. Szczypie, ale Miriam i tak jest oziębiała, więc znacznie gorsze jest upokorzenie. Jej myśli krążą wokół „królików” i stalowych skalpeli rozcinających im nogi.

Myśli też o Hani, która przepadła jak kamień w wodę. I o tym, czy stawić opór, odnotować się w policyjnej kartotece. Listy Friedy też były takim zeznaniem. Każdy z nich. Odetchnąwszy głęboko, Miriam wyobraża sobie twarze kobiet, które przepadły. Każdą z nich widzi jak żywą. A razem z nimi Stellę, małą Stellę.

Dagmar stoi przy niej, a doktor Sara skrupulatnie nanosi rozpoznane u badanej obrażenia na schematyczny rysunek kobiecych narządów płciowych. Miriam jeszcze nigdy nie widziała, aby ktoś przedstawił to tak wprost, tak sugestywnie; można by pomyśleć, że to kwiat.

Lekarka kończy opisywanie wyników badania i podaje jej kartę. Widząc, co u niej znalazła, Miriam najchętniej porwałaby ten papier na strzępy, wymazała każdą kreskę, każdy czerwony znaczek, każde zaciemnione pole, te wszystkie

zagadkowe symbole. Gdy Sara proponuje, że omówi z nią ślady nowych i dawnych urazów, wyjaśni, skąd tyle czerwieni, Miriam odwraca wzrok.

– Te zakreskowane pola to zabliznienia – zaczyna lekarka. – Grubsze kreski to świeże urazy. Jak często mąż panią krzywdził?

Miriam mówi tylko, że trwało to od jakiegoś czasu. Zgadza się, gdy Sara proponuje jej antybiotyk, aby zapobiec infekcji. Przed oczami ma ten schemat żeńskich genitaliów, na którym lekarka czerwonym kolorem zaznaczyła wszystkie jej obrażenia.

Gdy przychodzi policjantka, nie ma pojęcia, co jej powiedzieć.

Mówi prawdę. Od początku do końca. Dagmar, która wciąż jest przy niej, od czasu do czasu odzywa się cicho, doradza, kiedy trochę przystopować albo coś powtórzyć. Jest spokojna, ale stanowcza, a Miriam słucha i wyjaśnia, najlepiej jak potrafi, z każdą chwilą czując coraz wyraźniej, że to wszystko nie ma najmniejszego sensu, chociaż właśnie powinno mieć go wiele. Każde pytanie to kolejna ocena jej postępowania.

W końcu policjantka wręcza jej swoją wizytówkę – nazywa się Müller.

– Była pani bardzo dzielna – chwali ją jak dentystka pacjentkę, która długo wytrzymała na fotelu.

Sara przynosi leki i dzwoni po taksówkę, a Dagmar odprowadza Miriam.

– Bezpiecznej drogi – mówi, gdy czekają razem, aż przejadą samochody i taksówka będzie miała gdzie się zatrzymać. Obłok niebieskiego dymu owiewa pacjentów w szpitalnych szlafrokach, którzy oblepiają wejście do szpitala: jedni na wózkach, inni podpięci do stojaków na kroplówki, każdy z papierosem w dłoni.

– Czy mogę pani coś powiedzieć? – pyta Dagmar. – To rada, którą dostałam kiedyś od mamy.

Miriam patrzy na deszcz, drobny jak mgiełka. Kropelki zdają się wisieć w powietrzu.

– Otóż moja mama mówiła, że mężczyzna musi dostać to, co chce, bo inaczej sam weźmie wszystko, czego mu potrzeba.

Miriam nie odpowiada. Czarny samochód zajeżdża przed wejście do szpitala. Miriam otwiera drzwi i wsiada, nie oglądając się za siebie.

Wstyd zalewa ją wielkimi, ciężkimi falami. Po powrocie do domu idzie prosto do łazienki, zrzuca ubranie na stertę i odkręca wodę pod prysznicem. Gorąca, prawie wrzątek. Skóra na głowie boli jak pokłuta szpilkami.

Czuje, gdzie jej dotykał, zostawił czarne jak smoła odciski palców. Jej skóra to płótno, żywy obraz krzywdy, którą jej wyrządził. Jego ręce to pędzle unurzane w farbie. Woda z prysznicą spływa po niej jak po szybie, nie zmywając śladów jego niechcianego dotyku.

Dłonie uciekają spod ukropu, rany i otarcia, sparzone, wyją z bólu. Choćby myła się sto razy dziennie, jeszcze długo będzie czuć jego zapach i smak.

Kiedyś umyła się wybielaczem. Wyglądała po tym tak, jakby najpierw ktoś zdarł z niej skórę papierem ściernym, a potem pokąsały ją pszczoły. Preparat oparzył też błonę śluzową nosa i przez pięć dni nie czuła nic oprócz chloru. Pozbyła się śladów po nim, przynajmniej tych, które zostawił na jej ciele, ale skóra goiła się przez miesiąc i cały czas swędziała.

Przysiadłszy na brzegu wanny, owinięta luźno ręcznikiem, przygląda się kropelkom różowej wody ściekającym po jej nogach, niknącym w zagłębieniu pod kostką. Nie powstrzymuje łez.

Potem okrywa się szczelniej i wraca do sypialni ojca. Tam zatrzymuje się na chwilę przy oknie. Widok jest ten sam, każdy szczegół, ale zmieniło się wszystko. Miriam dokładnie zaciąga zasłony i krąży po pustych pokojach, dotyka różnych przedmiotów, ale niczego nie przestawia. Nieobecność ojca wyziera z każdego kąta, mieszkanie wygląda obco.

Drapie się po dłoniach, aż skóra zacznie kłuć. Chciała pozbyć się śladów po Nim, ale chętnie zajmie się czymś innym; siada ostrożnie, spoglądając na listy, każdy z nich niepowtarzalny, piękny i tragiczny. Ale te listy nie rozplyną się w niebycie, jak opisane w nich kobiety i ich historie, których nikt nie zna.

Leżą na stole, na stole jej rodziców. Przez dziesiątki lat więził je obozowy pasiak. Teraz Miriam chciałaby uwolnić te kobiety, dowiedzieć się, w jaki sposób udało im się przeżyć.

O ile im się udało.



## MIRIAM

*Najdroższy Heinrichu,*

*Vanda Belikova i Trusia pochodzą z tej samej wsi, która nazywa się Lidice. Hitlerowcy urządzili tam to samo, co rok później w Lublinie: masakerę.*

*Pewnego razu, gdy siedziałyśmy sobie w cieniu pod ścianą bloku (co zdarza się rzadko), Vanda powiedziała mi, że zna Trusię z czasów przed obozem.*

*Trusia nazywała się Neta-Li i była młodą mamą. Vanda rozpoznała ją w rewirze, kiedy leżały razem, obok siebie, w specjalnej sali.*

*Na łóżku z drugiej strony Vanda miała niejaką Jarmilę, która też przyjechała transportem z Lidic i tak jak ona kojarzyła Netę-Li. Okazało się, że Trusia nie była ani głucha, ani niema. Za mąż wyszła młodo, poślubiła swojego ukochanego z lat dziecięcych. Mieli czwórkę dzieci.*

*Potem we wsi zjawili się hitlerowcy. Wywlekli jej męża i dzieci z domu, ustawili pod ścianą. Dzieci wołały mamę, wyciągały rączki.*

*Trusia błagała żołnierzy, aby ich nie zabijali, chciała oddać życie za swoje dzieci. Strażnik tylko się zaśmiał. Pięć strzałów. Koniec rodziny.*

*Kiedy „króliki” z grupy wzięły kąpiel, ale jeszcze zanim ogolono im nogi, Vanda próbowała porozmawiać z Netą-Li, zwracając się do niej po imieniu, ale ta milczała.*

*Vanda była starsza, więc nie spodziewała się, że przejdzie selekcję; pozostałe dziewczyny były młode i miały długie, szczupłe nogi. Została jednak wybrana i z rozkoszą weszła do wanny z ciepłą wodą. Były tak zdziwione, opowiadała, że chlapały się ze śmiechem i czuły się jak kobiety, po raz pierwszy od bardzo dawna.*

*Potem dali im czyste koszule nocne, a gdy leżały już w łózkach, też czystych, pielęgniarka przyniosła brzytwę, żeby ogolić im nogi.*

Rano każda dostała pigułkę i świat rozmazał im się przed oczami. Vanda pamięta, że ściany pływały jak woda. Zabrali ją do sterylnej sali i przywiązali pasami do łóżka. Nie mogła ruszyć nawet palcem.

Kiedy się ocknęła, nogi miała w gipsie, od stóp aż po pachwiny. Słyszała, że inne krzyczą, sama jednak czuła się dobrze, była tylko zmęczona. Ale gdy obudziła się wieczorem, jej nogi płonęły żywym ogniem, a nie mogła się nawet ruszyć. Kobieta naprzeciwko miała czkawkę, nieustanną czkawkę; gdy ta czkawka ucichła, przyszli i zabrali jej zwłoki.

Każda leżąca na tej sali miała na swoim gipsie wypisany ciąg liter i cyfr – nie wiedziały, co to oznacza. Vanda najlepiej pamięta, że dręczyło ją pragnienie. Nocą jej wargi pękały i krwawiły. Jedna z pacjentek, która przebywała tam już od kilku tygodni, przynosiła wodę w wiadrze. Ona też miała nogę w gipsie i kuśtykała od łóżka do łóżka, od jednych spieczonych ust do drugich, pozostawiając za sobą ślad z krwi i brunatnej ropy.

To, jak się później okazało, była Eugenia. Mijały kolejne dni przepełnione bólem i krzykiem; przed końcem tygodnia trzy kobiety zmarły.

Lekarze przychodzili w ciągu dnia, sprawdzali cyferki w kartach, nie odzywali się ani słowem. W nocy Eugenia przynosiła wodę.

Trusia też tam leżała. Nie mówiła nic, ale oczy miała otwarte i słuchała. Nie chciała pić, nie przełknęła ani kropli.

Vanda spojrzała na mnie.

– Dlatego właśnie opiekujemy się Trusią. Musimy. Tyle przeszła. To nasz obowiązek.

– I dlatego ona tak potrzebuje Stelli? – zapytałam.

– Stella trzyma ją przy życiu. Tak mi się wydaje. Trusia przelała na nią miłość do własnych dzieci.

Kiedy Vanda raz wróciła po zmianie bandażu, myślała, że Trusia umarła, bo leżała całkiem bezwładnie. Vanda wzięła ją za rękę, aby znów poczuła ziemię pod sobą. Trusia nie chciała jej puścić.

Tydzień później Eugenię zwolnili, ale dalej przychodziła pod okno, by przynieść Vandzie i innym „królikom” jedzenie z bloku. Jarmila zmarła na ich oczach. Dostała szczękoscisku, a pielęgniarka zrobiła jej zastrzyk w serce, żeby „nie cierpiała”.

Eugenia przyniosła wiadomość, że podobno strażniczki chcą zniszczyć dowody eksperymentów. Ostrzegła Vandę, że trzeba zachować czujność. Tej samej nocy Vanda obudziła się nagle. Stała nad nią pielęgniarka ze strzykawką.

– Nie jestem zwierzęciem do eksperymentów! Nie jestem zwierzęciem! – zaczęła wołać Vanda. Jej krzyki obudziły Trusię, a rano tylko one dwie jeszcze żyły.

Eugenia wymyśliła, jak stamtąd uciec. Trusia nie była w stanie chodzić.

Vanda miała trochę więcej szczęścia, mogła utrzymać się na nogach. W takim miejscu kaleka jest skazany na pewną śmierć.

Eugenia znalazła gdzieś krzesło. Posadziły na nim Trusię, przywiązały ją prześcieradłem i przeniosły z rewiru do bloku, na oczach strażniczek, które śmiały się z nich: dwie kulawe kobiety, ledwie powłóczące zagipsowanymi nogami, niosą niemowę na krześle.

Chęć buntu dawała im siłę. Zawzięły się, że uratują Trusię. Vanda wiedziała, że nie może jej zostawić.

Wkrótce zjawily się kolejne kobiety, ich pomocne dłonie podtrzymały krzesło, a „króliki” dotarły w bezpieczne miejsce.

Zrobiły prycze w starej ubikacji, a Eugenia zaszyła ranę na nodze Trusi, precyzyjnie, tak jak zawsze. Vanda miała, zdaje się, rany postrzałowe: czarne dziury po obu stronach łydek, sińce aż do kolana.

Pokazała mi blizny po tej ranie. Nogi były zdeformowane, skóra wciąż jeszcze jasnoczerwona, lśniąca, nowa.

– Nie wolno nam umrzeć, jesteśmy jedynymi świadkami.

Miriam przypomina sobie pola zakreślone na czerwono, rysunek sporządzony przez lekarkę w szpitalu. Ja też mam blizny, myśli, ale moje jeszcze mniej widać i jeszcze trudniej w nie uwierzyć.

Czy Vandę ktoś znał, czy ktoś o niej pamięta? Raczej nie; smutno o tym pomyśleć.

Miriam idzie do gabinetu ojca, bierze kilka wiecznych piór i trochę papieru. Księgi rachunkowe chowa z powrotem do szuflady biurka, książki i dokumenty układa w jednym miejscu. Teraz ma czas, bo czeka: albo ojciec umrze, albo Axel znów ją dopadnie. Stara się nie myśleć o tym, co będzie pierwsze.

Wybiera piszące pióro i przebiega wzrokiem po linijkach listu. Ręce drżą jej tak mocno, że robią się kleksy. Gdy stawia pióro na papierze, stalówka ugina się lekko pod ciężarem dłoni. Palce przestają dygotać. Są spokojne. Miriam śledzi ich pracę jak urzeczona. Pióro sunie po papierze, zapisując na nowo każde słowo wypowiedziane przez Vandę.

Ogarnia ją głęboki spokój, uciszają się rozbiegane myśli.

List, przeczytany po raz drugi i przepisany w całości na czystą kartkę, jest przejrzysty, piękny w każdej literze. Tak chyba miał wyglądać w zamyśle autorki. Eva odrestaurowała listy pisane po francusku; Miriam postanawia zająć się renowacją tych niemieckich.

Tak właśnie Frieda musiała je sobie wyobrażać. Tak chciałyby je pisać, zamiast upychać słowa tam, gdzie zawsze brakuje miejsca, aby pomieścić myśli. Miłość i rozpacz wprost wylewają się z tych kartek.

„Mężczyzna musi dostać to, co chce, bo inaczej sam weźmie wszystko, czego mu potrzeba”. Rada Dagmar, pielęgniarki ze szpitala, powraca echem w jej pamięci. Miriam czuje się głupio; zachowała się jak marudne dziecko, mówiąc o Axelu lekarzom i policji. „Króliki” się nie skarżyły, a gorsze rzeczy im robili.

To był tylko seks, myśli, a ja od razu poleciałam z płaczem na policję. Może Dagmar miała rację: Axel narzucił mi swoje potrzeby, bo pozwoliłam mu na to swoim zachowaniem. Zasłużyłam sobie, kolejny raz. Żaden policjant chyba jeszcze nigdy nie słyszał tak żalosego biadolenia.

Zabiera się z powrotem do przepisywania listów. Wstydy się swojego postępowania. To całkiem nowe uczucie, dokuczliwe niczym swędząca wysypka: wstydy się nie tego, co ktoś zrobił tobie, ale tego, co sama sobie zrobiłaś. Gdy słowa Vandy zaistnieją ponownie, przerywa pisanie, aby zadzwonić do szpitala.

Ojciec jest w stabilnym stanie, już nie trzeba podawać mu tlenu. Miriam wzdycha z radości, lecz szybko się mityguje. Jakby coś ją jednocześnie pociągało i odpychało. Szpital. A jeśli Axel znowu się tam zjawi? A jeśli jeszcze gorzej ją skrzywdzi? Z wiru pamięci na powierzchnię wydobywa się to „gorzej”, przecież zaznała tego na własnej skórze. Wraca do listów, przepisuje je gorliwie, w zapamiętaniu.

Kiedy nie może już utrzymać pióra w obolałych dłoniach, zbiera przepisane listy – a jest ich wiele – zawija w ściereczkę i chowa do torebki. Potem wstaje i z braku czegoś lepszego do roboty idzie do gabinetu ojca. Zrzuciwszy marynarkę, rozciera ramiona, a następnie zaczyna zbierać i chować jego papiery, najpierw do teczek, a potem do biurka. Pracuje bez przerwy, aż pokazuje się podłoga, a na biurku zostaje już tylko kilka małych stert. Za fotelem leży jakaś książka, musiała tam wpaść. Odsuwa go na bok, żeby ją podnieść.

Yeats, wydanie oryginalne, po angielsku.

Kartkuje tomik. Złamany, poorany głębokimi zmarszczkami grzbiet. Otwiera na pierwszym lepszym wierszu; ze środka wypada kartka.

*Gdy zapadnie ciemność, jestem Twoim światłem.*

*Frieda*

Wiersz nosi tytuł *Drugie przyjście* i cały jest popodkreślany ołówkiem, a na marginesach aż gęsto od notatek zapisanych ręką ojca.

Miriam siada na fotelu, z tomikiem na kolanach, czyta utwór kilkakrotnie, a razem z nim tę kartkę.

Kartkę od Friedy.

Ojciec szukał jej; po tylu latach wciąż jej szukał. Miriam z wysiłkiem przełyka ślinę. Wygląda na to, że nigdy nie znalazł.

## MIRIAM

Wesołych świąt – mówi Eva, po czym zrzuca buty i kładzie na podłodze torbę pełną jedzenia. – Mam dla ciebie prezent.

– Już są święta?

– Dzisiaj Wigilia. – Eva ma na sobie czerwoną sukienkę i ciemnozielony sweter, a na nogach te same ciężkie buty co zwykle.

– Naprawdę? – Miriam idzie za nią do kuchni. Otwiera gazetę, którą Eva wyjęła ze swojej torby razem z kawą i warzywami, których jest całkiem sporo. *Dziś wieczorem kościół Zbawiciela otwiera podwoje, informuje nagłówek. Pierwsza po blisko trzydziestu latach msza odbędzie się o godzinie dwudziestej. Wszyscy są mile widziani.*

– Kościół. – Pokazuje gazetę Evie. – Dzisiaj ma być msza.

– Jesteś wierząca?

– Nie, ale moi rodzice brali tam ślub. A teraz, kiedy taty nie ma, chyba chciałabym się wybrać. – Wie, że Axel nigdy jej tam nie znajdzie.

– Może pójde z tobą?

Miriam spogląda na nią.

– Dobrze.

– Mam coś dla ciebie, proszę. – Eva kładzie na stoliku kopertę, po czym znów zagląda do szeleszczącej torby. – Zostało mi kilka, ale już prawie skończyłam. I jeszcze to. – Wręcza Miriam paczuszkę zawiniętą w różową bibułę. – Wesołych świąt.

Miriam odkleja taśmę z obu końców, rozwija opakowanie.

W środku jest apaszka w kolorach jesieni. Jeszcze nigdy nie miała w swoich poranionych dłoniach tak miękkiego materiału.

– Podoba ci się? – pyta Eva.

– Jest...

– Wiem, że te barwy są żywe, ale nie znoszę pastelowych odcieni, a poza tym, no cóż... Błede kolory słabo się kojarzą, wiesz, o co chodzi – śmieje się. – Pomyślałam sobie, że dobrze ci zrobi trochę koloru.

– Piękna. – Miriam gładzi palcami tkaninę.

– Idź się ubrać, a ja zrobię obiad... Zgodna?

Miriam spogląda po sobie. Dopiero teraz dociera do niej, że jest jeszcze w piżamie. Przeciąga się z uśmiechem.

Ubrana wraca do kuchni, gdzie wita ją bałagan, w którym biorą udział pomidory, rondle, noże i wielka zielona eksplozja brokułów; na blacie nie ma już ani skrawka wolnego miejsca. Miriam bierze z deski do krojenia kawałek marchewki i zaczyna chrupać.

– Mama by się wściekła, gdyby zobaczyła swoją kuchnię w takim stanie. – Kręci głową.

– Posprzątam, obiecuję.

– Nie, to nie była krytyka, po prostu... mnie to nie przeszkadza.

– Uwielbiam gotować, więc dla mnie to czysta przyjemność. Mieszkam sama i na co dzień nie chce mi się starać, ale miło zrobić coś dla kogoś. – Eva otwiera szuflady, szukając łyżki. Miriam pokazuje jej, gdzie leżą sztucce. – No, a do tego są święta!

– Mogę zapytać, od jak dawna mieszkasz sama?

– Mój mąż zmarł pięć lat temu.

– Masz dzieci?

– Mąż miał dwie córki z poprzedniego związku. Renke – znasz jej syna, Jensa – i Clothilde... – Eva przełyka z wysiłkiem. – Mam trójkę wnuków.

– Jesteś blisko z waszymi córkami?

– No cóż, jak już mówiłam, Renke uciekła z Jensem na Zachód, więc trudno było utrzymywać kontakt przez te wszystkie lata. A Clothilde... – Eva nagle zmienia temat. – Co z twoim tatą? Przewieźli go?

– Nie dotarł do hospicjum. Jest chory, leży w szpitalu.

– Och nie. Bardzo mi przykro. Co się stało?

– Zapalenie płuc. Byłam u niego wczoraj, jest stabilny. Chciałabym jednak, aby odnalazł spokój. Muszę doprowadzić tę sprawę do końca, ustalić, co stało się z Friedą.

Siedzą w jadalni, a na drugim końcu stołu leżą listy. Deszcz postukuje w okno. Jedzą w milczeniu. Myśli Miriam gonią jedna drugą, ale szybko się okazuje, że

jedzenie je uspokaja, więc koncentruje się na posiłku.

– Wina? – proponuje Eva, nalewając sobie pół kieliszka.

– Nie, dziękuję, to chyba... nie jest najlepszy pomysł.

– Bo tamci sobie coś pomyślą? – Eva wskazuje głową drzwi.

– Tak, kiedyś się trochę napiłam, no, może więcej niż trochę, a tata zachorował, więc teraz to ma być dowód, że jestem niezrównowazona. A Axel... jemu w to graj. Tylko na to czeka.

– Pieprzyć ich wszystkich.

Miriam parska śmiechem, zaskoczona swoim rozbawieniem. A może tylko dosadnym słowem Ewy? Tego nie wie, ale śmieje się jeszcze głośniej.

– No co? – dziwi się Eva.

Miriam śmieje się już na całego.

W końcu talerze są puste. Miriam wstaje od stołu.

– To było pyszne, dziękuję ci, Evo. Miło zjeść z kimś obiad. Zawsze jem sama.

Zbiera talerze ze stołu i razem wracają do kuchni.

– Zawsze?

– Tak. Kiedy byłam z Axelem, z nerwów nie mogłam nic przełknąć, więc jadłam, zanim wrócił do domu albo wieczorem, kiedy wychodził.

– Twój mąż to chyba jakiś domowy tyran – zauważa Eva. – To, co mówiłaś ostatnio...

– Nie słuchaj mnie, proszę. Dramatyzowałam.

– Nie sądzę. Wiesz, pomyślałam...

– Proszę, przestań. Nie dzisiaj. Nie jestem w stanie o tym rozmawiać. – Zjedzony obiad gęstnieje w żołądku.

– Dobrze – zgadza się Eva. – W sumie co ja o tobie wiem? Że byłaś z Axelem i niewiele więcej. Opowiedz mi, jaki był twój ojciec.

Miriam uśmiecha się i o tym opowiada szczerze, bez cenzurowania.

– Mądry. Miał rozum, w najlepszym znaczeniu tego słowa. Nie mówię tylko o inteligencji, ale też o tym, że znał swoje serce i był uczciwy. Kochałam go bardzo.

Eva krztusi się, zaskoczona.

– Powiedziałam to w czasie przeszłym – reflektuje się Miriam.

– Tak.

– Kocham mojego ojca – poprawia się, odetchnąwszy głęboko. – Ale mam tylko wspomnienia z czasów, kiedy byłam kimś innym, a teraz dowiedziałam się, że on był... tam i te wspomnienia nie są już takie same. – Wzdycha. – Już tak dawno z nim nie rozmawiałam.



– Z tego co widzę, miałaś wiele demonów, z którymi musiałaś walczyć. Twój ojciec wie o tym.

– Przegapiłam tyle rzeczy...

– Rozwiedziesz się z Axelem? – Eva odkręca wodę w zlewie.

– To chyba nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Wpadnie w szal. On jest straszny nawet, kiedy milczy, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

– A może być groźny?

– Tak. Wmawia mi, że jestem umyślowo chora, i problem w tym, że wszyscy mu wierzą. Przez te jego kłamstwa nie byłam nawet na pogrzebie mamy. Przyjechałam tylko na stypę.

– Skąd wiesz, że kłamał?

– Wiem i już. To było trzy lata temu. A kiedy teraz dowiedziałam się, że tata jest w szpitalu... Nie mogłam pozwolić, żeby to się powtórzyło. Mama miała jego, ale on nie ma nikogo.

– Bardzo go kochasz – mówi Eva poważnym tonem. – A przyjazd tutaj wymagał odwagi.

– Nie. Żyłam z Axelem ponad dwadzieścia lat, jestem głupia, bardzo głupia. Wierzyłam mu. Dopiero teraz widzę, że kłamie, ale łatwo dać się w to wciągnąć z powrotem. A im bardziej będę mu się opierać, tym on będzie dla mnie gorszy.

– Dlatego nie myślisz o rozwodzie?

– Tak. Jeśli podejmę tę walkę, rozpęta się piekło.

– A jak jest teraz? – Eva odwraca się od zlewu. Ręce ma w pianie aż po same łokcie.

– To znaczy? – Miriam bierze ścierkę i wyciera ociekające wodą naczynia.

– Ludzie wierzą tobie czy jemu?

– Jemu. Zawsze jemu. Ty też byś mu uwierzyła, gdybyś go spotkała.

– Nigdy. Przejrzałabym go. Takiego faceta? Od razu.

– Zamierzam trzymać się od niego z daleka.

– Mogłabyś jakoś się obronić?

Miriam nie odpowiada. Pracują w milczeniu, sprzątają kuchnię, pełna spokoju cisza łączy w sobie samotność i towarzystwo.

– Dzwonimy po taksówkę? – pyta Eva. – Chciałaś jechać do kościoła.

– Aha, tak, zapomniałabym. – Miriam zaczyna się szybko ogarniać.

– Mam samochód, ale...

– Jens mówił, że się zepsuł.

– Tak, wciąż go jeszcze nie naprawili. W warsztacie mówią, że przed Nowym Rokiem nawet nie zaczną.

– Przykro mi.

– Mnie też, bo muszę jeździć komunikacją miejską. – Eva się krzywi.

Miriam uśmiecha się i podnosi słuchawkę, żeby zamówić taksówkę.

Wysiadają przed samym murem. Dookoła widać ludzi idących pod rękę, ale jak się dostać do kościoła – nie wiadomo. Zapłaciwszy taksówkarzowi, ruszają w ślad za jedną z par i tak docierają do miejsca, gdzie z muru usunięto cały betonowy blok.

Miriam idzie powoli, ostrożnie stawiając kroki.

– Dobrze się czujesz? – pyta Eva, zarumieniona od chłodu. Palce ma posiniąle, błyszczące. Rozciera dłonie, jakby smarowała je maścią.

– Miałam wczoraj przejście z Axelem i trochę mnie jeszcze boli. Nie zatrzymujmy się, zimno.

Z pochylonymi głowami przemykają się pod metalowymi prętami podtrzymującymi mur. Tutaj zaczyna się „pas śmierci”.

– Upiorne miejsce – mówi Miriam do Ewy.

– Wiesz, kiedy go zbudowali, co noc śniło mi się, że tędy idę. Nienawidzę murów, drzwi, wszystkiego, co może mnie uwięzić.

Miriam spogląda na nią. Piasek, kiedyś idealnie gładki, teraz jest zryty śladami wielu stóp. Rozplątawszy powikłane myśli, próbuje wymyślić jakieś słowa.

– W innym życiu mieszkałabym nad morzem. Tyle tam przestrzeni. – Eva odzywa się pierwsza. – Za murem jej nie ma, każdego dnia człowiek ogląda się za siebie i wciąż tylko czeka... – Zdanie urywa się, zasupłane. Miriam spogląda na zegarek, korzystając z jasnego światła padającego z góry.

– Przychodziłam tutaj z tatą – mówi, wskazując kościelną dzwonnice. – Jest jeszcze sporo czasu, wejdźmy tam.

Na górę prowadzą spiralne schody. Stukot kroków na kamiennych stopniach wibruje w powietrzu, woda cieknie nie wiadomo skąd, a okna, przez które widać było rzekę, są zabite deskami.

– Strasznie tu ciemno. Uważaj, jak idziesz. – Słyszac załamujące się echa własnego głosu, Miriam czuje dreszcz biegnący po karku.

– Dla starych stawów takie schody to katorga.

Miriam uśmiecha się pod nosem.

– Zobaczysz, że warto... Chodź. – Sama słyszy, jak mdło to zabrzmiało.

Na górze jest barierka. Widać stąd rzekę, a wszędzie leży pełno niedopałków i butelek po piwie. Mroźne powietrze ucisza wodę, rzeka i niebo stapiają się z ciemnością.

Miriam wsłuchuje się w ciszę, a spojrzawszy na Evę, dostrzega łzy na jej twarzy.

– Coś się stało?

– Bardzo mnie boli to, co powiedziałaś w domu. – Eva przyciska pięść do brzucha.

– A co powiedziałam? – Nie wiedząc, jak zareagować, Miriam odwraca się z powrotem, wygląda na zewnątrz.

– Odeszłaś od Axela, tak?

Potwierdza skinieniem głowy.

– Więc czemu się z nim nie rozwiedziesz? Nie będzie już mógł mówić ani robić tego, co teraz. Chociaż odeszłaś, on dalej cię łamie.

Słowa Evy wstrząsają jej myślami, ale zaprzęta ją co innego: wysokość.

*Czy to by było tak, jakbym leciała?*

– Nie mogę – odpowiada, rozmarzona.

*Czy wiatr będzie mnie smagać, czy całować?*

Eva coś mówi, ale jej głos brzmi brzękliwie, jak z puszki, gubi się w przestrzeni. Słowa nikną w oddali, punkciki maleńkie jak czubek szpilki.

*Jest tylko ta chwila i oprócz niej nic nie ma.*

*Polecieć, spaść.*

*Koniec.*

Pochyliła się w przód, oparta mocno na rękach.

– Miriam! – Wołanie Evy stawia ją z powrotem na całych stopach, rozluźnia zaciśnięte palce. Ogląda się na swoją towarzyszkę. Eva dygocze i ściska poręcz tak mocno, że kostki dłoni ma białe jak śnieg.

Miriam nagle uświadamia sobie, jak strasznie daleko jest stąd do ziemi. Jedno spojrzenie w dół każe jej się cofnąć, oddalić od Evy.

Od krawędzi.

Potrząsnąwszy głową, odwraca się w stronę, gdzie dawniej wisiał dzwon. Dzwonu nie ma. Coś ją kłuje pod powiekami, czuje się zdezorientowana. Znad ramienia Evy wyziera biały skrawek księżycy.

– Jesteś mężczyzną czy myszą? – pyta jej towarzyszka.

– Ani tym, ani tym... – odpowiada Miriam ostrożnie.

– Właśnie. Jesteś kobietą. A Bóg jeden wie, że nie ma na tym świecie większej siły niż kobieta. Tchórzysz jak mężczyzna, uciekasz i chowasz się jak mała... –

przebiera palcami na kształt dwóch drepających łapek, a w świetle księżyca jej dłoń biegnie za cieniem tego gestu – ...myszka.

– Jesteś wolna. – Eva wymawia to słowo tak, że ulatuje w powietrze niczym wstążka dymu. – Axel nigdy się nie podda, a ty przegrasz i wrócisz do niego. – Odwraca się i rusza schodami w dół.

– Nie – zaprzecza Miriam. – Postawiłam mu się, ostatnio w szpitalu, zrobił mi krzywdę, a ja nawet zgłosiłam to na policję.

– Na policję... – prycha Eva, dźwięk niesie się głośnym echem, jakby fenig odbił się od ściany.

– A co miałam zrobić?

– Rozwiedź się z nim, bo inaczej będzie się tak tobą bawił bez końca, aż przestaniesz uciekać.

– Staram się, jak mogę – odpowiada Miriam. – Nie jest mi łatwo, a mówiąc szczerze, to wolałabym umrzeć zaraz po tacie, niż użerać się z tym wszystkim.

– Zamiast sama rozwiązać własne problemy, oglądasz się za kimś, kto cię wyręczy. Odeszłaś od niego – tu postąpiłaś jak kobieta – ale wrócisz.

– Nie. Nie wrócę.

– Wrócisz, jeśli nie weźmiesz sprawy w swoje ręce.

– A skąd ty tyle o tym wiesz? – pyta Miriam.

Zapada milczenie, odgłos wody ciekącej gdzieś w wieży przybiera na sile.

Eva podejmuje wątek.

– Myślisz jak on. Wykorzystuje cię, znęca się nad tobą, ale zostawił ci coś tutaj... – wskazuje głowę Miriam – ...i zapomniałaś, jak tego używać samodzielnie. – Dźga ją palcem w mostek. – A ja nie mogę... Nie mogę patrzeć, jak sobie to robisz. Basta. Przepraszam cię, Miriam, zwrócę ci wszystkie listy, których nie przetłumaczyłam. Nie mogę patrzeć, jak to się powtarza.

– Powtarza? – pyta Miriam, ale pustka bijąca z tych słów uderza ją prosto w pierś, budząc głuche echo. Podobne echo powtarza kroki oddalającej się Ewy, które brzmią coraz ciszej we wnętrzu wieży, aby wreszcie zamilknąć.

Miriam wygląda za barierkę, patrzy w dół, do samego końca. Stoi tam długi czas, zaciskając dłonie na poręczu.

Z całej siły.

## MIRIAM

Schodzi z dzwonnicy, ostrożnie stąpając po mokrych stopniach. Nie czuje zziębniętych nóg, lecz mimo to porusza się szybko. Zagląda wszędzie w poszukiwaniu Ewy, pospieszny oddech rwie się pomiędzy zbieleńcami od mrozu wargami. Kopuła kościoła niknie na tle nocnego nieba, ze środka dobiegają jakieś odgłosy. Przez szpary w drzwiach sączy się światło.

Dołącza do grupki ludzi, która właśnie wchodzi. W kościele czuć pustką, wilgocia i chłodem. Miriam siada w ławce niedaleko wyjścia, przygląda się potrząskanej posadzce z ceglanych i zielonych rombów. Podczas mszy jest całkiem nieobecna. Wstaje, kiedy wstają ludzie obok niej. Kiedy siadają z powrotem, ona też siada. Wychodzi z kościoła zaraz po nich. Sama.

Na ulicy zdecydowanym gestem zatrzymuje taksówkę. Ta nagła stanowczość jest dla niej równie ożywcza co przerażająca. Za oknami przesuwiają się berlińskie ulice: jasne światła latarni, radosna atmosfera, bary i kluby pękają w szwach, tętnią świątecznym tańcem.

Miriam wysiada pod ciemnym szpitalem, to już ostatnia godzina odwiedzin. W sali, gdzie leży ojciec, powietrze jest ciężkie od szumu warkoczących maszyn i stukotów w rurach od kaloryferów. Wyjąwszy zawiniątko z przepisanyh listami, siada przy ojcu. Całuje go w głowę i ściska za rękę. Z nosa wystaje mu rurka, wije się na policzku. Jest ogolony. Skórę ma miękką, pachnie świeżo, płynem dla niemowląt.

Skoro nie będzie już więcej listów od Ewy, Miriam postanawia podzielić się z ojcem tymi, które do tej pory dostała; on ma prawo wiedzieć. A jeśli Eva nie może jej dalej pomagać – znajdzie kogoś innego. Słowa Ewy dźwięczą w jej sercu wstydem niespełnionych oczekiwań.

– Jeśli tego nie zrobię, będę żałować do końca życia, ale cały czas stąpamy po niepewnym gruncie, tato. Mam nadzieję, że mnie słyszysz i wszystko rozumiesz.

To są listy od Friedy. – Odwija je z grubego papieru i zaczyna czytać od samego początku.

– *Żyję. Tak mi się w każdym razie wydaje...*

Długo czyta list za listem. Po policzku ojca toczy się łza. Ociera ją chusteczką.

# HEINRICH

Miriam czyta mi listy. Staram się skupić, usłyszeć, co mówi. Czas nie utyka już niemrawo, zaczyna płynąć i wkrótce mknie jak strzała. Teraz wiem, że mam po co żyć.

W 1946 roku wprowadziliśmy się z powrotem do naszego dawnego mieszkania. Tak chciała Emilie, abyśmy mieli pod ręką wszystkich znajomych, którzy nam zostali. Zrobiłbym wszystko, czego by sobie życzyła.

Pracowała w szpitalu i tak utrzymywała naszą rodzinę. Była szczęśliwa, a ja robiłem wszystko, aby nie zepsuć tego szczęścia.

Nigdy jednak nie zapomnę wyrazu jej twarzy, kiedy wróciłem do tego ciasnego mieszkania i do niej – od Friedy. Siedziała na fotelu, jej drobna sylwetka gubiła się w fałdach koców. Obiema dłońmi szarpała rąbek grubej tkaniny. Wszedłem, a ona uniosła głowę. Oczy miała zmrużone od zawodu i od żalu; jeśli był kiedyś moment, gdy marzyłem o tym, aby ziemia się rozstała, abym zniknął z jej życia i z życia Friedy – to właśnie wtedy. O to prosiłem Boga, w którego nie wierzyłem.

Po powrocie do starego mieszkania wciąż miała żal wypisany na twarzy, wszystko, czego dotykaliśmy, było naznaczone wspomnieniem o Friedzie, a ja pragnąłem odzyskać to, co straciłem.

Emilie potrafiła godzinami unikać mnie wzrokiem. Nigdy nie poprosiłbym jej o wybaczenie, ale robiłem wszystko, aby jej życie wyglądało tak, jak tego zawsze pragnęła. Mieliśmy Miriam i to zmieniało wszystko.

Przez piętnaście lat siedziałem w domu i opiekowałem się moją córką, nie mogąc się nadziwić jej niesamowitym postępowi, intuicji oraz inwencji. Cały ten

czas uciekł jak z bicza strzelił, choć pamiętam, że dni były długie.

Odprowadzałem ją do szkoły i przystawałem pod niebieską bramą, aby popatrzeć, jak rozmawia ze znajomymi. Bardzo ich lubiłem. Gromadka dziewcząt i chłopców, jak kolorowe kwiaty rosnące na jednym klombie, jak niekończąca się wiosna; byłem zaszczycony, że mogę oglądać ich rozkwit. Pytali mnie o życie, czasem o miłość, chętnie pomagałem im też odrabiać prace domowe z angielskiego i francuskiego.

Pewnego dnia, kiedy właśnie wychodziłem ze szkoły, zatrzymał mnie jeden z nauczycieli. Zналиśmy się z widzenia: wiedział, że jestem tatą Miriam. Zaprosił mnie do swojego gabinetu.

– Miriam mówiła, że był pan nauczycielem. A może wciąż pan uczy?

– Owszem, kiedyś uczyłem. – Natychmiast obudziła się we mnie czujność. To ciasne pomieszczenie było jak więzienna cela. Trzymałem w dłoniach filiżankę gorącej, mdłej w smaku herbaty i zapadałem się coraz głębiej w fotel, a pod nogawkami zarysowały się moje kościste kolana.

– Miriam to wyjątkowa uczennica.

– Dziękuję panu, jestem z niej bardzo dumny.

– Ma się rozumieć, miałyby lepsze wyniki, gdyby trochę mniej mówiła. – Zaśmiał się. Jego biurko było zasypane gazetami, czasopismami i książkami. Na drzwiach widniało nazwisko Blundell. Był, zdaje się, wychowawcą klasy mojej córki, możliwe jednak, że dowiedziałem się o tym później.

Czas wypełnia luki w pamięci tym, co nam się wydaje, nie zaś tym, co naprawdę się wydarzyło.

– Jest bardzo podobna do swojej mamy – zgodziłem się, bo Miriam była tak żywą istotką, że każdego dnia, gdy zbliżał się wieczór, nie mogłem już się doczekać, aż usiądę w pustym pokoju, a on na nowo wypełni się ciszą wygnaną przez matkę i córkę, które zawsze miały coś do powiedzenia.

– Ja mam w domu trzy nastolatki – powiedział Herr Blundell. – Taki ze mnie rodzynek. Bywa ciężko, zapewniam!

– Wyobrażam sobie.

– Często zwałamy winę na hormony.

– Kobiety nie mają łatwo.

– A proszę powiedzieć, czy ma pan teraz jakąś pracę?

– Nie, opiekuję się Miriam – wyjaśniłem i dodałem: – Kiedyś byłem wykładowcą uniwersyteckim.

I szybko pożałowałem swoich słów, widząc, jak zmienia się wyraz jego twarzy.



– Jestem pod wrażeniem. Publikował pan? – Herr Blundell zdjął z biurka książki i czasopisma, a gdy położył je na podłodze, ukazało się krzesło, którego wcześniej jakby tam nie było. Usiadł na nim.

– Owszem – przytaknąłem. – W każdym razie przez jakiś czas.

– Czy byłby pan zainteresowany posadą? – zapytał prosto z mostu.

– Nie, raczej nie. Chyba nie dałbym rady, szczerze powiedziawszy.

– Zdrowie już nie to?

– Powiedzmy – mruknąłem, stawiając niewypitą herbatę na stosie magazynów i usiłując wstać. – Muszę już iść.

– Może to panu pomoże, jeśli powiem, że ja też tam byłem?

– Gdzie? – Dzięki temu pytaniu zyskałem czas, aby wygrzebać się z fotela, co kosztowało mnie sporo wysiłku, i nie zapaść w niego z powrotem.

– Najpierw w Buchenwaldzie – odparł. To było jak pięść wbita prosto w brzuch. Osunąłem się bez tchu na siedzenie. – Potem w Auschwitz-Birkenau. – Rozpiął kołnierzyk i trzy najwyższe guziki koszuli, po czym, odsunąwszy krawat na bok, odsłonił fragment torsu, gdzie widniała litera, a za nią – pięć cyfr. Taki sam znak miałem na nadgarstku.

– Tutaj mnie podpisali, sukinsyny. – Dźgnął się palcem w pierś.

– Dlaczego?

– Bo się stawiałem – odparł, zapinając koszulę i poprawiając krawat, tak że znów wyglądał całkiem zwyczajnie. – W tej szkole jest jak w rodzinie. Gdyby zechciał pan tutaj uczyć, przyjmujemy pana z otwartymi ramionami.

– Czy Miriam... To znaczy, czy uczniowie wiedzą, że był pan... tam? – zapytałem, robiąc gest w stronę jego torsu.

– Nie. Uczę historii, ale nie własnej. Moją rolą jest przekazać nowemu pokoleniu wiedzę, aby umiało to zrozumieć i nie dopuściło, by coś takiego się powtórzyło.

– Ludzie rzadko o tym mówią – powiedziałem, gdy w końcu podniosłem się z fotela i wyprostowałem na całą wysokość.

– Wiem, ale nie wstydzę się przyznać do tego. Wie pan, czemu?

Potrząsnąłem głową.

– Bo to nie była moja wina. Ani pańska, jeśli się nie mylę.

– Chyba jednak się pan myli – odparłem, wychodząc. Serce waliło mi tak mocno, że po kilku krokach straciłem czucie w stopach. Byłem przesiąknięty zapachem belferskiego gabinetu, a w uszach dudniły mi słowa tego człowieka: „Stawiałem się”.

# MIRIAM

Po powrocie do domu Miriam od razu zasiada nad stosem listów, tych po niemiecku. Bierze w palce jedną kartkę, maleńką, włącza światło i zabiera się do czytania. Nie wie, czym się różnią listy po niemiecku od tych po francusku. Co może jej umknąć, jeśli Eva przestanie tłumaczyć?

*Zapytałam Wandę, czy chce dostać kawałek papieru, żeby napisać do rodziny, ale odparła, że nie ma do kogo pisać. Jej rodzina jeszcze przed wojną rozjechała się w cztery strony świata. Miała czworo dzieci i szóstkę wnuków. Z jej opowieści wyłania się obraz sielskiego życia. Ma pięćdziesiąt sześć lat.*

*Jesteśmy teraz jej jedyną rodziną.*

*A ona matkuje nam wszystkim. Oczyma duszy widzę ją w fartuchu, przy kuchennym piecu, otuloną zapachem świeżego, ciepłego jeszcze ciasta. Tak samo muszą pamiętać ją jej dzieci i wnuki, ta gromadka, która kiedyś kręciła się po kuchni, czekając, aż wyjęte z pieca przysmaki ostygną i będzie można je zjeść. Straciła ich wszystkich. Siedzi na swojej pryczy i troszczy się o nas.*

*Vanda wzięła nas pod swoje skrzydła i wciąż ma jeszcze tyle ciała, że w jej ramionach człowiek czuje się jak w domu. Przy Tobie też tak się czułam. Vanda jest spoiwem, które nie pozwala mi rozpaść się na kawałki, dzięki niej przyszłość maluje się w jaśniejszych barwach.*

Miriam czyta ten list jeszcze raz. Jeśli Vanda umarła, to czy ktoś się o tym dowiedział? Czy ktoś opowiedział komuś o niej, zapamiętał imiona jej dzieci?

Zniszczyć rodzinę to jak wykarczować drzewo: nic nie przetrwa, gdy zabraknie korzeni.

Ja przynajmniej miałam życie, myśli Miriam, odkładając kartkę na stół. Życie. To słowo w żaden sposób nie pasuje do tego, co przeżyła. Jakie było to jej życie? Nie umie powiedzieć. Wie tylko, że gdy umrze, zostanie zapomniana, tak jak Vanda. Nie dokonała w życiu niczego, była tylko żoną Axela i córką rodziców, z których jedno nie żyje, a drugie umrze niedługo. Jest sierotą, a teraz straciła też przyjaciółkę. Rozumie, dlaczego Eva zostawiła ją w kościele, ona sama nie chciałaby przebywać w swoim towarzystwie. Jestem żałosna, myśli, tak jak lubił powtarzać mi Axel.

Boże Narodzenie w szpitalu ma w sobie tyle życia co plastikowy kwiatek miękący od powietrza skondensowanego przez gorące kaloryfery. Duchowy bezwład przesyca cały oddział. Na ścianach więdną pęki anielskiego włosia kupionego chyba jeszcze w poprzedniej dekadzie.

Miriam zjawia się z samego rana. Natychmiast zdejmuje ojcu z głowy kawałek żółtej serpentyny. Siadając obok łóżka, słyszy jego westchnienie, zdławione, lecz pełne radości. Całe odwiedziny upływają na czytaniu. W listach daje się zauważyć pewien porządek. Te po francusku, przepisane ręką Ewy, są osobiste, mówią o miłości; te po niemiecku opowiadają raczej o obozie i żyjących w nim kobietach.

Miriam czuje przypływ sympatii do Friedy, która chyba musiała bardzo dobrze znać jej ojca. Potem przypomina jej się, że Eva niedawno straciła męża, więc pewnie było jej trudno tłumaczyć cudze listy miłosne.

Do tej pory Eva była dla niej tylko tłumaczką. Pojawiła się w jej życiu, ale Miriam nie interesowało, czy odpowiada jej to zlecenie. Nie przyszło jej nawet do głowy, aby zapytać. Nie chciała się o niej niczego dowiedzieć, nie chciała zrozumieć. A przecież w tych listach jest tyle smutku. Miriam nie może sobie darować, że nie zatroszczyła się o kobietę, która była jej jedyną przyjaciółką.

Nagle ojciec ściska Miriam za rękę i obraca głowę, łowiąc uchem jej głos.

– Dziękuję – mówi. To świąteczny prezent dla niej. Słyszając jego głos, wie, że jeszcze tu jest... Gdzieś w pobliżu. Czyta mu listy, tak jak kiedyś wiersze, gdy miał ataki. Czyta, aby usłyszeć jego głos. To jedno „dziękuję” wystarczy, aby dodać jej otuchy.

Pielęgniarki podają mu leki i ojciec zapada w sen, pochrapuje miarowo. Miriam bierze do ręki kolejny list, pisany na arkuszu z nutami.

*Wróciła Hani. Po sterylizacji.*

*Skórę ma śliską od potu, lodowatą w dotyku. Nie było jej dwa tygodnie. Obficie krwawi.*

*Nie mówi, co jej zrobili. Po prostu wspina się na pryczę i wtula we mnie, jak zawsze. Leżymy tak całą noc. Ogrzewam ciałem jej plecy, potem obraca się na drugi bok. Wciąż jej zimno.*

*Staramy się ją podkarmić, pilnujemy, aby nie marzła. Stella śpiewa jej piosenki, głaszcząc po odrastających włosach. Ta dziewczynka ma w sobie coś magicznego. Przeniosła się na jakiś czas na naszą pryczę, mówiąc Trusi, że jedzie z Hani na wakacje nad morze. Opowiada nam wszystkim o mewach i spienionych falach.*

*– Patrzcie, tęcza. Widzicie?*

*I zanim znów zaczęła mówić, każda z nas musiała potwierdzić, że tak, widzi tę tęczę.*

*– Trusia, jesteśmy na wakacjach i mamy tutaj tęczę. Hani, powiedz, jakie kolory ma tęcza.*

*– Rood – mruknęła Hani.*

*– Czerwony – przetłumaczyłam.*

*– Wiem, piękna pani. Ja już teraz umiem po haniowemu.*

*Zaśmiałam się, Eugenia też. Vanda otarła oczy. Wszystkie zobaczyłyśmy tę tęczę.*

*– Czerwone się z nas wylewa i wtedy płaczemy. – Stella zaczęła trajkotać jak nakręcona, aż się zasapała. – Bat, psy, od tego wszystko robi się czerwone. Pomarańczowe jest słońce, które nie świeci już tak jasno jak kiedyś. Smuci się, bo ludzie są smutni. Żółty jest piasek, mam go w oczach, na rękach i na nogach. Piasek gryzie, gryzie wszędzie. Zielony widać bardzo rzadko, w uśmiechu i na zdjęciach. Piękna pani, ty masz zielone oczy, zielone i błyszczące. Trusia ma brązowe. Hani... Hani ma w oczach miłość, miłość kapie jej z oczu, kap, kap, dużo miłości.*

*I to jest prawda.*

*– Ja mam oczy niebieskie, tak mówią. Sama ich nie widzę.*

*– Zgadza się, Stello – powiedziała Eugenia. – Niebieskie jak najpiękniejsze szafiry, jak czyste niebo.*

*– Niebieskie powietrze smakuje solą, jeśli wieje wiatr. Jesteśmy nad morzem, morze jest głębokie, niebieskie i mokre. Hani, jaki kolor jest następny?*

*– Fiołek.*

*Stella zachichotała, powtarzając to raz po raz. Hani też parsknęła śmiechem i nagle atmosfera się rozluźniła.*

*– Mówi się: fiolet. Taki kolor mają sińce, kiedy czerwone nie wycieknie, tylko płacze w środku. Trusia jest cała jak siniec, ona też płacze w środku.*

*Trusia przytaknęła bez słowa.*

*– Ciociu, a gdzie w tęczy jest szary?*

*– W tęczy nie ma szarego, Stello – odpowiedziała Vanda.*

*– A właśnie, że jest. W tęczy są wszystkie kolory świata – oznajmiła dziewczynka, a potem zapytała Eugenię: – Gieniu, gdzie jest szary?*

*– Na samym dole, ledwie go widać, przechodzi w biel.*

*– Tutaj jest więcej szarego – powiedziała Stella. – Szare jest niebo, beton, druty, mundury. I ludzie, co umarli.*

*– Ale my nie jesteśmy tutaj, Stello, jesteśmy na wakacjach, na plaży – przypomniała jej Hani.*

*– Pani Winter? – Miła pielęgniarka w granatowym stroju zatrzymuje ją, gdy Miriam wychodzi już z oddziału. – Mogę prosić na słówko?*

*Prowadzi ją do służbowego pokoju i usiadłszy na kanapie, pokazuje miejsce obok siebie.*

*– Mam dobre wiadomości – zaczyna. – W środę albo czwartek będziemy już mogli przewieźć pani ojca do hospicjum. Antybiotyki działają i na pewno zauważyła pani rurkę w nosie, to jest żywienie dojelitowe, a w hospicjum może się nim też zająć fizjoterapeuta, żeby płuca się oczyściły. Jest dobrze. – Uśmiecha się. – Moim zdaniem widać, że ma po co żyć.*

*– To prawda – potwierdza Miriam. – Ma.*

*Dwa dni później, gdy wychodzi ze szpitala, pielęgniarki przekazują sobie zmianę. Idzie do wyjścia razem z nimi, a potem rusza cichą ulicą w stronę domu. Wokół nie ma nikogo. Żywej duszy. W pewnej chwili rzuca jej się w oczy tabliczka oświetlona blaskiem latarni. Tabliczka jest fioletowa. Fiołek, przypomina jej się.*

*Abendroth, Abendroth i partnerzy.*

*Białe litery po lewej stronie drzwi informują o zakresie usług:*

*Nieruchomości mieszkalne*

*Testamenty i odpisy uwierzytelnione*

*Sprawy rodzinne, małżeńskie, rozwodowe*

Miriam naciska klamkę, brzęczy dzwonek nad drzwiami, trzech mężczyźni unoszą głowy. Wychodzi po kilku godzinach, dźwigając pod pachą stos dokumentów wydrukowanych na śnieżnobiałym papierze. Dotarłszy do domu, kładzie go na brzegu stołu, ostrożnie, jak bombę.

Może jednak ona też ma po co żyć.

## HEINRICH

Oferta pracy w szkole dała mi motywację, aby się za czymś rozejrzeć. Szkoła, do której chodziła Miriam, była najlepsza w całym Berlinie, ale Emilie namówiła mnie, żebym spróbował na uniwersytecie. Byłem w końcu nauczycielem akademickim.

To był mój pierwszy dzień: w dłoni francuska książka, u nogi nowa teczka. Spoglądała na mnie grupka nieskazitelnie eleganckich młodych mężczyzn i kobiet. Nie zdzierżyłem. Dałem za wygraną, nie powiedziawszy ani słowa. Nie wróciłem już tam.

Kilka miesięcy później zacząłem pana Blundella na szkolnym dziedzińcu, kiedy Miriam poszła już na lekcje.

– Herr Blundell, prawda? – zapytałem.

– Herr Winter – przywitał się oficjalnie.

– Przepraszam, że ostatnim razem wyszedłem tak nagle. Z pewnością uznał mnie pan za gbura. Niestety, muszę przyznać, że wystraszył mnie pan i nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Nie szkodzi. Przyzwyczailem się już chyba do rozmów na ten temat.

– Pomylił się pan jednak. Nie wiem, co pan przeszedł. Nie mam pojęcia.

– W porządku, z dramatycznymi przeżyciami każdy radzi sobie inaczej. Powinienem być bardziej taktowny.

– Nie chodzi o takt – upierałem się. – Chciałem z panem porozmawiać, bo... Czy oferta pracy jest jeszcze aktualna?

– Oczywiście. Jestem Peter. – Podał mi rękę i już byliśmy po imieniu. Tak zostało do końca. Peter przeszedł na emeryturę. Niosłem trumnę na jego pogrzebie, a dwa miesiące później przyszło mi pełnić tę samą posługę w tym samym kościele, kiedy zmarła Emilie. Ja też pracowałem w szkole do emerytury i jakkolwiek by na to patrzeć, miałem pełne, szczęśliwe życie.

Ma się rozumieć, dopóki nie zacząłem myśleć o Friedzie.



# MIRIAM

Święta powoli się kończą. Miriam myśli o Evie, o wolności i o tym, jak żyć; jak przeżyć własne życie.

Tego dnia, kiedy ojciec ma zostać przewieziony do hospicjum, łyka cztery tabletki kodeiny i idzie prosto do pokoju mamy.

Przytłacza ją zapach wspomnień, ale wiedziona jakimś poczuciem celu, zabiera się do pakowania sukienek. Wyjmuje wszystkie po kolei, rozkłada na łóżku i segreguje. Trafiają na zbiórkę odzieży – są w doskonałym stanie i szkoda, żeby wisały w szafie do skończenia świata.

Kiedy garderoba jest już całkiem pusta, a pudełka z butami poustawiane dookoła na podłodze, Miriam otwiera szufladę. W środku są jedwabne rękawiczki. Gładka tkanina przynosi cudowną ulgę podrażnionej, niespokojnej skórze; otumaniona opioidowym lekiem, Miriam nabiera niezachwianego przekonania, że już nigdy ich nie zdejmie.

W innej szufladzie znajduje fartuch mamy, złożony i uprasowany. Rozkłada go i wiesza na drzwiach do kuchni. Tam, gdzie powinien wisieć.

Połknąwszy jeszcze dwie tabletki – to już koniec opakowania – kładzie się do łóżka. Budzi ją dopiero pukanie do drzwi. Kodeina wciąż działa, a uczucie jest takie, jakby ktoś nakrył ją grubym, ciężkim pledem.

Coś jak przytulenie, tylko lepsze, bo się nie kończy. Miriam nie chce płoszyć tego uczucia, niech trwa jak najdłużej.

– Dzień dobry, Hildo.

– Mam kilka rzeczy do zabrania, ale mogę przyjść kiedy indziej.

– Proszę, wejdz. – Miriam zaprasza ją do środka, chociaż zdaje sobie sprawę, że trochę bełkocze.

Hilda uwija się jak w ukropie, wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

– Leki chyba działają, ojciec jest stabilny, w szpitalu miał fizjoterapię.

Miriam przygląda się, jak zręcznymi ruchami składa materac ciśnieniowy, jak zbiera różne medyczne drobiazgi, których w pokoju jest zatrzęsienie.

– Tata nie powinien być w szpitalu, zwłaszcza że jak ci już wiadomo, przeżył obóz koncentracyjny.

– Tak, wiem o tym. Och, Miriam, strasznie mi przykro. Gdybym mogła coś poradzić... – Hilda staje w miejscu.

– Mogłaś mnie poprzeć na spotkaniu. Mogłaś powiedzieć, że tata musi zostać w domu. – Miriam ociera łzę toczącą się po policzku.

– Mizernie wyglądasz – zauważa Hilda.

– Owszem – zgadza się Miriam. – Mam rozumieć, że ostatni raz cię tu widzę? – pyta, a potem zatrzymuje Hildę, zanim pielęgniarka zdąży wyjść do przedpokoju. Robi tak, bo nie chce zostać sama. – Zadzwoiłaś do Axela – mówi.

– To on zadzwonił do mnie. Powiedział, że pogodziliście się po tym spotkaniu, i poprosił, żebym ci przekazała wiadomość.

– Znalazł mnie w szpitalu – Miriam starannie dobiera następne słowa. – Napadł mnie. Rozmawiałam z policją i...

Hilda przygląda jej się z rezerwą.

– Policja zakwalifikowała to jako napaść na tle seksualnym – wymawia to określenie ostrożnie, na próbę, i pąsowieje.

– Ja tylko... – Hilda chce coś powiedzieć, ale Miriam nie pozwala jej dokończyć. Mówi dalej, powoli, metodycznie cedząc słowa.

– Ufam ludziom, ale wszyscy wierzą Axelowi. Jemu, nie mnie. On mnie krzywdził i wciąż mnie krzywdzi, a nikogo to nie obchodzi. Nie jestem wariatką. Powiedziałam wszystko na policji. Doktor Baum nie ma racji.

– Problem w tym – przerywa jej Hilda – że masz udokumentowaną historię psychoz, epizodów paranoi i samookaleczania. – Spogląda znacząco na dłonie Miriam, schowane pod białym jedwabiem. – Natomiast twój mąż figurował w dokumentach jako twój prawny opiekun. Kiedy odeszłaś od niego i zniknęłaś z Wolfsburga, twoje nazwisko trafiło do rejestru osób poszukiwanych. Wszystko było w twoich papierach. Powinnam sprawdzić.

– To od początku do końca nieprawda, Hildo. Nie możesz mieć sobie nic do zarzucenia. Pomogłaś mi opiekować się chorym ojcem. Naprawić to, co napsułam. Nie jestem chora psychicznie. Udowodnię to każdemu, kto zechce mnie wysłuchać. Przykro mi.

– Mogę cię o coś zapytać? Dlaczego, twoim zdaniem, Axel robi takie rzeczy? Bo ja chcę ci uwierzyć, naprawdę, ale to nie ma najmniejszego sensu. Po co on

miałby zadawać sobie tyle trudu? Jaki ma w tym cel?

– Sama chciałabym wiedzieć.

– Co teraz zrobisz?

– Eva mówi, że powinnam się z nim rozwieść, ale jeszcze nic nie postanowiłam. Pewnie będę po prostu trzymać się od niego z daleka.

– Kto to jest Eva? – pyta Hilda, a Miriam uświadamia sobie, że nie umie odpowiedzieć, bo nie ma pojęcia.

– Znajoma – wyjaśnia wymijająco.

– A co z tym listem z pasiaka? Dowiedziałaś się czegoś?

– Nie. Nie. I raczej nic z tego nie będzie. Ja chyba... – Miriam ociera twarz dłonią w jedwabnej rękawiczce, która zachowała jeszcze ulotny zapach aloesowego kremu Atrixo mamy. – Chyba się pogubiłam. Nic już nie wiem.

– Nie uważasz, że potrzebujesz pomocy? Nie mówię o leczeniu – zastrzega się.

– Raczej o rozmowie z kimś, komu mogłabyś zaufać, zwierzyć się nawet?

– Do Axela nie wrócę. Nie mogę. To, jak on mnie traktuje... To jest straszne, Hildo.

Szczere wyznanie tchnie czystą prawdą; Miriam czuje się lepiej, zamęt w jej głowie ustępuje.

– To straszny człowiek – powtarza.

– Ale oprócz niego masz chyba kogoś, komu możesz zaufać? A ta Eva?

– Ona sama nikomu nie ufa – ucina z rozdrażnieniem Miriam i od razu w myślach odpowiada sobie cicho: Ale mnie zaufała. I dodaje, gniewnie unosząc głos: – A ja ufałam tobie i co? Zadzwońska do Axela!

– To on zadzwonił do mnie – poprawia ją jeszcze raz Hilda. – Przepraszam cię, Miriam. Naprawdę bardzo mi przykro.

Odwraca się i wychodzi.

Miriam zostaje sama i trochę przejaśnia się jej w głowie. Wraca do stołu, na którym leżą listy. Bierze jeden do ręki i zaraz odkłada. Krąży po domu, szukając spójnych myśli. Z niepokojem wspomina swoje gniewne słowa. To wszystko się skończy, już niedługo. Zabrakło Evy, a wkrótce skończą się listy i zabraknie też ojca. Ale Axel... On będzie zawsze.

Mając w myślach słowa Evy, a w sercu głos Friedy, wypełnia dokumenty, które dostała w kancelarii adwokackiej.

Włącza radio i sprawdziwszy zamki w drzwiach – kilka razy, bo nie ma do siebie zaufania – siada i bierze w palce list na cienkiej, rozpadającej się kartce, po

brzegach niemalże całkiem brązowej. Do listu dołączone jest tłumaczenie wykonane przez Evę.

*Heinrichu,*

*powróciłam do światła. Mówią, że podobno minęło dwadzieścia pięć dni. Jak kiedyś tuliłam Hani, tak teraz sama spoczywam w jej ramionach. Hani ma się już lepiej, próbuje mnie ogrzać, ale teraz już nic mnie nie rozgrzeje. Jestem bliska śmierci, bardzo bliska. Czuję to. Nie mogę już pisać, Hani i Eugenia czuwają przy mnie.*

*Kocham Cię*

Miriam czyta ten krótki list kilka razy. Poprzedni opowiadał o tęczy. Sprawdza numer – wszystko się zgadza. Sięga po następny, szukając tam wyjaśnienia.

Słyszając pukanie do drzwi, podrywa głowę, wystraszona. Otwiera i pewna, że to musi być Eva, unosi dłoń z listem na powitanie, ale nie: w progu stoją dwaj policjanci w nieskazitelnych niebieskich mundurach.

– Frau Voigt? Możemy wejść?

Miriam otwiera drzwi na całą szerokość, a list kładzie na gzymsie kominka. Policjanci roztaczają wokół siebie męski zapach, który kojarzy jej się z warsztatem: z kombinezonami i drewnem. Wchodzą, zdejmując płaskie czapki, a na jasnym dywanie pozostają odcisnięte ślady ich ciężkich butów.

– To jest funkcjonariusz Sperling, a ja nazywam się Niemann – mówi starszy. – Możemy usiąść?

Miriam prowadzi ich do jadalni, wskazuje dwa krzesła, a sama siada na trzecim, na samym brzeżku.

– Nasza koleżanka, funkcjonariuszka Müller, poinformowała nas o... – Starszy policjant wyciąga z kieszeni na piersi notes, przerzuca kilka stron, wyjmując spomiędzy nich długopis. – O napaści na panią. Dwudziestego trzeciego grudnia.

Miriam opuszcza wzrok, przygląda się swoim stopom w jedwabnych rajstopach.

– Dzisiaj rano rozmawialiśmy z Herr Voigtem. Są święta, a pani nie odbiera telefonu, więc pofatygowaliśmy się osobiście, jak za dawnych czasów. – Uśmiecha się, błyskając dużymi zębami. – Herr Voigt przedstawił nam diametralnie inną wersję wydarzeń.

– Nie wątpię – mówi Miriam.

– Czy mogłaby pani opisać własnymi słowami, co się stało?

– Muszę?

– Jeśli czuje się pani skrepowana, możemy poprosić o asystowanie policjantkę, ale z tym będziemy musieli poczekać do jutra.

Miriam kręci przecząco głową.

– Wystraszył mnie – zaczyna, przełknąwszy z wysiłkiem. Młodszy policjant, który do tej pory nie odezwał się ani słowem, też wyjmuje notes i zaczyna pisać, ołówek skrzypi na papierze. Funkcjonariusz Niemann mierzy ją wzrokiem. Miriam nie unosi głowy. – Wykręcił mi rękę i wepchnął w kąt, za stojącą szafkę. Porwał na mnie ubranie i zmusił, żebym się położyła na podłodze. Domyślą się panowie reszty? – pyta zaczerwieniona, spoglądając na młodszego z policjantów, tego, który notuje. Mężczyzna kiwa głową, nie patrząc na nią.

– Dziękujemy, Miriam – mówi funkcjonariusz Niemann. – Muszę jednak poinformować, że według zeznań pani męża miała pani zadzwonić do niego około godziny dziewiętnastej, prosząc, aby przyjechał do szpitala. Czy to prawda?

Miriam przełyka grudę olbrzymią jak góra, dotyka warg palcami w rękawiczkach.

– Pani mąż posiada wykaz połączeń, z którego wynika, że odebrał telefon z aparatu w tym mieszkaniu, a rozmowa trwała trzy minuty.

– Tak, dzwoniłam do niego. Chciałam się dowiedzieć, gdzie jest mój ojciec.

– Jak to?

– Ojciec miał być przewieziony do hospicjum, ale tam nie dotarł, zadzwoniłam więc do Axela, myśląc, że może wiedzieć, gdzie jest.

– Dlaczego pani tak myślała? W dokumentach jest napisane, że od miesiąca jesteście państwo w separacji. Czy Herr Voigt utrzymywał kontakt z pani ojcem?

– Nie. Mój ojciec umiera. Kiedy zaginął, uznałam, że Axel jest w to zamieszany, bo...

– Pani ojciec zaginął?

– Podczas jazdy karetką źle się poczuł i zamiast do hospicjum zawieziono go do szpitala.

– A personel medyczny nie poinformował pani o tym. Czy próbowała pani dzwonić do jednej albo drugiej placówki?

– Tak, a kiedy dowiedziałam się, że trafił do szpitala, pojechałam tam od razu.

– Informowała pani o tym męża?

– Nie.

– Skąd zatem wiedział, gdzie panią znaleźć?

– Od Hildy, pielęgniarki mojego ojca.  
– Mąż twierdzi, że prosiła go pani, aby tam przyjechał.  
– Prosiłam go o to? – Miriam zaczyna się zastanawiać, co właściwie mówiła wtedy przez telefon. Pamięta, że ścisnęła mocno słuchawkę, pamięta, że słyszała, jak Axel uśmiecha się zjadliwie. Potrząsa głową. – Nie zrobiłabym tego. Na pewno nie.

– Herr Voigt mówił nam też, że lubicie państwo, jak się wyraził, „seksualną pikanterię”.

Miriam opada na oparcie krzesła, jak trafiona piorunem.

– Czasem ma się to odbywać w miejscach publicznych i podobno zdarza się, że jest... – Policjant zagląda do notesu. – Ostro. Herr Voigt nie zaprzeczył, że doszło do zbliżenia, ale twierdzi, że wyraziła pani pełną zgodę i sama je zainicjowała.

– To nieprawda. Skrzywdził mnie. Jak zawsze.

– Owszem, potwierdza to badanie, które przeszła pani w szpitalu. Niestety, mamy tutaj słowo przeciwko słowu, zatem jest to kłótnia rodzinna, a takie konflikty po interwencji policji zazwyczaj eskalują. Problem polega na tym, że jesteście państwo małżeństwem. Adwokat miałby trudności z prowadzeniem sprawy, ponieważ w przeszłości utrzymywaliście państwo kontakty intymne. Zakładam, że dochodziło do nich za obopólną zgodą?

Miriam przytakuje.

– Ale już od dawna tego nie robiliśmy – szepcze, a potem, już głośniejszym głosem, dodaje:  
– Gdyby to nie był mój mąż, uznalibyście to za gwałt, prawda?

Młodszy z policjantów, odkaszlnąwszy, drapie się w nieogolony policzek.

– Czy wyraźnie powiedziała pani „nie”? – pyta.

I to jest ostatni gwóźdź do trumny. Miriam zwiesza ramiona, kuli się na krześle.

– Nie.

– Próbowwała go pani odepchnąć? Uderzyć, zadać ból?

– Bałam się – odpowiada cicho. Przypomina jej się to, co powiedziała pielęgniarka Dagmar. Może rzeczywiście sama się o to prosiła.

– Krzyczała pani? – podsuwa drugi policjant, Niemann, chce być pomocny. – To by był wyraźny znak, że tym razem nie wyraża pani zgody na zbliżenie. Nie sądzi pani?

– To co właściwie pani zrobiła? – Funkcjonariusz Sperling patrzy jej prosto w oczy. Miriam bierze głęboki oddech.

– Nie opierałam się. Tak jak zawsze. Po prostu leżę i staram się być gdzieś indziej. Czekam, aż będzie po wszystkim. Jeśli stawiam opór, to jest tylko gorzej.

– Wstaje z krzesła. – Ale to nieważne. Jesteśmy małżeństwem, może faktycznie sama się prosiłam. Przepraszam, że zmarnowaliście panowie czas.

Policjanci nie ruszają się z miejsca.

– To nasz obowiązek – mówi Sperling. – Pomagać obywatelom, osobom bezbronnym, takim jak pani. Moim zdaniem, jeśli chce pani, aby mąż przestał się pani narzucać, to przede wszystkim powinna się pani trzymać od niego z daleka. Herr Voigt wspominał też, że miała pani inne trudności, a oprócz tego figurowała pani przez jakiś czas w rejestrze osób zaginionych.

– Cóż mogę powiedzieć? Nie chcę marnować dłużej panów czasu. Dziękuję, że przyjechali panowie do mnie osobiście.

W końcu policjanci wstają.

– Takie sprawy są skomplikowane. Niestety, w obecnej sytuacji nic więcej nie możemy zrobić. Może powinna pani zasięgnąć porady lekarza albo porozmawiać z przyjaciółmi?

Miriam bez słowa czeka, aż wyjdą z pokoju, i rusza za nimi.

– Proszę. – Jeden z policjantów wręcza jej wizytówkę. – Gdyby chciała pani jeszcze o coś zapytać.

– Dziękuję. – Gdy Miriam unosi wzrok, oni są już daleko na korytarzu.

Przekręca klucz w zamku. Rozgląda się za piórkiem, a znalazłszy je na półce, wsuwa starannie w drzwi, po czym rusza na obchód mieszkania, zaglądając do każdego pokoju.

## MIRIAM

Napełnia wodą umywalkę w łazience i pochyla się nad gładkim lustrem, w którym odbija się jej twarz. Potem wyjmuje korek, a nieużywana woda wlatuje do odpływu. Miriam zakłada z powrotem jedwabne rękawiczki mamy i wraca do stołu, aby przeczytać kolejny list.

*Dwadzieścia pięć batów.*

*Moja kara za morfinę, trzy słoiki środka odkażającego, jedną rolkę bandaża, podpaski i maleńkiego króliczka wyrzeźbionego z drewna. Wszystko dotarło na blok, oprócz morfiny. To była moja ostatnia zdobycz. Sama ją znalazłam; miała pomóc Hani znieść ból. Przez cały tydzień wynosiłam rzeczy z „Kanady”, gdzie wszystkiego było w bród, ale ta kradzież była najbardziej ryzykowna. Trusia wszyła mi kieszeń po wewnętrznej stronie pasiaka i tam chowałam każdy przedmiot – morfina miała być ostatnia. Postanowiłam, że potem z tym kończę, nie mogę tak nadstawiać głowy. Ale Hani trzęsa się z zimna i krzyczała w nocy. Musiałam spróbować.*

*Złapali mnie.*

*Dwadzieścia pięć batów za ratowanie przyjaciółki.*

*Dwadzieścia pięć batów.*

*Przy drewnianym stołku były skórzane pasy. Rozebrali mnie i założyli mi gumowe spodnie, a potem siłą pochyłili nad tym stołkiem, tak nisko, że prawie klęczałam, ale tylko prawie. Było w nim wcięcie, chwyciłam się go, a oni skrzepowali mi ręce i nogi, zapięli klamry. Mocno. Byłam całkowicie bezsilna, myślałam, że umrę.*



*Dwadzieścia pięć batów... Po dziesiątym nie pamiętam już niczego. Ciało potrafi znieść więcej niż umysł. Mój umysł się poddał. Czułam, jak pęka mi skóra, rozchodzi się niczym pod rozgrzanym do czerwoności ostrzem noża. Tamci stali dookoła i patrzyli; gdy bat siekał mi plecy od ramion po biodra, oni rozmawiali sobie w najlepsze.*

*Blizny bledną, a co pozostaje? Na przykład:*

*Widziałam nogi jednego ze strażników, spodnie idealnie zaprasowane w kant, dokładnie przez sam środek nogawki. Nie wiem, co się stało, może prysnęło na niego trochę mojej krwi. Nagle bat przestał świszzczeć, a ten strażnik przyklęknął obok mnie. Pachniał wodą kolońską i papierosami. Z rdzawą domieszką krwi. Ktoś wziął mnie za rękę, sprawdził puls. Dostałam już osiem batów, osiem ran zostało na moich plecach. Więcej nie mogę Ci opowiedzieć. Nie chcę pamiętać. Ale strażnik po ośmiu uderzeniach kazał przerwać. Ujął mnie obiema dłońmi pod brodę, uniósł moją twarz ku sobie, zalaną łzami, zasmarkaną i brudną. Patrzyłam na niego jak na zbawcę. Już mnie nie bili.*

*– Otwórz usta – powiedział.*

*Otworzyłam, a on napluł mi na język.*

*– Dalej – poleciał temu z batem.*

*Nie wydałam z siebie dźwięku, aż w końcu zemdlałam, błogosławiąc przesłaniającą oczy ciemność. Bo czy tak wygląda człowieczeństwo?*

*Ocknęłam się w ciasnej celi. Sama, po raz pierwszy od wielu miesięcy. Z ran lała się krew, skóra na lewym udzie otworzyła się szeroko jak koperta. Bolało mnie wszystko.*

*I było mi zimno. Dusza ścięta lodem, ręce i nogi sine, porażone.*

*Znalazłam mój pasiak i okryłam nim rany. Byłam w stanie utrzymać się na nogach, lecz przystawałam co krok, wsłuchując się w swoje ciało. Było sprawne. Mogłam się poruszać. Cella miała cztery kroki na sześć. Mogłam się położyć.*

*Kobieta w celi obok zostawiła dla mnie trochę jedzenia, rozmawiałyśmy. Nie pamiętam, o czym. Spałam, chodziłam i śniłam.*

Miriam nabiera powietrza, bo czytając ten list, chyba przez długi czas wstrzymywała oddech. Długo siedzi jak ogłuszona. Przez resztę dnia przepisuje pozostałe listy na gładkich kartkach, aby na koniec zmieszać je z ostatnimi przetłumaczonymi z francuskiego.

Jakiś czas później dzwoni telefon. Podłączyła go z powrotem, bo czeka na tę wiadomość.

– Dzień dobry, Miriam, mówi Susi z hospicjum Ruhwald. Pani ojciec dotarł do nas rano, transport przebiegł bez trudności. W tej chwili zasnął i wypoczywa, ale gdyby wieczorem chciała pani do nas zajrzeć, na pewno się ucieszy. Czy mam powiedzieć, że pani przyjdzie?

– Tak, proszę.

W hospicjum pachnie lawendą, świeżo ciętymi kwiatami i sosem pieczeniowym. Migoczą świąteczne dekoracje, a przy drzwiach mruga prawdziwa choinka. W wystroju sali i korytarzy dominują dwa kolory: głęboki granat i słonecznikowa żółć. Świąteczna czerwień i zielone drzewko stanowią tak ostry kontrast, że wchodzący ma wrażenie, jakby zobaczył koło kolorów.

Pielęgniarka prowadzi Miriam do pokoju, gdzie z okien widać park Ruhwald. Nikt jej stąd nie wyprasza. Dostaje herbatę i herbatniki, a wieczorem nawet kolację: pożywną zupę z porów, z ziemniakami, a do tego świeży, chrupiący chleb.

Zamiast krzesła przy łóżku stoi obity tkaniną fotel. Podciągnąwszy kolana pod brodę, Miriam zabiera się do czytania listów na głos. Nie wie, czy ojciec ją słyszy. Nie rusza się i jest dzisiaj bardzo blady.

Troskliwie obraca go na drugi bok i podaje mu wodę, chociaż jest podłączony do wielu różnych pomp i monitorów. Zanim dzień dobiegnie końca, wszystkie listy, które przyniosła ze sobą w zawiniątku, są już przeczytane, a ojciec tchnie spokojem.

– Dzisiaj nie zostanę – mówi Miriam, kiedy Susi do nich zagląda. – Ale jeśli można, przyjdę jutro rano, dobrze? Jutro wrócę, tato. – Obiecuje, biorąc go za rękę, która jest ciepła. A ojciec, o dziwo, też ściska jej dłoń. Mocno. I nie puszcza. Miriam przysiada na skraju łóżka, by nie przerywać kontaktu.

W drodze do domu nastrój jej dopisuje. Przypomniawszy sobie o listach, chce wrócić jak najszybciej i przepisać ich jeszcze więcej, aby przeczytać ojcu, co było dalej. Dobrze postąpiła, nie niszcząc ich, on musi o tym wiedzieć. Mijając kancelarię prawniczą, wrzuca grubą kopertę z dokumentami do niższej szczeliny na listy; słychać, jak spada na wycieraczkę po drugiej stronie drzwi.

Nie ma odwrotu.

Teraz już tylko naprzód.

Miriam rusza w kierunku domu, oddychając swobodnie i rozkoszując się wieczornym powietrzem. Ma nadzieję, że Eva znów tam na nią czeka; chciałaby

jej powiedzieć, że postanowiła podjąć walkę.

W domu nie czeka na nią nic: ani wiadomości, ani Eva. Miriam siada do czytania ostatnich przetłumaczonych listów, które dostała w święta.

*Najdroższy Heinrichu,*

*Jesteś mój, ale nie mam Ciebie i aż nie mogę uwierzyć, że Cię nie ma, takie to jest straszne. Rozdzielili nas. Nawet się z Tobą nie pożegnałam, chociaż i tak chyba nie umiałam. Między nami nic się nie kończy, nie możemy się pożegnać.*

Miriam unosi wzrok. Ten list jest pisany w pośpiechu, na trójkątnym skrawku papieru. Nic się nie kończy, nie możemy się pożegnać. Nie mieści się jej w głowie, jak miałyby się pożegnać ze swoim ojcem, coś jej jednak mówi, że to, co robiła przez kilka ostatnich tygodni, jest właśnie pożegnaniem, pożegnaniem na raty, poprzez miłość i troskę.

Nie może też przestać myśleć o Evie: dlaczego już jej nie pomaga i co miało znaczyć „Nie mogę patrzeć, jak to się powtarza”? Czuje się jak podła egoistka, a jednocześnie głupio jej, że była tak lekkomyślna: dała Evie do przeczytania te listy, chociaż właściwie nic o niej nie wiedziała.

Czyta dalej, zniesmaczona własnym samolubnością.

*Heinrichu, potrzebuję Cię. Chcę spojrzeć Ci w oczy, tylko po to, aby się przekonać, że jesteś mi wierny, a ja Tobie. Że istniejesz, bo ja w tej chwili błędzę, dryfuję po martwym morzu, a skończyć się to może tylko w jeden sposób.*

*Robię to całkiem sama. Nie mam Ciebie, chociaż właściwie i tak nigdy Cię nie miałam. Każdego dnia wybierałeś Emilie i podziwiam Cię za tę miłość do niej. Ona przypomina mi o wszystkim, co na tym świecie jest dobre. Jest czystą radością, która udziela się innym, łącznie ze mną. Byłeś słońcem, a ja księżycem, lśniłam odbitym światłem.*

*Bo krążę w strefie wiecznego cienia.*

*Tak samo było z Louisą. Starsza, lepsza i mądrzejsza ode mnie. Zawsze pozostawałam w jej cieniu. Była moim bożyszczem i rodzice też ją ubóstwiali, mnie stawiając na drugim miejscu.*

*W jednym tylko byłam pierwsza, za każdym razem. Zimą, gdy jezioro zamarzało, chodziłyśmy na łyżwy. Uwielbiałam, jak stalowe ostrza zgrzytały pod stopami, a wiatr rozwiewał mi włosy. Byłam wolna, ale najważniejsze wtedy było dla mnie co innego – byłam pierwsza. Louisa nie przepadała za tym jeziorem, a ja wyśmiewałam się z niej okrutnie i ciągnęłam ją tam na siłę. Wiem, że źle postępowałam.*

*Któraś raz Louisa bała się, że lód jest za cienki. Dzień był jasny niczym śnieg i tak samo zimny. Miałam na szyi niebieski szalik. Był długi i gdy śmigałam po lodzie, frunął za mną jak wstążka. Zostawiłam Louise na brzegu, gdzie usiadła, aby założyć łyżwy.*

*– Freya, zaczekaj! – wołała mnie pewnie już nie pierwszy raz. Płynęłam, byłam piękna. Wyrwałam się z jej cienia. Ale gdy się obejrzałam, jej już nie było.*

*Wpadła pod lód. Umarła. Odtąd już nigdy nie wyszłam z jej cienia.*

*Heinrich, przy Tobie czułam się pierwsza, chociaż wcale nie byłam. Spotykałeś się ze mną, ale zawsze wybierałeś Emilie. Każdemu czegoś we mnie brakowało, ale ja zawsze wybierałam Ciebie.*

*Jeśli przetrwamy, czy przetrwa też to, co nas łączy?*

*Bo ja pragnę Ciebie, całego. Wojna to jedno, ale czy można w ogóle powiedzieć, że nasze istnienie ma jakiś konkretny wymiar? A może istniejemy tylko na płaszczyźnie metafizycznej, gdzie dusze wpadają na siebie, ale dłonie nie mogą się zetknąć?*

*Heinrich, tak bardzo żałuję, że nie możemy porozmawiać. Bo jestem pewna, że coś razem stworzyliśmy. To, co trzepocze we mnie i jakimś cudem zdołało przeżyć chłostę. Ale tak, stworzyliśmy dziecko.*

Dziecko. Tam było jeszcze dziecko?

Miriam czyta ostatni list wiele razy, wciąż na nowo i do rana siedzi na łóżku, nie kładąc się ani na chwilę.

Myśli.

Myśli o własnym dziecku.

O tym, jak rosło i jak się rozwijało, jak wszystko się zmieniało. Najpierw delikatny trzepot, potem mocne kopnięcia. Cichutka czkawka w środku nocy. Miriam przypomina sobie to wszystko, a potem umieszcza każdy z tych szczegółów w miejscu podobnym do Ravensbrück.

Siedzi owinięta kocami, które nie mogą jej ogrzać.

## MIRIAM

Następnego dnia zanosí ojcu kolejne listy, a czytając je na głos, myśli o ciężarnej Friedzie w Ravensbrück. Wspomina własne troski, niepokoje, zmiany zachodzące w ciele. Wyobraża sobie, jak wyglądałyby te zmartwienia w obozie, i płacze, czytając, chociaż trudno jej pojąć, skąd te łzy. Każdy list brzmi teraz jakoś inaczej.

Teraz czyta je ustami kobiety, która jednocześnie doświadcza ciąży i śmierci. Z każdym słowem staje się prawdziwym, żywym człowiekiem. Płacze, ale nie przestaje czytać.

W pewnym momencie ojciec jej przerywa.

– Miriam – mówi, a ona zrywa się z fotela, listy spadają z kolan. Ojciec mocno ściska jej dłoń. – Moje drugie przyjście... – powoli odmierza słowa. – Jest już blisko.

– Nie bój się, tato. Jestem przy tobie.

Siedzi przy nim, nasłuchując jego chrapliwego oddechu i myśląc o drugich przyjściach, drugich szansach. Wiedziona tą myślą, bierze czystą kartkę i zapisuje w nagłówku adres redaktora naczelnego „Berliner Zeitung”, który znalazła w dzisiejszym numerze tego dziennika, krążącym po hospicjum. Pod spodem zapisuje prośbę o nadsyłanie informacji o Friedzie. Podaje jej wiek z okresu pobytu w Ravensbrück, nazwisko jej ojca oraz wszelkie osobiste szczegóły, które zapamiętała z listów. Prosi osoby, które ją znają albo znały, o zgłoszenie się do redakcji. Załącza swój adres i telefon, a do tego dwadzieścia zachodnich marek na opłatę za ogłoszenie, i wrzuca list do skrzynki pocztowej tuż obok hospicjum.

W końcu udaje jej się dowlec do domu. Czuje się przepełniona słowami, troskami i przeszłością. Stąpając ciężko, wchodzi do kamienicy. Ciemność sączy się w głąb duszy. Dwa pytania nie dają jej spokoju, wiją się w myślach niczym pnącza bluszczu:

Co stało się z Friedą? I gdzie jej teraz szukać?

Miriam zakłada, że ostatni list dla jej ojca będzie oznaczał koniec. Tylko one trzymają go przy życiu. Chciałaby wiedzieć, czy ktoś odpowie na jej ogłoszenie, zanim skończą się listy, ale trudno to odgadnąć, bo część w dalszym ciągu nie została przetłumaczona z francuskiego, wiele wciąż jest u Ewy.

Zamyka za sobą drzwi na parterze i opiera się o nie całym ciężarem, aby sprawdzić, czy zatrząsk trzyma jak należy. Zamknięte. Pan Ludwig pewnie poszedł już do domu. Miriam wspina się po schodach, a z każdym krokiem przechodzą ją ciarki. Otrząsa się z tego. Nie jest tak niezrównowazona, jak wszyscy jej wmawiają, ale to może jednak lepiej, żeby ojcem opiekował się ktoś inny.

Strach wciąż ją dręczy, oddech nie daje się uspokoić. Wydaje jej się, że czuje Jego zapach. Ten zapach: mydło i coś jeszcze. Wie jednak, że to tylko jej umysł płata figle. Założyła sprawę rozwodową i niedługo już będzie po wszystkim. Co powiedział adwokat?

Sześć miesięcy, tak powiedział, chyba że pojawią się przeszkody natury finansowej. Ale się nie pojawią. Axel ma pieniądze i Miriam też już je ma – po ojcu.

Sześć miesięcy i wolność. Potknąwszy się na schodach, bliska utraty równowagi, chwytą się poręczy.

– Sześć miesięcy – mówi głośno. Może jednak sobie poradzi, mimo wszystko. Może jest jeszcze jakaś nadzieja.

Ścisną poręcz mocniej, kostki dłoni napinają skórę, białe.

– Sześć miesięcy. – Uwieszona na poręczy, wciąga się po schodach na górę. Po otwarciu drzwi piórko przepływa jej przed oczami. Podstawia dłoń, chwytą je, miękkie, puszyste, gładzi delikatnie palcem. Powraca spokój. Obraca klucz w zamku, wsuwa piórko na miejsce.

Zrzuciwszy buty, z rozkoszą zanurza stopy w grubym, miękkim dywanie.

Hospicjum, tak samo jak szpital, to miejsce, które odciska się piętnem na człowieku; czuć to nawet w stopach, spuchniętych i zmęczonych. Miriam zdejmuje płaszcz, wiesza sweter na wieszaku i przyciskając do piersi torebkę, wchodzi do salonu, a po drodze włącza światło. Chce wyjąć listy i położyć je na stole; unosi wzrok dopiero na środku pokoju.

Nie jest w stanie rozpoznać tego, co widzą jej oczy. Mózg z najwyższym trudem usiłuje zrozumieć, skąd przy stole w jadalni wziął się ten człowiek. Bo nie powinno go tam być.

Torebka zsuwa się z ramienia. Miriam chwyta ją obiema rękami.

– Widziałaś, co zrobiłem z tym piórkiem? Ładnie? – pyta Axel.

Miriam cofa się na oślep, zaczepia nogą o fotel ojca, siada na nim z rozmachem.

– Wychodzisz? Tak szybko? Nie zapytasz, po co przyszedłem?

– Axel? – Myśli gonią jedna drugą: jak on się tu dostał? Jak stąd uciec? – Rób, co chcesz, wszystko mi jedno. – Axel spogląda na nią, nie wykonując najmniejszego ruchu. – Do widzenia. – Miriam podnosi się, odchodzi na bok, żeby minąć ją z daleka.

– Och, daj spokój. Nie bądź taka. Kupiłem ci kwiaty i czekoladki. – Wskazuje dłonią stół. Leży tam przesadnie wielki bukiet lilii, zawinięty w papier, a obok nieduża bombonierka. – To na przeprosiny za tamto nieporozumienie. – Ostatnie słowo wymawia z naciskiem i zbliżywszy się, ujmuje Miriam pod brodę, przesuwając kciukiem po policzku. – Czujesz mnie jeszcze, prawda? Nosisz w sobie ślad po mnie. Czujesz go, kiedy chodzisz, kiedy siadasz? – Śmiejąc się, mocno trzyma ją za podbródek, aby nie mogła odwrócić głowy.

Miriam zamiera w bezruchu i wydaje jej się, że zapomniała oddychać. Axel pochyla się, niespiesznie całuje ją w usta. Przez jedną nieskończenie krótką chwilę jest gotowa rzucić się na niego. Połamany paznokciami zdrapać mu z twarzy ten uśmiech, wbić kciuki głęboko w oczy.

Najwyraźniej wyczuł, co w niej buzuje, bo cofa się o krok i wyciąga z tylnej kieszeni kopertę. Białą, złożoną na pół. Trzyma ją w taki sposób, że Miriam od razu domyśla się, co jest w środku.

– Obiecałeś – mówi. – Obiecałeś mi, że się ich pozbędziesz.

– A ty obiecywałaś mi miłość i posłuszeństwo. – Uśmiechnięty Axel macha jej kopertą przed nosem tak, że prawie mogłaby jej sięgnąć.

– Zależało mi na tym, żeby zniknęły. Trzymałeś je przez tyle czasu?

– Nie można wyrzucić wszystkiego, co kiedyś było w użyciu, prawda?

– Ale one... – Miriam urywa w pół słowa. – To co innego.

– Och, kochanie, zawiodłaś się na mnie? Pomyślałem sobie po prostu, że skoro wróciłaś już do zdrowia, to mogę ci je oddać. Nie chciałybyś takiej... pamiątki?

– Nie. Wyjdz.

– Wpadłem tylko na chwilę. Widzę, że nie jesteś w przyjaznym nastroju. Miłego wieczoru, Mim.

Miriam nie może oderwać wzroku od koperty, która wisi teraz nad jej głową, dezorientuje, działa na nią jak zegarek hipnotyzera.

Axel przygląda się jej, a potem podchodzi do stołu, aby położyć kopertę tuż obok olbrzymiego bukietu. Złożona połowa sterczy w górę, dobrze widoczna na tle czarnego papieru, którym owinięte są kwiaty. Stuknąwszy dwoma palcami w blat, Axel odwraca się z powrotem.

– Hm? – W tej monosylabie brzmi zapytanie, oczekiwanie. Rusza w stronę Miriam, zbliża się powoli, trwa to długo. Ona czeka. Jego zapach budzi wizje, których nie potrafi zatrzymać. Ból, próba wytrzymałości, strach. Wystarczy poczuć ten zapach, aby powrócić do samego początku. Axel pochyla się, całuje ją w głowę. Bierze głęboki oddech.

– Pięknie pachniesz – mówi.

I już go nie ma, a Miriam kołysze się w miejscu, zboleła. Słyszy trzask zamykanych drzwi, ale nie śmie się obejrzeć, w obawie, że nie wyszedł i tylko ją oszukał, omamił. Nie chce poczuć ulgi, a potem go zobaczyć, woli nie myśleć, że już po wszystkim, bo może się pomylić.

Czeka, wstrzymując oddech, każde ścięgnięciu ma napięte do granic. Wciąż czuje go w powietrzu. Stęchły fetor. Lilie pachną wyraziście, mocno.

Odwraca się dopiero, kiedy nogi już się pod nią trzęsą, palce stóp rwą ostrym bólem, a zęby trzeszczą od zaciskania. Spodziewa się ponownie zobaczyć go przed sobą.

Ale pokój jest pusty. Obchodzi całe mieszkanie, zagląda we wszystkie kąty, sprawdza, czy okna są zamknięte i zasłonięte. Miota się niczym dziecko szukające potworów pod łóżkiem.

Tylko że tym razem potwór naprawdę istnieje.

Koperta przyciąga ją z powrotem do stołu. Miriam okrąża go kilka razy, poprawia zasłony, zabiera kwiaty, wraca po bombonierkę, jedno i drugie upycha w koszu na śmieci. Wreszcie na stole nie ma już nic oprócz koperty. Bierze ją w ręce. Mała, a ciężka; ten ciężar dodaje jej otuchy. Już czas, myśli.

Staje nad koszem, unosi pokrywę. Pod spodem majaczą płatki lilii. Przygląda im się tak długo, aż kwiaty zmieniają się w węże z szeroko otwartymi paszczami. Z hukiem zatrzaskuje pokrywę.

Idzie do swojego pokoju i siada na łóżku, po czym otwiera podarunek Axela. Słyszając brzęknięcie, czuje falę ekscytacji. Odkłada kopertę, oblizując wargi.

Nożyczki upadły na posłanie i leżą otwarte; złote uchwyty, a na środku śrubka, wyblakłe złoto, prawie białe. Dwa ostre szpice. To były jej nożyczki; zamiast ciąć papier albo nitki, odcinała się nimi od bólu. Należały tylko do niej.



Podwinąwszy rękaw bluzki, Miriam odsłania eklektyczny rysunek blizn po wewnętrznej stronie ramienia.

Podnosi nożyczki, rozkłada je w jedno długie ostrze. Wszystkie kontury zamazują się, czas osadza ją w miejscu. Złoty szpic wciska się w bladą skórę.

Zostaje długa rysa. Ułożywszy na skórze ostrze, Miriam jednym ruchem przeciąga po niej nożyczki i wszystko wylewa się na zewnątrz.

Czerwone.

Płuca napełniają się świeżym powietrzem, już nie czuje się tak, jakby tonęła. Schowawszy nożyczki do koperty, wraca do jadalni i kładzie je obok listów od Friedy. Wkrótce blada skóra na przedramieniu zaczyna pulsować, przywracając jej umiejętność czucia; razem z bólem przychodzi ochota, aby chwycić nożyczki i poprowadzić je dalej, głębiej, odpędzić od siebie myśli, te myśli, może tym razem na dłużej.

Włącza radio w sypialni ojca, drugie w jego gabinecie i jeszcze jedno, w salonie. Włącza też telewizor, gdzie akurat zaczęły się wieczorne wiadomości: pokazują zdjęcia spod Bramy Brandenburskiej i mówią o tym, że Wschód i Zachód jako zjednoczony kraj będą świętować Nowy Rok.

Mieszkanie napełnia się hałasem, a Miriam siada i wyjmuje apaszkę, którą dostała od Evy, zaczyna przesuwać ją pomiędzy palcami, tam i z powrotem. Raz po raz. Całe ciało mówi jej o znużeniu, wyczerpaniu i nasyceniu. Ociężałe kończyny są podobne do mebli. Nie ma w nich już kości, tylko drewno z oliwkowych krzeseł. Zawiązuje apaszkę na nadgarstku.

Myśli o Evie.

O Evie, która opatrywała i bandażowała jej dłonie, aby skaleczenia mogły się zagoić i pokryć strupami; gdyby nie opatrunek, wciąż by tylko je zrywała. Apaszka łagodnie muska skórę, Miriam tęskni za Evą.

Sen nie chce przyjść, więc zabiera z przedpokoju piórko i chowa do koperty razem z nożyczkami. Jest rozdarta wewnątrz i robi wszystko, aby uciszyć ten dysonans: z jednej strony apatia, a z drugiej pragnienie, aby ponownie przycisnąć do skóry ten cudowny złocisty metal. Wiedzieć, że jej nożyczki istnieją, że ich wspaniałe ostrza spoczywają w kopercie tuż obok jej piórka, które nie zaznało lotu... Zgarnia ze stołu kolejny nieprzeczytany list, by pogrążyć się w opowieści Friedy i zapomnieć o sprawczej sile własnych rąk.

*Heinrichu, boję się.*

*Noszę w sobie cząstkę Ciebie, teraz już całkiem dosłownie. Nie mogę powiedzieć Ci osobiście, że noszę pod sercem dziecko. Twoje dziecko. W ciemności poczułam, jak się porusza, jedyne moje światło. Każde jego drgnięcie, delikatne jak trzepot skrzydeł, prowadziło mnie z powrotem do świata, wyciągało z otchłani mojego własnego piekła.*

*Nie mogę Ci tego powiedzieć, ale nasza miłość powołała coś do istnienia. Jak długo uda mi się to podtrzymać, aby rosło, nie wiem. Czy przetrwamy – to raczej wątpliwe.*

*Moja przyszłość maluje się w czarnych barwach. Nie mam pojęcia, co teraz robić. Nikomu też nie mogę o tym powiedzieć, bo narazę wszystkich na niebezpieczeństwo. A Hani? Jej łono splugawione i usunięte ostrą stalą, gdy tymczasem moje, dojrzałe, owocuje życiem?*

*Nie mogę jej tego zrobić. Potrzebuję Hani, teraz bardziej niż kiedykolwiek, bo ona WIE, że jestem samolubna i okrutna, a mimo to trwa przy mnie.*

*Trzyma mnie w objęciach, jej żywe ciało jest dla mnie oparciem. Mam nadzieję, że i Ty masz w kimś oparcie.*

Głęboko za oczami narasta znajome uczucie. Zapach szpitala, zapach Axela, dziecko poruszające się pod sercem. Ciężar, leciutka czkawka i kopnięcia, które ją w przedziwny sposób dopełniały.

Miriam wstaje, krąży po pokoju. *Mam nadzieję, że i Ty masz w kimś oparcie.* Tak, miał. Zawsze miał. Miał mamę. Byli razem.

Kiedy to się stało, odwiedzili ją praktycznie natychmiast. Przyszli razem, trzymając się za ręce. Tata przytulił ją mocno. Mama zajęła się dzieckiem.

Wyszli tak samo razem, ramię w ramię, dłoń w dłoni. Oboje płakali, wylewając łzy, których jej zabrakło. Miriam została pod ramieniem Axela zarzuconym na jej ramiona. Przenikał ją chłód i pustka tak dojmująca, że czuła się niemal przezroczysta. Nieobecność, przyczajona, nagle eksplodowała ciężarem zagłuszającym najgłośniejszy huk. I ten ciężar zwałił się na Miriam, przydusił ją do ziemi.

## MIRIAM

Podkręca ogrzewanie, zarzuca na ramiona sweter zapinany na guziki, który kiedyś nosił jej ojciec. Materiał wciąż nim pachnie, a ten zapach sprowadza ją na ziemię, do tu i teraz, przypomina o listach i o Friedzie.

*Heinrichu,*

*to, co z nas powstało, jest większe niż my oboje razem wzięci.*

*Dziecko, które we mnie rośnie, jest silne. Chwilami zapominam, że istnieje. Pracuję teraz razem z Hani w Siemenslagrze. W fabryce jest ciepło i mamy tam krzesła z oparciami oraz podłokietnikami. Nawijamy cienki drut na szpule. Praca jest dobra, a pilnuje nas kierowniczką zmiany, nie strażniczki, więc biją tutaj rzadziej, a maszyny robią tyle hałasu, że można rozmawiać i nikt nie słyszy.*

*Za dnia maleństwo siedzi cicho, ale wystarczy, że się położę albo coś zjem – i już zaczyna się wiercić i kopać. Fascynuje mnie to. Widzę już nawet, jak się rusza pod skórą. Zamiast mięśni i tłuszczu mam tylko kości, ale brzuch i tak mi wystaje. Coraz większy. W miejscu, gdzie włada śmierć, zjawilo się życie pod postacią mojego dziecka. Jest silne. Widzę oczami duszy jego ciemne włosy i błyszczące oczy. Widzę, jak trzyma mnie za rękę i spogląda na mnie, podobne do Ciebie.*

*Wspomnienia zacierają mi się w pamięci. Bo teraz jedynym moim, naszym, celem jest przeżyć. Słucham Eugenii, kiedy mówi o aliantach, którzy nas uratują, wyzwolą, i wierzę w to. Wierzę, że nam się uda, bo muszę żyć, aby to dziecko mogło przyjść na świat. Muszę żyć, aby zwrócić je Tobie. Bo zasługujemy na lepszy koniec.*

*Chwytam się naszych wspólnych wspomnień, ale to już tylko piasek osypujący się z palców. Nie tracę nadziei, że będzie nam dane zapełnić pamięć na nowo, razem.*

– Ale nie było jej to dane – mówi Miriam, odkładając list.

Udaje jej się zasnąć dopiero nad ranem, śpi mocno, a po przebudzeniu idzie pod prysznic i puszcza na siebie strumień wody. Skaleczenie wciąż krwawi, ciemna strużka wije się po skórze, podobna do żyły. Przycupnąwszy niewygodnie na zamkniętym sedesie, Miriam nakleja na rękę cztery paski do zamykania ran i ukrywa swoją winę pod dużym, białym plastrem z opatrunkiem.

Otwiera okna. Poranek jest pogodny i mroźny. Przeciąg wypycha z mieszkania odór Axela i różowych lilii. Miriam zabiera kopertę, w której schowała piórko i złote nożyczki, wkłada je do kosza na śmieci. Plaster zaczeplia o materiał bluzki. Przypomina.

Potem dzwoni. Najpierw do hospicjum, zapytać o ojca. Mówią jej, że śpi i ogólnie czuje się już lepiej. Drugi telefon odbiera mężczyzna o szorstkim głosie; tak, przyjdzie dzisiaj, ale nie może podać dokładnej godziny.

Miriam rozłącza się, wyjmuje z kosza worek i wynosi go do śmietnika na podwórzu. Jest ciężki i nieporęczny. Gdy znika w pojemniku, nachodzi ją chęć, aby wskoczyć tam i wygrzebać nożyczki z powrotem.

– Dzień dobry, złotko.

– Dzień dobry, panie Ludwigu, co słychać?

Zwalista sylwetka dozorczy jest coraz bliżej, a ona wciąż stoi na palcach nad otwartym pojemnikiem, niezdecydowana. Zatrzymawszy się obok niej, pan Ludwig zamyka pokrywę. Dałaby radę sama, lecz mimo to jest mu wdzięczna.

Już ich nie ma.

– Wszystko dobrze, dziękuję. Co u taty?

– Trzyma się – odpowiada Miriam, odwracając się tyłem do śmietnika. Zostawia przeszłość za sobą.

– Pozdrów go ode mnie. – Pan Ludwig ściska ją za ramię i chce odejść.

– Chwileczkę, bo zapomnę. – Miriam zbiera się w sobie, przytomnieje. – Dzisiaj ma przyjść do mnie ślusarz, zmienić zamki. Powinnam wrócić na czas, ale gdybym nie zdążyła, mógłby go pan zaprowadzić do mnie?

– Jasne. Pani mąż wspominał, że zgubił swój klucz. W takich czasach lepiej dmuchać na zimne, co? – Rusza w stronę holu. Miriam idzie za nim. – Kiedy

byłem młodym chłopakiem, drzwi w domu zawsze były otwarte, każdy mógł wejść. Tyle że wtedy żaden złodziej by się u nas nie obłowił.

– Wpuścił pan mojego męża?

– Tak. Szedłem już do domu. Miał sporo szczęścia, pięć minut później byłbym daleko. Przyniósł przepiękne kwiaty, pomyślałem, że się pani ucieszy. To miała być niespodzianka, tak powiedział.

– Owszem, była – mruczy Miriam pod nosem, a głośniejszym głosem dodaje: – Jesteśmy z mężem w separacji. Proszę nikogo nie wpuszczać do mojego mieszkania... Do mieszkania mojego ojca – poprawia się po zastanowieniu. – Najpierw proszę to uzgodnić ze mną. Zawsze.

Pan Ludwig otwiera usta i zamyka je z powrotem, a Miriam, potrząsnąwszy głową, wraca schodami na górę.

Listy. To do nich wraca. Kolejne dwa są napisane na otwartych i rozciętych kopertach. Wyschnięty klej ma przejrzystość bursztynu, tekst pokrywa obie strony.

*Heinrichu,*

*coś ściska mnie w piersi. Chyba podobnie czuje się lew, gdy za chwilę będzie ryczeć tak, że ziemia się zatrzęsie. Ale ja nie ryczę i też nie płaczę. Nie mogę zrobić nic, aby pozbyć się tego ucisku. On narasta i narasta, a potem ustępuje i znów się wzmacnia, tym razem już większy, mocniejszy, sięgający głębiej.*

*Vanda znalazła nowe powołanie. Otwarto blok dla noworodków, żłobek, gdzie matki mogą opiekować się dziećmi i jednocześnie pracować.*

*To blok dwudziesty drugi. Matki pracują, a w przerwach karmią swoje maluchy, którymi opiekują się więźniarki. Vanda jest jedną z nich. Przeraza mnie myśl o tym. Rozstać się z naszym dzieckiem? Nie wyobrażam sobie tego. Dopóki rośnie we mnie, nic mu nie grozi. Nie więcej niż mnie.*

*Nie przeżyję tego, co ma nadejść. Śmierci naszego dziecka. Bo tutaj jest tylko śmierć. Żadne urodzone tutaj dziecko nie ma szans na przeżycie, nawet w żłobku rzadko któremu się to udaje. Słucham tych, którzy mówią o wyzwoleniu obozu, i myślę o tym, jak będę wracała piechotą do Ciebie. A potem staje mi przed oczami cień Emilie i wiem, że nie dla mnie „i żyli długo i szczęśliwie”.*

*Moje marzenia się nie spełnią.*

*Każdego dnia stawiam sobie za cel dożyć do wieczora. Chwytam się nadziei, że jeszcze kiedyś Cię zobaczę. Maleńka stópka trąca mnie od środka,*

*przypominając, że Ty istniejesz i że istnieje nasze „razem”.*  
*Do jutra*

Miriam od razu sięga po następny list.

*Vanda patrzy na mnie takim wzrokiem, jak gdyby o wszystkim wiedziała. Mówi o wnętrznościach, o miskach i o chlebie. Zanudza nas szczegółowymi opisami tych trzech rzeczy. Wypróżnienie nabiera dla niej tak fascynującego znaczenia, jakbyśmy cofnęły się do dzieciństwa.*

*Ale co jakiś czas spogląda na mnie i nie wiem, może tylko tak odbieram te jej spojrzenia, tak je interpretuję, ale robi to jakoś inaczej, jak gdyby wiedziała.*

*W ostatnich tygodniach, kiedy wracałam do zdrowia po wyjściu z bunkra, zaszła w niej zmiana. Odkąd zaczęła pracować w żłobku, opowiada nam takie historie, że gdybym je usłyszała od kogoś innego, na pewno bym nie uwierzyła.*

*O noworodku, który ważył trzy kilogramy. O matce, która po porodzie dostała szklankę mleka. A gdy rodziła, myli i zajmowali się nią.*

*Eugenia zasłania oczy i udaje, że śpi. Nie może uwierzyć, że naprawdę coś się zmienia, że jest tutaj miejsce na człowieczeństwo. Nie chce dać temu wiary. Nie pozwoli sobie na nadzieję. Blok dwudziesty drugi zadaje kłam jej przekonaniu, że wszyscy naziści to potwory.*

*Blok dwudziesty drugi to kość niezgody pomiędzy Eugenią a Vandą. Bywają dni, że nie zamienią ani jednego życzliwego słowa, ale za tymi słowami i konfliktami kryje się całkowite oddanie sobie nawzajem.*

*Vanda opowiada o pielęgniarce i opiece nad dziećmi. O powijkach wyłożonych od środka papierem. O matkach, które podczas przerwy w pracy ustawiają się w kolejce, żeby zobaczyć swoje maleństwa. O tym, jak się je nosi na rękach, jak się do nich mówi, jakie mają pulchne paluszki, różowe usteczka, jakie są zdrowe. Każde jej słowo jest niczym balsam dla duszy, koi moje troski. Oby tylko to wszystko okazało się prawdą.*

Trzy kilogramy?

Dziecko Miriam ważyło niespełna kilogram. Nosiło się je na rękach, mówiło się do niego, ale ono nie było pulchne ani różowe, było martwe.

Miriam nie może czytać dalej, bo ta droga prowadzi w przeszłość, do tamtego dnia, kiedy straciła synka. Wychodzi na spotkanie z Davidem Abendrothem, swoim nowym adwokatem. Na ulicy nie pilnuje się już, nie rozgląda; przestała się przejmować. Adwokat przyjmuje wypisany przez nią czek na okrągłą sumę i mówi, że Axel powinien już otrzymać zawiadomienie.

David Abendroth to starszy mężczyzna, sztywny, adwokat w każdym calu. W jego gabinecie jest tyle przetworzonego papieru, że Miriam czuje się brudna. Pozółkły papier zakrywa podłogę, stół i fotele. Jego palce, oczy, prawie siwe włosy, wszystko znaczą żółtawe ślady.

W drodze do domu zastanawia się, co zrobić ze swoim nazwiskiem; zmieniła je po ślubie i po rozwodzie zamierza zrobić to samo. Jest w tym pewna symetria. Jakby zatoczyło się koło, powracając do punktu wyjścia.

Wiezie ojcu kolejne listy. Przepisane własną ręką łatwiej się je czyta, więc kończy szybko. Rozmawia z pielęgniarkami i pomaga przy ojcu, który odzywa się, bardzo cicho, szeptem. Nie sposób zrozumieć słów, ale rzeczywiście mówi. Miriam uznaje to za dobry znak, a znalazłszy w gazecie swoje ogłoszenie, nabiera nadziei, że może znajdzie się osoba, która wie coś o Friedzie.

Nareszcie z powrotem w domu. U pana Ludwiga czeka na nią nowy klucz, a w drzwiach do mieszkania błyszczą wymieniony zamek. Na stole w jadalni leży złożona na pół faktura za usługę, a obok niej kartka z wiadomością od Hildy; jej zamaszyste pismo widać z daleka.

*Szkoda, że Cię nie zastałam. Zadzwon, proszę. Całuję, Hilda*

Następny dzień mija spokojnie. Miriam idzie pieszo do hospicjum, dogląda ojca, a potem wsiada w autobus i jedzie do biblioteki. Chce znaleźć Evę, przeprosić ją, zrozumieć, ale przede wszystkim – poczuć, że nie egzystuje w próżni.

Biblioteka jest zamknięta.

Aby zająć czymś ręce i nie zrywać świeżo zabliznionej skóry na przedramieniu, odwiedza kilka sklepów, które mają na witrynach ubrania i torebki. Podłużne torebki ozdobione frędzlami, jasne sukienki o modnych krojach. Pogodnie

uśmiechnięta kupuje sobie kilka par rękawiczek, jedwabnych rękawiczek. Nie zwraca uwagi na modę, wie tylko jedno: brakuje jej koloru. Do rękawiczek dobiera apaszkę w odcieniu ciemnego różu. Identyczny kolor miały lilie od Axela, te najciemniejsze z bukietu. Przypomina jej to, że samodzielnie podjęła decyzję. Druga apaszka jest fioletowa – to kolor z tęczy Stelli.

Po jakim takim nasyceniu się wolnością wraca do domu i zasiada z kieliszkiem wina do czytania następnych listów. Każdy z nich przybliży ją coraz bardziej do czegoś, co wydaje się nieuniknione.

*Stella.*

*Jasne włoski miała aż czarne od brudu, skudłone i pełne kołtunów. Trzymała w chudych rączkach jakieś zawiniątko. Nie widziałam dokładnie, co w nim jest. Śpiewała kołysankę na melodię Cicha noc, ale dziecinne słowa były dla mnie niezrozumiałe.*

*Powoli uniosła główkę. Zobaczyła, że na nią patrzę, i uśmiechnęła się, wyciągając do mnie swoje zawiniątko w kocyku. Była rozanielona, a oczka jej błyszczały. Jak dwa guziczki.*

*– Lalcia – powiedziała.*

*To nie była lalcia.*

*To był martwy noworodek.*

Miriam składa list z powrotem, upuszcza go na stół.

Pamięta jego rzęsy, czarne i powłóczyste. Paznokcie – ciemnosine, ale już długie. Ciemną, kudłatą czuprynkę. Trzymany na rękach był całkiem ciężki, ale okazało się, że to za mało. Za mało, aby mógł zrobić pierwszy oddech, za mało, aby Miriam mogła zobaczyć, jak otwiera buzię. Nie widziała nawet jego oczek.

Upłynie dłuższa chwila, zanim słowa następnego listu nabiorą jakiegoś sensu. Myśli, jedna za drugą, uciekają w przeszłość, do tamtej nocy, ciągnąc ją za sobą.

*Heinrichu,*

*chcę napisać o Vandzie, ale nie wiem jak. Po tym, jak znalazłam Stellę z martwym dzieckiem w objęciach, Vanda zupełnie się zagubiła. Hani zabrała Stellę i razem poszły wykopać dołek, aby maleństwo miało gdzie spocząć.*



Vanda zaczęła mamrotać i mruzczyć. Zgubiła swoją miskę. Nie odezwała się do nas już ani słowem. Codziennie chodziła do bloku dwudziestego drugiego, aby opiekować się dziećmi.

Wykradała z bloku umierające noworodki. Płytki oddech, szkliste oczy, szwy czaszki widoczne pod cienką jak papier skórą. Próbowwała karmić je chlebem, przezutym i rozrobionym z wodą. Nie dało się. Co rano robiłyśmy kolejny mały pogrzeb.

Eugenia i Vanda pokłóciły się straszliwie. Nikt nie dał rady ich rozdzielić, ani my, ani inne kobiety, ani nawet sama blokowa. Strażniczka okładała je kolbą karabinu. Słaniały się, oszołomione, ale nawet wtedy nie przestały.

Vanda dalej przynosiła dzieci na blok. Brała je na pryczę, układała sobie na nagich piersiach i otulała ubraniem. Nam wyjaśniała, że pomoże im ciepło płynące z jej serca. Nie pomagało. Rano dziecko było martwe.

Eugenia postawiła jej ultimatum: przestań, albo doniosę komendantce.

– Każda matka ma prawo pożegnać się ze swoim dzieckiem – powiedziała Vandzie. – A ty odbierasz im to prawo.

Vanda przestała przynosić dzieci do nas.

Przestała w ogóle pokazywać się na bloku.

Było już po niej.

Próbowałam z nią porozmawiać, przemówić jej do rozumu.

Strażniczki urządziły wszystko tak, że „dwudziestkadwójka” była blokiem śmierci dla noworodków. Żadne dziecko nie przeżyłoby w takich warunkach. Eugenia wiedziała o tym od początku, do Vandy też w końcu to dotarło. Maleństwa nie miały kontaktu z matkami, dwa razy dziennie karmiły je umierające z głodu kobiety, a na noc zostawiały w nieogrzewanej sali.

Vanda mówiła, że kiedy rano otwierają drzwi, to po dzieciach biegają szczury i inne szkodniki. Noworodki, skostniałe z zimna, leżą w łóžeczkach nagutkie i niczym nieprzykryte. Martwe. Rządками po dziesięć, jak sardynki w puszkach. Codziennie rano Vanda i jeszcze inna więźniarka sprawdzały każde po kolei, czy daje znaki życia.

I codziennie połowa tych maleństw już nie żyła, ale jeszcze przed południem na bloku pojawiały się kolejne, różowe i pulchne, prosto z łon matek.

Te kobiety rozstawały się ze swoimi dziećmi w poporodowym zamroczeniu. Przeżyć poród i urodzić zdrowe dziecko to cud – a po tym natychmiastowym rozstaniu wpadały w czarną rozpacz. Jeszcze nigdy nie słyszałam o czymś tak okropnym.

*Natomiast dla tych dzieci rozdzielanie z matkami było jak wyrok śmierci. Mimo to Vanda dalej tam chodziła i brała je na ręce. Hani jest jedyną z nas, którą jeszcze toleruje. Chodzą razem.*

Następny list ciągle zwija się w rulon. Miriam musi go trzymać.

*Śniło mi się, że wszystko już stracone. Byłam przywiązana do łóżka, a ktoś zabierał moje dziecko. Nie wiedziałam, czy żyje, czy nie, po prostu zniknęło. W mgnieniu oka. Nie zobaczę go nigdy. Nie zobaczę Ciebie już nigdy.*

*Wczoraj umarła Vanda.*

*Rzuciła się na płot pod prądem. Znalazłyśmy ją tam rano. Strażnicy strzelali jej w plecy jak do tarczy. Jej zwłoki wisiały na strzępach pasiaka.*

*Nie mogłyśmy zdjąć jej z drutów, bo się bałyśmy, że nas też porazi. Kiedy szłyśmy na wieczorny apel, wciąż jeszcze tam była. Nie zatrzymałyśmy się, zasłoniłyśmy tylko oczy Stelli. Rano zniknęła. Eugenia nic nie mówi, Trusia też. Hani i ja siedzimy w milczeniu. Stella płacze, wtulona w Trusię, i nie chce jeść.*

*Co się z nami stanie?*

*Zaspiewałyśmy dla Vandy. Tylko tyle możemy zrobić.*

*Była ostatnia z całej swojej rodziny, wszystkie wspomnienia o nich umarły. Odeszła i zabrała je z sobą. Jej śmierć oznacza, że ta rodzina niczego już po sobie nie pozostawi. Nie ma już po niej śladu.*

*Umrzeć tutaj z własnej woli – jakże bolesne przypomnienie o tym, co nas wszystkich czeka.*

## MIRIAM

Przez całą noc, aż do rana, przepisuje listy po niemiecku. Układa je potem obok tych po francusku. Teraz może przeczytać je ojcu, aby wiedział. Aby poznał prawdziwe losy Friedy.

W hospicjum cisza i spokój. Twarz ojca jest blada.

– Miał dzisiaj odwiedziny. – Susi wchodzi do pokoju, stając za plecami Miriam.

– Kto u niego był?

– Pani mąż.

– Co? – Miriam, wstrząśnięta, opiera się o ścianę.

– Tak, ojciec nie był zadowolony, miał lekki atak. Dostał drgawek w lewej części ciała, ręce i nogi. Szybko podaliśmy mu midazolam, teraz przestaje już działać. Ojciec czuje się lepiej, ale doradziłam pani mężowi... Ma na imię Axel, dobrze pamiętam?

Miriam przytakuje bez słowa.

– Powiedziałam, że lepiej, aby nie przychodził, jeśli pani tutaj nie będzie.

– Susi, jeśli przyjdzie, proszę go nie wpuszczać. Axel... Chodzi o osobiste porachunki.

– Z pani ojcem?

– Nie, ze mną. Jest napastliwy, nie ustąpi.

# HEINRICH

Jest napastliwy, nie ustąpi.

To głos Miriam. Chciałbym ją ostrzec, że on był tutaj. Ten człowiek. Powiedział mi, co zrobi z moją córeczką. Tylko że moje bezwładne ciało nie pozwala mi się poruszyć.

Chcę walczyć, wołać, krzyczeć, przeszkodzić mu. Kiedy do mnie mówił, czułem, jak moją pierś rozpiera ciśnienie, uderzając do głowy szumem setek biegnących chrząszczy. Gdyby mnie wtedy rozerwało, ucieszyłbym się tylko, że przestałem słyszeć jego głos. Jego słowa. I że mogę dotrzeć do Miriam.

Jestem uwięziony w tym ciele. Pielęgniarki podały mi jakiś gorzki płyn, miał mocny smak mięty i wiśni. Świat zatrzęsł się i pociemniało mi w oczach. Gdy się ocknąłem, Axela już nie było. Wiedziałem, że muszę ostrzec Miriam.

Ale nie miałem jak.

Miriam dorosła tak szybko, że uświadomiłem to sobie chyba dopiero w dniu jej ślubu, gdy siedziałem, wystrojony w zbyt luźny smoking, w lodowato zimnym kościele. Moja córka stała przed ołtarzem, w białej taftowej sukience i z fiołkami w długich, ciemnych włosach. Moje małe dziecko dorosło, a ja tego nie zauważyłem.

Zniknęła z domu po cichu, a każde z nas opłakało ją po swojemu. Emilie często u niej bywała, ale ja nie mogłem się na to zdobyć. Widziałem, co Axel miał w oczach, dlatego najchętniej zabrałbym Miriam i uciekł. Emilie była innego zdania i skończyło się tak, że jej kontakty z Miriam się rozwijały, a moje stały w miejscu. Dzięki temu mogłem zauważyć zmianę, jaka w niej zaszła, kiedy się spotkaliśmy. Prawie nie podnosiła wzroku, a gdy chciała coś powiedzieć, zawsze

oglądała się na Axela, jakby pytając o pozwolenie. Widziałem to jak na dłoni, ale kiedy próbowałem poruszyć ten temat, nie chciała słuchać.

Emilie niczego nie zauważyła, sama Miriam też nie, ale ja tak.

Mieszkali w sąsiedztwie przez długie lata, a potem, kiedy Miriam straciła dziecko, przeprowadzili się do Wolfsburga.

Axel i Miriam wyjeżdżają, razem. Miałem nadzieję, że będę mógł ich odwiedzać. Zaproponowałem pomoc, ale wszystkie moje starania spotkały się z odmową. Po tej przeprowadzce Emilie przestała się odzywać do Miriam. Wybrała się do nich raz, bez zapowiedzi, i została odprawiona z kwitkiem. Okazało się, że musi mieć specjalne zaproszenie, tyle że zaproszeń nie było. Telefon też dzwonił coraz rzadziej.

Rok po wyjeździe Miriam do Wolfsburga Emilie zachorowała.

Miriam nie odwiedziła nas, trzymała się z daleka. Nie odezwała się do mnie. Ani podczas choroby matki, ani potem, kiedy umierała. Pisałem listy, dzwoniłem, ale byłem bezsilny: nie mogłem zachować Emilie przy życiu, tak samo jak nie udało mi się odnaleźć Friedy. A Miriam się nie pokazywała.

Nie było jej na pogrzebie matki.

Zobaczyłem ją na stypie, po drugiej stronie zatłoczonej sali. Chciałem podejść, ale Axel stanął mi na drodze.

– To raczej nie jest dobry pomysł, chyba się zgodzisz? – powiedział. Nie pamiętam, co wtedy myślałem, oprócz tego, że moja córka musi teraz cierpieć. Śmierć Emilie podcięła skrzydła nam obojgu; myślałem, że możemy się wspierać nawzajem.

Położywszy dłoń na moim ramieniu, Axel zaprowadził mnie do baru i zamówił drinka. Po chwili stanęła przede mną szklanka z niewielką ilością brązowego płynu.

– Ja nie piję – zaprotestowałem, ale on nalegał i trudno mu było odmówić. Nie pamiętam, dlaczego byłem mu posłuszny ani co do mnie mówił, ale czułem się jak w transie. Posłuchałem go, a później tego żałowałem.

Strach przed nieznanymi konsekwencjami wystarczy, aby skłonić człowieka do czegoś, czego sam nigdy by nie zrobił. Wiedziałem, że sytuacja Miriam jest bardzo zła, lecz Axel był przeszkodą nie do ominięcia.

– To oczywiście, że jej ciężko. – Pochylił się do mojego ucha, a ja, odwróciwszy głowę, zobaczyłem, że Miriam siedzi, zagubiona, i ciągnie się za mankiety. – Bo przyznasz chyba, że nie byliście ze sobą blisko.

Pewnie ma rację, pomyślałem.

– Jeśli mam być szczery, to Miriam ma do ciebie żal – ciągnął i znów położył mi dłoń na ramieniu.

– O co?

– Moim zdaniem ona widzi to tak, że ty... No cóż, Emilie przez całe życie ciężko pracowała, no i jeszcze opiekowała się tobą, kiedy byłeś... niedysponowany. – Znacząco uniósł brew.

Wtedy nagle zrozumiałem. Jakbym dostał obuchem w głowę.

– Wydaje mi się, że Miriam ma żal, bo Emilie... mogła mieć łatwiejsze życie.

– Uważa, że to moja wina?

– Wina? To takie mocne słowo. Daj jej trochę czasu, a ona sama zwróci się do ciebie, jeśli będzie tego chciała. Trochę czasu – powtórzył.

Alkohol uderzył mi do głowy i uświadomiłem sobie, że to musi być moja wina, bo przecież skrzywdziłem Emilie, zadałem jej tyle bólu. Nie mogłem tego cofnąć, o czym Miriam doskonale wiedziała. Kiedy Axel mówił, obserwowałem ją ponad jego ramieniem. Nie potrafiłem oderwać wzroku od tego zwiędłego kwiatu, w jaki zmieniło się moje dziecko. Axel plótł jeszcze coś o wnukach, że niby przydałyby mi się wnuki na stare lata, ale ja nie dopuszczałem do siebie myśli, że moja córka kiedyś jeszcze będzie chciała mnie widzieć. A potem zabrali się i poszli. Nie zamieniłem z nią nawet słowa.

Z własną córką.

Od tamtego czasu, gdy próbowałem do niej zadzwonić, nikt nie odbierał telefonu, a moje listy wracały do adresata nieotworzone.

# MIRIAM

Wraca do domu, pakuje torbę.

Z ulgą wyrywa zębami skórkę z palca i patrzy, jak krew opływa białe łoża paznokcia.

Naciąga na pokaleczone palce białe rękawiczki i idzie po listy, zostało ich już tylko pięć.

Zamierzała je spakować, ale ulega pokusie, aby przeczytać jeszcze jeden, tylko ten jeden.

*Heinrichu,*

*coraz częściej wyjeżdżają od nas transporty. Ludzi, których wyczytują z list rano, po południu już nie ma. Nikt nie wie, dokąd ich wywożą. Wszystkie boimy się tych list. W obozie jest równe traktowanie, stanowimy jeden kolektyw, choć tyle nas tutaj. Ale kiedy wybierają, każda więźniarka staje się jednostką, a jeden numer nic nie znaczy, to tylko kolejna śmierć.*

*Hani i Trusia zaszyły wszystkie moje listy w zapasowym pasiaku Vandy. To miał być podarunek dla mnie. Nie posiadam się z radości, że piszę do Ciebie nie tylko po niemiecku, ale i po francusku, bo nie dowiedziały się, co tam jest. A listy, które kiedyś upychałam pod siennikiem, teraz są ukryte w pasiaku. Nosimy go z Hani na zmianę, bo tak jest cieplej.*

*Pogoda się zmienia.*

Pukanie do drzwi odrywa ją od listu. Idzie otworzyć z nadzieją, że to Eva. W tej samej chwili dzwoni domofon. Miriam, rozproszona hałasem, odwraca głowę.

Wtedy w uchylonych drzwiach pojawia się stopa, a łańcuch napina się ze zgrzytem. Miriam mocno napiera na drzwi, ale nie dadzą się zamknąć. Cofa się kilka kroków, patrząc, jak błyszczący, nowiutki łańcuch wgryza się w drewno. Gdy stopa znika, podchodzi, aby jeszcze raz spróbować.

Łańcuch opada luźniej i nagle drzwi stają otworem, pchnięte z wielką mocą, a do środka wdziera się Axel. Miriam traci równowagę i wpada na ścianę. Zalewa ją jego zapach, musi oddychać przez usta, starając się nie zwracać uwagi, że powietrze bijące od niego jest ciepłe i ma swój własny smak. Axel zamyka drzwi na zasuwkę. Miriam cofa się przed nim, wbijając stopy w grubą wykładzinę, szuka oparcia, czegoś, co pomoże jej wrosnąć w podłogę.

– Rozwód? – Axel parska śmiechem. – Chcesz się rozwieść? Ty?

Miriam wie, że jeśli zacznie się stawiać, będzie jeszcze gorzej. Wie, że on uwielbia słyszeć od niej „nie”, lubi czuć jej opór, ale nie może teraz ustąpić bez walki. Ma nadzieję, że czasy uległości już nigdy nie wrócą. Cała drży, jak kropla wody, która za chwilę spadnie.

– Tak – odpowiada. – Rozwodzę się z tobą.

– Och nie, Mim. Idziesz do szpitala. – Axel podsuwa się bliżej. Miriam wypręża się jak struna, prostuje na całą wysokość. – I to jak najszybciej, moja w tym głowa. To ja cię wybrałem. Spośród wszystkich kobiet, które miałem do wyboru, wybrałem ciebie. Należysz do mnie. Widzisz to? – Unosi rękę, a ona kuli się, jakby przed ciosem. Na jego palcu połyskuje złotem wytarta ślubna obrączka. – To znaczy, że jesteś moja.

– Nie, Axel. Nie jestem. – I Miriam robi krok w jego stronę. Chce, żeby zszedł jej z drogi, ale on nie rusza się z miejsca, więc zdmuchnęła tylko tyle, że stoi teraz tuż przed nim. Zamiera w bezruchu i on też ani drgnie. Po jego ustach błądzi uśmiech. Ten uśmiech nie sięga oczu, jest złowrogi, jak groźba.

– Wyjdź, proszę – mówi Miriam. Axel opuszcza głowę i przejeżdża policzkiem po jej szyi, a ona po chwili słyszy przy swoim uchu jego oddech, przeciągły, niespieszny, niczym szept, obietnica. Napina mięśnie, aby opanować drżenie.

– Wyjdź – powtarza, lecz cała dygocze i głos też jej się trzęsie.

– Nie – odpowiada Axel krótko. – Ale ty, proszę bardzo, możesz wyjść, nie zatrzymuję cię. – I nagle gryzie ją mocno w ucho, śmiejąc się, gdy Miriam wstrząsa się jak porażona prądem. – Tylko ciekawe, dokąd pójdziesz? Nie masz już nikogo.

I to jest prawda, prawda, która boli bardziej, niż można się było spodziewać.

– A zanim cię zamkną, zobaczysz, jak się z tobą zabawię – dodaje Axel.

– Nigdzie mnie nie zamkną, lekarze...



– ...będą się pchać jeden przez drugiego, żeby wypisać ci skierowanie.

– Nie jestem wariatką.

– Na razie nie, ale popatrz na to. – Axel unosi w palcach torebkę, w której jest kilka pojemników z tabletkami. Torebka się kołysze i Miriam nie może dobrze się jej przyjrzeć. – Zrobię z ciebie takie warzywo, że każdy lekarz w tym kraju przyzna mi rację.

– Co to jest?

– Leki twojego ojca, z hospicjum – wyjaśnia, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Chcesz mnie faszerować prochami?

– A bo to pierwszy raz?

Miriam milczy, musi poczekać, aż dotrze do niej sens tych słów. Oby jak najszybciej.

– Nie byłam chora, prawda? – odzywa się wreszcie. – Dlaczego mi to zrobiłeś? Za co?

– Każdy kochający mąż zrobiłby to samo co ja. – W jego głosie jest tyle odrazy, że Miriam aż się cofa. – No, Mim, nie bądź taka. – Axel trąca ją w ramię. – Postaw mi się trochę.

Miriam tkwi w miejscu, z wzrokiem wbitym w listwę przypodłogową za drzwiami do kuchni. Myśli tylko o tym, ile kurzu nazbierało się na tej listwie.

– No, dawaj, dziwko, przecież tego chcesz, tak czy nie? Zabawmy się, tak jak kiedyś, zanim odeszłaś. – Dreszcz wstrząsa jej ramionami. – Aha, podobało ci się, co? – Axel delikatnie popycha ją w stronę salonu.

– Wyjdź – powtarza Miriam po raz kolejny.

– Patrz. – Axel sięga do kieszeni, wyjmując kilka polaroidowych zdjęć.

Miriam odwraca wzrok.

– To moje ulubione, chcesz zobaczyć? – Bierze ją pod brodę, siłą odwraca głowę. – Patrz, jak mnie chcesz, jak o mnie błagasz.

Widok tego, co jest na zdjęciu, napełnia jej usta piekącą żółcią. Ucieka wzrokiem, a Axel zaczyna porównywać fotografię z rzeczywistością.

– Hmm – mruczy pod nosem. – No, trochę się zmieniło.

Cofa się o krok, chowa kartonik z powrotem do kieszeni. Położywszy torbę z lekami na stole w jadalni, odsuwa krzesło, siada na nim okrakiem i kładzie łokcie na oparciu.

– Żono – mówi cicho, a potem wstaje, odwraca krzesło. – Wyglądasz strasznie smutno, chodź, powiedz mi, co się stało.

Miriam ani drgnie.

– No już, raz! – Wypluwa te słowa razem ze śliną, a ona, choć wcale tego nie chce, robi krok naprzód.

– Wybacz, Mim, ale musisz zdać sobie sprawę, jak mi było ciężko, kiedy tak podupadłaś na zdrowiu, a ja byłem sam, ciągle sam, dzień i noc. Przecież wiesz, jaki jestem. Gdy cię zabrakło, przeszedłem potężny kryzys. Już zapomniałaś? – Jego twarz łagodnieje.

Miriam przygląda mu się tak, jakby patrzyła w lustro: na pierwszy rzut oka twarz jest znajoma, ale im bliżej, tym bardziej widać zmiany, a potem obraz rozmywa się, zamazuje.

Światło i ciemność układają się w abstrakcyjne kształty.

Miriam ponownie skupia wzrok. Mogłoby się wydawać, że oczy Axela tchną dobrocią, otwarte szeroko, leciutko wilgotne w samych kącikach. Ale ta dobroć to tylko złudzenie, stop-klatka uchwycona w blasku błyskawicy, po której musi uderzyć grzmot.

– Zapomniałaś, pod czyją opieką był Michael.

To imię, jego imię, jest jak wyłącznik. Wyłącza myślenie, w głowie zostaje pustka.

– Zapomniałaś, kto dbał o ciebie, kto czesał ci włosy, ubierał cię, kto cię bronił, kiedy różni „doradcy” ostrzyli sobie zęby na ciebie. Tak wiele zapomniałaś. O nim też już nie pamiętasz?

Miriam potrząsa głową. Nie, nie zapomniała go, pamięta dobrze. Axel bierze ją za rękę i przyciąga do siebie, jego dłoń jest ciepła i lepka od potu. Próbuje posadzić ją sobie na kolanach, ale Miriam się opiera, więc zostawia ją, pozwala stać.

– Pamiętasz jego buzię? Pamiętasz, jak na niego mówiliśmy? Pamiętasz?

Potem milczy przez kilka minut, a ona zatracą się we wspomnieniach o swoim synu. O dniu, gdy powierzyła jego ciało ziemi.

Axel puszcza ją i zaciera dłonie.

– Mam dla ciebie pewną propozycję.

Ta nagła zmiana tempa przyprawia ją o zawroty głowy. Miriam nie pojmuje, skąd wziął się jego pogodny nastrój, tak w jednej chwili – jak to możliwe?

– Podpiszę ci te papiery rozwodowe, teraz, od ręki. – Wyjmuje dokumenty z koperty, której wcześniej nie widziała. – Ale musisz dobrowolnie zgłosić się na leczenie. Co ty na to? Zapewnisz sobie opiekę medyczną, a ja będę wiedział, że nic ci nie grozi. Kompromis? To podstawa udanego małżeństwa, tak? – Znalazłszy właściwą stronę, pochyła się nad nią z długopisem w dłoni. Miriam

obserwuje go. Jest o krok od wolności, nie może już bardziej pragnąć, aby postawił tych kilka liter. Proszę cię, myśli, po prostu to podpisz.

– No? – pyta Axel, tym razem ciszej. – Co ty na to?

Miriam otwiera usta, nie wiedząc, co właściwie chce powiedzieć, wyrzuca z siebie tylko krótkie:

– Dlaczego?

– Zdradzę ci pewien sekret. – Axel znów bierze ją za rękę i ciągnie do siebie, ale ona się nie daje. – No dobrze – mówi, uświadomiwszy sobie, że nie wygra. – Dość już mam roli troskliwego mężusia. Wolę żonę wariatkę, zamkniętą w psychiatryku. Coś takiego bardziej mi pasuje. I to się sprawdza, tak twierdzi mnóstwo ludzi.

– Jesteś szalony – szepcze Miriam, tak cicho, jakby mówiła do siebie.

– Zawsze mogę też zostać zrozpaczonym wdowcem. – Axel przekrzywia głowę.

– W takiej roli też się widzę.

Miriam usiłuje zrozumieć, co to miało znaczyć, i wtedy, niespodziewanie, wir przeszłości porywa jej serce i myśli, wyrzuca gdzieś daleko, zdecydowanie zbyt daleko, tam, gdzie pachnie świeżo skopaną ziemią, mokrą od deszczu.

Axel mówi dalej, po raz kolejny zmienia tempo, Miriam stara się za nim nadążyć, ale dostaje zawrotów głowy.

– Wiesz, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, oczarowałaś mnie. Oczarowałaś.

Miriam chwieje się, a on chwyta ją za rękę i tym razem udaje mu się posadzić ją sobie na kolanach.

– Kiedy patrzysz teraz w lustro, co widzisz? – pyta.

– Unikam luster – odpowiada Miriam szczerze.

– Dlaczego?

– Bo słyszę twój głos, twoje słowa.

– I co mówię?

– Mówisz... – Nie musi słyszeć tych słów, zna je na pamięć, czuje. Bębnienie deszczu o parasolkę wdziera się jej do uszu, nie potrafi uciec przed tym dźwiękiem, jest kompletnie dezorientowana. – Michael – szepcze.

Axel odpowiada, wyraźnie i dobitnie. Głos ma jednostajny, monotony.

– Nie, kochana, nie mówię „Michael”. Pamięć znowu cię zawodzi. – I dodaje cicho: – Ale i tak cię kocham. Pamiętasz, jak kiedyś miałaś takie lśniące, czarne, długie włosy? Jak zanurzałem w nich całe dłonie?

Miriam pamięta, jak je szarpał, pamięta, jak łapał ją za kark.

– Teraz już ci wypadają, Mim. Masz mniej włosów niż twój tata.

I to jest prawda. Miriam przesuwa dłonią po głowie.

– Słyszysz coś jeszcze, kiedy patrzysz w lustro, jakieś inne głosy?

Ona kręci głową i wstaje, pokazując mu plecy.

– Odwróć się, kochana, chcę na ciebie popatrzeć.

Odwraca się.

– Kiedy cię poznałem, byłaś idealna, drobna i bez najmniejszej skazy. Byłaś piękna. Zdejmij bluzkę. – Rzuca ostro, a nagła zmiana w jego głosie każe jej się skupić na każdym słowie, choć to niełatwe.

Deszcz wciąż bębni w parasolkę rozpiętą nad jej głową, biała trumienka zanurza się w zimną, rozmiękłą ziemię. Miriam nie może uwolnić się od tego obrazu. Stara się słuchać tego, co mówi Axel.

– Jesteś tam jeszcze? Widziałem go, był cały siny. Mówią, że po porodzie dziecko jest różowe, ale ja jakoś tego nie widzę. On był prawie fioletowy, prawda? – Podchodzi i rozpina jej bluzkę.

– Miał rzęsy – mówi Miriam cicho. – I paznokcie.

Wysunął się z niej bezgłośnie; nie usłyszała nawet, jak bije jego serduszko.

– Szkoda, że był z tobą tak krótko. Wiesz o czym mówię: że go nie donosiłaś. To chyba mają na myśli ludzie, którzy opowiadają o poczuciu winy. – Axel zsuwa jej bluzkę z ramion, materiał jest lodowaty, natychmiast pojawia się gęsia skórka.

– Widzę, że podobał ci się mój prezencik? – pyta, unosząc jej rękę, aby przyjrzeć się z bliska dużemu plasterowi zakrywającemu ranę. – Bardzo mi miło. – Całuje ją w policzek. Głos ma niebezpiecznie cichy. Jest nieogolony, ale zarost nie drapie, a jeśli tak, to Miriam nic nie czuje. – U mnie przynajmniej wszystko działało jak trzeba – mówi już głośniejszym, pogodniejszym tonem, i cofa się. Miriam zasłania ręką piersi; słyszała już od niego te słowa. – Ale u ciebie... Bo kto poronił? Ty, prawda?

Miriam potrząsa głową.

– Przepraszam, Axel. Bardzo tego żałuję.

– Wiem, że żałujesz.

Jej smutek jest zbyt głęboki, aby mogła uronić choć łzę. Oczy ma suche, płacze tylko sercem.

## MIRIAM

Axel wychodzi z pokoju. Miriam dryfuje niczym boja bez kotwicy.

Opuszcza głowę i spogląda na swoje pónagie ciało, okrywa brzuch dłońmi. Tak robiła kiedyś, gdy rosło w niej dziecko. I potem, gdy w środku nie było już nic, a jej pozostało tylko załamywać puste ręce.

Słyszy, jak Axel rozbija się po mieszkaniu, ale stoi dalej. Czeka, pogodzona, żeby wrócił. Powie jej, co ma zrobić, ona to zrobi i wtedy on sobie pójdzie.

Axel wraca z miską orzechów w ręce. Siada przed nią, zajadając w najlepsze. Chce ją poczęstować, Miriam odmawia. Schyla się po swoją bluzkę.

– Tylko pamiętaj, Miriam... – Axel bierze długopis i pochyła się nad papierami, zatrzymując go tuż nad kropkowaną linią.

Wytrzymam, myśli kobieta, taka jest cena wolności. Przypomina sobie, jak Eugenia i Vanda, skręcając się z bólu, niosły Trusię na krześle, a strażniczki patrzyły i śmiały się z nich. Powoli, krok za kroczeniem, ale udało im się i jej też się uda. Nie stawiać mu się, niech robi, co chce, a potem będzie po wszystkim i sobie pójdzie. Axel składa dokument, chowa go do kieszeni na piersi razem z długopisem.

– Byłaś kiedyś taka piękna. A teraz? Patrz. – Wskazuje palcem okolice swoich bioder. – Nie stanie mi do ciebie, a nawet jak stanie, to zaraz opadnie, nie wiem, co ty mi zrobiłaś. Nigdy bym cię nie skrzywdził, duszko, wiesz o tym, prawda? – Miriam przytakuje. – Ale w szpitalu, no cóż, inaczej nie można, sama rozumiesz.

– Nie rozumie.

– Przykro mi, kochana. Miriam! – krzyczy znienacka, a ona podrywa głowę. – Przykro mi, że do tego doszło. – Wyjmuje z kieszeni spodni jakąś kopertę. – Odwróć się.

– Axel...

– Na kolana. Na podłogę.

Kłęka, kładzie się.

Słyszysz rozpinany suwak, pobrzękującą klamrę od paska, czeka, czeka na niego. Tak było zawsze. I zawsze tak będzie.

Tamtego wieczoru, zanim od niego odeszła, wcześniej ukarał ją za to, że poprosiła o pozwolenie, aby odwiedzić chorego ojca w szpitalu.

Kazał się błagać i zrobił jeszcze jedno zdjęcie polaroidem, kolejne cholerne zdjęcie, które miało jej pokazać, że jest słaba, odrażająca i że jest zwykłą dziwką. Błagała go, żeby mieć to już za sobą.

Wiedziała, że to koniec. Nadszedł w tym momencie. Zrozumiała, że Axel ją zabije, a jeśli nie, zrobi to sama.

Mgły przeszłości rozwiewają się w mgnieniu oka. Miriam spostrzega, że leży na podłodze. Zmieniła zamki, złożyła pozew o rozwód, a mimo to dalej tkwi dokładnie tam, gdzie na początku.

– Nie – mówi, myśląc o Evie. Walcz, nie daj się. Zrywa się gwałtownie, czym wytrąca go z równowagi.

– Zastanów się jeszcze. Może to ci pomoże podjąć właściwą decyzję? – Axel otwiera kopertę i unosi wysoko, wytrząsając z niej kawałki papieru prosto na jej głowę. Miriam kuli się, odsuwa, nie wiedząc, czego się spodziewać, ale kiedy papier przelatuje jej przed oczami, poznaje; poznaje, chociaż jest zniszczone.

– Co to?

– Takie rzeczy się dzieją, kiedy odchodzi się od męża. Nie miałem wyboru, Miriam, musisz wiedzieć, że nie było innego wyjścia. To stąd się wzięła twoja psychoza. I całe to zniszczenie. – Ale jego słowa cichną, gdy Miriam uświadamia sobie, co ma przed oczami.

Jej jedyna pamiątka, ślady maleńkich stópek na bladobłękitnym papierze. I to zdjęcie ze szpitala, wszystko leży porzucane dookoła niej.

– Chciałaś oczyścić dom z bólu, który się w nim nagromadził. Ze wspomnień, które nas złamały. Wzięłaś za dużo leków i... Chyba dobrze się złożyło, że cię znalazłem, prawda?

Nagle jest tuż obok, blisko, zbyt blisko, otacza ją niczym rój pszczół. Miriam nie słyszy już, co do niej mówi, nie rozumie ani słowa.

– Wróć do mnie, kochana – szepcze Axel. – Nie jest za późno, aby zacząć od nowa. Jeszcze jedno dziecko, co ty na to? Nie jesteś za stara, prawda?

Miriam wodzi wzrokiem po papierze zaścielającym podłogę, unosi głowę, spogląda na stojącego przed nią człowieka. Wyłożył swoje karty, bije od niego euforia.

– Po tym, co się stało z Michaeliem, zrozumiałam, że drugi raz nie mogę – mówi cicho i spokojnie. – Już nigdy nie będziemy mieć dziecka.

Axel nie rozumie.

– Przecież tyle lat się staraliśmy.

– Sześć miesięcy po śmierci Michaela zaszłam w ciążę. Usunęłam ją. I kazałam podwiązać sobie jajowody. Nie mogłam pozwolić, żeby to się powtórzyło. – Zaczyna płakać. – Nie zniosłabym tego.

Axel patrzy na nią.

– Och, moja Mim, coś ty zrobiła? – Ociera jej łzy opuszką kciuka. Pochyla się i całuje ją delikatnie; to jest pocałunek z przeszłości. Miriam nie opiera się, odwzajemnia go, jej pocałunek jest pełen namiętności, bólu i rozpaczony po stracie dziecka. Tęsknoty za życiem z niespełnionych nadziei.

Axel całuje ją długo, powoli, głęboko, przywiera do niej, nie napotyka oporu. Zsuwa jej z bioder spodnie, a ona wychodzi z nich, gdy opadną na podłogę. Wtula się w niego mocniej, chcąc się zanurzyć w dotyku, którego nie czuła od tylu lat; w miłości mężczyzny, za którego wyszła; w marzeniach, które snuła.

Ale on odsuwa się i wymierza jej siarczysty policzek. Miriam zatacza się w tył, oszołomiona, drugi cios jest tak mocny, że posyła ją na podłogę.

– Mierzysz mnie. – Axel się krzywi. – Ty oszustko. Jego też zamordowałaś?

– Kogo? – Miriam kładzie palce na policzku, który mrowi i kłuje, jakby miała pod skórą tłuczone szkło.

– Michaela. Zamordowałaś go w ten sam sposób? Usuwając ciążę.

– Nie! Przecież wiesz, że kochałam Michaela.

– Ale go nie donosiłaś, urodziłaś za wcześnie.

– To nie była moja wina, przecież się starałam. A przypomnij sobie, co ty mi wtedy zrobiłaś, w nocy, chwilę przed tym, jak go straciliśmy. Zrobiłaś mi krzywdę.

– I nigdy sobie nie wybaczyłem, ale lekarze powiedzieli, że to i tak musiało się stać. Nie mogliśmy tego w żaden sposób uniknąć.

– Trzeba było mnie nie gwałcić – mówi Miriam cicho.

– Gwałcić? Gwałcić?! Miriam, ja jestem twoim mężem. Spójrz na siebie, stoisz tak prawie całkiem naga i patrzysz na mnie z pożądaniem, a ja co? – pyta, teatralnie wymachując rękami. – W ogóle mnie nie pociągasz.

– Bo ty chcesz mnie tylko krzywdzić.

– Krzywdzić? To ty złamałaś mi serce.

– Nie będę tego dłużej słuchać. – Miriam naciąga spodnie. – Wszystko mi jedno, czy mam się gdzie podziąć, czy nie. Nie mogę być blisko ciebie, Axel. Rozwód, szpital albo więzienie. Wszystko mi jedno. Byle nie to, co jest teraz.

Na drżących nogach wychodzi do przedpokoju, zdejmując z wieszaka płaszcz.

Nie słyszy jego kroków za plecami, nie widzi uniesionej ręki ani wyrazu jego oczu, ale czuje na szyi jego mokre od potu palce, a potem jej twarz spotyka się z drzwiami.

– Miriam, Miriam, Miriam – mówi Axel, a ona zatacza się, ogłuszona uderzeniem.

Chwyta ją za ramię, odwraca ku sobie.

Jego dłoń wpija się w jej gardło, odbiera zdolność ruchu. Bezwład rezygnacji poraża kończyny, im bardziej mu się wrywa, tym mocniej zaciskają się jego palce, aż w końcu oczy zasnuwają się czerwoną mgiełką.

– To nie wystarczy – mówi on i pochyla się, aby spojrzeć Miriam prosto w oczy. Jej plecy dotykają już drzwi.

W nagłym przebłysku, trwającym raptem milisekundę, Miriam rzuca się naprzód, uderzając go czołem w nos. Axel zatacza się w tył, kryje twarz w dłoniach, spomiędzy palców cieknie mu krew. Miriam skulona, cofa się w głąb korytarza, w kierunku pokoju ojca.

Własny dom stał się dla niej potrzaskiem.

Oczy Axela są czarne, z nosa kapie mu krew.

– Ja... Ja... – Miriam nie jest w stanie wydusić ani słowa.

– Jeśli ja nie mogę cię mieć... – sapie Axel i rusza do przodu, a ona odruchowo ucieka do łazienki, ale potknąwszy się w progu, pada jak długa. Axel łapie ją za kostki, wciąga pod siebie i siada na jej piersi, sięgając do gardła, po czym zaciska na nim obie dłonie. Jego krew kapie jej prosto w oczy. Żebra trzeszczą pod ciężarem. Miriam zaczyna się dusić i chociaż kopie z całych sił, drapie go po rękach, robi wszystko, aby chociaż drgnąć...

Nic się nie dzieje.

Pogrąża się w ciemności, zalana czernią bijącą z jego oczu. Nic już nie widzi.

Otwiera oczy, ale wokół tylko trzeszczy mrok.

Ciało zaprzestaje walki.

Dłonie zaciśnięte na rękach Axela opadają.

Unosi ją morze o aksamitnych falach.



# HEINRICH

Przez tyle lat nie udało mi się ustalić, czy Frieda naprawdę umarła.

Myślałem o niej często, ale widziałem tylko obozowe uniformy. Słyszałem śmiech. Czulem w ustach smak płomieni i popiołu z ludzi. Miałem całkowicie zmartwiałe nogi i nie byłem w stanie poruszyć choćby palcem. Godzinami tkwiłem zeszywniały w fotelu, usiłując siłą woli zmusić mięśnie do pracy, lecz nie chciały słuchać. Dręczyło mnie niemiłosierne klucie i pieczenie w nosie, a oczy to łzawiły, to wysychały kompletnie i każde mrugnięcie okupywałem krwawymi łzami, jakbym pod powiekami miał papier ścierny. Gdyby nawet Frieda była na wyciągnięcie ręki, po drugiej stronie ulicy, nie zdołałbym zrobić najmniejszego ruchu.

W końcu, po latach ślęczenia za biurkiem i katowania się studiowaniem map oraz lekturą wojennych wspomnień, w których szukałem jej imienia, z nieoczekiwaną pomocą przyszło mi radio:

Przerywamy audycję, aby poinformować, że demonstranci burzą mur berliński. Pomimo obecności sił policji demonstracja ma charakter pokojowego protestu. Ludzie, zarówno młodzi, jak i starsi, rozbierają mur młotkami, kamieniami, a nawet gołymi rękami. O ile wiadomo, nikt nie odniósł obrażeń. Mur berliński przechodzi do historii...

I wtedy, jak gdyby głos radiowego spikera w jednej chwili stopił łańcuchy, którymi byłem przykuty do biurka, wstałem, zgarnąłem do torby kilka

drobiazgów i z portfelem pełnym pieniędzy z domowego sejfów wyszedłem z mieszkania, zostawiwszy klucz na dole, u Ludwiga.

Daleko jednak nie zaszedłem.

## MIRIAM

Ktoś krzyczy, krzyczy do niej. Głos dobiega z głębi ładu, z bardzo daleka. Rozlega się potężny łoskot, ogarnia ją, ogłusza na nowo.

Miażdżący gardło chwyt słabnie. Miriam czuje pod plecami wykładzinę, a na sobie – bezwładne ciało Axela. Chce zepchnąć go na bok, ale nie ma sił poruszyć takiego ciężaru. Nagle dostrzega w górze jakiś cień. Nie jest w stanie jasno myśleć, ale wie, że ktoś tam jest.

Eva!

Eva unosi wysoko domofon, cały aparat, razem ze słuchawką, i jeszcze raz wali nim Axela w głowę. Słysząc cichy brzęk i coś pęka z trzaskiem; Miriam odwraca głowę i wymiotuje. Axel zsuwa się z niej.

Spycha go do końca, odzyskuje swobodę.

Eva chwyta ją pod pachy, pomaga wstać. Miriam chwieje się niepewnie na wszystkie strony, w końcu opiera się o ścianę i powoli osuwa z powrotem na podłogę.

Wodzi wzrokiem za Evą, która okrywa ją własnym płaszczem, a potem ociera jej twarz rękawem swojej sukienki. Przed oczami wciąż latają jej plamki, ale Eva bierze ją w ramiona i podtrzymuje. Widok Axela leżącego bezsilnie w przedpokoju jest szokujący.

– On nie żyje? – pyta Miriam szeptem.

– Żyje. Zobacz, oddycha.

Rzeczywiście, jego pierś unosi się i opada do wtóru głuchych stęknień. Miriam podnosi się z podłogi i cofa na miękkich nogach, depcząc przy tym stopy Ewy.

Axel leży, jak leżał.

– Dzwonimy po policję?

– Może lepiej po pogotowie.

Miriam dostrzega niepokój i troskę na twarzy Ewy.

– Zdaje się, że ty też potrzebujesz fachowej opieki, Miriam.

– Nic mi nie jest – odpowiada odruchowo, ale tak naprawdę nie potrafi tego ocenić.

Eva szczerzej otula ją swoim płaszczem i zapina kilka guzików, a potem ujmując pod rękę i wyprowadza z mieszkania. Schodzą razem po schodach.

Pod drzwiami wejściowymi Miriam przystaje, przyglądając się światłom z zewnątrz, odbitym po tysiackroć, podobnym do gwiazd uwięzionych w szkle. Eva podsuwa jej telefon i gestem pokazuje, żeby mówiła.

– Tu centrala, słucham, co się stało? – pyta kobiecy głos.

– Chciałam wezwać pogotowie – Miriam chrypi do słuchawki.

Patrzy, jak pakują Axela do karetki: nogi okryte białym kocem, usta i nos zasłonięte maską tlenową, twarz ciemna od zaschniętej krwi, prawie czarnej na tle bladej skóry.

Sama też ma ramiona otulone kocem, a obok niej stoi Eva.

– Jak otworzyłaś mieszkanie? – pyta ją Miriam. Głos ma zdławiony i gardłowy, każde słowo sprawia jej ból.

– Zajrzałam do ciebie niedawno. Nie zastałam cię w domu, a ślusarz, który wymieniał zamek, myślał, że ja to ty. Nie zadałam sobie trudu, aby wyprowadzić go z błędu.

– Masz klucz?

Eva unosi w palcach złoty kluczyk, podsuwa go do światła.

– Wybacz. Martwiłam się o ciebie.

– Przepraszam. – Ratownik z pogotowia przerywa im rozmowę. – Czy możemy panią zbadać?

Miriam pozwala się ostukać i obmacać, odpowiada na pytania, a potem dowiaduje się, że powinna pojechać do szpitala na obserwację. Obejrząwszy jej obolałą, spuchniętą szyję, jaskrawy krwiak na policzku i guz na środku czoła, ratownicy uznają, że obrzęk może spowodować dalsze uszkodzenie krtani i że mogło dojść do urazu głowy.

– W szpitalu jest Axel – oznajmia Miriam. – Nie zbliżę się do niego.

– W takim razie proszę na siebie uważać. Jeśli wystąpią zawroty głowy, zaburzenia widzenia albo nasilony ból w okolicy szyi, koniecznie trzeba się zbadać.

– Dopilnuję tego – zapewnia ratowników Eva.

Miriam bierze ją za rękę, ścisca mocno.

– Dziękuję, że przyszedłeś do mnie.

Ratownicy pakują rzeczy i przed odejściem życzą im szczęśliwego Nowego Roku.

W holu nagle robi się zimno. Miriam dostaje dreszczy i nie może nad nimi zapanować, dopóki nie wróci do mieszkania. W powietrzu wisi tam nieznośny smród wymiocin zmieszany z ostrą wonią rdzy. Eva otwiera kilka okien, a potem pomaga jej obmyć twarz i ręce z krwi. Miriam zasłania duży plaster na ręce, bez ubrania czuje się nieswojo, jednak Eva nie zwraca uwagi na ten szczegół. Grzeje dla niej grubym ręcznikiem, a Miriam wyciera się nim i szybko ubiera. Wciąż trochę się trzęsie, więc Eva pomaga jej zapiąć guziki. Opatulona swetrem narzuconym na koszulkę z krótkim rękawem, Miriam naciąga na dłonie jedwabne rękawiczki po mamie.

– Piękne – komentuje Eva.

– Kiedyś nosiła je mama.

– Twój ojciec nie zrobił porządku z jej rzeczami, kiedy umarła? – Bierze roztrzęsione dłonie Miriam w swoje. – Są piękne – powtarza.

– Chcę o nie dbać i chyba ten sposób się sprawdza.

– O dłonie?

– Tak. Już prawie się wygoiły. I nie dałam się Axelowi. Evo... – Miriam zanosi się szlochem. – Przepraszam.

Eva długo trzyma jej dłonie.

– Widziałam jego twarz – mówi wreszcie. – Naprawdę mu się postawiłaś, co?

– Tak. Tak, naprawdę. – Miriam trzęsie się i płacze, dopóki nie usiądzie z kubkiem gorącej kawy, który ściska mocno, starając się nic nie rozlać i nie poplamzić rękawiczek.

Eva zbiera z podłogi drobniutkie kawałki papieru i nie pytając, co to takiego, układa je starannie na stole w jadalni, obok listów, które tłumaczyła.

– Gdzie to ma leżeć? – Unosi w palcach torebkę pełną leków.

– Pewnie niedługo przyjdzie policja, może to jest dowód rzeczowy? Lepiej to chyba zostawić.

– Policja? Dlaczego?

– Bo Axel był w kiepskim stanie. Poza tym... – Miriam chce powiedzieć, że teraz może jej uwierzą, ale od razu budzi się w niej drżąca niepewność. – Chyba nie umarł, jak sądzisz?

– Nie, będzie go tylko bolała rozbita głowa i złamany nos. Pierwsze pamiątka ode mnie, a drugie – od ciebie. Niech się cieszy, że nie oberwał mocniej.

– Będziemy miały kłopoty.

- Z jakiej racji? Przecież on chciał cię zabić.
- Powiesz to policji?
- Policja ma lepsze rzeczy do roboty, niż rozmawiać ze mną. – Eva odwraca się, chce iść do kuchni.
- Zaczekaj, zostań, usiądź.
- Nie mogę. Muszę coś zrobić, czymś się zająć, bo jeśli się zatrzymam, to... – Milknie. – Bardzo się bałam, że nie zdążę. Widziałam, jak Axel tutaj wchodzi, dzwoniłam domofonem, ale nie odebrałaś, a twój dozorca nie chciał mnie wpuścić. On sobie chyba wyobraża, że jest ze Stasi, cholera jasna.
- Ale mojego męża wpuścił. – Miriam kręci głową.
- Po chwili ciszy, która aż grzmi w czterech ścianach, Miriam wydaje z siebie cichy jęk, a gdy Eva zwraca na nią uwagę, znów kręci głową.
- Ale się porobiło... – wzdycha.
- Moim zdaniem wykazałaś się odwagą. Byłam kiedyś w więzieniu, bo podpadłam „wywiadowi” Stasi. Regularnie brali mnie tam na „rutynowe” przesłuchania. Zamykali w izolatce, pozbawiali snu i światła. – Eva bierze głęboki oddech. – Raz w miesiącu zamykali mnie na czterdzieści osiem godzin. Po śmierci mojego męża było tego już mniej, to chyba miał być sposób, aby umocnić jego lojalność wobec partii. – Ostatnie słowo wymawia byle jak, z pogardą. – Raz na takim rutynowym przesłuchaniu myślałam, że już naprawdę nie dam rady, ale nagle coś zrozumiałam. Coś większego niż to wszystko. – Robi dramatyczny gest. – To było olśnienie, maleńka złota plamka. Światło. Dało mi cel, dało mi powód i to właśnie dostrzegłam w tobie, kiedy rozmawialiśmy na tej dzwonnicy. Wszystko można zabić, kiedy zamknie się to za murem. – Składa kciuki i palce wskazujące razem, w jeden duży pierścień. – Ale jeśli jest choć trochę światła, jeśli tli się nadzieja... – Rozsuwa dłonie. – To nie ma takiej rzeczy, której nie da się przetrwać. Listy i poszukiwania Friedy dały ci cel, a ja chciałam, żebyś walczyła dalej, nie oglądając się na nic.
- I dlatego nazwałaś mnie myszą. – Miriam się śmieje, ale w przeciągu jej głos brzmi piskliwie i wkrótce obie parszczą śmiechem.
- Chciałam, żebyś dalej walczyła – powtarza Eva. – I bardzo się bałam, że się poddasz. Tak jak Clothilde.
- Clothilde, twoja córka? – powtarza Miriam, zdumiona. – Co się z nią stało?
- Nie wiem. I chyba się nie dowiem. Przestała walczyć, przestała mnie odwiedzać i już nigdy więcej nie zobaczyłam moich wnuków. Philippe trochę chorował, ale to, że musiał patrzeć, jak jego córka ulega swojemu mężowi, funkcjonariuszowi Stasi... To było zbyt wiele. Nie mogłam jej pomóc.

Miriam odwraca głowę, by Eva mogła dyskretnie wytrzeć oczy i wziąć się w garść.

A potem, dobitnie i wyraźnie, mówi tak:

– Ale mnie pomogłaś, chociaż niczym sobie na to nie zasłużyłam.

Przez długą, bardzo długą chwilę obie milczą.

– Coś mi przyszło do głowy – odzywa się w końcu Miriam. – Te listy są ponadczasowe i powinny znaleźć się w muzeum albo w jakiejś książce. Inaczej te kobiety i ich losy czeka zapomnienie.

– Nie czeka, bo ty o nich wiesz i pamiętasz.

– Owszem, ale inni też powinni przeczytać te listy.

– Być może. Sama zobaczysz, jak się poczujesz, kiedy przeczytasz już wszystkie. Należą do ciebie, tak samo jak decyzja o ich losie. Zauważyłam w gazecie twoje ogłoszenie na temat Friedy – dodaje Eva. – Dlatego dzisiaj przyszłam. Musisz przeczytać listy do końca. Chyba znajdziesz w nich to, czego szukasz.

– Naprawdę? – dziwi się Miriam. – Przecież ona umarła, tak czy nie?

– Myślę, że powinnaś przeczytać wszystkie listy do końca – wolno powtarza Eva. – Potem zrobisz to, co uznasz za słuszne.

Wstaje, aby przynieść Miriam ostatnią partię. Kładzie listy na stole, obok na krześle leży torba z pasiakiem.

– Ale najpierw zjedzmy – proponuje. – Zaparzę świeżej herbaty. – Spogląda na wzorzystą torbę. – Niesamowite, że to przetrwało tyle lat.

Wychodzi i po chwili z kuchni dobiegają odgłosy krzątania i szum wody nalewanej do czajnika. Miriam zapada się głębiej w oparcie kanapy. Zamknąć oczy, na moment, tylko na moment...

# HEINRICH

Siedziałem w autobusie pełnym ludzi jadących z Charlottenburga do Checkpoint Charlie. Wokół czarne marynarki i teczki, wczorajsze wiadomości na stronach otwartych gazet i jałowe rozmowy, które stały się tłem dźwiękowym mojego przyszłego życia. Wreszcie udało mi się ruszyć z miejsca i uśmiechałem się mimo woli, a nawet postukiwałem butem, nie bacząc na to, że trochę rzuca. Miałem wreszcie poznać los Friedy i nie wiedzieć czemu byłem pewny, że ta wędrówka zacznie się u stóp muru.

Minęło tyle lat i byłem już gotowy. Gotowy, aby spojrzeć prawdzie w oczy, zmierzyć się z tym, co uczyniłem, w końcu zyskać ostateczną wiedzę. I nagle pod czaszką, głęboko za oczami, wybuchł mi wulkan bólu. A jeśli ona przeżyła? Spójrzy na mnie i zobaczy wszystko. Wszystko, co zrobiłem.

*Że wrzucałem ludzi do pieców w krematorium i ani razu nie sprawdziłem, czy ktoś może jeszcze żyje.*

Wulkan zalał mi twarz płonąca magmą.

*Że się nie sprzeciwiłem, nie stanąłem w obronie tego, co słuszne.*

Wybuch rozsadził mi czaszkę.

*Żar pochłania mnie całego, jedno mgnienie oka i pogrążę się w płomieniach.  
Powstanie ze mnie popiół.*

*Ukraść kromkę chleba, przeżyć do rana.*

Zadrżałem, czując ogień zbliżający się do serca.

*A tak wielu umarło. Ilu z nich sam zabiłem?*

Płomienie połykają moją rękę.

A więc koniec. To się musi skończyć.



## MIRIAM

Pogrążona w ciemności, opada na dno morza. Listy Friedy krążą wokół niej niczym maleńkie ławice ryb. Na szyi ma ciasno zadzierzgnięty sznur, drugim końcem przymocowany do zardzewiałej, poczerniałej kotwicy, mocno wbitej w dno. Nagle listy-ryby pierzchają, kotwica podrywa się w górę. Słyszając łoskot, Miriam otwiera oczy.

Prostuje się gwałtownie, w pełni gotowa, choć nie wie na co. Koc, którym była okryta, zsuwa się na jej kolana.

– Miriam Voigt! – woła ktoś.

– Tak – potwierdza zdławionym głosem Miriam, po czym dotyka dłońmi szyi, lecz natychmiast je cofa, jakby się sparzyła.

Wstaje i idzie otworzyć drzwi. W korytarzu stoją dwaj policjanci, ci sami, którzy byli u niej po „zajściu” w szpitalu. Na ich twarzach maluje się niepokój.

– No, dzięki Bogu – mówi Sperling, ten młodszy. – Już mieliśmy wyważyć drzwi.

– Bo ja... – zaczyna skrzekliwie Miriam i szybko zniża głos do szeptu. – Spałam. – To słowo jest bezdźwięczne, obrzmiałe. – Która godzina?

– Jeszcze wcześniej, przepraszamy, że obudziliśmy – włącza się drugi policjant. – Chciałem sprawdzić, jak się pani czuje. Muszę też zadać pani kilka pytań, aby porównać zeznania i ustalić, co tu wczoraj zaszło.

Miriam otwiera drzwi na całą szerokość, a funkcjonariusze, po wejściu do środka, kierują się w to samo miejsce co wcześniej, siadają na tych samych krzesłach i jednocześnie wyjmują czarne notesy. Dochodzenie synchroniczne.

– Czy potrzebny pani lekarz? – pyta Sperling. – Podobno też odniosła pani obrażenia.

– Ratownicy z pogotowia powiedzieli, że mogę zostać w domu... – Miriam urywa w pół zdania. – Przepraszam, bardzo boli mnie gardło. – Rozgląda się za

Ewą, ale nigdzie jej nie ma. – Widzieli panowie moją przyjaciółkę? Może była na dole? – Wyciąga szyję, aby sprawdzić, co jest za ich plecami. Dom sprzątnięty, światło w kuchni wyłączone.

Policjanci wymieniają spojrzenia.

– Nie, nikogo nie widzieliśmy – odpowiada jeden z nich. – Przyszliśmy, ponieważ pani mąż, który trafił do szpitala, złożył na panią skargę. Twierdzi, że uderzyła go pani czymś w głowę. Nie wie czym, ale stracił przytomność, czy to się zgadza?

– Tak, ale...

– Wezwała pani pogotowie i zabrano go do szpitala.

– Tak. Czy nic mu nie jest?

– Kilka szwów, złamany nos, ale poza lekkim wstrząśnieniem mózgu wszystko w porządku.

– To dobrze – komentuje Miriam, chociaż wcale nie jest pewna, co chce przez to powiedzieć.

– Czym uderzyła pani męża?

– To nie ja.

– A kto?

– Moja przyjaciółka, która przyszła mnie odwiedzić. To ona go uderzyła. Uratowała mi życie. Axel próbował mnie zabić.

Policjanci przezornie zapisują to w swoich notesach.

– Czy może pani pokazać, w którym miejscu to się stało?

Miriam wstaje z krzesła i zatacza się ciężko, drżąc na całym ciele.

– Dobrze się pani czuje? Może piła pani alkohol albo brała jakieś leki?

Miriam kręci głową.

– Nie, po prostu mi zimno. Chyba już nic mnie nigdy nie rozgrzeje. – Prowadzi policjantów do przedpokoju i pokazuje, w którym miejscu Axel przewrócił ją na podłogę i usiadł na niej. – Jego krew kapłała mi na twarz – dodaje, przyglądając się wykładzinie. Beżowej wykładzinie.

– Krwawił? Dlaczego?

Miriam obraca się, wskazując ręką drzwi.

– Zacisnął mi ręce na szyi, pochylił się, aby mnie widzieć. Myślę, że chciał mnie zabić, chciał patrzeć, jak umieram. – Znów wstrząsa nią dreszcz, ale tym razem nie z zimna. – Uderzyłam go w nos, poszła krew, a ja próbowałam uciec.

Starszy z policjantów, Niemann, wskazuje Sperlinga, który kucnął w głębi korytarza.

– Dobrze. I co dalej?

– Usiłowałam zamknąć się w łazience, ale potknęłam się o próg, a wtedy mnie dopadł, usiadł mi na piersi i... i... byłam już bliska utraty przytomności. Jego krew lała się prosto na mnie.

– I co wtedy się stało?

– Zjawiała się moja przyjaciółka i uderzyła go w głowę, a kiedy zsunął się ze mnie, pobiegłyśmy na dół, żeby zadzwonić po karetkę.

– Czym go uderzyła?

– Domofonem. – Miriam odwraca się. Domofon zniknął z przedpokoju. Cztery śrubki, na których wisiał, sterczą ze ściany, ale aparatu nie ma. Rozgląda się, idzie do kuchni, włącza światło, długie świetlówki mrugają i migoczą. Cofa się, chcąc wyjść i wpada na młodszego z policjantów.

– Gdzie się podział domofon? – pyta funkcjonariusz Sperling.

Miriam milczy. Wychodzi do salonu, szukając jednej rzeczy. Zagląda do pokoju ojca, potem do pokoju mamy i wreszcie do swojego. Otwiera gabinet, drzwi z trzaskiem uderzają o biblioteczkę.

– Gdzie jest domofon? – Pytanie powtarza starszy policjant. Miriam otwiera drzwi do mieszkania, wygląda na korytarz. Nic.

– Chwileczkę – mówi funkcjonariusz Sperling. – Proszę wrócić do środka.

– Nie ma go – chrypi Miriam.

– Nie szkodzi. Proszę wejść, jeszcze nie skończyliśmy.

Wraca do przedpokoju, zataczając się jak otępiała. Odnajduje wzrokiem miejsce, gdzie Axel przygwoździł ją do podłogi.

– Nie ma plam? – pyta. – Krew lała mu się z nosa, cała wykładzina była zaplamiona, o, tutaj. – Pokazuje gestem.

Młodszy z policjantów znowu się pochyla, przesuwa palcami po wykładzinie.

– Wilgotna – mówi, cofając dłoń. Ogląda się na starszego kolegę, a potem na Miriam.

– Kiedy pani posprzątała?

– To nie ja. – Miriam ściąga rękawiczkę i zaczyna się drapać, od kostek palców aż po nadgarstek, orząc paznokciami skórę i powietrze.

Policjant kładzie dłoń na jej dłoni.

– Niech pani opowie wszystko od początku.

– To nie ja, ja tylko się przebrałam i zmyłam go z siebie. Nie sprzątałam. Pewnie Eva to zrobiła.

– Ta przyjaciółka, o której pani mówiła?

– Tak, Eva.

– A jak nazwisko?

Wyleciało jej z głowy.

Kolejne pytania, jest ich mnóstwo i trwa to jakiś czas. W końcu funkcjonariusz Niemann, który do tej pory mało się odzywał, zabiera się do podsumowania.

– Czyli tak: nie ma pani telefonu do tej kobiety. W bibliotece poznała pani jej krewnego, który ma na imię Jens. Nie zna pani jej nazwiska. Nie wie pani o niej nic, oprócz tego, że zagląda do biblioteki, mieszka w pobliżu i niedawno przyjechała z Niemiec Wschodnich. I ta kobieta tłumaczyła listy do pani ojca?

Miriam przytakuje.

– Gdzie są te listy?

– Na stole.

Orzechowy blat lśni przepyszny odcieniem brązu. Nie ma na nim absolutnie nic oprócz torebki z lekami ojca oraz kilku zdjęć, na których Miriam z przerażeniem rozpoznaje Michaela. Staje nad stołem, muskając palcami gładką powierzchnię blatu.

– Nie rozumiem – mówi.

– Proszę jeszcze raz opowiedzieć, co się wydarzyło wczoraj wieczorem, dobrze? Zjawił się pani mąż...

Przepytywanie ciągnie się godzinami, tak przynajmniej wydaje się Miriam, która nie ma już pojęcia, co mówić.

– Przyjaciółka uderzyła pani męża w tył głowy?

– Domofonem – uściśla Miriam.

– Jeden raz?

Szybko kiwa głową, ale potem przypomina sobie, że nie, dwa razy. Nie mówi już tego. Myśli o Evie, której zawdzięcza ratunek. Gdzie ona się podziała? Miriam jest roztrzęsiona i poruszona, nie potrafi usiedzieć w miejscu.

Pokazuje policjantom ślady na szyi, a za każdym razem gdy słyszy swój głos, obniżony i zdławiony, upewnia się, że mówi czystą prawdę.

– Będzie pani musiała wkrótce przyjść na komendę – informuje ją funkcjonariusz Sperling. – Trzeba zrobić obdukcję i zdjęcia szyi. Może też lepiej się pani to wszystko poukłada w głowie, kiedy pani trochę odpocznie. Zdaję sobie sprawę, że pewnie wciąż jest pani w szoku.

– Ale te ślady to dowód, prawda? Niczego nie zmyślam. Nie jestem chora. Zostałam napadnięta i poniosłam uszczerbek na zdrowiu, mam ślady na szyi i słychać, jak mówię. – Recytuje tę listę dla siebie, przynosi jej otuchę: to

wszystko stało się naprawdę, w rzeczywistości, nie w jej głowie. – Nie mogą mnie teraz zamknąć, prawda?

– Zamknąć? Gdzie?

– W szpitalu. Axel, kiedy teraz przyszedł, proponował mi, że podpisze dokumenty rozwodowe, jeśli zgłoszę się dobrowolnie do szpitala psychiatrycznego. Nie chciałam się zgodzić. Nie jestem wariatką. – Miriam wstaje, bierze ze stołu torebkę z lekami. – Powiedział, że otumani mnie lekami, żebym wyglądała jak... sama nie wiem co i że wtedy wezmą mnie do szpitala. Nie jestem wariatką – powtarza, mając świadomość, że to było o jeden raz za dużo. Policjanci znów spoglądają po sobie.

– Czy to są te leki, które miał pani podać? Siłą, jak rozumiem? – Sperling wyjmuje jej z ręki torebkę, po kolei czyta etykiety. – Heinrich Winter. – Unosi wzrok.

– To mój ojciec.

– Skąd Axel to wziął?

– Powiedział, że z hospicjum.

– Czy kiedy pani opiekowała się ojcem, w mieszkaniu też były leki? – pyta funkcjonariusz Niemann.

– Mogę to wziąć? – wchodzi mu w słowo Sperling.

Miriam kiwa głową.

– Wierzą mi panowie, prawda?

– Teraz musimy omówić tę sprawę z naszym sierżantem, a jutro przeprowadzimy kolejną rozmowę z pani mężem. Podczas wizyty na komendzie opíše pani całe zajście, ale mąż nie powinien już pani niepokoić. Da sobie pani radę?

– Tak – mówi Miriam, już nie do nich, ale za nimi.

Zamyka drzwi i spogląda na podłogę. Rzuca jej się w oczy kurz na listwie wykończeniowej pod ścianą i różowawe plamki na wykładzinie. Zabiera się do pracy. Eva sprzątnęła, ale z tylko z grubsza; kiedy Miriam skończy, wykładzina znów będzie beżowa.

Otwiera wszystkie okna i czyści po kolei każdy kąt. Mieszkanie ma wyglądać jak należy. Za oknami słycać wesołe nawoływania ludzi, którzy jeszcze nie skończyli świętować Nowego Roku. Powietrze jest zimne i czarne.

Dopiero spojrzawszy na stół w jadalni, Miriam przypomina sobie, o listach, które zniknęły. Zamiast nich leży tam jedyne zdjęcie, jakie jej pozostało: maleńki

kopczyk podartych skrawków.

Błyszczący blat wygląda zupełnie inaczej, bo ostatnio szumiało tutaj morze białych kartek.

– A więc to koniec – mówi głośno do czterech ścian.

Staje nad tym kopczykiem, próbuje poukładać skrawki z powrotem. Nie udaje się. Wynosi je do gabinetu ojca i wsypuje do koperty, a na kopercie pisze imię: Michael. Zostawia ją na biurku, pod przyciskiem do papieru, po czym wraca do salonu i pozwala łzom popłynąć.

## MIRIAM

Przełyka odrobinę ziołowej herbatki i sprawdza, czy może mówić, a następnie podnosi słuchawkę. Mieszkanie jest nieskazitelnie wysprzątane, a przez uchylone okna wpada mroźne, świeże powietrze.

– Dzień dobry, Susi, mówi Miriam Voigt.

– Szczęśliwego Nowego Roku.

– Wzajemnie.

– Źle się czujesz? Twój głos brzmi tak dziwnie.

– Wszystko w porządku – chrypi Miriam. – Jak się czuje tata?

– Dobrze, bez większych zmian, pytał tylko dzisiaj o Friedę. To imię twojej mamy?

– Nie, Frieda to znajoma z dawnych lat.

– Tata zadomowił się już u nas i kilka razy usiadł w łóżku. Na razie wciąż jest zdezorientowany. Zmieniliśmy mu dzisiaj rurkę do żywienia dojelitowego. Nie wygląda to pięknie, niestety, sama zobaczysz, kiedy przyjdiesz, ale w ten sposób może się lepiej odżywiać, to chyba zda egzamin. Biedak był bliski śmierci głodowej. Co oni wyprawiają w tych szpitalach, nie wiem, doprawdy. – Nagle w słuchawce rozlega się głośnie chrupnięcie. – Przepraszam cię, Miriam – mówi Susi stłumionym głosem. – Mam teraz przerwę, więc wrzuciłam coś na ząb, niestety, bardzo to chrupie. – Śmieje się.

Miriam uśmiecha się mimo woli.

– Dzięki, Susi.

– Zajrzysz jutro?

– Tak.

Ale po odłożeniu słuchawki Miriam stwierdza, że nic, absolutnie nic nie trzyma jej w mieszkaniu: Eva się nie pojawiła, listów jak nie było, tak nie ma i nie wiadomo, co się stało. Naprawdę, nic jej tutaj nie trzyma.

Wychodzi i zaraz na korytarzu wpada na wysokiego, szczupłego policjanta. Widzi go pierwszy raz.

– Miriam Voigt?

– Tak.

– Czy mogłaby pani przyjść na komendę i odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących wczorajszego zajścia?

– Nie chcę. – Miriam potrząsa głową.

Obok niej pojawia się pan Ludwig.

– Wszystko w porządku? – upewnia się.

– Tak, dziękuję. – Miriam bierze głęboki oddech, policjant mierzy ją twardym wzrokiem. – Czy wrócę dzisiaj do domu?

– Sądzę, że tak.

– Mam komuś przekazać, gdzie pani jest? – dopytuje dozorca.

– Gdyby ją pan zobaczył, proszę jej powiedzieć. – Miriam woli przemilczeć imię Evy, nie chce narobić przyjaciółce kłopotów, bo przecież zawdzięcza jej życie. Może tylko mieć nadzieję, że pan Ludwig rozumie, o kogo jej chodzi.

Policjant wyprowadza ją na ulicę. Stoi tam radiowóz, a za kierownicą czeka drugi funkcjonariusz. Miriam zdejmuje płaszcz i, złożony go porządnie, wsiada. W środku jest czysto, a siedzenia są miękkie i wygodne. Kładzie płaszcz na kolanach, razem z torebką. Jazda trwa krótko, ale ona jest niespokojna i zdenerwowana ponad wszelkie wyobrażenie.

Na komendzie sadzają ją na plastikowym krześle. Fotografują jej szyję i rękę. Siniaki, skaleczenia, strupy i połamane paznokcie odcinają się bardzo mocno na białym tle, a po ostatnim zdjęciu Miriam marzy już tylko o tym, żeby się szczelnie zapiąć i zakryć to wszystko.

Potem prowadzą ją do salki przesłuchań i wskazują kolejne zimne, twarde krzesło z plastiku, tym razem koloru szarego. Stoi tam też biurko o blacie upstrzonym rysami, plamami, czarnymi śladami wypalonymi papierosem. Wygląda to jak bliźny po ospie. Naprzeciwko Miriam, z ciężkim westchnięciem, siada policjant, który sprawia takie wrażenie, jakby postarzał się na służbie razem z tym biurkiem; twarz ma tak samo ospowatą jak jego blat.

Przez długi czas trwa cisza, aż w końcu otwierają się drzwi i wchodzi policjantka w odprasowanej białej bluzce, niebieskiej plisowanej spódnicy i pantoflach na niskich, ostrych szpilkach. Miriam natychmiast przypomina sobie



jej nazwisko: Müller. To ona odwiedziła ją w szpitalu. Uśmiecha się do policjantki, a ta siada i kładzie na blacie biurka teczkę z dokumentami.

Ospowaty policjant włącza dyktafon, mówi do mikrofonu kilka słów i stawia urządzenie na stole.

– Frau Voigt, proszę powiedzieć, gdzie była pani wieczorem trzydziestego pierwszego grudnia, od godziny osiemnastej do dwudziestej pierwszej.

– W domu.

– Sama?

– Nie, zjawił się Axel, mój mąż. Nie wiem, o której dokładnie to było, wydaje mi się, że około ósmej. Wdarł się do mieszkania.

– Wdarł się?

– Tak. Myślałam, że to ktoś inny, więc otworzyłam drzwi, ale on uderzył w nie i zerwał łańcuch. A potem zamknął się ze mną w środku.

– To jest mieszkanie pani ojca?

– Zgadza się.

– Co było dalej?

Miriam nie wie, co zrobić, aby posunąć się naprzód. Ma mętlik w głowie.

– Co państwo robiliście: rozmawialiście, kłóciliście się, może coś jedliście? – Funkcjonariuszka Müller mówi cichym i łagodnym głosem. Miriam szuka słów, aby wiernie opisać tamten wieczór. Zwraca się wprost do niej, licząc na zrozumienie, chociaż policjantka od początku odnosi się do niej z rezerwą.

– Przyniósł ze sobą dokumenty rozwodowe, po zejściu w szpitalu wniosłam o rozwód.

Funkcjonariuszka Müller kiwa głową. Miriam odbiera to jako zgodę, aby mówiła dalej, a jednocześnie potwierdzenie, że policjantka ją pamięta.

– Powiedział, że podpisze co trzeba, jeśli zgodzę się na badanie psychiatryczne. Chce mnie umieścić w szpitalu. Poprosiłam go wtedy, żeby wyszedł.

– Poprosiła pani, żeby wyszedł?

– Tak. Po tym, co stało się w szpitalu, zrozumiałam, że jeśli chcę, aby traktowano mnie poważnie, muszę mu się przeciwstawić.

– A więc powiedziała mu pani, żeby wyszedł z mieszkania, ponieważ funkcjonariusz policji poradził pani, że tak trzeba zrobić, jeśli mąż będzie się pani naprzykrzał?

– No cóż, ten policjant nie powiedział, że koniecznie muszę tak zrobić, ale zasugerował, że nigdy nie stała mi się poważna krzywda, bo zawsze siedziałam cicho. Nigdy nie przeciwstawiłam się Axelowi, ponieważ od samego początku moja opinia i moje życzenia nie miały znaczenia.

Miriam zawiesza głos, pewna, że za chwilę przeszłość rzuci jej się do gardła, przesłoni wzrok, zdławi dech w piersi. Nabiera powietrza w płuca, gotowa się w niej pogrążyć.

Nic.

Zaczyna więc mówić dalej, zwracając się wprost do funkcjonariuszki Müller, która milczy i prawie się nie porusza. Jest młoda, ma gładką cerę i jasne włosy związane w kok. Dłonie trzyma złożone na kolanach.

Miriam zdaje sobie sprawę, że mówi dużo i niezbyt składowo. Głos przeciska się przez obolałe gardło i z każdym zdaniem robi się coraz niższy i bardziej zachrypnięty. Mimo to udaje jej się nie stracić kontaktu z rzeczywistością. Twarde plastikowe krzesło, zapach środków czystości, odór stęchłej kawy i papierosów. Nic więcej.

Jest lekko oszołomiona świadomością, że naprawdę powiedziała „nie”. Postawiła się Axelowi i nie tylko – przyznała się do tego policjantom, a oni nagrali na swój służbowy dyktafon, że Miriam powiedziała „nie”. Tak więc teraz ludzie dowiedzą się, co zrobiła i że zrobiła to całkiem poważnie. Ten jeden drobny szczegół, ten promyczek światła pomaga jej dumnie unieść głowę.

– Czy mąż wyszedł, kiedy to usłyszał?

– Nie, nie chciał wyjść. Oznajmił mi, że ja mogę wyjść, jeśli chcę, ale i tak nie mam się gdzie podziać. Powiedziałam mu więc jeszcze raz, żeby wyszedł. Postanowiłam, że mu się nie dam. Byliśmy przecież w mieszkaniu mojego ojca.

– Czyli postanowiła pani zostać? – pyta cicho starszy policjant.

– Nie miałam wyboru. Dokąd bym poszła? Do kogo? Moja mama nie żyje. Ojciec jest umierający. Nie mam nikogo. Nikogo – powtarza.

Funkcjonariuszka Müller podsuwa jej pudełko z chusteczkami. Miriam usiłuje się opanować, ale na próżno: zaczyna skomleć, klatka piersiowa zapada się jak ściśnięta obręcz, a obrzmiałe gardło jest sparaliżowane.

Czyjaś dłoń dotyka jej ramienia; to policjantka pochyla się nad nią i spogląda prosto w oczy. Pachnie świeżym płótnem.

– Przykro mi, że to panią spotkało. Mamy jeszcze kilka pytań. Przyniosę coś do picia. Co pani woli? Herbatę? Kawę? Wodę?

Miriam tłumi lekką czkawkę.

– Poproszę herbatę, z odrobiną mleka – mówi i nagle spływa na nią olśnienie, które jest niczym kropla w oceanie: nie zaczęła, żeby Axel powiedział, czego ma się napić, nie zapytała go o zdanie. Powiedziała wyraźnie, czego chce. – Proszę herbatę – powtarza, uśmiechnięta.

Nie jest sama. Nie może być sama, bo teraz nareszcie zaczyna poznawać samą siebie. Policjantka wraca z tacą zastawioną parującymi, trochę poobijanymi kubkami. Miriam bierze swój i popijając gorącą herbatę, grzeje sobie dłonie.

– Przepraszam – mówi, odzyskawszy głos. Ciepły napój ukoił ból gardła.

– Nic się nie stało. Ma pani za sobą ciężkie przejścia.

Miriam uśmiecha się, wiedząc, że w porównaniu z innymi jej przejścia nic nie znaczą.

– Wróćmy do momentu, kiedy mąż dał pani szansę wyjścia z mieszkania – odzywa się starszy policjant. – Możemy? Zastanawiam się, dlaczego nie zadzwoniła pani na policję.

– Z jakiej racji? Był w moim domu i rozmawiał ze mną, nic więcej. Państwo go nie znacie, to bardzo cierpliwy człowiek. Co miałabym powiedzieć policji? Że jest u mnie? Wyszłabym na skończoną wariatkę.

– Więc została pani w mieszkaniu.

– Tak – potwierdza Miriam, zauważając, że zaczęła się garbić i schowała dłonie głęboko pod płaszczem, tam, gdzie czuć już jedwabną podszewkę. – Żeby nie dać mu tego, co chciał. Wtedy, w szpitalu, skrzywdził mnie, to była napaść. I wykorzystał to potem, powiedział, że jestem chora, że to jest dowód mojej neurozy. Obrócił prawdę w kłamstwo.

Policjant otwiera usta, ale Miriam nie przerywa.

– Wiecie, że moje małżeństwo trwało ponad dwadzieścia lat? Tak długo byłam żoną człowieka, który robił wszystko, aby mnie zniszczyć. Straciłam pracę, przyjmowałam leki, po których zasypiałam albo przez cały chodziłam skołowana. Po jednych pigułkach ślinałam się jak pies, a po innych zasychało mi w ustach tak bardzo, jakbym miała język obłożony papierem ściernym. I to wszystko przez niego. To on zmuszał mnie do brania tych pigułek i tak manipulował lekarzami, że wciąż mi je przepisywali. Obwołał się moim opiekunem i odciął mnie od mojej rodziny, a ja, otumaniona lekami, nawet nie wiedziałam, co straciłam. Więc teraz chcę się z nim rozwieść i proszę, przyszedł i siedzę tutaj. Czy jestem aresztowana? – Na tym pytaniu głos jej się łamie. Unosi kubek do ust, aby wypić resztkę swojej herbaty.

– Miriam, poprosiliśmy panią na rozmowę tylko po to, aby poznać pani wersję wydarzeń – mówi funkcjonariuszka Müller.

– Moja wersja wydarzeń jest prawdziwa. Tak było. Wiecie teraz, że wolę do śmierci siedzieć w więzieniu, niż żyć z tym człowiekiem. Chętnie poszłabym do

zakładu psychiatrycznego, gdyby nie te leki. Po nich nie jestem w stanie myśleć, a tego nie zniosę.

– Miriam, czy pani mnie słucha? – Policjantka kładzie dłoń na stole. – Nic pani z naszej strony nie grozi. Widzieliśmy sine ślady na pani szyi, a obrażenia pani męża, złamany nos i podrapane nadgarstki pasują do pani opisu zdarzeń, mogły powstać podczas duszenia pani. Musimy ustalić coś innego i to jest poważna sprawa: z jakiego powodu zaatakowała pani męża? On twierdzi, że uderzyła go pani domofonem, czy to prawda?

– Nie. Traciłam już przytomność, nie mogłam oddychać, myślałam, że umieram. Wtedy chyba Eva uderzyła go tym domofonem, bo przestał ścisnąć mi gardło i zsunął się ze mnie. Upłynęło mnóstwo czasu, zanim oprzytomniałam, i wtedy zobaczyłam Evę. Uratowała mi życie.

– W jaki sposób ta Eva weszła do pani mieszkania?

– Otworzyła sobie drzwi. Po niedawnej wizycie Axela zmieniłam zamki. Eva ma nowy klucz.

– Długo ją pani zna?

– Niezbyt, to dawna znajoma moich rodziców – odpowiada Miriam bez zastanowienia, choć to nie do końca prawda.

– Gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem.

– Czy ma pani na nią jakiś zamiar, adres, telefon? Musimy to potwierdzić.

– Będzie miała kłopoty?

– Raczej nie, ale takie zajście...

– Czy Axel będzie robił problemy?

– Owszem, złożył skargę, ale skoro to on panią zaatakował, to nie możemy prowadzić żadnych czynności w tym kierunku.

– I to w pani własnym domu – dodaje starszy policjant. – Mąż zeznał też, że podpisał dokumenty rozwodowe i zostawił je u pani, czy to prawda?

– Nie mam ich. – Miriam kręci głową. Nagle ogarnia ją znużenie; płacz to wyczerpujące zajęcie. Usiłuje się skupić, ale herbata tak ją rozgrzała, że oczy same się zamykają.

– Widzimy, że jest pani bardzo zmęczona. Będziemy w kontakcie. – Funkcjonariuszka Müller dotyka palcami leżącej na biurku teczki. – Mamy szczegółowe informacje na pani temat. Proszę też zaprosić w naszym imieniu swoją znajomą, z nią też musimy porozmawiać. Dozorca z pani kamienicy... – Sprawdza na kartce. – Herr Ludwig Ambrosius. Zeznał, że w zajściu brała udział osoba trzecia, więc wszystko powinno się zgadzać, ale musimy ją przesłuchać.

– Oczywiście. – Miriam wstaje, widząc, że dwójka policjantów podnosi się z krzeseł. – Dziękuję. – Podaje im rękę. Kolana uginają się pod nią. – Przepraszam, że tyle płakałam – mówi skrzekliwie, głos znów odmawia jej posłuszeństwa.

– Niech pani idzie z tym gardłem do lekarza.

Miriam wychodzi, szeleszcząc niesionym na rękę płaszczem. Nagle dobiega ją znajomy głos.

– Nazywam się Eva Bertrandt. Usiłowałam zabić Axela Voigta.

Ogląda się. Przed biurkiem dyżurnego stoi Eva. Jej słowa rozlegają się głośno i dobitnie w pustym korytarzu. Podaje dyżurującemu policjantowi domofon, który przyniosła na rękach, tak jak nosi się dziecko.

– Evo, nie... – mówi Miriam, ale wychodzi z tego tylko jakieś niedosłyszalny skrzek. – Evo... – powtarza, odchrząknąwszy, i rusza w jej kierunku, ale starszy policjant, który z nią rozmawiał, wyszedł już z salki przesłuchań i zaprasza Evę do środka, ustawivszy się pomiędzy nią a Miriam. Funkcjonariuszka Müller też wychodzi, zatrzymuje Miriam wyciągniętą ręką.

– Ona go nie zabiła – szepcze Miriam. – Uratowała mnie. Ale Axel żyje, prawda?

– Tak, jest w domu, odpoczywa.

– Więc może powiedzcie jej o tym? Proszę.

– Najpierw musimy wysłuchać, co ona ma nam do powiedzenia.

– Ale Eva chce mnie bronić.

– Po co? Nic pani nie grozi.

– Ona o tym nie wie! – Wydusić tych kilka słów to spory wysiłek, ale nawet ona sama ich nie słyszy.

– Powinna pani wrócić do domu i odpocząć. Będziemy w kontakcie.

– Co z nią teraz będzie?

Policjantka nie dosłyszy, więc podchodzi bliżej, a Miriam szeptem powtarza pytanie.

– Przesłuchamy ją – wyjaśnia.

– Mogę na nią tu poczekać?

– Proszę iść do domu. Wszystko się ułoży – mówi funkcjonariuszka Müller i otwiera drzwi posterunku, a Miriam wychodzi; drzwi zamykają się z cichym sykiem i połyka ją budzący się zmierzch, tak czarny, jakby zapadła już noc.

## MIRIAM

Pan Ludwig śpi w fotelu za swoim biurkiem. Usta ma otwarte i głośno chrapie, a leżąca na jego piersi gazeta aż szeleści.

– Już trochę późno, jak dla pana, co? – szepcze Miriam. Jej własny głos brzmi dziwnie, obco.

Kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Czemu jeszcze nie poszedł pan do domu? – pyta cicho. – Dzisiaj Nowy Rok.

– O, dobry wieczór, złociutka, jak się pani czuje? Myślałem, że panią aresztowali.

– Nie, wszystko w porządku.

– Różne rzeczy dziś na mieście się dzieją, więc postanowiłem, że lepiej zostanę tutaj. Aż lokatorzy nie wrócą. Siostry Schmidt poszły do teatru, obiecałem, że poczekam. To zajście z pani mężem i tamta... tamta kobieta... Wszyscy się wystraszyliśmy nie na żarty. Cała kamienica mówi tylko o tym.

– Nie wątpię.

– A tamta kobieta? Na pewno przyjechała z Niemiec Wschodnich. Tyle razy mówiłem: jak to dobrze, że mamy ten mur. A teraz go zburzyli i nie wiadomo kogo może tu przynieść. Biedny ten pani mąż.

– Nie, Eva nie zrobiła nic złego. Uratowała mi życie.

Ale pan Ludwig albo nie chce jej słuchać, albo nic nie rozumie, bo Miriam mimo szczyrych wysiłków ledwo mówi, jej głos to skrzeczenie i nic więcej.

– Dzisiaj znów tu była, bezczelna. – Zgrzyta zębami. – Mało szkody narobiła? – Przeciąga się na fotelu, a zapięta marynarka rozchodzi mu się na brzuchu, odsłaniając poszarzałą kamizelkę. – Powiedziałem jej, że to wszystko jej wina, bo panią aresztowali, a to ona powinna siedzieć. Przecież widać, że podejrzana. – Kręci głową. – Wiała, aż się kurzyło – dodaje z uśmiechem. – No, czyli sama pani widzi, słońce, nie ma się już czym martwić. Niech pani idzie do siebie, a ja tutaj

będę pilnował. Ci z Niemiec Wschodnich uciekają, jak tylko policja się pokaże. To pewnie komunistka i w ogóle.

Z tymi słowami dozorca rozsiada się z powrotem w swoim fotelu.

– Panie Ludwigu... – Miriam jeszcze raz próbuje coś powiedzieć, ale milknie, wskazując swoje gardło na znak, że całkiem straciła głos.

– Uuu. – Mężczyzna prostuje się, zauważywszy ciemne ślady na jej szyi, które odsłoniła rozluźniona apaszka. – Oj, złotko, kiepsko to wygląda. To też jej robota?

– Nie. Axel mnie tak urządził.

Ale to do niego nie dociera.

– Proszę na siebie uważać, Fräulein. Będę tu siedział, dopóki nie wrócą siostry spod dwójki. Ależ one kochają ten swój balet. Dobranoc.

Idąc po schodach, Miriam zdejmuje apaszkę. Irytuje ją, że nie może mówić. Myśli o tym, jak pomóc Evie, wyciągnąć ją z aresztu. W mieszkaniu jest ciemno. Zamyka drzwi na klucz.

Na stole w jadalni leży pasiak.

Miriam włącza wszystkie światła. Na sukience, na wysokości talii, leżą listy, poukładane w małe stosiki. Ponad kołnierzem znajduje się koperta. Są w niej nowe listy, świeżo przetłumaczone.

O co chodzi Evie? Trudno zrozumieć. Po co zabrała pasiak, a potem go odniosła? Dlaczego przyznała się do czynu, którego nie popełniła? Może wbrew pozorom wie, co robi? Niewiele o sobie opowiadała, ale widać, że swoje przeszła i się nie poddała.

Miriam podziwia szwy. Są starannie naprawione, nie widać śladu po nożyczkach. Odechciało jej się już szukać ukochanej ojca, interesuje ją teraz, jak kobieta była w stanie przeżyć taki koszmar. O ile przeżyła. Z tego, co mówiła Eva, wynikało, że ostatnie listy będą niełatwą lekturą. Ta historia nie ma szczęśliwego zakończenia.

Listy są ułożone w kolejności. Po rozdzieleniu okazuje się, że do przeczytania zostało zaledwie kilka. Miriam otula się kocem.

*Heinrichu,*

*Trusia, chociaż nic nie mówi, ma taką osobowość, że w całym obozie próżno szukać kogokolwiek do niej podobnego.*

Odjęli jej połowę mięśni w prawej nodze, od kolana po kostkę. Zakrywa się kocem, ale gdy się poruszy, widać, jak pulsują ścięgna. Usunęli też kość i teraz ma tylko jedną tam, gdzie powinny być dwie.

Trusia wciąż szyje, aby zająć czymś ręce. Reperuje wojskowe mundury i łata kieszenie. Próbuje z powrotem przytwierdzić ciało do kości.

Stellę trzyma na rękach jak noworodka, chłonąc jej niewinność, jej dziecięce ciepło.

Jakież więc było nasze zaskoczenie tamtego poranka, kiedy rozległ się Krzyk, a cały obóz nagle zamarł.

Tamtego dnia Trusia wydała z siebie skowyt, który przeszył nasze uszy, ale jeszcze boleśniej dosięgnął naszych serc.

Króliki nie używają głosu. To milczące zwierzęta. Ale potrafią wyć. Z bólu. Takie wycie jest niepodobne do niczego, co w życiu słyszałam.

Niosłyśmy razem z Hani garnek zupy i nagle zobaczyłyśmy w naszym bloku strażniczki. Mało brakowało, a wylałybyśmy wszystko, ale udało nam się nie uрониć ani kropelki.

– Co się dzieje? – Spojrzałyśmy po sobie. I wtedy Krzyk przeniknął moje ciało niemalże na wskroś. Zabolało tak, jakbym coś sobie złamała. Pustym żołądkiem targnęły mdłości.

Z bloku wyszły trzy strażniczki, niosąc Stellę, która wierzgała i młóciła rękami na oślep. Wołała Trusią. Rzuciwszy garnek na ziemię, ruszyłyśmy biegiem. Do Stelli, którą chciały nam zabrać.

Ale zatrzymano nas. Huknął strzał, budząc wokół śpiewne echa, z każdą chwilą coraz bardziej dudniące i złowrogie. Zapłakana Stella obwisała strażniczkom na rękach bezwładnym ciężarem, widać było, że ledwie mogą ją utrzymać.

Kiedy podbiegłam, uwiesiła mi się na szyi, zaplatając rączki z całych sił. Jej chwyt miał siłę imadła.

– Trusia! – krzyknęła.

Hani minęła nas, zniknęła w drzwiach bloku. Patrzyłam w ślad za nią, kołysząc Stellę na rękach. Strażniczki rozmawiały między sobą.

Po chwili Hani wróciła i potrząsnąwszy głową, opadła na ziemię obok nas, u stóp strażniczek.

– Trusia... – powiedziała i wtuliła się w moje ramiona razem ze Stellą.



Miriam czuje gęsią skórę na rękach, a po karku przebiega jej dreszcz. Z oczu cicho kapią łzy.

– Trusia... – Potrząsa głową, rozglądając się po ciemnym pokoju za chusteczką do nosa.

Zegarek mówi jej, że już późno, ale przestała się bać nocnych ulic. Chowa nieprzeczytane listy do torebki i wychodzi.

Hospicjum jest zamknięte, więc czeka, słuchając, jak w parku Ruhwald szumią liście. Czekanie się wydłuża, ale w końcu zjawia się pielęgniarka i otwiera drzwi.

– Późno już – mówi. Jej niski, nosowy głos jest znajomy: to ta kobieta odebrała telefon, kiedy ojciec nie dotarł za pierwszym razem do hospicjum.

– Susi powiedziała, że mogę zostać na noc – oznajmia Miriam i prześlizgnąwszy się obok niej, rusza prosto do pokoju swojego taty.

– Późno... – powtarza pielęgniarka, ale Miriam znika za drzwiami i zamyka je cicho. Powietrze w pokoju jest gęste od snu i też od mroku, bo pali się tam tylko jedna mała lampka, tuż nad poduszką. Miriam rozkłada polówkę, skrzypiąc sprężynami.

– To tylko ja, tato – mówi. – Jestem trochę zachrypnięta, ale nic mi się nie stało. To tylko ja.

Bierze go za rękę i całuje w czoło. Wystająca z nosa rurka wydaje się olbrzymia. Ojciec jest ogolony i wygląda młodziej.

– Muszę cię przeprosić, tato – ciągnie Miriam. – Za Axela i za wiele innych rzeczy. Ale mogę to wszystko naprawić.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech, prawdziwy, przytomny uśmiech. Ojciec lekko poklepuje dłońią poślanie. Miriam siada, a ująwszy jego dłoń oburącz, zauważa starannie opilowane paznokcie i gładką skórę.

Pochyla się, aby jeszcze raz pocałować go w głowę, a on unosi rękę.

– Miriam – szepcze, z wielką delikatnością gładząc ją po włosach. – Moja Miriam.

Miriam kładzie głowę na jego piersi i trwa tak przez długi czas. Nie umie się od niego oderwać i wcale zresztą nie chce.

– Dałam ogłoszenie do gazety, tato. Jeśli ona żyje, na pewno się zgłosi. Wiem, że tak będzie. A na razie przeczytam ci do końca jej listy. Obiecuję, ale proszę cię – dodaje łamiącym się głosem – proszę, jeśli to dla niej jeszcze żyjesz, nie umieraj. Bo ja cię wciąż potrzebuję.

Gdy ręka ojca opada ciężko, bezwładnie, ociera oczy i przesiada się na fotel, tam szukając ulgi. Czyta ostatnie listy, a ponieważ głos wciąż ją zawodzi, szepcze. W ciepłym mroku słowa brzmią niczym obietnica.

*Heinrichu,*

*numer Stelli znalazł się na liście do transportu. Trusię zamordowali na pryczy. Hani i ja musiałyśmy w jednej chwili podjąć decyzję. Siedziałyśmy na ziemi, w kurzu. Eugenia wyszła z bloku i stanęła przy nas. Strażniczki zaczęły wrywać mi Stellę.*

*Spojrzałyśmy we trzy po sobie: Eugenia, Hani i ja.*

*Hani i ja zostałyśmy przy Stelli. Wzięłyśmy zapłakaną dziewczynkę za rękę. Wciąż wołała Trusię. Strażniczka uderzyła ją i z oczu popłynęły jej łzy, ale trzymałyśmy ją już między sobą. Poszłyśmy z nią.*

*Eugenia wycofała się do baraku. Tę podróż miałyśmy odbyć bez niej.*

*Stałyśmy się jak zdziśiátkowany, rozbity oddział i oto znów trzeba było ruszyć w drogę, nie wiedząc, dokąd nas zaprowadzi.*

*Nie myślałam o naszym dziecku ani o życiu z Tobą.*

*Przepraszam Cię, Heinrichu.*

Eugenia nie poszła z nimi? Jak to?

Miriam rozumie, dlaczego wołała zostać. Po co ruszać w nieznane, kiedy ma się ustaloną pozycję? Dlatego też Miriam przez tyle lat nie odeszła od Axela. Uciekając przed deszczem, można trafić prosto pod rynnę.

Tymczasem Frieda podjęła decyzję, a wraz z nią – ryzyko. Miriam bierze kolejny list. Kartka jest mała, najwyżej długości palca.

*Wsiadając ze Stellą do pociągu, myślałam o jej mamie, która, jestem tego pewna, dawno już nie żyje. Bardzo bym chciała, aby ktoś był przy moim dziecku w chwili śmierci. Zrozumiałam wreszcie, dlaczego Vanda zajmowała się tymi niemowlętami. Chciała, aby w ostatniej chwili czuły ciepło i miłość, których własne matki nie mogły im dać, bo zabroniono im tego.*

Dół kartki jest zagięty, zwinięty. Miriam rozkłada go ostrożnie, papier jest bardzo cienki, może się porwać.

*Trzymałyśmy Stellę na rękach, a ona płakała za Trusią. I za Eugenią, która została, i za Wandą.*

*Tuliłyśmy ją, a ona drżała ze strachu. Oddałyśmy jej wszystko, co tylko miałyśmy: jedzenie, bajeczki, piosenki.*

*A potem dostała gorączki.*

*Trzymałyśmy ją za rączkę, gdy jej skóra zaczęła się robić zimna. Ścisnęła w dłoni drewnianego króliczka. Mówiła tylko o „swojej Trusi”.*

*Umarła na naszych rękach. Otuliłyśmy ją naszą miłością, ale nie mogłyśmy jej zatrzymać. Odeszła podczas transportu do Pitchi Poi<sup>14</sup>.*

*Zostałyśmy same, Hani i ja. Drżymy, płaczemy i cierpimy, krzycząc na zapomniany świat. Ale liczymy też jedna na drugą.*

*Co dalej?*

Miriam nie chce już czytać, nie chce wiedzieć. Obiecała to jednak ojcu i musi się dowiedzieć „co dalej”.

*Jestem teraz w Auschwitz-Birkenau.*

– Byliście w tym samym obozie? – mówi Miriam na głos. – Tato, Frieda też była w Auschwitz. Spotkaliście się tam? – Bierze go za rękę, a on mocno ścisną jej dłoń.

*To jakiś szczególnie zakątek piekielnej otchłani. Dzieci wrzucają tutaj żywcem do huczącego ognia. Rodzice natychmiast skaczą za nimi, wszyscy dostają kulkę. Śnieg pada czarnymi płatkami. Popioły. Dniem i nocą dymią kominy. To tutaj zesłał nas los.*

*Ktoś się pomylił i nie kazano nam się rozebrać, nie przeszukano nas i nie zapędzono pod prysznic. Zostałyśmy w starych ubraniach, bez prysznic, razem. Na pasiaku z Ravensbrück mam wymalowany czerwony krzyż, Hani tak samo. Przez długie godziny stałyśmy w kolejce, nie wiedząc, na co czekamy. Jakiś mężczyzna, więzień, w czapce i pasiaku podobnym do naszych, siedział sam jeden. W dłoni miał obsadkę, jak od pióra, z igłą, którą rozgrzewał pod*

lampą i maczał w tuszu. Takie narzędzie służyło mu do wykropkowania na skórze numeru.

Czekałyśmy. Hani dygotała.

– Nie dam się znowu oznakować.

– Nie rób tego, Hani. Nie teraz. Potrzebuję cię. Zostań ze mną, wszystko będzie dobrze.

Ustawiłam się za nią, objęłam ją obiema rękami i przez cały czas do niej mówiłam. Siadając na krześle, szarpnęła się nagle, tak mocno, że prawie wyróciła cały stół, ale udało mi się utrzymać ją w miejscu. Bolało. To, co nam zrobili, było bolesne. Na mojej skórze pojawił się kolejny znak. Tym razem nie po bacie, ale po igle umoczonej w tuszu. Blizny, następne blizny. Jesteśmy teraz 72828 i 72829.

Tylko że moja dziewiątka jest na dole prawie domknięta, jak ósemka, a u Hani ta druga ósemka jest na dole otwarta. Patrząc z daleka, można pomyśleć, że to ten sam numer.

Potem zaprowadzili nas do bloku, gdzie na jednym materacu leży osiem kobiet i podłoga też jest zajęta; tłok niczym w tymczasowym namiocie, gdzie tak długo siedziałyśmy po przyjeździe do Ravensbrück. Trzymamy się razem, blisko siebie, musimy się zorientować w tutejszych układach.

Wiem tylko jedno: to jest obóz śmierci. Stąd już nie wyjdziemy.

Może pomogą nam nasze numery. Ale nawet gdyby, to uratuje się tylko jedna z nas.

14 Pitchi Poi – wymyślona nazwa, określająca nieznaną cel transportu.

# HEINRICH

Miriam żyje. Żyje. Moje dziecko żyje.

Trzymam się mocno tej myśli, słuchając jej zdławionego, drewnianego głosu; cierpi, ale żyje. Axel nie dopiął swego.

Trzymając się tej nadziei, słucham, jak Miriam czyta mi o losach Friedy, o tym wszystkim, co dla mnie przeszła. Nie mogę nic zrobić. Wysłucham do końca. Ściskam w palcach drobną dłoń córki. Sercem przepelnionym miłością dziękuję jej za to, jak się dla mnie poświęca. To właśnie jest moja kara, wiem. Moja kochana córeczka opowie mi o tym, jak umarła Frieda, a ja muszę tego wysłuchać. O tym, jak umarła i co wycierpiała. I o tym, jak mnie kochała, chociaż to ja zgotowałem jej ten los.

Tak często śniło mi się, że wkładam ciało do pieca, a czekając, aż buchną płomienie, nagle widzę, że to ona, Frieda. I rzucam się w ogień za moją miłością, szukając odkupienia. Bo jestem zgubiony. I boję się, że Frieda przepadnie na zawsze.

Bo to wszystko przeze mnie. To moje nazwisko ją zgubiło. Moje nazwisko w jej niewinnych ustach. Oddała mi swoje życie.

A ja jestem niczym, bo już samo moje nazwisko to klątwa piekielna.

## MIRIAM

Kiedy ojciec zasypia, oddychając równo i spokojnie, Miriam kładzie się na rozłożonej polówce. Zapaliwszy lampkę, wyciąga ostatnie listy. Pierwszy z nich jest pisany do jej matki:

*Droga Emilie,  
proszę, wybacz nam. Wiem, że kochasz Heinricha, stoisz dumnie u jego boku, troszczysz się o niego.*

*Mam nadzieję, że brylanty wystarczyły, aby kupić wolność. Kładąc je na Twojej dłoni, patrzyłam tylko na niego. Bo wiedziałam, że jeśli Ty wyjedziesz, on pojedzie z Tobą. Każdego dnia wybierał Ciebie i za to też Cię pokochałam.*

*Mam nadzieję, że udało Wam się odnaleźć i że czeka Was wspólna przyszłość. Proszę Cię, kochaj go bez granic, nie potrzeba wstydzić się tego, że drugi człowiek jest nam potrzebny, że się go chce i pragnie i że przynosi nam spełnienie. Nie musisz sama szukać zaspokojenia wszystkich swoich potrzeb.*

*Dziękuję, że wpuściłaś mnie do swego świata, choćby tylko na to mgnienie oka. Opiekuj się Heinrichem i kochaj Go za nas obie.*

*Szczerze oddana  
Frieda*

Ten niezwykle szczerzy list idealnie opisuje mamę, myśli Miriam, a serce trzepocze jej w piersi. Próbuje uspokoić jego drżenie, myśląc, że przecież mama nigdy nie przeczytała tego listu, chociaż być może powinna. Była silną kobietą,

troszczyła się o tatę, kochała Miriam i wszystko robiła sama. Miała potrzebę, aby być potrzebną, a Miriam – maleńka, delikatna, filigranowa Miriam – potrzebowała jej zawsze. Ojciec wybrał mamę, ale dla kogo dokonujemy swoich wyborów: dla siebie czy dla innych? A gdyby wybrał Friedę? Albo gdyby wcale nie musiał wybierać?

Bierze do ręki kolejny list, oryginał, trudno go przeczytać w tym świetle. Wpatruje się w maleńkie litery ściśnięte na obu stronach kartki.

*Heinrichu,*

*ktoś zbudził mnie siłą. Na pryczy, oprócz mnie i Hani, spały jeszcze trzy inne kobiety. Każda trzymała w objęciach swoją sąsiadkę, dla bezpieczeństwa.*

*– Proszę, szybko. Jesteś nam potrzebna – mówiła do mnie jakaś młoda dziewczyna. – Moja mama pomaga rodzącom. Mówisz po holendersku, tak?*

*– Tak. Hani też mówi – dodałam, nie chcąc się z nią rozłączać. Bałam się, więc musiałam się jej trzymać.*

*Poszłyśmy obie z tą dziewczyną. Prowadziła nas labiryntem ścieżek pomiędzy blokami, które tutaj są większe i mieszczą już nie setki, ale tysiące ludzi. Nie poznaję żadnej twarzy, ale znam je wszystkie. Ten nieobecny wzrok, a w nim nieme oskarżenie: dlaczego ty żyjesz, a moją matkę, siostrę, córkę, wnuczkę wybrali? One umarły, a ty żyjesz. Dlaczego? Nie ma nikogo, kto by tego nie robił. To już jest chyba mimowolne. Takie taksowanie człowieka, aby odgadnąć, co w nim wyjątkowego. A to tylko łut szczęścia, nic więcej.*

*Zgiełk słychać było z daleka, jeszcze zanim zobaczyłyśmy, co się dzieje.*

*Kobieta, nazywana w obozie Matką, cofała się powoli, unosząc dłonie na znak, że nie ma złych zamiarów.*

*Dziewczyna szczyrzyła zęby, mierząc ją wściekłym, dzikim spojrzeniem. Była w ciąży: jedną dłoń trzymała na brzuchu, a drugą przed sobą w ostrzegawczym geście.*

*– Mamo – powiedziała tamta, która nas przyprowadziła. – To jest kobieta, która mówi po holendersku.*

*– Muszę zobaczyć, co się dzieje, i uspokoić ją. Trzeba jej wyjaśnić, że nie może tak dalej robić, bo dziecko nie wyjdzie i będzie ją bardzo bolało.*

*Przekazałam ciężarnej, że zaczęła rodzić, a Matka chce jej pomóc, ale w odpowiedzi zasypała mnie potokiem łamanych holenderskich słów, z których rozumiałam piąte przez dziesiąte, jeżeli w ogóle cokolwiek.*

– Przykro mi. – Obejrzałam się na Matkę. – Ona chyba nie mówi po holendersku. Nic nie rozumiem.

– To po romsku jest – odezwała się Hani.

I zaczęła do niej mówić. Słowa trzykrotnie przechodziły z ust do ust: dziewczyna mówiła do Hani, która powtarzała mi to samo po holendersku, a ja przekładałam wszystko Matce na niemiecki. Jej córka Sylwia przyglądała się nam.

Rodząca dziewczyna, Elisabeth, miała czternaście lat. Pocałowała Hani, raz, drugi, trzeci, i powiedziała, że nie wie, co się dzieje.

– Niemcy włożyli mi coś do środka, boli bardzo – skarżyła się. – Może to bomba? Bo zaraz chyba wybuchnę.

– Wszystko wskazuje na to, że rodzisz – wyjaśniła jej Hani.

Na te słowa twarz dziewczyny odmieniła się i pojaśniała zrozumieniem. Matka mogła już bez przeszkód podejść bliżej.

Oddech rodzącej wyrównał się powoli. Matka była niesłychanie cierpliwa. Opanowała sytuację, a ja każde jej słowo przekazywałam Hani do tłumaczenia. Hani trzymała Elisabeth w ramionach. Jej dotyk działał, podnosił na duchu. Dziewczyna uspokoiła się i Matka natychmiast poleciła, aby położyć na podłodze siennik.

Kilka głośnych, długich jęków i dziecko pojawiło się na świecie, sine i zakrwawione. W pierwszej chwili myślałam, że nie żyje, ale jego skóra szybko poróżowiła, a piskliwy krzyk oznajmił całemu blokowi: jestem. Matka podała maleństwo Elisabeth, radząc, by ułożyła je na piersi.

Paskami podartej bawełny podwiązała pępowinę.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a jej czoło okleiła cienka warstewka potu. Spojrzała na dziecko i się rozplakała. Hani też płakała, i ja. To było piękne.

Niedługo potem Matka zaczęła masować jej pusty brzuch i znów zaczęły się skurcze.

– Jeszcze jedno dziecko?

– Nie, to już tylko popłód.

Łóżysko i pępowina wyszły bez problemu. Matka ułożyła je na bawełnianym prześcieradle, a Sylwia uważnie obejrzała.

– Co robicie?

– Trzeba sprawdzić, czy jest nienaruszone. To ważne.

Młoda matka szeptała miłośczo do swojego maleństwa, a na jej twarzy malowało się skrajne wyczerpanie i czysta błogość. Obok niej stała Hani.

Potem weszła Siostra Klara.



*Dziecko wyrwano z ramion matki.*

*To był chłopiec.*

*Siostra Klara złapała go za nóżki, tak, że zawisł głową w dół. Buzię miał otwartą – kwilił.*

*– Nie patrz – szepnęła Matka, ale ja nie mogłam odwrócić wzroku.*

*Siostra Klara zabrała dziecko i wyszła z bloku.*

*Elisabeth próbowała wstać i iść za nią, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Hani i Matka wzięły ją pod pachy, pomogły wstać i pokuśtykać w stronę zamkniętych drzwi.*

*W Auschwitz nie ma dzieci.*

*Gdy Hani i ja wracałyśmy do naszego bloku, wstawało już słońce i padał śnieg zmieszany z popiołem.*

*Tak topi się niewinność.*

*Dzień mija, robimy swoje, ale nie umiemy odpędzić od siebie tego obrazu: nowo narodzony chłopczyk w beczce pod ścianą bloku. Matka zawinęła go w prześcieradło razem z popiołem i zabrała, wyniosła. A biedna dziewczyna, rozpaczająca mama-dziecko, została sama.*

W piersi Miriam twardnieje ciężki, zimny węzeł. Utrudnia oddychanie i nie można go zignorować, bo jest jak środek pajęczej sieci – na nim wszystko się trzyma. Wyciągnij jedną nić, tylko jedną, a cała struktura się rozleci.

Chociaż Axel zawsze był blisko, przypomina sobie, to jednak po pogrzebie Michaela została sama, sama w czarnym świecie żałoby, gdzie nikt nie chciał porozmawiać z nią o tym, co przeszła, i z nikim nie mogła się tym podzielić. Po chwili odpędza od siebie tę myśl, spoglądając na opisane w liście zdarzenie oczami Friedy, która była w ciąży i miała całkowitą pewność, że czeka ją dokładnie to samo.

Dwa kolejne listy pisane są ręką Evy, na pięknym, śnieżnobiałym papierze. Oryginał, po francusku, mieści się na trójkątnej karteczce wielkości dłoni Miriam.

*Do dziecka, które w sobie noszę.*

*Jesteś owocem miłości i cudownie było czuć, jak rośniesz. Nigdy nie spojrzę Ci w twarz bez niepokoju. Nie ma dla nas przyszłości, tego jestem pewna. Wiem też jednak, że spotkamy się jeszcze – w innym życiu, w innym świecie. Matka i jej dziecko.*

*Miłość do Twojego ojca i Twoje narodziny, mimo iż Cię nigdy nie poznam, to najlepsze i zarazem najgorsze, co mnie w życiu spotkało.*

*Mówią, że miłość jest piękna i łagodna, ale to nieprawda. Prawdziwa miłość boli, jej dzikość spaja ludzi ze sobą, chociaż pisane im jest rozstanie. Miłość jest okrutna.*

*Masz w sobie więcej siły, niż skłonna byłabym przypuszczać. Każdy dzień przez Ciebie przeżyty otwierał mi oczy, pomagał widzieć niebo, dostrzec czystość kropli deszczu, zauważyć plamki na słonecznej tarczy.*

*Twoja obecność utrzymała mnie przy życiu i dziękuję Ci za to.*

*Tak bardzo żałuję, że nie czeka nas już nic więcej.*

*Nigdy nie nazwiesz mnie mamą, nigdy nie wezmę Cię za rączkę. Przepraszam, że urodzisz się po to, aby umrzeć. Życie nie ma przyczyny ani sensu. Wiedz jednak, że w tym świecie ogarniętym chaosem ktoś Cię kocha. I to Ci wystarczy na całą tę drogę – nawet jeśli przemierzysz ją wyłącznie duchem.*

*Jesteś moim aniołem stróżem, zawdzięczam Ci ocalenie przed zagładą, którą sama na siebie ściągnęłam.*

*Dziękuję*

*Twoja mama*

Miriam ociera łzy z policzków. Pierś wzbiera emocjami. Spogląda na śpiącego spokojnie ojca, myśląc o tych wszystkich strasznych rzeczach, które musiał widzieć. To zrozumiało, że postanowił do nich nie wracać.

Wie, że ojciec nikomu by o tym nie powiedział, dźwigałby ten ciężar całkiem sam. Ból był dla niego krzyżem, który trzeba nieść, karą za to, że nie spełnił własnych wysokich oczekiwań.

– Czy umiałeś sobie wybaczyć? – pyta na głos. – To nie była twoja wina, tato. Bardzo to smutne, ale musisz wiedzieć, że niezależnie od tego, co zrobiłeś, wszystko masz przebaczone; to było w poprzednim życiu. W tamtym życiu nie miałeś jeszcze mnie, a to, co dla mnie zrobiłeś, w zupełności wystarczy. Kocham cię.

I znów płacze. Potem bierze kolejny list, pisany drobnym maczkiem.

*Kochany Heinrichu,*

*to chyba już koniec. Przyszedł nasz kres. Dopiero co zaczęliśmy, a teraz nie ma już dla nas nic.*

*Nie przeżyję w tym obozie. Nie wiem, czy przeżyję poród. W Ravensbrück udało mi się zachować optymizm, ale tutaj... Z jaką wydajnością potrafią tutaj zabijać, mordować ludzi. Nie mam żadnych szans, to więcej niż pewne. Modłę się, choć nie wiem do kogo, abym zdążyła tylko zobaczyć twarzyczkę dziecka. Naszego dziecka. Bo chcę jeszcze zobaczyć Ciebie: ono jest wszystkim, co mi po Tobie zostało.*

*Tęsknię za wszelkimi drobnymi dziwactwami, za detalami, które zatarły mi się już w pamięci. Widzę Cię w myślach, ale tylko jako cień. Dla mnie nigdy się nie zestarzejesz, nigdy nie przeminiesz.*

*Wciąż Cię czuję, Twoją obecność, niczym drugą skórę okrywającą moje ciało. Tęsknię za Tobą. Gdybyśmy spotkali się twarzą w twarz, to słowa byłyby zbędne. Czuliśmy się bez dotyku, rozmawiali, milcząc. Symfonia ciszy. Odeszłabym z tego świata, unosząc smak Ciebie na wargach, kontury Twojej twarzy odcisnięte na opuszkach palców tak mocno, jak gdybym dotykała oblicza granitowego posągu. Gdybym wtedy wiedziała, że widzimy się po raz ostatni, patrzyłabym Ci w oczy tak zapamiętale, że od płomienia mojej duszy zajęłaby się Twoja. Stałabym rozmigotana dotykiem Twojego spojrzenia, lśniąca jasno od miłości odbitej w Twych oczach.*

*Będę myślała o Tobie, gdy nadejdzie koniec. O tym, że Cię znałam i że Ty mnie poznałeś.*

*Nasze grono jest coraz szczuplejsze. Nie rozmawiamy o wolności, aliantach ani wyzwoleniu, tylko o domu. Każdy chce dzielić się z innymi historią swojego życia, choćby było bardzo krótkie. Rozkoszować się opowieścią o miłości, męstwie, odważnych czynach i sile.*

*Gdy nadejdzie mój koniec, będę myślała o Tobie, wspominając nadzieję i poczucie wielkich możliwości, które zrodziły się we mnie z chwilą, gdy Cię poznałam. Dziękuję, że byłeś w moim życiu. Nie zobaczę już, jak się starzejesz, nie będę trzymać Cię za rękę, wspólna przyszłość zamknęła się przed nami. Ale będziesz miał mnie przy sobie, bo oddałam Ci moje serce. Heinrichu, nie zamieniłabym swojego losu na żaden inny, poszłabym znów tą samą drogą. I to nie raz, ale sto, aby tylko móc dzielić z Tobą te ukradkowe chwile razem.*

*Skończył się papier.*

*Skończyły się listy.*

*Skończyły się słowa.*

Miriam odkłada ten ostatni list. Niemalże słyhać szept ołówka, który przenosił myśli Friedy na papier. Co się z nią stało? Z dzieckiem? Patrząc na cały zbiór listów, Miriam uświadamia sobie, że chociaż odkryła już tak wiele, tego może nie dowiedzieć się nigdy. Odkłada je na miejsce i szykuje się na następny dzień.

Poranne niebo zasnuwają ciężkie od śniegu chmury. Zbudzona odgłosami hospicjum Miriam wstaje i całuje ojca w czoło.

– Frieda – słyszy od niego.

– Nie, tato. To ja, Miriam. Próbuję ustalić, co się stało, ale najpierw... Muszę pomóc przyjaciółce. – Jej myśli przestają krążyć nad listami z przeszłości i pojawia się w nich kobieta, która uratowała jej życie. – Najpierw muszę pomóc Evie.

– Frieda – powtarza ojciec, jakby chciał ją przywołać, a potem uspokaja się i już tylko mamrocze: – Moja Frieda...

Jest jeszcze za wcześnie, żeby iść na policję, więc Miriam ma trochę czasu na poukładanie listów i schowanie ich do torebki. Rzuca jej się w oczy, że oryginał ostatniego listu przełożonego przez Evę wyróżnia się spośród innych. Tekst, chociaż mocno ściśnięty, pokrywa obie strony kartki, a dokładnie dwóch kartek; obie są pożółkłe i cienkie, lecz ewidentnie nie wyrwano ich z żadnej książki, słowa nie muszą szukać każdego skrawka wolnego miejsca. To są czyste kartki, a raczej były... przed ponad czterdziestoma laty.

## MIRIAM

*Najdroższy Heinrichu,  
papier i ołówek to moja jedyna pociecha. Wiem, że nie mam przyszłości;  
muszę jednak wszystko Ci opowiedzieć. Trzęsą mi się ręce... ale już nie  
z zimna. Oto, jak wygląda mój koniec:*

*Ostatni dzień rozpoczął się wieczornym apelem. Komendant obozu stał  
blisko, a potem ruszył przed siebie. Jego lśniące buty odbijały światło  
szperaczy, które dla nas tutaj są jak księżyc.*

*– Dreckhund! – Wyzwiska, bezlitosne i bezduszne, niosły się niczym bicie  
kościelnych dzwonów. Myślałam wtedy dużo o mojej rodzinie. Oczyma duszy  
widziałam ich przy kolacji, wokół stołu. Na talerzach – Bratwurst. Kielbasy  
skwierczą i tańczą na cienkiej warstewce tłuszczu, brązowa skórka czeka, aby  
rozstąpić się pod nożem i wypuścić ze środka aromatyczny sok; nasiąkną nim  
kartofle, a resztę zbierze się kawałkiem śnieżnobiałego chleba, muśniętego  
masłem.*

*Dla mnie, głodnej jak wilk i zziębniętej na kość, myśl o jedzeniu była niczym  
poezja dla złąknionej duszy. Tyle razy opowiadałyśmy o tym, jak to się kiedyś  
jadło, o wymyślnych potrawach i popuszczaniu pasa. Aż ślinka nam ciekła  
i choć żołądek pozostawał pusty, serce jakoś szło nasycić.*

*Kominy nad prysznicami dymiły tego dnia dwa razy, a komendant  
paradował przed nami dumny jak paw. Raz stanął zbyt blisko i dym z jego na  
wpół wypalonego papierosa zakręcił mi w nosie, zdrętwiałym od zimna.  
Podszedł jeszcze bliżej, tak że gdy nachylił się, aby zajrzeć mi w oczy,  
wyraźnie słyszałam, jak skrzypi jego skórzany pas. Potem odwrócił się do  
Hani.*

*– Zigeunerin – powiedział. Cyganka. Stwierdzenie faktu, ale w jego ustach  
warte tyle, co trucizna.*

Stałam niczym słup, nasłuchując, jak papieros wzdycha żarem, dotykając jej bladej, chłodnej skóry. Na czole Hani, niczym dzioby po ospie, wykwitły okrągłe, czerwone ślady. Na koniec komendant pstryknął jej niedopałkiem prosto w twarz, a następnie machnął ręką na znak, że możemy się rozejść, i popędzili nas z powrotem do bloków: psy warczały nam pod nogami, w uszach huczało od wyzwisk. Dopiero gdy odzyskałam węch i poczułam fetor życia, zdołałam zapłakać nad tym, co zrobił komendant swoim papierosem. W tłumie, po omacku, sięgnęłam po rękę Hani, a ona ścisnęła mocno moją dłoń. Ruszyłyśmy na swoje miejsce, chwając się i objając o siebie.

Pamiętam, że nagle stanęłam jak wryta, zatrzymana uczuciem naporu obejmującym cały brzuch, który napęczniał jak ciasto w dzieży, twardniejąc pod moimi dłońmi. Zaparło mi dech w piersi.

Już czas.

Dowlokłam się jakoś do pryczy, ale musiałam się położyć na samym dole. Ostrożnie, bo nagle przeszył mnie ból, od podbrzusza aż po klatkę piersiową. Po chwili jednak ustąpił.

Chociaż ledwie mogłam ruszyć ręką lub nogą, żołądek miałam pusty, a duszę udręczoną, nie było mowy o odpoczynku.

Obóz spał, spokój zakwitł tam, gdzie pleniła się nienawiść, świat poprawił się odrobinę. Położyłam dłoń po prawej stronie brzucha, u góry, tam, gdzie zazwyczaj można było wyczuć małą stópkę. Czekałam. Wreszcie dwie nóżki naparły na moje palce. Z uśmiechem powtórzyłam ten gest. Nie było powodu do niepokoju, dziecko miało się dobrze.

Brzuch stwardniał jeszcze trochę, spotęgowało się uczucie naporu.

Pojawiły się szczury. Znudziło im się ogryzanie trupów za dnia, wołały nocą kąsać żywych. Gdy mój brzuch zmiękł, obróciłam się na bok, patrząc, co robią. Potem znów stwardniał, napinając skórę. Wypełniony życiem i miłością. Każdego dnia przypominał mi, czego miłość potrafi dokonać.

Szczurza zgraja polowała wśród prycz, pazury, długie i wyostrzone zrywaniem mięsa z kości, chrobotwały na deskach podłogi. W pewnym momencie Hani zsunęła się z górnej pryczy i ułożyła przede mną, po czym objęła mnie lodowatym ramieniem. Westchnąwszy głęboko, zanurzyła się w ciepłe moje ciało. Grzała się, dając mi w zamian tylko chłód.

Przygarnęłam ją mocniej do piersi, ostrożnie odwracając brzuch, tak jak zawsze to robiłam. W Auschwitz co rusz widywało się brzuchy odęte głodem i niedożywieniem; nikt nie wiedział, że jestem w ciąży.

– Co za... Co za upokorzenie. Nie znoszę tego – powiedziała Hani. Dobrze wiedziałam, co zaraz usłyszę: ten sam monolog co zawsze, w jednej z wielu różnych form. – Ci ludzie to zło wcielone... Dlaczego nikt nie próbuje ich powstrzymać? Nie mogą nas usunąć z tego świata. Nigdy stąd nie odejdę. Niech lepiej od razu ze mną skończą, przemielą i upłynnią. Wolę to niż te tortury.

I tak dalej, bez najmniejszych zmian. Czas miał pokazać, ile wypalonych śladów Hani zdąży zebrać, zanim skończą się jej cierpienia.

Ujęłam ją za ramię, masując jej skórę, aby przepędzić chłód. Dziecko kopnęło mnie z całych sił, aż jęknęłam. Hani położyła mi dłoń na brzuchu i wtedy przeszył mnie prąd, tak silny, jakby strzelił we mnie piorun. Zadygotałam i odsunęłam się od niej gwałtownie, omal nie spadłam z pryczy na podłogę.

– Co to? – Jej głos był zniekształcony przerażeniem. – Jesteś w ciąży?

Kolejna fala wstrząsnęła moim ciałem, z taką siłą, że nawet gdybym chciała, nie zdołałabym odpowiedzieć. Skupiłam się na oddychaniu, pamiętając, co mówiła Matka tamtej dziewczynie, która rodziła.

– Co się dzieje? Jak to możliwe? – Czułam na sobie wzrok Hani. Dobrze, że szperacze akurat wzięły na cel jakiś inny blok. Wystarczyło mi, że słyszę jej głos, nabrzmiały emocją, nie musiałam tego na dodatek oglądać.

– Dziecko? Tutaj? – Znowu ten strach. Coś ścisnęło mnie za gardło, mocno, nie chciało puścić.

– I co ty teraz zrobisz? – Hani dotknęła mojej twarzy, abym wróciła do rzeczywistości. Nieposłuszna myśl, widmo Siostry Klary topiącej mojego aniołka w beczce, przyprowadziła mnie do drżenia, całkiem inne niż do tej pory.

Przycisnęłam usta do jej czoła. Hani powoli przyswajała sobie te nowe wieści. Mogłam się spodziewać, że sprawię jej ból, ale czułam też wielką ulgę: w końcu się dowiedziała.

Znów dotknęła mojego brzucha, a jej ręka trzęsła się jak włożona do rozpalonego pieca: nie cofnęła jej, chociaż płomienie lizały już skórę, rozpruwając ją tysiącem ostrych igieł. A potem nagle się uspokoiła, czując, jak moje ciało dokonuje czegoś niezwykłego, jak mięśnie kurczą się i rozkurczają niezależnie od mojej woli.

Zaczęłam śpiewać jej do ucha, szeptem, oddychając zgodnie z rytmem mojego dziecka.

Hani płakała. Ja też. Czułam, że to już koniec, i rzeczywiście tak było.

Całą noc chodziłyśmy pomiędzy pryczami, oddychając razem, trzymając się za ręce i kołysząc z boku na bok. Szperacze świeciły niczym wschodzące słońce, grzmiały karabiny, gdy ktoś strzelił do szczura, kobiety albo cienia.

Dzień wstał otulony mrokiem jak kocem. Z ust wyrwał mi się gardłowy jęk i od razu wpadłam w panikę: jeśli narobię hałasu, wszystko się wyda.

– Zawołać Matkę? – spytała Hani, ocierając mi twarz rąbkiem mojej własnej koszuli. Musiała się przy tym pochylić, bo klęczałam na czworakach na sienniku rzuconym na podłogę. Wpadłam w popłoch, uświadamiając sobie, że ta droga niedługo dobiegnie już końca. Moje dziecko przyjdzie na świat i wszystko będzie inaczej. Chwyciłam Hani za rękę, zmuszając, aby na mnie spojrzała.

– Nie – stęknęłam. – Nie mogą mi zabrać dziecka.

– Frieda – odparła najłagodniej na świecie. – Jeśli jej nie zawołam, urodzi się martwe. – Wstrząsnęło mną to słowo.

Nikt nie zrozumie, jak to możliwe, że bezradne dziecko, zanurzone w wodzie, może tak usilnie trzymać się życia. Będzie się dławić i krztusić, aż w końcu utonie, a każdy, kto to usłyszy, odejdzie z raną w sercu, raną, która nie zagoi się nigdy, przenigdy.

Ścisnęłam rękę Hani, a ona odwróciła wzrok.

– Wolę umrzeć – wycedziłam. – Spójrz na mnie. – Przyciągnęłam ją jeszcze bliżej. – Nie... pozwolę... na to. – Słowa padały pomiędzy skurczami, pełne zwierzęcej zajadłości.

– Zasłonię was.

Puściłam ją, bo kolejna fala bólu porwała moje myśli, kierując je ku dziecku, dziecku, które żyło i przeciskało się przez moją miednicę, tak bliskie wyjścia na świat.

Ile czasu miało przed sobą, gdyby przeżyło poród? Kilka dni, a najwyżej tygodni, potem musiało umrzeć z niedożywienia albo przez jakąś chorobę. Widywało się w obozie matki tulące dzieci szkielety, zbyt słabe, aby ssać pustą pierś. Wieczna udręka głodu, ale serce nigdy nie było puste. Dziesiątki, setki konających dzieci. Blok dwudziesty drugi. Potworności; niewinność; cierpienie. Proszę. Nie, pomyślałam.

– Trzeba ubłagać doktora, żeby je zabrał i wychował. Wtedy przeżyje, proszę cię, siostrze, pozwól mi, pójdę do rewiru w twoim imieniu. Inaczej umrze – szeptała Hani, roniąc łzy tak olbrzymie, że wkrótce i ja miałam mokrą twarz, jakbym sama płakała. Raz za razem zadawałam sobie jedno pytanie: „Co robić?”.



Nagle nadszedł potężny skurcz, inny niż wszystkie do tej pory. Tak mocny, że krzyknęłam, bardziej ze zdumienia niż z bólu. Potem następny i dalej, coraz silniej, coraz bardziej w głębi, aż wreszcie poczułam na sobie jakiś ciężar. Dziecko wychodziło na zewnątrz. Znów jęknęłam gardłowo, ale zagłuszyły mnie megafony, od ich ryku trzęsły się ściany.

Ruszyło polowanie. Z wielkiej oddali słyszałam wyczytywanie numerów. Brzmiało to jak bębny bijące na zgubę.

Każdy numer – to czyjś koniec. Gdy zbudziły się megafony, z bloku uciekły wszystkie szczury. Ludzie, zmorzeni już niemalże snem wiecznym, dławili się skowytami żyjących.

Skandowanie numerów tonęło wśród wrzasków i skarg, w morzu wielkiego zamieszania.

– Frieda! – krzyknęła Hani i szarpnęła mnie za rękę, odwracając dłonią do góry. Mój numer, 72829, czarno na białym. Krzyknęła jeszcze raz i zerwała się, dołączając do ogólnej, masowej paniki, która ogarnęła cały blok. Dalej wyczytywano numery. Krzyki strażników i wrzaski kobiet przecinały powietrze, raz po raz, tam i powrotem, jak rozbujana huśtawka.

Widziałam i słyszałam to wszystko jakby w oddali. Byłam już pewna, że rodzę, że niedługo pojawi się moje dziecko.

– Wyczytali cię – powiedziała Hani, pochylając się nisko nade mną, nos w nos.

Z mojej piersi wyrwał się ryk, w którym słychać było całą moc ciała wypychającego dziecko na świat ogarnięty chaosem.

Dookoła zebrała się mała grupka kobiet z naszego bloku. Znajome twarze. Megafony przestały sypać numerami, krzyki jakby się oddaliły.

Położyłam dłoń na nabrzmiałym brzuchu, przesunęłam ją niżej, czując pod palcami włosy, miękkie i kręcone, a dalej moje otwarte ciało. Święte, piękne miejsce, które przyjęło miłość dobrego człowieka.

Gdy targnął mną kolejny skurcz, palce powiedziały mi, że dotykam maleńkiej główki, mokrej i gorącej. To było moje dziecko.

Hani była wcieleniem rozpaczki. Chodziła w kółko, trzymając się za głowę.

– Matka – powiedziała nagle i odeszła od pryczy, na której leżałam, a pozostałe kobiety się zbliżyły. Zjednoczyła nas świadomość bycia kobietą w czasie i miejscu, gdzie tępiono kobiecość we wszystkich przejawach. Chłodne dłonie, szorstka skóra, mały kąsek chleba odjęty sobie od ust. Słowa, piękne słowa języka miłości chroniły mnie przed piekłem polowania na ludzi.

Gdy pojawiło się maleństwo, ogarnęło nas radosne podniecenie, które musiałyśmy tłumić. A potem poczułam przy sobie obecność Matki i jej głęboki spokój. Wydawszy polecenia, uklękła obok mnie. Jej dłonie były ciepłe. To te dłonie miały przyjąć na świat moje dziecko.

– Mogę spojrzeć? – zapytała.

Skinęłam tylko głową, bo szarpnął mną kolejny skurcz. Czując, jak cieniutkie włoski ocierają się o skórę, zabrałam rękę, żeby niczego jej nie zasłaniać.

– Dziecko ma włosy, ciemne włosy – powiedziała Matka. Uspokoiliłam się. Ciemne włosy, tak jak jego ojciec.

Poczułam ogień bijący z głębi trzewi, a potem jeden krótki, szybki skurcz – i dziecko już leżało w wyciągniętych dłoniach Matki. Kiedy opadłam na plecy, rozsunęła mi koszulę i położyła na odsłoniętej piersi coś mokrego, lepkiego, gorącego i nadspodziewanie ciężkiego, kształtem zbliżonego do bryły.

– Dziewczynka – powiedziała, okrywając nas obie drugą koszulą, tak aby główka dziecka wystawała na zewnątrz. Oprócz szorstkiej tkaniny okryło je też ciepło bijące z jej dłoni. Radość. Była taka śliczna. Maleńka, ale w każdym calu doskonała. Poczułam nieprzemyślany odruch, aby ją polizać, bo pachniała życiem, najskrytszą głębią mnie, ciepłem i krwią. Poruszyła się na mojej piersi i odchyliwszy główkę w tył, otworzyła oczka, by na mnie spojrzeć.

Matka wyjęła nożyczki, ale wyciągnęłam dłoń, żeby ją powstrzymać. Nie. Byłyśmy jednym, nie chciałam tak szybko się rozdzielać. Czułam na brzuchu pulsowanie grubej, gorącej pępownicy. Serce mojej córki biło rytmem mojego serca.

Rozdzielić się – to śmierć. Teraz już rozumiałam. Uniósłszy wzrok, zobaczyłam Hani, która właśnie wróciła. Przyciągnęłam ją do siebie. Usiadła obok, na sienniku mokrym od życiodajnego płynu, który chronił i żywił moje dziecko.

– Spójrz.

Uniosłam rąbek koszuli, a dziewczynka otworzyła oczka i rozchyliła czerwone usteczka, wystawiając różowy języczek, a potem jej główka znów opadła na moją krągłą pierś. Patrzymy obie, chłonąc ją w każdym szczególe. Po chwili trąciła noskiem mój sutek i wzięła go do ust, a małą dłoń położyła na moim sercu.

Poczucie pełni. Właśnie wtedy, w tej chwili.

Miłość.

Megafony dalej ryczały, podając kolejne numery. W pewnej chwili zjawiała się blokowa z innego bloku. W dłoni miała pałkę. Ściągnęła z górnej pryczy

kobietę schowaną pod siennikiem. Nieszczęsna spadła na podłogę, aż wszystko się zatrzęsło, i znów podniósł się chór przerażonych głosów. Osłaniający nas kobiety krąg rozpadł się na drobne kawałki i zobaczyłam, jak blokowa okłada pałką jedną więźniarkę po drugiej. Nawet gdy wymusiła już posłuszeństwo, biła dalej. Jedna mniej do pryszniców – prosto w piach. Życie ludzkie nic niewarte. Która padła, tę wyciągano na zewnątrz, a na podłodze, obok butów blokowej, zostawał pas ciemnej czerwieni, jedyny ślad po jej istnieniu.

Widząc to, zrozumiałam, co trzeba zrobić.

Wstałam, czując w przedziwny sposób, jak naciągnięta pępowina uciska mi brzuch. Hani westchnęła głęboko, świsnęło jak kula nad uchem. Matka pobłogosławiła nas, a wiele kobiet podeszło z powrotem, aby nas dotknąć, uścisnąć, poprowadzić. Brakło mi sił, drżałam na całym ciele. Szłam, potykając się, ale nie upadłam. Kościste ręce kobiet wyciągnęły się też do Hani.

Po raz ostatni pocałowałam ją w głowę, sycąc się zapachem przyjaźni. Spojrzałam w oczy Hani, pełne miłości. Poczułam jej ból. Oto zamierzałam umrzeć razem z moją córką, umrzeć w jedności, nie pozwoliwszy się rozdzielić. Miała spędzić całą wieczność ukołysana w moich ramionach, ukochana, uwielbiona.

Minęłam Hani i Matkę, powoli stawiając kroki. Wsunęłam bose stopy w chodaki. Nogi miałam gołe, a okrywająca nas obie koszula sięgała mi ud. Ruszyłam przed siebie, podążając za krwawym pasem na podłodze.

– Frieda – powiedziała Hani. Cała jej miłość do mnie zawarta w jednym słowie. Uśmiechnęłam się, a idąc dalej, usłyszałam nagle, jak Hani zaczyna śpiewać. Po chwili śpiewał już cały blok: chór głosów i morze języków, w którym przepadły słowa piosenki. To była kołysanka. Jej melodia towarzyszyła mi, kiedy szłam razem z moim dzieckiem na śmierć.

Po policzkach Miriam płyną łzy, kapią z nosa i brody. Potrząsa głową, tłumiszloch. To już ostatnia strona.

Nie zaszłam daleko. Hani wybiegła za mną z bloku i szybko mnie wyprzedziła, by stanąć przed blokową, która pod pachą miała pałkę, w dłoni podkładkę z listą numerów i górowała nad nią wzrostem. Hani podwinęła rękaw, blokowa postawiła znak na papierze i posłała ją dalej.

*Do pryszniców.*

*Zamiast mnie.*

*Szłam najszybciej, jak mogłam, ale w końcu się potknęłam i padłam na gołe kolana, ślizgając się po lodzie tuż u stóp blokowej.*

*I stało się coś dziwnego. Znowu poczułam skurcz. Pierwsza myśl: bliźnięta. O Boże, drugie dziecko. Pierwszego blokowa nie widziała, ale gdybym teraz urodziła na jej oczach, to przecież by zauważyła. Matka, która też wyszła za mną z bloku, ale trzymała się z daleka, teraz szybko uniosła mi koszulę, korzystając z nieuwagi blokowej, która na chwilę się odwróciła. Gdy ponownie spojrzała na mnie, zobaczyła łydki porysowane smugami czerwieni i łóżysko w kałuży krwi u moich stóp.*

*– Rewir! – wrzasnęła.*

*Matka podniosła z ziemi łóżysko, owinęła je jakimś papierem. Inne kobiety wzięły mnie pod rękę i uniosły. Moja córeczka ani nie pisnęła, nie uniosła nawet główki z piersi mamy.*

*– Dziękuję, moja droga – powiedziałam do blokowej i w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że na całym świecie jedyną drogą mi kobietą była Hani. Już straciłam ją z oczu w morzu pasiaków, a mimo to wciąż za nią patrzyłam, czekając jednocześnie, co zrobi blokowa. I wtedy Hani obejrzała się, a ja zobaczyłam ją po raz ostatni.*

*Zrozumiałam, dlaczego Trusia nic nie mówiła.*

## MIRIAM

Miriam idzie na policję. Idzie z ciężkim sercem, wodząc dookoła zmęczonym wzrokiem. Jest na miejscu o dziewiątej rano, ale drzwi są jeszcze zamknięte. Czeka, przytupując w miejscu i chuchając w dłonie. Myśli o listach, o Hani i o Friedzie.

Za drzwiami widać policjanta, który podchodzi i otwiera. W środku jest ciepło, jej zziębnięte palce, policzki i stopy powoli budzą się do życia.

– Chcę z kimś porozmawiać o pani Evie... Bertrandt, tak chyba się nazywa.

Dyżurny w głównej poczekalni wychodzi zza biurka i wskazuje jej plastikowe krzesło.

– Czy ona jest tutaj? – pyta Miriam.

– Tak, została zatrzymana na noc.

– Aresztowana?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Dopiero przyszedłem do pracy, proszę mi dać kilka minut, muszę się zorientować. Kawy?

– Nie, dziękuję. – Miriam obserwuje pełną powoli wskazówki ściennego zegara, wyobrażając sobie, jak Eva leży skulona w ciasnej celi o szarych ścianach, jak marznie w przeraźliwej, nieopisanej samotności. Znowu więzi ją mur, niczym potrzask. Miriam oblewa się dreszczem chłodu i strachu, a czując, że jej zsiniałe dłonie nabierają koloru, zdejmuje płaszcz i cierpliwie czeka.

– A więc jest pani znajomą Frau Bertrandt, zgadza się?

– Tak.

– Proszę za mną. – Dyżurny rusza przed siebie, po drodze przeglądając notatki.

Miriam wstaje z krzesła i idzie za nim, ale nie może się powstrzymać i zaczyna opowiadać:

– Wczoraj wezwano mnie na przesłuchanie. Wychodząc, usłyszałam, jak Eva przyznaje się do czegoś. Chyba chciała mi pomóc, ale nie musiała tego robić, bo

wcale nie potrzebowałam pomocy. Żadna z nas nie zrobiła nic złego.

– Rozumiem. – Policjant wprowadza ją do salki i wskazuje krzesło. Salka jest bardzo podobna do tej z poprzedniego dnia, jedyna różnica to stół z białego, lśniącego plastiku. – Mam tutaj napisane – mówi – że Frau Bertrandt została przesłuchana i zatrzymana na noc. Jeśli zajdzie taka konieczność, będzie musiała w stosownym czasie złożyć oświadczenie. Musi także pozostawać do dyspozycji policji jako świadek przestępstwa. Wynika z tego, że to pani jest uznana za pokrzywdzoną.

– Ja, nie Axel?

– Herr Voigt nie jest podobno w stanie przypomnieć sobie, co go spotkało.

– Dlaczego?

– Chyba liczył, że jego wersja wydarzeń przyniesie inny efekt, ale fakty oraz obrażenia, które ujawniono na pani ciele, pokrzyżowały mu plany. – Policjant krzywi się pogardliwie. – Dostaliśmy też pisemne oświadczenie od... – Zagląda do papierów. – Pielęgniarki nazwiskiem Hensher, która potwierdziła, że pani mąż wykazywał skłonności do agresji, a odkąd pani od niego odeszła, nie ma już powodów do niepokoju o pani zdrowie psychiczne.

– Skąd Hilda wiedziała, co się stało?

– List od niej przyniosła Frau Bertrandt – wyjaśnia policjant. – Sprawa jest poważna, ale wydaje mi się, że zostanie uznana za kłótnię rodzinną i dalsze postępowanie nie będzie konieczne. Pouczę jednak panią, aby trzymała się z daleka od męża. On zresztą usłyszy ode mnie to samo.

– Dziękuję panu.

Eva zjawia się w poczekalni. Jest skulona, a twarz ma jakby pogniecioną. Wygląda staro. W świetle jarzeniówek jej białe, przetykane złotem włosy są całkiem siwe.

– Przyszłaś po mnie?

Zamiast odpowiedzieć, Miriam kładzie swoją torbę i płaszcz na krzesło i ścisła ją mocno.

– Tak jak ty po mnie – mówi, całując Evę w zimny policzek.

Obie zaczynają płakać. Dyżurny stawia na biurku pudełko chusteczek. Ocierają oczy i uśmiechają się wstydliwie do siebie.

– Mogę odwieźć cię do domu? – Miriam dzwoni po taksówkę z telefonu na komendzie. Wsiadają do auta, w którym ogrzewanie jest rozkręcone za mocno. Pachnie tam skórą i dymem.

Eva rozciera dłonie.

– Ale nie będziesz na mnie bardzo zła? – pyta szeptem.

– Za co?

– Na policji wpadła mi w oko jedna rzecz. Była w teczce z dokumentami. Zakosiłam ją – wyznaje Eva, zniżając głos, i przysuwa się bliżej, wyciągając z rękawa nieduży plik papierów. Taksówka jedzie ulicami, kołysząc się miarowo.

– Nie mogłam tego tam tak zostawić. – Wręcza papiery Miriam.

– To są dokumenty rozwodowe – mówi Miriam tak głośno, że gardło samo się jej zaciska, a głos przechodzi w zdławiony pisk.

– Cicho. – Eva odwraca kartki. – Patrz. – Wskazuje palcem miejsce, gdzie widnieje olbrzymi podpis Axela, przysłaniający wszystko inne.

Miriam przygląda mu się, a potem znów patrzy na swoją towarzyszkę.

– Myślisz, że...? – zaczyna, ale urywa w pół słowa i zamiast dokończyć, zagaduje taksówkarza: – Czy możemy podjechać jeszcze w jedno miejsce? – Podaje adres. Skręciwszy w wąską uliczkę, gdzie trzeba ostrożnie omijać zaparkowane samochody, zawracają w kierunku Neufertstraße.

Miriam zagląda przez witrynę, po czym dotyka przycisku dzwonka. Eva czeka w taksówce, licznik bije.

– O tej porze zamknięte – mówi mecenas Abendroth, przecierając oczy. Ma na sobie gruby sweter robiony na drutach. – O, Frau Voigt. Coś się stało?

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale wolałam dostarczyć to osobiście. – Miriam wręcza mu plik dokumentów.

– Podpisał? – pyta adwokat, odwracając pierwszą kartkę.

– Podpisał.

Wsiada z powrotem do taksówki.

– Dziękuję. – Uśmiecha się do Ewy, chociaż słowa są tu właściwie na nic.

– Padam z głodu – mówi Eva. – No i wypadaloby jakoś uczcić ten dzień. Pójdziemy gdzieś na śniadanie?

Miriam kiwa głową. Nie dociera do niej jeszcze, że Axel naprawdę podpisał papiery rozwodowe.

– Podjedźmy jeszcze na chwilę do mnie, muszę się ogarnąć – prosi Eva i podaje taksówkarzowi swój adres. Teraz to Miriam czeka w taksówce, przed kamienicą podobną do swojej, z czerwonymi drzwiami wejściowymi. Rozmyśla o tym, ile się zmieniło w tak krótkim czasie. Jeszcze kilka tygodni temu mur stał nienaruszony, ona nie знаła Ewy, a jej ojciec był zdrowy. Gdyby jednak mogła,

nie zmieniałaby tego, co się stało, bo teraz lepiej poznała ojca, zdobyła przyjaciółkę i nawet Hilda ostatecznie stanęła po jej stronie. Ma też szansę odzyskać wolność, i to nie poprzez śmierć.

– Dlaczego zabrałaś listy i pasiak? – pyta Evę, gdy ta wsiada z powrotem do taksówki, przebrana i pachnąca pastą do zębów.

– Bo się przestraszyłam.

– Policji?

– Też, ale nie tylko. Te ostatnie listy... Nie chciałam, żebyś czytała je sama, a pomyślałam sobie, że kiedy się obudzisz i je zobaczysz, to od razu zaczniesz czytać. Chciałam cię przed tym uchronić.

– Dlaczego?

– Jest jeszcze jeden list... Przetłumaczyłam wszystkie i mam takie poczucie, że poznałam przy tym też ciebie i... – Taksówka zatrzymuje się na światłach. Eva milknie i odzywa się ponownie dopiero, kiedy znów ruszy. – Następnego dnia chciałam ci je zwrócić, ale dozorca powiedział mi, że cię aresztowali, i wyszłam od razu. Musiałam ci jakoś pomóc.

– Pan Ludwig powiedział, że mnie aresztowali?

– Tak, i wiedziałam, że to moja wina. Najpierw pojechałam do szpitala. Hilda mnie pamiętała, poznałyśmy się, kiedy ślusarz zmieniał ci zamek. Poprosiłam ją o list, na potwierdzenie, że nic ci nie dolega. Miałam nadzieję, że to wystarczy. Potem wróciłam do twojego mieszkania, odłożyłam wszystko na miejsce i poszłam na policję.

– Wystarczyło. Uratowałaś mi życie, pomogłaś mi. Uważam cię za przyjaciółkę. Jesteś dla mnie ważna.

– Dziękuję. I ty dla mnie też.

Przez jakiś czas Eva milczy. Taksówka śmiga ulicami. Ogrody pałacowe i Szprewa milczą, za oknem wszystko tonie w szarości. Widoki na nowe życie przesłania niepewność.

Zapłaciwszy za taksówkę, powoli ruszają zatłoczoną ulicą. Na Neufertstraße przechodzą na drugą stronę i zaraz na samym rogu, między warsztatem rowerowym a starą włoską restauracją, stoi duży budynek z zieloną elewacją. Od frontu ma tylko jedno małe okno.

– To tutaj? – pyta Miriam, cofając się o krok.

– Tak, a co się stało?

– Przychodziłam tu z mamą.



Eva otwiera przed nią drzwi. Zapach wyrastającego ciasta sprawia, że Miriam burczy w brzuchu.

W kawiarni jest cicho, para staruszków popija herbatę z wykwintnie malowanych porcelanowych filiżanek. Pod jedną ze ścian stoją rzędem stoliki i krzesła, a nad nimi wiszą obrazy z widokami Paryża. Po przeciwnej stronie błyszczący lustro, powleczone mgiełką, bo w środku jest parno. Pod lustrem ciągnie się lada zastawiona ciastami i kanapkami.

– Na co masz ochotę? – pyta Eva, wskazując dłonią patery. Kelnerka za ladą ma już w ręce notesik i jest gotowa przyjąć zamówienie.

Miriam rozgląda się, wyciera dłoń serwetką i wybiera piernik, *Lebkuchen*. Skromny, ale jego ciepły imbirowy aromat to czysta esencja świąt.

Eva zamawia porcję – znacznie większą – ciasta oprószonego cukrem pudrem. Zabrawszy talerzyki i kawę, siadają razem przy stoliku pod oknem.

Miriam wbija wzrok w talerzyk, starając się nie rozglądać, lecz mimo to cały czas ma świadomość, że siedzi przy oknie. A przez okno widać ulicę.

– Co się dzieje? – pyta Eva.

– Nic.

Eva wypija łyk kawy.

– Za wolność. – Uśmiecha się szeroko.

– Przychodziłam tutaj z mamą. – Miriam puszcza jej toast mimo uszu, bierze w palce swoją filiżankę, gorycz kawy zasycha jej na języku.

Eva kroi widelczykiem kawałek swojego ciasta.

– To tutaj widziałam się z nią ostatni raz – ciągnie Miriam. – Przyszliśmy coś zjeść, ale nie było mowy o jedzeniu...

A dzień był taki pogodny. Mama miała na sobie czarną sukienkę z szarą lamówką; siwe włosy po swojemu zaczesła do góry i wyglądała prześlicznie. Siedziały nad nietkniętym jedzeniem i obie myślały dokładnie to samo.

– Dlaczego tata nie przyszedł?

– Przecież wiesz. Strasznie za tobą tęskniliśmy. Mieszkamy blisko siebie, a widzimy cię tylko od wielkiego dzwonu. A teraz jeszcze macie się wyprowadzić. Ojciec nie chce, żebyś mieszkała tak daleko.

– A ty? Nie będziesz mnie prosić, żebym została?

– Nie mogę. – Mama głośno westchnęła. – Axel to twój mąż, musisz być przy nim. Ostatecznie to tylko parę godzin autobusem.

Cisza zaczęła się przeciągać. Miriam patrzyła na dłoń mamy, od dawna poznaczoną plamkami. Starła się nie myśleć o tym, jak bardzo za nią tęskni. Bez skutku.

– Brakuje mi ciebie – wykrztusiła, bliska łez.

– Mnie też będzie ciebie brakować, Miriam. Co ja pocznę bez ciebie? – Mama otarła kąciki oczu serwetką.

– Nie płacz, mamó, proszę. Tyle lat dawaliście sobie radę beze mnie. Poza tym masz przecież tatę. – Miriam zaśmiała się. – Nie chcę wyjeżdżać.

Mama odetchnęła głęboko. Odsunęła swój talerz, wzięła Miriam za rękę.

– W małżeństwie bywają trudne chwile i trzeba to wytrzymać. Wszystko się ułoży. Axel cię kocha, będzie przy tobie. W Wolfsburgu zaczniecie nowe życie – podobno jest tam bardzo ładnie, a tobie po stracie dziecka świeże powietrze dobrze zrobi. Zobaczysz, że będziesz tam znowu szczęśliwa. – Uśmiechnęła się.

Miriam pocałowała ją w policzek.

– Kocham cię, mamó.

– Zamówmy jakiś deser, co? Tak na nowy początek.

Kiedy mama poszła zamówić ciasto, Miriam wyjrzała przez okno. Po drugiej stronie ulicy stał samochód. Jego samochód. A w środku siedział on. Opuścił szybę w oknie, żeby go widziała.

Wróciła mama.

– Dostaniemy ciasto czekoladowe z lodami, za parę minut przyniosą.

– Muszę już iść.

– Dlaczego? – Mama usiadła, kładąc na kolanach serwetkę.

– Axel przyjechał, czeka na mnie.

– Przecież powiedział, że zabierze cię później, z domu. Miałaś jeszcze zobaczyć się z ojcem.

– Spójrz. – Miriam skinęła w stronę okna. Mama odwróciła głowę, a wtedy Axel wysiadł, opierając łokcie o dach auta. Ciemne okulary kryły jego oczy.

– Przepraszam – bąknęła Miriam.

Twarz mamy wydłużyła się, plecy wygięły się w łuk. Zgarbiona, zapadła się w sobie, jakby zeszło z niej powietrze, serwetka leżąca na jej kolanach zsunęła się, zwisając krzywo.

Miriam pochyliła się, chcąc ją pocałować, ale ponieważ nie uniosła głowy, musnęła tylko ustami jej miękkie jak puch włosy.

– Kocham cię.

– Bezpiecznej podróży. – Mama przełknęła z wysiłkiem. – Zadzwonisz do mnie?

– Jak tylko się urządzimy. Obiecuję.

Z tymi słowami Miriam zabrała swoją torebkę i ruszyła do drzwi.

– Ja też cię kocham – rzuciła za nią mama. – Uważaj na siebie, skarbie.

Zanim Miriam przeszła na drugą stronę ulicy, miała już oczy pełne łez.

Tamtego dnia widziała matkę po raz ostatni. Przez pięć lat mieszkała w Wolfsburgu, dwie godziny drogi od Berlina, a przyjechała tam tylko raz.

W dniu jej pogrzebu.

Odkłada z brzękiem widelczyk na talerz.

– Przepraszam cię, Evo, co mówiłaś? – pyta, ocierając oczy wierzchem dłoni.

– Dobrze się czujesz?

– To nic nie zmienia, że Frieda kochała tatę i że on też musiał ją kochać. Ja kocham moją mamę, kocham ją bardzo i strasznie mnie boli, że już jej nie ma.

Eva odstawia swoją kawę i kończy ciasto, a następnie sięga po torebkę, wyjmując z niej kartkę papieru, którą bez słowa podsuwa Miriam przed oczy. Oryginał zajmuje jedną stronę wielkości A4 i jak zawsze jest do niego dołączone tłumaczenie pisane ręką Evy.

– To ten ostatni? – pyta Miriam, biorąc głęboki wdech.

– Tak.

Bierze list do rąk i zaczyna czytać.

*Heinrichu,*

*Hani oddała za mnie życie. Cóż za odwaga. Umarła, abym ja mogła żyć. Potem pomagała mi Matka. Karmiła mnie i karmiła, i karmiła.*

*Aż wreszcie któregoś dnia strażnicy opuścili obóz. Zabrali ze sobą wszystkich więźniów, którzy byli w stanie chodzić o własnych siłach, i całe zapasy jedzenia, a bramy zamknęli na klucz. Nie mogłam się ruszać. Nie mogłam jeść. Zostałam.*

*Następnego dnia obóz został wyzwolony.*

*Uratowali nas żołnierze mówiący po angielsku. Nie odzywałam się ani słowem. Trafiłam do szpitala, a dziecko rosło! To był cud.*

*W szpitalu zjawiała się Emilie. Przyszła do mnie. Jestem bardzo chora, ale dziecko ma się dobrze, zabrali je na oddział dla noworodków i tam się nim opiekują. Zobaczyłam Emilie w drzwiach mojej sali. Minę miała niepewną. Zdaje się, że byłam mało podobna do tamtej Friedy, którą kiedyś znała.*

*Pielęgniarka, która otworzyła drzwi, potwierdziła, że mam tyfus.  
– Zostało jej najwyżej parę dni – poinformowała Emilie i wyszła.  
Dziwnie słyszeć, że po tak długiej walce o życie mam go przed sobą tak małą.*

*Umieram, Heinrichu. Piszę o tym do Ciebie, a Emilie się przygląda. Siedzi daleko, pod samą ścianą. Trzyma na rękach naszą córkę.*

*Czuję zapach kwiatów pomarańczy i słodkiego mleka dla niemowląt, widzę szczęście. Czystą radość. Umieram, ale zostanie po mnie coś dobrego. Otrzymasz wszystkie moje listy, dostaniesz naszą córkę i poczujesz moją miłość.*

*Proszę, nie zapominaj o mnie.*

*Mam już tylko skradzione wspomnienia i słowo Emilie, która obiecała, że zaopiekuje się dzieckiem i Tobą też.*

*Wraca do mnie często, już sama, bez malutkiej. Siada obok i trzyma mnie za rękę. Płacze. A ja już tylko chciałabym mieć Cię przy sobie, zanim umrę.*

*Tylko o Ciebie jeszcze proszę.*

*Abym mogła się pożegnać...*

## MIRIAM

Powietrze wibruje w uszach Miriam, jakby zanurzyła się pod wodę. Stopy, zdrętwiałe i bez czucia, mocno trzymają się ziemi.

- Nie rozumiem – mówi.
- Odwróć kartkę – prosi Eva.

*Frieda umarła 14 lutego 1945 o godz. 4 rano. Jej dziecko żyje.*

– To pismo mamy! – Miriam podrywa głowę. – Wiedziała o tym? – Czuje nagły mętlik w głowie, myśli gonią się bezładnie. – Co to właściwie znaczy?

– Moim zdaniem... – Eva wyciąga dłoń, bierze ją za rękę. – Moim zdaniem to znaczy, że ty jesteś tym dzieckiem...

Miriam nie mówi nic.

Choć kawiarniany hałas przybiera na sile, widzi przed sobą Evę, jej twarz i oczy o czystym, mocnym spojrzeniu. Ściskając jej miękką, ciepłą dłoń, spogląda na list.

– Co?! – Zrywa się z krzesła, ale krew uderza jej do głowy i wszystko zaczyna wirować przed oczami. – Jak to... Nie! – Siada z powrotem, czekając, żeby to wszystko nabrało choć trochę sensu. – Przecież tego nie da się sprawdzić – mówi wreszcie. – Nie wiadomo, czy to dziecko przeżyło ani czy mama w ogóle zabrała je z tego szpitala. – Patrzy Evie w oczy. – Czy to już wszystko?

– Tak. Zabrałam ten pasiak, żeby zobaczyć, czy nie znajdę czegoś jeszcze. Czegoś, co by mogło ci pomóc.

– I...?

Eva przecząco kręci głową.

– Nie możesz mi jej odebrać. To wszystko, te listy... Evo, ja już raz ją straciłam. Proszę cię, przestań. – Miriam niczego bardziej nie pragnie, jak tego, żeby mama tutaj była i zakończyła to raz na zawsze. Zdaje sobie sprawę, że Eva nie jest niczemu winna, ale w końcu to ona przetłumaczyła te listy. Ostatecznie mówi jej tak: – Nie musiałaś dawać mi tego listu. Mogłam tego nie wiedzieć i byłoby dobrze. Po co to zrobiłaś?

– Bo masz prawo znać prawdę. Nie mogę niczego przed tobą ukrywać, nie do mnie należy decyzja w tej sprawie. Twój rodzice chcieli cię chronić za wszelką cenę. Nie mówię, że to źle, ale być może jesteś silniejsza, niż ci się wydaje – łagodnie wyjaśnia Eva.

– Dlaczego mi o tym nie powiedzieli?

– Nie wiem, ale pomyśl: jeśli to prawda, jeśli jesteś córką Friedy...

– Jeśli – przerywa jej Miriam. – Bardzo duże to „jeśli”. Bo nawet jeśli jestem jej córką, miałam inną matkę.

– I to się nie zmieni. Ale pomyśl o tym, ile musiałaś mieć siły, żeby przeżyć swoje pierwsze dni. Jeśli to byłaś ty i ta historia opowiada też o tobie... – Eva nie kończy, urywa w pół zdania. – Uznałam, że powinnaś o tym wiedzieć.

Im dłużej Miriam o tym myśli, tym lepiej zaczyna rozumieć. Jej ojciec wciąż powtarza imię Friedy. Może ją woła... a może usiłuje powiedzieć Miriam: jesteś jej dzieckiem. Albo... Myśli potykają się o siebie. Może tata bierze ją za swoją dawną ukochaną? Frieda umarła przed wieloma laty... Czy Miriam jest do niej podobna?

– Nigdy już nie poznam prawdy – mówi. – Jak sądzisz?

– Bardzo mi przykro, Miriam. Ale jeśli rzeczywiście tak potoczyły się twoje losy, to przeżyłaś bardzo wiele i zaznałaś ogromnej miłości.

Miriam kręci głową.

– Nigdy nie dowiem się, co przeżyłam. Jedyna osoba, która wiedziała, co naprawdę się stało, nie żyje. Mama była moją najlepszą przyjaciółką. A to... – Potrząsa trzymanym w dłoni listem. – To mi jej nie odbierze. Nie pozwolę na to.

– Nic nie odbierze ci wspomnień. Jestem pewna, że twoja mama bardzo cię kochała.

– A Frieda?

Eva wstaje, obchodzi stolik i ująwszy ją pod ramię, unosi z krzesła, a potem bierze w ramiona. Miriam tonie w jej uścisku, a z jej gardła wyrывa się szloch, który brzmi jak jęk skargi. Uwolniwszy się z tych objęć, widzi w oczach Ewy odbicie swojej smutnej twarzy. Ludzie przy innych stolikach zerkają w ich stronę.

– Muszę stąd wyjść – mówi Miriam.

Eva płaci i wychodzą.

Na ulicy Miriam zatrzymuje się gwałtownie i jeszcze raz wyciąga ten ostatni list. Ból i poczucie krzywdy przelane na papier przez Friedę jakimś sposobem przenikają przez jej skórę, docierają aż do serca; odczuwa je tak, jakby to ją zraniono. Czy tata był u niej w szpitalu?

Czy Frieda umarła samotnie, bez niego?

Wreszcie Miriam uspokaja się trochę i podchodzi do Evy, która została kilka kroków w tyle. Bierze ją za rękę i razem ruszają ulicą.

Eva milczy, dzięki czemu Miriam ma czas, żeby się pozbierać. Drzewa i latarnie, z których nie zdjęto jeszcze świątecznych dekoracji, wyglądają niczym obsypane klejnotami.

Po drugiej stronie parku Ruhwald, niedaleko hospicjum, wyrasta przed nimi ściana ludzkich ciał. W powietrzu unosi się gwar rozmów. Miriam ma wrażenie, że od natłoku myśli pęknie jej głowa: te listy, ci ludzie, którzy postradali życie...

Zgiełk nagle cichnie, gdy w niebo, niczym ptak, wzbija się jeden czysty głos. Ludzie spoglądają w górę, jakby usłyszeli śpiew prawdziwego anioła.

Eva bierze Miriam pod rękę. Nikt nie odzywa się ani słowem. Dla tych, którzy słuchają tej pieśni, czas stanął w miejscu, a Miriam odzyskuje jasność myśli. Bez żadnego akompaniamentu, ten jeden głos sam zwraca się ku niebiosom. Przenosi Miriam w inny czas i inne miejsce.

Był taki dzień, pod sam koniec semestru, kiedy ojciec wrócił do domu później niż zwykle.

– Przepraszam! – zawołał od progu. – Zrobiłyście wszystko beze mnie?

– Prawie – odpowiedziała mu Miriam. Wszedł i ucałował je obie: mamę wieszającą czubek na choince i Miriam, która bawiła się wstążką na małej paczuszce – prezencie dla Axela. Ojciec zdjął krawat, a swoją teczkę położył na stole.

– Przyszedł już?

– Jeszcze nie. – W głosie mamy słychać było ekscytację.

– Jaki on jest?

– Boski – zachichotała Miriam. – Spodoba ci się, mamó, zobaczysz. – Była tak rozradowana, że nie mogła przestać się uśmiechać.

– Zostało coś dla mnie do zrobienia? – zapytał ojciec.

– Gwiazda, jak zwykle – odparła mama.

Choinka była prześliczna, lśniąca od srebra i złota. W radiu cichutko grały kolędy. Miriam podała ojcu gwiazdę, a on umocował ją na szczycie drzewka.

– Odliczamy – zakomenderował. Miriam cofnęła się do drzwi i wyłączyła górne światło, pograżając wszystko w ciemności.

– Trzy... Dwa... Jeden – odliczyli chórem, a mama włączyła światełka na choince. Pokój wypełnił się blaskiem.

Gwiazda na czubku słała oślepiające refleksy. Ojciec rozwiązał mamie fartuch i zdjął go, by powiesić na oparciu krzesła. Potem ujął jej drobną dłoń, a gdy weszła na palcach w jego objęcia, poprowadził ją tanecznym krokiem dookoła całego pokoju.

– Uwaga na dekoracje. – Uśmiechnęła się, spoglądając mu w oczy.

Miriam przyglądała się, jak z nieopisanym wdziękiem okrążyli pokój kilka razy. Mama, zarumieniona, z rozwianym włosom i w spódnicy furkoczącej w powietrzu, wyglądała jak wróżka, która tylko patrzeć, a wzbije się w powietrze i przysiądzie na szczycie choinki. Patrząc na nią, Miriam miała nadzieję, że już niedługo poczuje się tak jak ona, w ramionach Axela.

– Wesołych świąt, Emilie – powiedział ojciec i pocałował mamę prosto w usta, a ona zaczerwieniła się pod jego spojrzeniem.

– Wesołych świąt – odpowiedziała, zatrzymując się, aby poprawić włosy. Ojciec nie wypuścił jej z objęć.

– Wesołych świąt nam wszystkim – powiedział, całując Miriam w policzek. Jej serce wypełniło się radością i uniesieniem: Boże Narodzenie było już o krok.

Tłum zaczyna klaskać i wiwatować; ludzie rozkręcają się powoli, ale w końcu zrywa się istna owacja, z gwizdaniem i okrzykami. Ta wrzawa sprowadza Miriam z powrotem do rzeczywistości.

Kolejny utwór gra już cała orkiestra; morze ludzkich ciał kołysze się lekko. Rozejrzawszy się, Miriam dostrzega małego chłopca pijącego wodę. Otaczają go dorośli, ale jest jasne, że to jego głos przed chwilą porwał słuchających daleko, daleko.

Gdy tłum się rozchodzi, kładzie dłoń na ramieniu swojej towarzyszki.

– Dobrze się czujesz? – pyta Eva.

– Jestem prawdziwym dzieckiem szczęścia. Ale tata... nie jestem pewna, czy wiedział to, co ja wiem, a powinien, ma do tego prawo. Nawet jeśli to już koniec. Dałam mu słowo. – Miriam rusza przed siebie, zostawiając Evę, ale po kilku krokach się cofa.



Wracają do niej słowa, które kiedyś usłyszała od mamy: „Można tylko przynieść im ukojenie, aby nic ich nie dręczyło w tej ostatniej drodze”. Bierze głęboki wdech, rozmigotany mroźnym powietrzem. Wie, że da sobie radę. Zrobi to dla swojego taty.

Przed drzwiami hospicjum przystaje i spogląda w górę. Na niebie wciąż jeszcze wisi księżyc, otoczony jasnym rojem spadających gwiazd. Ale to nie gwiazdy. To śnieg.

Miriam wyciąga dłoń przed siebie, łapiąc zimne płatki. Piękno rzeczy tak kruchej i nietrwałej budzi w niej podziw.

– Popioły, gdy biją w niebo, są czarne, ale spadają zawsze białe – recytuje. – Tata zawsze tak mówił, kiedy padał śnieg. Każdy płatek niósł ze sobą prochy tych, którzy od nas odeszli. Śnieg składał je w ramionach ich bliskich i rozsypywał na ziemi, aby była żyzna. Płatki śniegu całują w locie. Gdy byłam dzieckiem, nie rozumiałam tego, śmieszyło mnie tylko, gdy te pocałunki płatków śniegu zmieniały się w buziaki od mamy i taty. Bo oni zawsze mnie kochali, bez względu na wszystko.

– Nie wątpię. Mam na ciebie poczekać? – pyta Eva, ale Miriam przygląda się płatkom śniegu topniejącym jej w dłoni. Słyszy głos swojego ojca, czuje, jak trzyma ją za rączkę schowaną w rękawiczce, jego pachnący papierosami oddech miesza się ze świeżą bielą śniegu.

– Jeśli śnieg stopnieje do ostatniego płatka, coś z tego człowieka zostaje w tobie – powiedział tata. – Masz teraz coś, co kiedyś należało do niego. To dar.

Miriam myśli o kobietach królikach, o Hani, Friedzie, o swojej matce i o wszystkich innych skazanych zgubę i zapomnienie. Śnieg pada coraz mocniej; może, myśli Miriam, ci, którzy odeszli, mają dla żywych jeszcze wiele darów.

Czuje, jak Eva bierze ją pod rękę i cicho otwiera drzwi. Po wejściu odchodzi na bok, przystaje obok choinki. Zjawia się Susi.

Na powitanie wyciąga do Miriam obie dłonie.

– Ojciec jest dzisiaj bardzo ożywiony, ale to, co miał w płucach, znów się odzywa – mówi, prowadząc ją do sali. – Chyba... Chyba to już czas – dodaje z powagą.

W pokoju wisi nikły zapach goździków, pozostałość po świętach. Susi pochyla się nad łóżkiem, biorąc ojca za rękę.

– Herr Winter. Heinrichu. Przyszła Miriam. – Skinieniem głowy zaprasza ją bliżej, po czym się prostuje. – Zostawię was. Do jedzenia są świąteczne ciasteczka. – Wychodzi, w przelocie gładząc Miriam po ramieniu.

Miriam wie, że powinna odezwać się pierwsza. Wyjaśnić, co znalazła w listach. Wie, że powinna przekazać ojcu wiadomość o śmierci Friedy. Że powinna go zapytać, czy wiedział, czy się chociaż domyślał, że Frieda jest jej matką.

Ale zamiast mówić, pochyla się tylko, aby musnąć wargami jego czoło.

Jak to było dawno, jakby w poprzednim życiu, kiedy znalazła w tomiku Yeatsa kartkę zapisaną ręką Friedy. Przypomina sobie słowa tego wiersza i wie, że potrafi przynieść ojcu ulgę i spokój.

Zasłużył na szczęśliwe zakończenie.

# HEINRICH

To ona. Frieda.

Nie mogę otworzyć oczu, ale to na pewno ona.

Po tylu latach.

Całuje mnie w czoło, a ja w jednej chwili czuję wszystkie pocałunki z przeszłości: jej oddech parzy jak łuk elektryczny, od siły i blasku wyładowania kręci mi się w głowie, wiruję dookoła jej ust, jej dotyk to jedyny stały punkt. Jej usta na moich ustach. Ile to już lat...

Kłęby mgły, ulatuję, ciało i życie już za mną.

– Heinrichu. – Czuję, jak ona przełyka, lekko zaciskając wargi, które po chwili miękną z powrotem. Podsuwa usta do mojego ucha, a muśnięcie jej oddechu sprawia, że po całym ciele tanecznym krokiem przebiegają mi dreszcze.

– Kiedy zapadną ciemności, ja jestem twoim światłem.

Tak, to prawda. Moim światłem i mrokiem. Ona żyje.

– Kocham cię. – W tym głosie słyszeć łzy. – Już dobrze.

Frieda siedzi na ławce pod sosnami, wiatr bawi się kosmykami jej jasnych włosów. Opiera się o mnie całym ciałem. Trzyma w dłoniach moją rękę, lekko, ale pewnie. Pachnie świeżo spadłym śniegiem, różami, gwiazdami.

Ściskam mocno jej dłonie, przełykam i biorę głęboki oddech. Suchymi wargami, nieswoim głosem, wypowiadam to jedno słowo:

– Frieda.

## Grudzień 1990

Gęsty śnieg oblepiał przednią szybę starego trabanta. Samochód, kaszląc silnikiem, powoli toczył się na północ. Dwie milczące z szacunkiem kobiety uważnie wyglądały przez okna.

Dookoła ciągnęły się pola opuszczonych spółdzielni produkcyjnych, na białym tle ostro rysowały się kontury nagich drzew. Drogowskaz z napisem „Sachsenhausen” powiedział im, że jadą w dobrym kierunku: do Ravensbrück.

Nie mogła uwierzyć, jak to blisko, niespełna dwie godziny drogi od Berlina.

Odetchnąwszy powoli, głęboko, wskazała palcem wieżę kościoła w Fürstenbergu, która właśnie ukazała się na horyzoncie. Gdy trabant mijał stację kolejową w tym niedużym miasteczku, pokręciła głową i nie przestawała nią kręcić, dopóki nie pozostało za nimi. Do obozu prowadziła wybrukowana leśna droga. Po lewej stronie pojawiały się domy o spiczastych dachach, po prawej zajaśniało jezioro, białe, rozległe, skute lodem.

Otulone w płaszcze, owinięte szalikami, podeszły razem do bramy, trzymając się pod rękę i ostrożnie stawiając kroki.

Wysokie mury i napisy po rosyjsku. Dalej wstęp był wzbroniony.

W koronach lip, gęsto rosnących nieopodal, na gałęziach uginających się pod ciężarem śniegu, gruchały gołębie grzywacze. Kobiety stanęły w miejscu, skąd widać było jezioro i kościelną wieżę, przebijającą czernią spod śniegowego płaszcza.

– Oni leżą na dnie tego jeziora – powiedziała jedna z nich. – Wszyscy.

Zimny wiatr kąsał im policzki i powieki. Żadna z nich nie uroniła ani jednej łzy. Stały w milczeniu, dopóki ręce i nogi nie zdrętwiały im od chłodu.

*Małeńkie piórko, białe i puszyste, zawisło na jedną chwilę przed ich oczami, a potem pomknęło z bezgłośnym trzepotem po skutym lodem jeziorze.*

# PODZIĘKOWANIA

Ta książka nie powstałaby bez wsparcia, które otrzymałam od moich rodziców. Oni wierzyli we mnie, jeszcze zanim ja sama w siebie uwierzyłam i zanim zasłużyłam na to, aby we mnie wierzyć.

To Wam zawdzięczam wszystko.

Dziękuję Juliet Mushens, która dostrzegła w moim tekście coś wyjątkowego i zaproponowała mi umowę wydawniczą, a potem pracowała ze mną, mobilizowała mnie i stawiała mi kolejne wyzwania. Bez Twojej redakcji i Twojego wsparcia, a ostatecznie także mojej determinacji, aby Cię nie zawieść, ta książka nie byłaby nawet w połowie tak dobra.

Dziękuję Laurze Deacon i całej ekipie z Lake Union za wypuszczenie mojej książki w świat.

Dziękuję Arzu Tashin za uwagi i poprawki, dzięki którym piszę dzisiaj znacznie lepiej.

Nie dokonałabym tego, gdyby nie pomoc mojej drużyny, czyli starych i nowych przyjaciół. Dziękuję, że mnie słuchaliście, karmiliście, doglądaliście i nie pytaliście, jak mi idzie z książką, kiedy właśnie przepisywałam ją od nowa (po raz kolejny). Dziękuję za herbatę, za jedzenie znoszone całymi pudłami, za „zaprawę” i za motywację, aby nigdy się nie poddawać.

Dziękuję mojemu Złemu Bliźnięciu, Demo Danowi, Shawnowi i mojej rodzinie Kravów. Przyjaciołom Fabera, Fran, Mandy i Louise, oraz nowym koleżankom po piórze – Louise, Priscilli, Linie i Liz, pisarkom o niebywałym talencie.

Przyjaciółkom, a zwłaszcza Beth Hollington, za to, że umiały mnie wysłuchać i zawsze wspierały, nawet gdy inni radzili: „odpuść sobie”.

I na końcu dziękuję Jane Reece, która jest wyjątkową nauczycielką, Fay Weldon, która pomogła mi uwierzyć w siebie, oraz Clintowi Badlamowi za to, że w tej pisaninie dostrzegł człowieka.

# Spis treści

WSTĘP

1

MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

2

MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

3

HEINRICH  
MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

4

MIRIAM  
HEINRICH

5

MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

6

MIRIAM  
HEINRICH

7

MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

8

HEINRICH  
MIRIAM

9

MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM



10

HEINRICH  
MIRIAM

11

MIRIAM

12

MIRIAM

13

HEINRICH  
MIRIAM

14

MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

15

MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

16

MIRIAM

17

HEINRICH  
MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

18

HEINRICH  
MIRIAM

19

MIRIAM

20

MIRIAM

21

HEINRICH  
MIRIAM

22

HEINRICH  
MIRIAM

23

MIRIAM

24

MIRIAM

25

MIRIAM

26

MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

27

HEINRICH  
MIRIAM

28

MIRIAM

29

MIRIAM

30

MIRIAM

31

MIRIAM  
HEINRICH  
MIRIAM

32

MIRIAM  
HEINRICH

33

MIRIAM  
HEINRICH

34

MIRIAM

35

MIRIAM

36

MIRIAM  
HEINRICH

37

MIRIAM

38

MIRIAM

39

MIRIAM

40

MIRIAM

HEINRICH

ZAKOŃCZENIE

PODZIĘKOWANIA